



Rake

*Mówili, że miał błękitną krew... ale w rzeczywistości
była czarna jak jego serce.*

L. J. SHEN



L. J. SHEN

Rake

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



*Mojemu bratu, który nigdy tego nie przeczyta.
Skończyli mi się adresaci dedykacji, więc tak wyszło.*

Rake (ang.)

– hulaka, bon vivant; dawniej: libertyn.

Nota odautorska

Ze względów fabularnych pozwoliłam sobie na pewną dozę *licentia poetica* w odniesieniu do kwestii majątkowych w łonie brytyjskiej rodziny królewskiej.

Należy również zaznaczyć, że rody Whitehallów i Butchartów nie noszą obecnie tytułów szlacheckich.

To, co najpiękniejsze i najcenniejsze w życiu,
czasem pojawia się w koronie cierniowej.

– SHANNON L. ADLER

Najsłynniejsza femme fatale Bostonu spotyka godnego siebie przeciwnika w osobie niebezpiecznie łagodnego Anglika, który poprzysiągł nigdy się nie ożenić.

Emmabelle Penrose szła przez życie bez zbędnego balastu w postaci mężczyzny, dopóki nie postanowiła zajść w ciążę.

Devon Whitehall ma metr dziewięćdziesiąt, pierwszorządne DNA, kasy jak lodu i brytyjski tytuł szlachecki. A co najważniejsze, podobnie jak ona jest zatwardziałym przeciwnikiem małżeństwa.

Propozycja Devona oferującego swoje usługi reprodukcyjne i nie tylko takie spada Emmabelle jak dar z nieba.

Ale to, co zaczyna się jako czysto biznesowy układ, szybko przemienia się w pajęczynę kłamstw, skrzętnie skrywanych sekretów i mrocznej przeszłości.

W środku tego chaosu Emmabelle i Devon muszą się zmierzyć ze straszną prawdą: oboje są zdolni do miłości.

Co gorsza, możliwe, że uczucie między nimi właśnie się rodzi...

OSTRZEŻENIE: powieść zawiera sceny molestowania i przemocy wobec dzieci, które wrażliwsi czytelnicy mogą uznać za drastyczne. Zamiarem autorki nie jest jednak wzbudzanie kontrowersji czy obrażanie czyichś uczuć.

PLAYLISTA

Alibi / Empara Mi

Obedear / Purity Ring

Under My Thumb / The Rolling Stones

Toy / Young Fathers

Red / Everybody Loves an Outlaw





PROLOG

Devon

ZARĘCZONO MNIE NA KRÓTKO PRZED POCZĘCIEM.

Moja przyszłość została ustalona, przypieczętowana i klepnięta, zanim moja matka wybrała się na pierwsze USG.

Zanim rozwinęły się moje serce, puls, płuca i kręgosłup. Idee, pragnienia i upodobania. Gdy byłem niewiele więcej niż mglistym pomysłem.

Planem na przyszłość.

Polem do odhaczenia.

Ona nazywała się Louisa Butchart.

Dla znajomych po prostu Lou.

Dowiedziałem się o tym aranżowanym małżeństwie jako czternastolatek. Powiedziano mi tuż przed naszym tradycyjnym przedświątecznym polowaniem z Butchartami.

Louisa była całkiem w porządku. A przynajmniej ja nigdy nie dopatrzyłem się w niej żadnych felerów.

Uroczą, dobrze ułożoną, ze znakomitego domu.

Słowem, nie można się było do niczego przyczepić – tyle tylko, że nie była m o i m wyborem.

I chyba właśnie od tego wszystko się zaczęło.

A ja stałem się tym, kim dziś jestem.

Hulaką, hedonistą gustującym w whiskey, nartach i szermierce, wskakującym do łóżka z kim popadnie.

Wszystkie liczby i zmienne układały się w równanie idealne.

Wielkie nadzieje.

Pomnożone przez miażdżące wymagania.

Moralnie podzielone przez więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek byłbym w stanie wydać.

Zostałem obdarzony urodą, tłustym kontem w banku i czarującym uśmiechem. Brakowało tylko jednego ulotnego elementu: duszy.

Sęk w tym, że nie byłem tego nawet świadomy.

Musiał pojawić się ktoś wyjątkowy, by otworzyć mi oczy.

Ktoś taki jak Emmabelle Penrose.

Rozcięła mnie i ze środka wylała się smoła.

Lepka, ciemna i bezmierna.

Oto największy sekret tego rasowego hulaki.

Krew płynąca w moich żyłach nigdy nie była błękitna.

Była jak moje serce: czarna jak noc.

Lat czternaście

Wyruszyliśmy o zachodzie słońca, puszczając przodem psy. W ślad za nimi pogalopowali mój ojciec i jego kamrat Byron Butchart senior. Byron junior, Benedict i ja ubezpieczaliśmy tyły.

Jako młokosom dostały się nam klacze, narowiste i trudniejsze do okiełznania. Zgodnie z tradycją mężczyźni z mojej klasy od najmłodszych lat uprawiali się w poskramianiu młodych temperamentnych samic wszelakich gatunków. Koniec końców życie w naszej sferze wymaga posiadania wytresowanej żony, pulchnych dzieci, ponętnej kochanki i umiejętności gry w krokieta.

Wyprostowany, jakbym kij połknął, ze ściągniętymi stopami i podbródkiem, prezentowałem się niczym ideał królewskiego jeźdźca. Nie żeby uchroniło mnie to przed dyscyplinarną „klatką”, w której nieraz siedziałem ściśnięty jak sardynka w puszcze.

Papa uwielbiał mnie w niej zamykać, by napawać się widokiem mojej bezradnej męki. I nie miało najmniejszego znaczenia, jak bardzo, jak r o z p a c z l i w i e starałem się go zadowolić.

„Klatka”, zwana również „kozą”, była siedemnastowieczną windą kuchenną w kształcie trumny, gwarantującą równie niezapomniane przeżycia. A ponieważ cierpiałem na klaustrofobię, była to ulubiona ojcowska kara wymierzana mi za wszelkie przewinienia.

Których zresztą prawie nigdy się nie dopuszczałem. To było w tym wszystkim najsmutniejsze. Tak bardzo pragnąłem akceptacji. Dostawałem same piątki i byłem utalentowanym szermierzem. Zakwalifikowałem się nawet do mistrzostw Anglii juniorów w szabli, ale po przegranej z George’em Stanfieldem i tak wylądowałem w windzie.

Może ojciec od zawsze wiedział, co tak skrzętnie ukrywałem.

Na zewnątrz: ucieleśnienie ideału.

Ale w środku byłem zepsuty do szpiku kości.

W wieku czternastu lat zdążyłem zaliczyć córki dwóch służących i zajeździć ulubionego wierzchowca ojca, nie wspominając o flircie z kokainą i innymi rekreacyjnymi dragami.

Dziś polowaliśmy na lisa.

Niespecjalnie to lubiłem, czytaj: nienawidziłem tego całym sercem. Idea polowania dla sportu czy w ramach chorego hobby była mi obca jak, nie przymierzając, życie na innej planecie. Nie czerpałem absolutnie żadnej przyjemności z zabijania bezbronnych zwierząt.

Ojciec mawiał, że te krwawe jatki to wielka angielska tradycja, tak jak toczenie sera w Gloucester czy taniec Morrisa. Osobiście jestem zdania, że nie wszystkie ładnie się zestarzały. Na przykład palenie heretyków na stosie czy właśnie polowanie na lisa.

W tym miejscu należałoby zaznaczyć, że to ostatnie było – i jest – nielegalne w Wielkiej Brytanii. Ale zdążyłem się już nauczyć, że wielcy tego świata miewają dość trudne relacje z prawem. Stanowią je i egzekwują tylko po to, by następnie kompletnie lekceważyć.

A mój ojciec i Byron senior czerpali z polowań tym większą przyjemność, że pozostawały one poza zasięgiem niższych klas. To przydawało ich ulubionej rozrywce swoistego blasku. Odwieczny symbol wyższości arystokracji nad plebsem.

Galopując w stronę lasu, minęliśmy brukowaną dróżkę prowadzącą do kutej bramy Whitehall Court Castle, naszego majątku rodzinnego w Kencie. Na samą myśl o czekających mnie atrakcjach przewracało mi się w żołądku. Zabijanie niewinnych zwierząt dla obłaskawienia ojca.

Za moimi plecami rozległ się cichy zgrzyt lakierków na żwirze.

– Devvie, poczekaj! – zawołał zdyszany, błagalny głos.

Odchyliłem się na grzbiecie Księżnej, ściągając lejce, i klaczka posłusznie zawróciła. U mego boku pojawiła się Louisa, w różowej piżamie i ze swoim ohydny kolorowym aparatem na zębach, ściskając w rękach jakiś pospiesznie zawinięty pakunek.

– Mam foś dla ciebie. – Odgarnęła niezgrabnie brązowy kosmyk, który przykleił się jej do czoła.

Lou była o dwa lata młodsza ode mnie, a ja wszedłem w ten nieszczęsny wiek, gdy wszystko się kojarzy z seksem, włącznie z ostrymi przedmiotami, a nawet niektórymi owocami. Ale Lou była jeszcze dzieckiem, niezgrabnym i filigranowym. Miała wielkie, wygłodniałe oczy, którymi spijała każde

słowo z moich ust. Ze swoimi pospolitymi rysami i chłopcą sylwetką, nie można powiedzieć, by olśniewała urodą. Obrazu dopełniało seplenienie, które zawdzięczała aparatowi ortodontycznemu i którego okropnie się wstydziła.

– Lou – odparłem śpiewnie, unosząc brew. – Twoja matka dostałaby apopleksji, gdyby cię tu zobaczyła.

– Nie dbam o to. – Wspięła się na palce, podając mi ów prezent, zawinięty w jeden z jej skromnych sweterków.

Gdy go odpakowałem, moim zachwyconym oczom ukazała się grawerowana piersiówka ojca z burbonem w środku.

– Wiem, że nie lubię polowań, więc przyniosłam ci foś na... Jak to mawia tatuś? „Na rofluźnienie”.

Reszta zdążyła zniknąć w gęstym, porośniętym mchem lesie okalającym Whitehall Court Castle, nieświadoma mojej nieobecności bądź zupełnie nią nieprzejęta.

– Ty mała szelmo. – Pociągnąłem mocno z piersiówki i momentalnie poczułem, jak mocny alkohol pali mnie w gardle. – Skąd ją wytrzasnęłaś?

Promieniejąca dumą Lou zasłoniła dłonią usta i swój nieszczęsny aparat.

– Wflizgnęłam fię do gabinetu twojego papy. Nikt mnie nigdy nie zaufała, więc niejedno mi fię już upiekło!

Gdy usłyszałem smutek w jej głosie, zrobiło mi się jej żal. Lou marzyła o wyjeździe do Australii i ratowaniu dzikich zwierząt, głównie kangurów i niedźwiadków koala. Trzymałem za nią kciuki. Dzikie zwierzęta, nawet te drapieżne, i tak są lepsze od ludzi.

– Ja cię zauważam.

– Naprawdę? – Jej wielkie brązowe oczy zapłonęły jeszcze bardziej.

– Słowo honoru. – Podrapałem Księżnę za uchem. Już dawno doszedłem do słusznego wniosku, że zadowalanie samic to doprawdy bułka z masłem. –

Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

– Nie chcę się fiecie pozbywaf! – wykrzyknęła z entuzjmem. – Zrobiłabym dla fiebie wszyftko.

– Wszystko, doprawdy? – Zachichotałem pod nosem. Byliśmy bardziej jak starszy brat i młodsza siostra. Ona starała się zdobyć moje względy, a ja odwzajemniałem się zachwytnami nad jej miłym usposobieniem i troskliwością.

Skinęła skwapliwie głową.

– Zawfe będę stać za tobą murem.

– No dobrze. – Pociągnąłem za wodze, żeby ruszyć.

– Myflisz, że powiesz kiedyś swoim rodzicom, że jesteś wegetarianinem? – wypaliła.

Skąd, u licha, o tym wiedziała?

– Przy kolacji zauważyłam, że unikaf mięsa, a nawet ryb. – Zawstydzona spuściła wzrok, wwiercając czubek czarnego lakierka w źwir.

– Nie – odparłem zimnym głosem, kręcąc głową. – O pewnych rzeczach nie muszą wiedzieć. – I ponieważ nie miałem już nic więcej do powiedzenia i poczułem nagłą obawę przed koszmarną windą, do której niechybnie trafię, jeśli ojciec zauważy, że zostałem w tyle, dodałem:

– Dzięki za trunek.

Spiąłem konia, uniosłem piersiówkę w geście toastu i pogalopowałem w las.

– Patrzcie państwo, Posh Spice wreszcie raczyła do nas dołączyć – zakpił Benedict, jeden z braci Lou. – Co cię zatrzymało? – zapytał, luzując pasek przy kasku.

– Lou przyniosła nam coś na szczęście, Baby Spice. – Pokazałem mu piersiówkowy „talizman”. W przeciwieństwie do trochę nadgorliwej, ale w gruncie rzeczy miłej Louisy jej bracia – z braku lepszego określenia – byli

parą skończonych chujków. Przerośnięte pizdy uwielbiające podszczypywać pokojówki i robić bajzel dla samej przyjemności patrzenia, jak inni po nich sprzątają.

– Chryste – prychnął Byron. – Jaka ona jest żalosna.

– Chciałeś powiedzieć troskliwa. Spędzanie czasu z moim ojcem wymaga pewnego stopnia odurzenia alkoholowego – wycedziłem z sarkazmem.

– Nie o to chodzi. Ona ma obsesję na twoim punkcie – wtrącił Benedict.

– Nie bądź śmieszny – odburknąłem.

– A ty ślepy – odparował Byron.

– E, przejdzie jej. Jak im wszystkim. – Pociągnąłem z piersiówki, dziękując Bogu, że ojciec i Byron senior są zbyt pochłonięci dyskusją o polityce, żeby się za nami rozglądać.

– Mam nadzieję, że nie – rzucił kpiąco Benedict. – Jeśli ma się z tobą chajtnąć, to przynajmniej niech ma z tego jakąś przyjemność.

– Jak to „chajtnąć”? – Opuściłem piersiówkę. Równie dobrze mógłby powiedzieć „pogrzebać”. – Bez urazy, ale jeśli czeka na oświadczyzny, to niech się pogodzi z rozczarowaniem, bo ich nie będzie.

Byron i Benedict wymienili konspiracyjne spojrzenia, szczerząc się jak głupi do sera. Tak jak ich siostra, mieli karnację Królowy Śnieżki – z tą różnicą, że u facetów wyglądało to karykaturalnie.

– Tylko nie mów, że nie wiedziałeś. – Byron przekrzywił głowę z podłym uśmieszkiem. Nigdy go specjalnie nie lubiłem. A w tej chwili jeszcze mniej.

– O czym? – wycedziłem, gotując się ze złości, że wszystko muszę z nich wyciągać.

– Ty i Lou jesteście zaręczeni. To już ustalone. Jest nawet pierścionek.

Zaśmiałem się metalicznie, uderzając butem prawy bok Księżnej, by wpadła na klaczkę Benedicta – zachwiał się w siodle. Co za bzdury. Zaniosłem się śmiechem, ale ich uśmieški gdzieś wyparowały, razem z całą jadowitą wesołością.

– Jaja sobie robicie. – Mnie też przestało być do śmiechu i poczułem nagłą suchość w gardle, jakby było w nim pełno piasku.

– Nie – powiedział po prostu Byron.

– Zapytaj ojca – dorzucił prowokacyjnie Benedict. – Decyzja zapadła wiele lat temu. Jesteś najstarszym synem markiza Fitzgrovii, a Louisa córką księcia Salisbury. Pewnego dnia przejmiesz tytuł, a nasi rodzice nie chcą rozwodnić królewskiej krwi. Wolą skonsolidować majątki. Ślub z plebejuszem osłabiłby te związki.

Whitehallowie należeli do nielicznych arystokratycznych rodów, które nadal cieszyły się poważaniem. Moja prapraprababka, Wilhelmina Whitehall, była przecież córką króla.

– Ale ja nie chcę się z nikim chajtać – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, wjeżdżając do lasu, gdzie Księżna wreszcie mogła przyspieszyć.

– No jasne – prychnął pogardliwie Benedict. – Masz dopiero czternaście lat. Chcesz tylko grać w gierki i trzepać kapucyna przed plakatem Christie Brinkley. Co nie zmienia faktu, że i tak ożenisz się z naszą siostrą. Ojców łączy za dużo interesów, żeby mogli zmarnować taką okazję.

– I nie zapominaj o majątkach, które obaj zatrzymają – dorzucił usłużnie Byron, spinając ostro konia. – Powodzenia w płodzeniu z nią dzieci. Wygląda jak obcy z... *Obcego* Ridleya Scotta.

– Dzieci?... – Jedyńm, co powstrzymywało mnie przed puszczeniem pawia, była szlachetna brandy, która chlupotała w moim żołądku.

– Lou mówi, że chce mieć piątkę, jak dorośnie. – Zadowolony z siebie Byron zarechotał. – Coś mi się widzi, że zapędzi cię do roboty w wyrze,

stary.

– Aż padniesz – dodał radośnie Benedict.

– Po moim trupie.

Gardło miałem ściśnięte, a dłonie spocone. Czułem się jak obiekt jakiegoś ponurego żartu. Oczywiście nie mogłem porozmawiać o tym z ojcem. Nie dałbym rady się mu postawić. Nie ze świadomością, że od znieawidzonej windy dzieliło mnie jedno nieprzemyślane słówko.

Mogłem tylko strzelać do niewinnych istot i być dokładnie tym, kim on chce.

Jego małą, dobrze naoliwioną maszyną. Gotową zabijać, rznąć i żenić się na komendę.

Tego wieczoru Byron, Benedict i ja siedzieliśmy w stodole przed jednym z upolowanych lisów. Wokół unosił się zapach śmierci. Mój ojciec i Byron senior zabrali swoje cenne zdobycze do wypchania, ale jedną nam zostawili.

– Spalcie to, pobawcie się albo zostawcie na pastwę szczurów, wszystko mi jedno – rzucił mój ojciec, odwracając się z pogardą od martwego zwierzęcia.

To była samiczka.

Mała, niedożywiona, o matowym futrze.

I miała małe – poznałem to po wystających z podbrzusza wymionach. Nie mogłem przestać o nich myśleć. Zostały same, głodne i bezbronne w ciemnym, przepastnym lesie. Przed oczami stanął mi obraz ich matki, gdy mój ojciec kazał mi do niej strzelić. Władowałem jej kulkę między oczy, którymi wpatrywała się we mnie z mieszaniną przerażenia i szoku.

Odwróciłem wzrok, bo w tamtej chwili to ojca miałem ochotę zastrzelić.

Teraz siedzieliśmy we trzech z butelką bąbelków, rozmawiając o wydarzeniach wieczoru pod obstrzałem oskarżycielskich spojrzeń leżącej

w kącie lisicy. Benedict skołował od jednego ze służących parę skręcanych papierosów i teraz się na nie rzuciliśmy.

– Przestań już, ślub z naszą siostrą to nie koniec świata. – Byron roześmiał się jak czarny charakter z *Bonda*, stając butem na grzbiecie lisiczki.

– To jeszcze dziecko – warknąłem. Rozwalony na drewnianym stołku, czułem się jak połamany starzec.

– Nie będzie nim wiecznie. – Benedict trącił czubkiem buta brzuch zwierzęcia.

– Dla mnie zawsze nim będzie.

– Pomyśl o jej posagu – dodał Byron.

– Moja wolność nie ma ceny.

– Nikt z nas nie urodził się wolny! – ryknął Benedict, tupiąc nogą. – Jaki byłby sens życia, gdyby nie pogoń za władzą?

– Nie mam pojęcia o sensie życia, ale na pewno nie będę szedł za radą tłustego paniczyka, który musi płacić pokojówkom za macanko – warknąłem, szczerząc kły. – Sam sobie wybiorę żonę, i nie będzie nią wasza siostra.

Szczerze mówiąc, w ogóle nie chciałem się żenić. Po pierwsze, na bank byłbym fatalnym mężem. Leniwym, niewiernym i najprawdopodobniej durnym jak osioł. Ale chciałem zostawić sobie otwartą furtkę. Bo co, jeśli kiedyś naprawdę spotkam Christie Brinkley? Chajtnąłbym się z nią bez mrugnięcia okiem, gdybym dzięki temu mógł się dostać do jej majtek.

Byron i Benedict wymienili zdziwione spojrzenia. Wiedziałem, że to nie lojalność wobec siostry przez nich przemawia. Była w końcu tylko dziewczyną. A dziewczyny, jak wiadomo, nie są w naszej sferze tak pierwszoplanowe, tak ważne jak chłopcy. Nie zagwarantują ciągłości

nazwiska, a zatem traktuje się je jak dekorację, dodatek do świątecznej fotografii.

To samo tyczyło się mojej młodszej siostry, Cecylii. Ojciec na co dzień nawet nie zauważał jej istnienia. Gdy wysyłał ją do pokoju albo chował przed gośćmi za to, że jest rzekomo zbyt „pulchna” czy „nudna”, przemycałem jej ciastka, opowiadałem bajki na dobranoc i zabierałem na spacer do lasu.

– Zejdź na ziemię, Whitehall. A może uważasz, że nasza siostra nie jest dla ciebie dość dobra? – jęczał Byron.

– Tego nie powiedziałem, ale nie zamierzam z nią sypiać.

– A to czemu? – dopytywał. – Czego jej niby brakuje?

– Niczego. Wszystkiego. – Dźgałem czubkiem buta rozrzucone wokół siano. Zdążyłem się już trochę wstawić.

– Wolałbyś pocałować naszą siostrę czy tę lisicę? – Benedict nie odpuszczał, zapuszczając żurawia za moje plecy.

Spojrzałem nań z politowaniem.

– Ani jednej, ani drugiej, pasztecie.

– Musisz wybrać.

– Czyżby? – Czknąłem, podnosząc jakąś podkowę i ciskając nią w Benedicta. Z wiadomych względów przestrzeliłem o jakiś kilometr. – A niby czemu?

– T e m u – odpowiedział powoli Byron. – Jeśli pocałujesz tę lisicę, powiem ojcu, że jesteś gejem. I dadzą ci spokój.

– Gej – powtórzyłem tępo. – Mógłbym być gejem.

Ma się rozumieć, tylko oficjalnie. Bo za bardzo lubiłem kobiety. W każdym kształcie, kolorze, postaci i fryzurze.

Byron się roześmiał.

– Ładniutki już jesteś.

– Stereotypy – odparłem i od razu tego pożałowałem. W tym stanie nie miałem siły ani ochoty wyklądać tym dwóm matołkom słownikowych definicji.

– Liberał o czułym serduszku – zarechotał Byron, trącając łokciem brata.

– Może rzeczywiście jest gejem – zastanawiał się na głos Benedict.

– Niece. – Byron pokręcił głową. – Przeleciał już parę znajomych ptaszyn.

– To jak? Zrobisz to czy nie? – Benedict nie ustępował.

Zacząłem się zastanawiać nad tą propozycją. Takie numery były w ich stylu. Bracia Butchart słynęli z tkania misternych pajęczyn kłamstw, które wszyscy nieodmiennie łykali. Wiedziałem o tym, bo chodziliśmy razem do szkoły. A poza tym co znaczy jeden mały pocałunek w martwy lisi pysk wobec wieczności?

To była moja jedyna nadzieja. Gdybyśmy się wzięli z ojcem za łby, jeden z nas nie wyszedłby z tego żywy. I miałem przeczucie graniczące z pewnością, że tym kimś byłbym ja.

– Niech wam będzie. – Dźwignąłem się ze stołka i ruszyłem zygzakiem w stronę Frankenlisa.

Nachyliłem się i przycisnąłem usta do jego warg. Były lepkie, zimne i pachniały jak zużyta nić dentystyczna. W gardle poczułem gulę.

– Jezu, stary. On naprawdę to robi. – Benedict parsknął.

– Czemu nie mam kamerki? – jęknął Byron, trzymając się za brzuch i tarzając ze śmiechu na podłodze.

Odsunąłem się. Dzwoniło mi w uszach, a oczy zaszyły żółtawą mgłą. Nagle za moimi plecami rozległ się krzyk. Obróciłem się gwałtownie i kolana się pode mną ugięły. Lou. Stała w swojej różowej piżamie w otwartych podwójnych drzwiach stodoły. Trzęsa się jak osika, zasłaniając dłonią usta.

– Ty... ty... ty... z b o c z e ń c u! – pisnęła.

– Lou – bąknąłem. – Przepraszam.

I naprawdę było mi przykro – ale nie dlatego, że nie chciałem się z nią ożenić. Nie powinna się była dowiedzieć w ten sposób.

Benedict i Byron nadal tarzali się na sianie, szturchając jeden drugiego i rycząc ze śmiechu.

To była podpucha. Wiedzieli, że Lou stoi w drzwiach i wszystko słyszy. Nigdy nie wypłaczę się z tych zaręczyn.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła, zanosząc się płaczem.

Zwierzęcy ryk, który wydarł się z jej gardła, przypominał przedśmiertne rżenie lisiczki.

Zgiąłem się wpół, puściłem pawia i zwałem się w niestrawione resztki kolacji.

Poczułem, jak ogarnia mnie ciemność.

Pokornie się jej poddałem.

Nazajutrz rano ojciec podał mi szklaneczkę whiskey. Byliśmy w jego wielgaśnym, obitym dębową boazerią gabinecie zaopatrzonym w złoty wózek barowy i burgundowe kotary. Przed paroma minutami ojciec przysłał jednego z lokajów, który bez zbędnych wyjaśnień wziął mnie za bety i zaciągnął przed rodzicielskie oblicze.

– Masz. Na kaca.

Wskazał mi gestem stojący przed biurkiem fotel z garbowanej skóry. Posłusznie usiadłem ze szklaneczką w dłoni.

– Dajesz mi whiskey? – Powąchałem bursztynowy trunek z grymasem obrzydzenia.

– Klin klinem. – Rozsiadł się w swoim przepastnym fotelu obrotowym, wygładzając palcami wąsy. – To jedyna recepta.

Upiłem łyk, krzywiąc się, gdy alkohol zaczął mnie palić w przełyku. Miałem za sobą bezsenną noc na sianie w stodole. Raz po raz budziłem się zlany zimnym potem, śniąc o biegających za mną dzieciach o twarzy Louisy. Posmak lisiego pocałunku, który został mi na ustach, też nie pomagał, mówiąc oględnie.

W korytarzach Whitehall Court Castle unosił się zapach czarnej herbaty i świeżych bułeczek. Pora śniadaniowa jeszcze nie minęła. Ale podrażniony żołądek przypominał mi, że apetyt jest luksusem tych, na których nie spada jak grom z jasnego nieba wieść o niechcianym narzeczeństwie.

Dopiłem whiskey.

– Chciałeś mnie widzieć?

– Ja nigdy nie chcę cię widzieć. Niestety to skutek uboczny posiadania takiego syna. – Papa nie przebierał w słowach. – Dziś rano doszły mnie wysoce niepokojące wieści. Lady Louisa opowiedziała rodzicom o zajściach wczorajszego wieczora, a jej ojciec wszystko mi powtórzył – wyłożył spokojnie i powoli oskarżycielskim głosem mój wysoki, szczupły i jasnowłosy ojciec w nienagannie wyprasowanym garniturze, łaskawie dając mi sportową szansę, bym się wytłumaczył.

Obaj mieliśmy świadomość, że mnie szczerze nie znosi. I że z chęcią spłodziłby sobie innego dziedzica, gdyby prawo nie obligowało go do przekazania tytułu najstarszemu synowi, którym zawsze będę ja. Na jego gust byłem zbyt podobny do matki: taki sobie wydelikacowany mól książkowy. A na dodatek pozwoliłem zdominować się innym chłopcom i nakłonić do plugawego uczynku.

– Nie chcę się z nią żenić.

Czekałem na policzek i ostre cięgi, ale ku mojemu zdumieniu nie doczekałem się ani jednego, ani drugiego. Ojciec zaśmiał się tylko pod nosem i pokręcił głową.

– Rozumiem – odparł.

– Czyli nie muszę? – ożywiłem się.

– Och, ależ ożenisz się z nią. Twoje chęci nie mają tu nic do rzeczy. Ani zdanie, jeśli już o tym mowa. Małżeństwo z miłości jest dobre dla niedomytej tłuszczy, która musi stosować się do jakichś żalosnych zasad społecznych. Żona jest nie po to, by jej pożądać, Devonie, lecz by służyć mężowi, dać mu dzieci i ładnie wyglądać. Dobra rada: zatrzymaj pożądanie dla tych, których w każdej chwili można się pozbyć. To dużo mądrzejsze i uczciwsze. Plebejskie zasady nie obowiązują arystokracji.

Na te słowa momentalnie zaświerzbili mnie palce; miałem ochotę roztrzaskać mu ten zakuty łeb o ścianę, ale tylko zacisnąłem usta. Nie doczekawszy się odpowiedzi, po chwili milczenia przewrócił oczami i uniósł je błagalnie w niebo, jakby z nas dwóch to mnie brakowało rozsądku.

– Myślisz, że ja chciałem się żenić z twoją matką?

– Co jest z nią nie tak? – Mama była ładna i dość miła.

– A co jest tak? – Wyjął z pudełka cygaro i zapalił. – Gdyby zamiast trajkotać, uprawiała biegi, byłaby w olimpijskiej formie. A wracając do tematu, dostałem ją w pakiecie. Ja miałem tytuł, ona majątek. Sprawiedliwy układ, który się sprawdza.

Wpatrywałem się w dno pustej szklaneczki. To brzmiało jak tekst z najbardziej dołującej komedii romantycznej pod słońcem.

– Więcej kasy nam nie trzeba, a tytuł już mam.

– Nie chodzi tylko o pieniądze, idioto. – Walnął otwartą dłonią w biurko między nami. – Jedyńm, co dzieli nas od służącego nam plebsu, jest rodowód i władza! – ryknął.

– Władza deprawuje – odparłem sucho.

– Świat jest zdeprawowany. – Skrzywił się z odrazą. Dobrze wiedziałem, że balansuję na granicy „kozy”. – Usiłuję wyłożyć ci prostymi słowami, że

twoje zaręczyny z panną Butchart to kwestia niepodlegająca dyskusji. A poza tym przecież nie pobieracie się jutro.

– Święta racja. Ani jutro, ani nigdy – wyrzuciłem z siebie. – Nie ożenię się z nią. Mama na to nie pozwoli.

– Twoja matka nie ma tu nic do powiedzenia.

Jego lazururowe oczy pociemniały, przemieniając się w dwa lustrzane marmurki. Gdy zobaczyłem w nich swoje odbicie, wydało mi się, że widzę obcego człowieka. Małą, skurczoną postać. Nie chłopca, który puszczał się w dziki galop, smagany wiatrem. Który wkładał rozchichotanej pokojówce rękę pod spódnicę. Którego szybkość i zwinność przyprawiała o łzy najlepszych szermierzy Europy. Tamten chłopiec byłby zdolny przeszyć szpadą czarne serce swego ojca i zjeść je wciąż bijące. Ten chłopiec nie.

– Ożenisz się z nią i dasz mi wnuka, najlepiej mądrzejszego od siebie. – Dopalił cygaro i zgasił je w najbliższej popielniczce. – Koniec tematu. A teraz pójdziesz przeprosić Louise. Pobierzecie się, gdy tylko skończysz Oksford. I ani chwili później – albo pozbawię cię schedy, nazwiska i rodziny, która z niewiadomych powodów wciąż cię toleruje. Nie miej złudzeń, Devon, gdy każę twojej matce się ciebie wyrzec, wierz mi, że zrobi to bez mrugnięcia okiem. Czy wyrażam się jasno?

W tej właśnie chwili wreszcie do głosu doszła moja przebiegłość, oblewając mi skórę jak kwasem i każąc natychmiast wejść w rolę. Nie było sensu walczyć z ojcem. Nie miałem żadnej karty przetargowej. Mogłem dać się sprać, wyszydzić, zamknąć w windzie i torturować... albo usiąść przy pokerowym stole i nie pokazywać kart.

Spróbować zrobić to, w czym on i pan Butchart tak się lubowali: ograć system.

– Tak jest, sir.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

– Nakazuję ci poślubić Louise.

– Tak jest, sir.

– I natychmiast ją przeprosić.

– Oczywiście, sir. – Pogłębiłem ukłon z niedostrzegalnym uśmiechem.

– Oraz ją p o c a ł o w a ć. Masz jej pokazać, że ci się podoba. Tylko bez żadnych języczków i spółki. Tylko tak, by udowodnić, że jesteś człowiekiem honoru i dotrzymasz danego słowa.

Poczułem piekącą gulę w gardle.

– Pocałuję ją.

Ku mojemu zdumieniu kącik jego wygiętych w szyderczym uśmiešku ust tylko zadrżał. Zrobił jeszcze bardziej niezadowoloną minę.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

Mojego ojca cechowała niestety okropna mieszanka podłości i głupoty. Był bardziej porywczy niż rozsądny, co często skutkowało fatalnymi błędami w interesach. W domu rządził żelazną ręką, która nieraz lądowała na mojej twarzy. Sprawy biznesowe łatwo dało się naprawić – na co dzień był zbyt pijany, by zauważyć, że matka po cichu przejęła pieczę nad księgami – ale co do znęcania się nade mną... Dobrze wiedziała, że jeśli ośmieli się stanąć w mojej obronie, też zakosztuje jego pasa.

– Powiedzmy, że masz rację. – Rozsiadłem się wygodnie w fotelu, krzyżując nogi. – Co za różnica, z kim się ożenię, skoro na boku pobiję rekord Casanovy?

Zachichotał i oczy wreszcie mu pojaśniały. Oto coś dużo bardziej w jego guście: zepsuty, pozbawiony skrupułów syn łajdak.

– Przeleciałeś już coś?

– Tak, sir. Pierwszy raz rok temu.

Pogładził się kciukiem po podbródku.

– Ja straciłem dziewictwo jako dwunastolatek.

– Winszuję – odparłem. Choć na samą myśl o moim dwunastoletnim ojcu ładującym od tyłu jakąś babę miałem ochotę na pół wieku zwinąć się w kłębek na kozetce u psychiatry.

– Cóż. – Klepnął się w udo. – To do boju, młodzieńcze. Angielska arystokracja wymaga poświęceń. Musimy ją chronić za wszelką cenę.

– Zrobię, co do mnie należy, papo. – Wstałem z przebiegłym uśmiechem.

Tamtego dnia zostałem łajdakiem z krwi i kości, którego widzę dziś w lustrze.

Dotrzymałem słowa i przeprosiłem Louise, a nawet pocałowałem w policzek i powiedziałem, żeby wymazała tamto z pamięci. Że byłem pijany i zrobiłem głupstwo. Że z p e w n o ś c i ą się pobierzemy i nasz ślub będzie jak z bajki. W zestawie z arcybiskupem, dziewczynkami sypiącymi kwiatki i tortem wyższym od drapacza chmur.

Przez kolejną dekadę prowadziłem dobrze przemyślaną rozgrywkę.

Słałem jej prezenty urodzinowe, zasypywałem kartkami, spotykałem się z nią w ferie. Wsuwałem jej kwiatki we włosy i powtarzałem, że przelotne przygody nic dla mnie nie znaczą. Trzymałem ją w zawieszeniu, wpatrzoną we mnie jak w obrazek i snującą plany na wspólną przyszłość.

Udało mi się nawet przekonać rodziców do opłacenia mi studiów prawniczych na Harvardzie i przełożenia ślubu o parę lat, obiecując, że wrócę od razu po dyplomie, by pojąć Louise za żonę.

Ale prawda była taka, że po wyjeździe do Bostonu moja stopa nigdy więcej nie stanęła na angielskiej ziemi.

Ojciec już mnie nie zobaczył.

Zdrada idealna.

Korzystałem z jego majątku i znajomości, dopóki były mi potrzebne.

Dyplom prawa jednej z najbardziej prestiżowych uczelni świata zapewnił mi partnerstwo we wziętej bostońskiej kancelarii i krociowe zarobki. Trzy lata później zarabiałem już siedemset koła rocznie plus premie.

A dziś? Dziś mam miliony, których sam się dorobiłem.

I sam decyduję o swoim życiu. Z kim współpracuję, kogo bzykam i dymam.

A jedyna winda kuchenna istnieje tylko w mojej głowie.

Nadal pobrzmiwa w niej echo głosów przeszłości, które wiecznie mi przypominają, że miłość to nędzny wymysł klasy średniej.

1

Belle

Teraźniejszość

– **MALFORMACJA MACICY** – powtórzyłam tępo, gapiąc się na doktora Bjorna.

W swojej krwistoczerwonej, obcisłej skórzanej spódnicy, białym crop-topie i sandałkach od Prady na niebotycznym koturnie nagle poczułam się jak przebieraniec. Byłam wcieleniem kobiecości – z jednym maleńkim wyjątkiem: jak się okazuje, nie mogłam mieć dzieci.

– Tak to wygląda na USG. – Mój ginekolog spojrzał na mnie z grymasem współczucia zmieszanego ze skrępowaniem. – Ale dla pewności zrobimy jeszcze rezonans.

Ciekawe, że pierwszym, o czym pomyślałam, nie były implikacje tej diagnozy, tylko wyjątkowo gęste owłosienie mojego lekarza prowadzącego.

Ten szpakowaty sześćdziesięciolatek przypominał szpica miniaturowego (minus parę poziomów słodkości), od krzaczastych brwi po iście lwią grzywę i delikatny meszek na palcach. Spod zielonego fartucha na piersi wystawały kędziorki, jakby chował pod nim małego włochatego zwierza.

– Proszę mi jeszcze raz wyjaśnić, na czym polega ta malformacja. – Objęłam dłońmi kolano, wyginając w uśmiechu lśniące od błyszczyka usta.

Wyprostował się w krześle, odchrząkując.

– Występuje u pani macica podzielona z przegrodą częściową, czyli najpowszechniejsza postać malformacji. To wbrew pozorom dobra wiadomość. Przypadłość ta jest gruntownie zbadana i istnieje wiele metod leczenia. Mówiąc obrazowo, jama macicy jest częściowo podzielona przegrodą z tkanki mięśniowej, co stwarza ryzyko bezpłodności, nawracających poronień i przedwczesnego porodu. Proszę spojrzeć.

Przyłożył wskaźnik do leżącego między nami zdjęcia USG, ale nie byłam w nastroju nawiązywać kontaktu wzrokowego z moją żalną karykaturą macicy, więc odwróciłam oczy.

– Bepłodność? – Nie miałam w zwyczaju powtarzać za kimś jak papuga, ale... Do diabła, b e z p ł o d n o ś ć?! Przecież ledwie stuknęła mi trzydziestka. Miałam mieć jeszcze co najmniej pięć lat popełniania pięknych, szalonych błędów z przypadkowymi facetami, zanim przyjdzie pora pomyśleć o dzieciach.

– Zgadza się. – Doktor Bjorn skinął głową, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia z powodu mojej beznamietnej reakcji. Nie wiedział, że emocje się mnie nie imają? – A w połączeniu z PCOS to może być problem. Należałoby przeanalizować opcje...

– Chwila moment. – Uniosłam rękę, machając mu przed nosem swoim świeżutkim „frenczem”. – PC... co?

– PCOS. Zespół policystycznych jajników. Widzę w karcie, że został u pani zdiagnozowany w wieku piętnastu lat.

No tak. Pamiętam tamten szpitalny pobyt jak przez mgłę.

– Zgaduję, że to też nic dobrego – stwierdziłam sucho.

Przesunął kciukiem po ekranie telefonu – dla mnie życiowa tragedia, dla niego kolejna środa.

– Może prowadzić do nowych problemów z płodnością.

Super. Przy mojej macicy Monica z *Przyjaciół* może się schować. Nabrawszy ochoty na zaczepkę, oczywiście zwróciłam ostrze swego gniewu na Bogu ducha winnego lekarza.

– Co to w ogóle znaczy? – burknęłam. – Czy malformacja macicy nie rozwija się przypadkiem w trakcie ciąży?

Posławszy mi kolejny przepaszający uśmiech, doktor spojrzął na monitor przed sobą i zmarszczył krzaczaste brwi, które wyglądały, jakby przybiły sobie piątkę.

Klikając myszką, zaczął przeglądać moją dokumentację medyczną. Głupia myszka i jej jeszcze głupsze klik-klik.

– W karcie jest informacja, że jako piętnastolatka przeszła pani poronienie samoistne.

P o r o n i e n i e s a m o i s t n e.

Brzmi jak spontaniczny wypad na kawę z przyjaciółką.

Doktor Bjorn był tak czerwony ze wstydu, że się dziwiłam, że jeszcze nie wykopał w dywanie dziury i się w niej nie schował. W jego oczach wyczytałam tylko jedno pytanie: „Czy to prawda?”. Ale nie musiał pytać – znał odpowiedź.

– Ups. – Uśmiechnęłam się ponuro. – Zgadza się. Wypadło mi z głowy. To był szalony rok.

Doktor Bjorn pogłaskał się po owłosionej ręce.

– Wiem, że to duży szok...

Parsknęłam chrapliwym śmiechem.

– Doktorze, błagam... Proszę mi oszczędzić zapewnień o otoczeniu mnie troskliwą opieką rodem z broszurki reklamowej. Przejdźmy do rzeczy. Jakie mam opcje?

– Jest ich wiele – podchwycił ożywiony, jakby mu ulżyło, że przeszliśmy do konkretów. Faktów, potencjalnych rozwiązań, metod leczenia. – Istnieją sposoby na stopniowe zwiększenie płodności. Naturalnie jeśli planuje pani macierzyństwo.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć „nie”, bo niezbyt kręciła mnie perspektywa zmieniania pieluch i zachwycania się dziecięcymi rysunkami. Że macierzyństwo ubezwłasnowolnia kobiety w naszym patriarchalnym społeczeństwie. Do pewnego stopnia nawet wierzyłam w tę postfeministyczną ideologię. W końcu byłam niezależną bizneswoman, której ambicją życiową jest wkurzanie ludzi. Szybciej bym roztrzaskała słoik ogórków o podłogę, niż poprosiła faceta, by mi go otworzył.

Ale słowa jakoś nie mogły przejść mi przez gardło.

Bo prawda była taka, że chciałam być matką. Pragnęłam tego każdą komórką ciała.

Nie było w tym ani krzty wyrafinowania czy wyzwolenia, ale fakt pozostawał faktem. I dlatego parę tygodni temu umówiłam się u doktora Bjorna na „przeгляд” narządów rozrodczych, by były gotowe do działania, gdy przyjdzie pora. Ale, jak widać, nie były.

– Chyba tak. – Wzruszyłam ramionami z udawaną obojętnością.

Doktor przekrzywił głowę i zmarszczył brwi. Ewidentnie usiłował mnie rozgryźć, jakby chciał wcisnąć odpornej klientce panele słoneczne. „Nie leży pani na sercu stan środowiska naturalnego?”

– Zatem pierwszym krokiem byłoby zamrożenie komórek jajowych.

Posłałam mu słodki uśmiech zniecierpliwienia.

– Czy w przyszłości planuje pani donosić ciążę? – zapytał.

– A co, mogę darować sobie trzeci trymestr? – odpowiedziałam z ziewnięciem, oglądając sobie paznokcie. – Bo myślałam, że dzieci rodzą się po dziewięciu miesiącach.

– Chodzi mi o to, że należałoby wziąć pod uwagę kwestię wieku. Z każdym kolejnym rokiem rośnie ryzyko poronienia i przedwczesnego porodu.

– Do czego konkretnie pan zmierza? – dopytywałam.

– Być może dobrym wyjściem byłaby w tym wypadku surogatka. Oczywiście najlepiej postarać się o dziecko jak najszybciej, ale nie chcę popędzać, jeśli nie jest pani gotowa.

Trochę na to za późno, kochaniutki. Jeszcze przed chwilą myślałam, że nie muszę się z niczym spieszyć, a tu nagle to jego „teraz albo nigdy”. Cholera, planowałam pohasać te pięć lat i dopiero wtedy udać się do drogiego jak sto pięćdziesiąt banku spermy w poszukiwaniu dawcy idealnego, urodzić parę dzieciaków i stworzyć swoją małą rodzinę.

– Mam czas w przyszłym miesiącu, może wtedy? – wyrwało mi się. – Spróbuję przełożyć depilację na inny termin.

– Panno Penrose – fuknął doktor, wstając i podając mi szklankę wody. Wypiłam ją duszkiem. – Wiem, że nie to chciała pani usłyszeć. Ale tu nie musi pani udawać dzielnej, naprawdę.

Wolne żarty. Łamanie się było przywilejem innych, nie moim. Ja byłam zaprogramowana na twardą laskę, bo życie nieraz rzucało mi kłody pod nogi. Przeskakiwałam je lekko i z uśmiechem na twarzy niczym postać z kreskówki.

Podniosłam z podłogi swoją torbę od Chanel.

– Skoro muszę zająć w ciążę w tym roku, to zajądę. Brak partnera? Żaden problem. Znajdę dawcę spermy. Podobno są wysocy, inteligentni i dobrzy z matmy. Czegóż chcieć więcej od przyszłego tatusia? – zaśmiałam się metalicznie, wstając. Wstrząśnięty pan doktor przyrósł do krzesła i gapił się na mnie z niedowierzaniem.

Tak, wiem. Zimna ryba bez serca. I jak się okazuje, technicznie bez łona.

– Może jeszcze to pani przemyśli? – poprosił.

– Nie ma czego przemyślać. Czas działa na moją niekorzyść. Załatwię sobie dawcę spermy i po sprawie.

Poza tym surogatka to droga impreza, a ja nie miałam takiej kasy. No i chciałam jak najszybciej dołączyć do grona dzieciatych przyjaciółek, które ostatnimi laty produkowały potomstwo jedna za drugą, obnosząc się ze swoimi pięknymi, zaokrąglonymi brzuskami, zachciankami i obsesją na punkcie urządzania pokoju dziecięcego. Ach, to odwieczne pytanie: pastelowa farba czy tapeta?

Ja też tak chciałam.

Chciałam całego pakietu drobnych, przyziemnych rzeczy.

Z wyjątkiem jednej: m ęż a.

Zamążpójścia w moich planach nie było.

Mężczyźni byli zmienni, niegodni zaufania, a nade wszystko... niebezpieczni.

– Cóż, w takim razie... – Doktor Bjorn podał mi rękę na pożegnanie. – Przepiszę pani klomifen pięćdziesiąt miligramów. Do przyjmowania począwszy od drugiego dnia cyklu menstruacyjnego miesiąca, w którym zdecyduje się pani zająć w ciążę. Jedna tabletkę dziennie, o tej samej godzinie, przez pięć dni. Proszę pić dużo płynów, bacznie śledzić cykl i zaprzyjaźnić się z testami owulacyjnymi. Proszę dać mi znać, gdy już znajdzie pani idealnego dawcę; dla pewności chciałbym przejrzeć jego dokumentację medyczną.

– Znakomicie! – Odwróciłam się z gracją i uciekłam, zanim zdążył dobić mnie kolejną dołującą diagnozą.

Pomachałam recepcjonistce i wyszłam na autopilocie z budynku. A więc tak wyglądają „doznania pozacielesne”.

Ruszyłam do swojego sportowego bmw, gdy w torebce zadzwonił telefon. Siostra.

– Cześć, Pers – zaświergotałam z udawaną beztroską. Od lat byłam w tym mistrzynią.

– Hej, Belle. Gdzie cię złapałam?

– Właśnie wyszłam od ginekologa.

– Nie ma to jak pokazywać swoje miejsca intymne obcemu facetowi ze szkłem powiększającym. – Westchnęła tęsknie. Kurczę, ona i jej mąż Cillian to dopiero para zбочuchów. – Tam na dole wszystko gra?

W tle rozległ się głos mojego siostrzeńca Astora imitujący potężny wybuch. Uwielbiał zabawy w eksplozje z klockami Lego. Ten dzieciak na stówę wyrośnie na tyrana i trzymałam za niego kciuki. Ciocia potrzebowała nowych tekstów na podryw, a siostrzeniec dyktator będzie ich prawdziwą kopalnią.

– Jak na kogoś tak przepracowanego i niedocenianego moja wagina jest w idealnej formie. – Nie zatrzymując się, zsunęłam na nos okulary przeciwsłoneczne. – Czegoś ci trzeba?

Rozmawiałyśmy przynajmniej cztery razy dziennie, ale zwykle nie pytała, gdzie jestem. Może chce, żebym poniańczyła Astora. Teraz, gdy urodziła Quinna – najprzystojniejszego małego mężczyznę na planecie Ziemia – często potrzebowała pomocnej ręki.

– Nie. Mama przychodzi zająć się dzieciarnią. Cillian zabiera mnie na randkę. Pierwszą od narodzin Quinna. Po prostu nasza nagła potrzeba, żeby do ciebie przekręcić. Jakieś dziwne przecucie, nie mam pojęcia, skąd się wzięło – tłumaczyła moja kochana, obdarzona szóstym zmysłem siostrzyczka.

Persephone „Persy” Fitzpatrick była moim totalnym przeciwieństwem: romantyczna, opiekuńcza i grzeczna jak pensjonarka.

A, i była żoną najbogatszego człowieka w kraju. Szczegół.

Przystanęłam, opierając się dłonią o ceglany mur. Przedemną rozciągała się Salem Street w całej swojej letniej okazałości, upstrzona piekarniami, kolorowymi kafejkami i kwiatami wylewającymi się z wiszących koszyków.

– Nie, Pers, przecucie cię nie myliło. Musiałam usłyszeć twój głos.

W słuchawce zapadła napięta cisza.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Belle? Cokolwiek? – zapytała wreszcie, nie doczekawszy się ciągu dalszego.

Urodzisz za mnie dziecko?

Naprawisz mi macicę?

Wymażesz moją przeszłość, która tak doszczętnie mnie zwichnęła, że nie jestem w stanie nikomu i niczemu zaufać?

– Wystarczy mi, że usłyszałam twój głos. – Uśmiechnęłam się.

– Kocham cię, Belle.

– A ja ciebie, Pers.

Wrzuciłam telefon z powrotem do torby z nonszalanckim uśmiechem jak gdyby nigdy nic.

I nagle... nagle poczułam, że po moich policzkach spływa niepowstrzymany potok łez.

Czy rozryczałam się na środku zatłoczonej ulicy? A jakże.

A raczej: wybuchnęłam spazmatycznym płaczem, łapiąc powietrze jak wyjęta z wody ryba. Zalewałam się gorzkimi, gorącymi łzami złości i żalu nad sobą. To takie niesprawiedliwe. Czemu właśnie mnie to spotkało? Przecież nie jestem złym człowiekiem.

Nie chwaląc się, bliżej mi do anioła.

Wspierałam fundacje charytatywne, niańczyłam dzieci przyjaciółek i zawsze kupowałam od skautek ciasteczka. Nawet te cytrynowe, które, umówmy się, były tak ohydne, że powinno się ich zakazać we wszystkich pięćdziesięciu stanach.

Czemu to ja mam problemy z zajściem w ciążę, podczas gdy wszystkie wokół rodziły jak na zawołanie?

Przybita, zestresowana i zagubiona, powlekłam się prosto do „świątyni”.

Nie, nie do kościoła. Do knajpki o nazwie Temple Bar.

Upijanie się w trupa w środku dnia może nie było najlepszym pomysłem, ale uznałam, że przynajmniej się znieczulę. Plus przed wieczorną imprezką przydałby się mały biforek. A dziś potrzebowałam bibki jak kania deszczu.

Pchnęłam drzwi, pomaszerowałam prosto do baru i zamówiłam najmocniejszy podwójny drink w karcie.

– After Shock i kieliszek wina, już się robi. – Barman zasalutował, zarzucając sobie na ramię ściereczkę do polerowania i wyjmując ze zmywarki zaparowany kieliszek.

Opadłam na stołek, masując sobie skronie i próbując zebrać wszystko do kupy. Cięża teraz albo praktycznie nigdy.

Drewniane zielone boksy Temple pękały w szwach od turystów i miejscowych japiszonów pochylonych nad guinnessem, *coddles* i gulaszem.

Z głośników płynęły żwawe, wesołe dźwięki irlandzkich przyśpiewek. Czy naprawdę nikt nie widzi, jak cierpię?

Ze swoimi wysokimi, zdobionymi sufitami i zaplamionymi ścianami, lokal wyglądał jak rasowy irlandzki pub.

Zanim zdążyłam znów zalać się łzami, zmaterializował się barman, który przyniósł moje drinki. Nie płakałam, odkąd skończyłam pięć czy sześć lat, i nie zamierzałam pozwolić, żeby weszło mi to w nawyk teraz, gdy zostałam postawiona pod ścianą przez lekarzy i moja sytuacja finansowa była niepewna.

Jednym haustem wychyliłam After Shocka, walnęłam osuszoną szklaneczką o bar i zabrałam się do wina.

Nagle kątem oka zauważyłam jakiegoś wysokiego śniadego przystojniaka. Oparty łokciem o bar, odwrócił się do mnie.

– Emmabelle Penrose, prawda?

– Facet w średnim wieku, który powinien wiedzieć, że nie zaczepia się ludzi próbujących się upić, prawda? – odburknęłam, gotowa na następną kolejkę.

Zachichotał.

– Ostra, tak myślałem. Chciałem tylko wyrazić uznanie dla pani modelu biznesowego. Oraz tyłeczka. Oba wyglądają rewelacyjnie na billboardach pod moją kamienicą. – Nachylił się, by szepnąć mi do uszka.

Momentalnie przekręciłam się na stołku, złapałam go za nadgarstek i błyskawicznie wykręciłam mu rękę. Jęknął z bólu, zaciskając powieki.

– Co, do...

Moja kolej, by szepnąć mu coś na uszko.

– To, że chcę się w spokoju napić. Czy proszę o zbyt wiele? To, że jestem właścicielką klubu z burleską, nie daje nikomu prawa do molestowania mnie. Gdybyś był dentystą, ja nie rozsiadłabym się przed tobą na stoliku, żądając wstawienia plomb. A teraz spływaj.

Odepchnęłam go. Zatoczył się wzdłuż baru na swój stół, rzucając po drodze kurwami, po czym chwycił płaszcz i wypadł jak burza z lokalu.

– Wow. Czyżby twój dzień był równie fatalny jak jutrzejszy kac? – Barman uśmiechnął się do mnie szelmowsko. Na oko dwudziestoparoletni rudzielec z wytatuowaną na przedramieniu koniczynką.

– Gorszy niż najpodlejsze upojenie alkoholowe w historii świata. – Walnęłam pustym kieliszkiem o bar. – Wierz mi.

– Absolutnie jej nie wierz. Skacze z kwiatka na kwiatek. – Głos z brytyjskim akcentem zarechotał trzy stołki dalej. Wytworna sylwetka jego właściciela tonęła w mroku baru. Ale nie musiałam mrużyć oczu, by wiedzieć, kto to.

Tylko jeden mężczyzna w Bostonie brzmiał jak władza, dym i nadciągający orgazm.

Poznajcie Devona Whitehalla.

Zwanego również Dziadem, Dla Którego Złamałam Surową Zasadę Jednej Nocy.

Zanim oprzytomniałam i go spławiłam, zdążyliśmy zaliczyć trzy numerki. Od chwili, gdy trzy lata temu przespaliśmy się ze sobą w leśnej chatce mojego szwagra Cilliana, wiedziałam, że Devon Whitehall jest inny od wszystkich.

Na tle grupy wyróżniał się jako typ łagodnego, acz niebezpiecznego inteligenta. Arogancki manipulant i klasa sama w sobie.

U reszty facetów z jego otoczenia widoczne były rażące braki: Cillian, mój szwagier, był zimną rybą w garniaku; Hunter, mąż mojej najlepszej przyjaciółki – niewybrednym żartownisiem z długim językiem; a Sam, mąż Aisling... Cóż, s e r y j n y m z a b ó j c ą. Ale przy Devonie Whitehallu nie zapalały się żadne czerwone lampki. Nie był skrzywdzonym przez los młodym gniewnym. Przynajmniej na zewnątrz. Mimo to on też miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że chciałaś spalić się niczym meteor, po którym zostaje kupka popiołu.

Był spełnieniem pragnień każdej kobiety w idealnym opakowaniu: boskie ciało, w tym muskuły Mojżesza dłuta Michała Anioła, na których widok moje IQ niezmiennie spadało do temperatury pokojowej.

Po trzecim numerku musiałam to przerwać, gdyż nie jestem idiotką. Zawsze mawiałam, że tam, gdzie wola, tam i sposób. Ale Devon sprawiał wrażenie kogoś, w kim mogłabym się niestety zakochać.

Tamtej nocy po zwierzęcym seksie zrobił coś niewyobrażalnego: przekręcił się na drugi bok i zasnął.

– Eee... Co ty wyprawiasz? – zapytałam oburzona.

Co dalej? Kolacyjki? Bliźniacze bluzy z Myszką Miki i Minnie? Maraton *Schitt's Creek*?

– Śpię – odparł cierpliwym, rzeczowym tonem spod znaku „całe życie z idiotami”, otwierając te swoje srebrzystobłękitne niczym topniejący lód oczy. Gdy na jego ustach zatańczył szelmowski uśmiezek, usiadłam w łóżku, piorunując go wzrokiem.

– To idź spać do siebie, stary.

– Jest trzecia w nocy, a z samego rana mam rozprawę. I błagam, ukróć tego „starego”. Nadużywanie pospolitych określeń świadczy o ubogim słownictwie.

– Fascynujące, stary. Mógłbyś mi to przełożyć z angielskiego na nasze? – zakpiłam. – Zresztą nieważne, po prostu idź już sobie – dodałam, bo byłam naprawdę zmęczona.

– Żarty sobie robisz? – zapytał z kamienną twarzą, jakby się z nią urodził.

– W o n.

Pomaszerowałam do drzwi i wyrzuciłam jego ciuchy. Powłókł się półprzytomny na korytarz, by je pozbierać.

Szczerze mówiąc, nie było to z mojej strony najszlachetniejsze zagranie, ale paraliżował mnie strach przed zaangażowaniem się.

A teraz stał przede mną z rękami w kieszeniach, wysoki, przystojny jak diabli i do schrupania. Kątem oka widziałam nawet jego rzeźbioną kwadratową szczękę.

– Nazywanie kogoś niegodnym zaufania to zniesławienie, Panie Wielki Prawniku. – Wydęłam usta, wchodząc w buty herod-baby. Nie byłam w nastroju na zwyczajowe subtelności.

– Nie zniesławienie, a pomówienie, technicznie rzecz ujmując. Zniesławienie jest pisemne. Mogę ci to przesłać, jeśli chcesz. – Odwrócił się do kelnera, rzucając na bar czarną kartę American Express. – Stinger dla mnie i Tom Collins dla młodej damy.

– Ju... już się robi, wasza wysokość – wyjąkał barman. – To znaczy sir. To znaczy... eee... Jak należy się do pana zwracać?

Devon uniósł brew.

– Najlepiej nijak. Masz serwować alko, a nie wysłuchiwać historii mojego życia.

To usłyszawszy, barman zmył się, by zrobić nam drinki.

– Nie widzę tu żadnej damy – mruknęłam w swoje chardonnay.

– Jest tu jedna, i to całkiem autentyczna – wypalił z kamienną twarzą.

Jedną z zalet Devona Whitehalla (a niestety miał ich wiele) było to, że nigdy nie brał się na poważnie. Po tym, jak haniebnie wyrzuciłam go ze swego łóża, przestał dzwonić. Ale gdy znów się spotkaliśmy na świątecznym przyjęciu, uścisnął mnie serdecznie, pytając, co słyhać, i nawet wyraził zainteresowanie inwestycją w mój klub.

Zachowywał się, jakby nic między nami nie zaszło. I pewnie dla niego tak było. Nie miałam pojęcia, dlaczego jeszcze się nie ożenił, ale podejrzewałam, że cierpi na tę samą związkofobię, co ja. Przez wszystkie te

lata widywałam go co rusz z nową kobietą, a każda była długonoga, modnie ubrana i miała dyplom z trudnego do wymówienia kierunku.

Oraz termin przydatności do spożycia jak awokado.

Devon nigdy nie próbował odświeżyć naszej znajomości, ale nadal miał do mnie pewien sentyment jak do ulubionego kocyka z dzieciństwa, z którym kiedyś się nie rozstawał, ale którego w dorosłym życiu wstydził. Ostatnio więc czułam się w jego towarzystwie boleśnie aseksualna.

– Skąd te muchy w nosie? – zapytał, przeczesując swoją gęstą, złocistopłową czuprynę.

Pospiesznie otarłam oczy.

– Zostaw mnie w spokoju, Whitehall.

– Moja droga, szanse na przegonienie Anglika z baru w piątkowe popołudnie są bliskie zeru. Jakies inne życzenia?

Jego nonszalancko-dobrotliwy ton przyprawiał mnie o nudności. Nikt nie powinien być aż takim ideałem.

– Sczeźnij w piekle. – Przycisnęłam czoło do chłodnego baru.

Dlaczego nie ugryzłam się w język? Przecież z jego strony doświadczyłam tylko stymulujących rozmów, komplementów i orgazmów. Ale dziś byłam w rozsypce.

Przesiadł się na stołek obok i przekręcił nadgarstek, zerkając na swojego rolexa. Wiedziałam, że nie odpowie. Czasami traktował mnie jak ośmioletnie dziecko.

Pojawiły się nasze drinki. Podsunął mi Toma Collinsa, bez słowa oddając barmanowi moje niedopite chardonnay.

– Masz, dobrze ci zrobi. A potem gorzej. Ale ponieważ nie będę świadkiem skutków... – Wzruszył ramionami.

Upiłam łyk i pokręciłam głową.

– Nie jestem w towarzyskim nastroju. Już bardziej by cię rozerwała rozmowa z barmanem czy turystą.

– Moja droga, przykładem dobrego wychowania to ty nie jesteś, ale i tak bawię się przy tobie lepiej niż z kimkolwiek innym na tej szerokości geograficznej. – Ścisnął mi przelotnie, acz ciepło dłoń.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? – zapytałam.

– A czemu miałbym nie być? – Znów ten nieznośnie swobodny ton.

– Bo w przeszłości podle cię potraktowałam.

Przypomniałam sobie tamtą noc, kiedy wyrzuciłam go z mieszkania, spanikowana, że znajdzie szczelinę w moim sercu i wślizgnie się do środka. Jego dzisiejsza nonszalancja i rzeczowość dowodziły tylko zawiedzionych nadziei.

– Inaczej zapamiętałam naszą krótką, acz porywającą przygodę. – Upił swojego Stingera.

– Wyrzuciłam cię.

– Bywało gorzej. – Machnął lekceważąco ręką. Miał ładne dłonie. W s z y s t k o miał ładne. – Po co brać to do serca.

– A co bierzesz sobie do serca?

– Niewiele, szczerze mówiąc. – Zmarszczył brwi, mocno się zastanawiając. – Może opodatkowanie przedsiębiorstw? Bo zasadniczo to podwójna stawka. Rozbój w biały dzień, sama przyznasz.

Zamrugałam w zwolnionym tempie, zaskoczona, że w tym oto ideale, w który wszyscy byli wpatrzeni, pojawiła się nagle rysa niedoskonałości. Czyżby pod warstwą gładkiego marmuru dobrego wychowania kryła się dogłębnie złożona postać?

– Przejmujesz się podatkami, a nie upokorzeniem, które ci zaserwowałam? – dopytywałam prowokująco.

– Emmabelle, moja droga. – Posłał mi uśmiech, który rozpuściłby najbardziej lodowate serce. – Upokorzenie jest emocją. By się im poddać, najpierw trzeba je odczuwać. Nigdy mnie nie upokorzyłaś. Czy byłem rozczarowany, że nasz romans tak szybko dobiegł końca? Owszem. Ale miałaś pełne prawo w każdej chwili go zakończyć. A teraz mów, co się stało – pociągnął mnie za język.

Jego akcent zdawał się bezpośrednio łączyć z narządem między moimi nogami. Brzmiał jak Benedict Cumberbatch czytający erotycznego audiobooka.

– Nie.

Przyglądał mi się chłodno, czekając. Irytujące. Był taki pewny siebie i oszczędny w słowach, ale zawsze potrafił w nich wyrazić to, co chciał.

– Czego ode mnie chcesz? Ledwie się znamy – odparłam, siląc się na rzeczowy ton.

– Pozwolisz, że się nie zgodzę. – Ściągnął zgrabnie językiem dekoracyjną miętę ze swojej szklaneczki. Listek zniknął w jego ustach. – Znam każdy centymetr twojego ciała, każdą krągłość.

– Znasz mnie tylko w sensie biblijnym.

– Uwielbiam Biblię. Całkiem niezła lektura, nie sądzisz? Mnóstwo akcji, na przykład we fragmencie o Sodomie i Gomorze.

– Wolę fikcję literacką.

– Jak większość czytelników. W powieściach postacie dostają to, na co zasługują. – Zdusił uśmiech. – Ale też większość uznałaby Biblię właśnie za fikcję literacką.

– Myślisz, że w prawdziwym życiu ludzie dostają to, na co zasługują? – zapytałam posepnie, myśląc o diagnozie doktora Bjorna.

Potań palcem podbródek, marszcząc brwi.

– Nie zawsze.

Ten czterdziestojednoletni mężczyzna sprawiał wrażenie dużo starszego ode mnie, dużo bardziej doświadczonego. Zwykle leciałam na facetów, którzy byli jego przeciwieństwem. Młodych, nieustatkowanych lekkoduchów. Takich, którzy nie zagrzeją długo miejsca i nie oczekują tego ode mnie.

J e d n o r a z o w y c h.

Od Devona zaś bił wrodzony autorytet człowieka, który zawsze stawia na swoim, iście królewska aura.

– Czemu ja się w ogóle z tobą przespałam? – wypaliłam, bo chyba nie miałam na kim się wyżyć.

Powędrował opuszką palca po brzegu szklaneczki.

– Bo jestem przystojny, bogaty, rewelacyjny w łóżku i nigdy bym cię nie zaobrączkował. A właśnie takiego szukasz.

Nie zdziwiło mnie, że przejrzał mój strach przed zaangażowaniem, zwłaszcza że rozstaliśmy się, jak się rozstaliśmy.

– Zapomniałeś dodać: arogancki, dużo starszy i stanowiący archetyp przyjaciela domu dziwaka. – Zrobiłam znak krzyża, jakbym próbowała odpędzić wampira.

Devon Whitehall był najlepszym przyjacielem i prawnikiem mojego szwagra, Cilliana. Co najmniej trzy razy w roku widywaliśmy się na różnych imprezach rodzinnych.

– Nie jestem psychologiem, ale jeśli coś załatuje kompleksem tatusia... – Gdy upił kolejny łyk koniaku, między jego miękkimi wargami prześlizgnęła się kostka lodu – z uśmiechem rozgryzł ją swoimi idealnie prostymi, śnieżnobiałymi zębami.

– Nie mam kompleksu tatusia – zaperzyłam się.

– Jasne. Ja też nie. A teraz mów, czemu płakałaś.

– Co cię to obchodzi? – jęknęłam.

– Jesteś szwagierką Cilliana, a on jest mi jak brat.

– Jeśli chcesz mi teraz udowodniać jakieś luźne powiązania, to zaraz puszczę pawia.

– Po tylu drinkach wieczorem i tak cię to czeka. No więc?

Nie odpuści, co?

– Ani myślę, Whitehall.

– Czemu? Pokazałem ci mojego dwudziestocentymetrowego smoka, możesz mi zaufać.

Dwadzieścia centymetrów? Serio? Nic dziwnego, że nasze łożkowe igraszki wciąż śniły mi się po nocach.

– Nie powiem i koniec.

– Niech ci będzie. – Przechylił się przez bar, sięgając po butelkę koniaku i dwa kieliszki. – Sam się dowiem.

Devon

Godzinę wcześniej

SIEDZIAŁEM W SALI KONFERENCYJNEJ Whitehall & Baker Legal LLP, dyskutując na swój ulubiony temat, czyli prowizji (na drugim i trzecim miejscu z niewielką stratą do lidera plasowały się cipki i poker), gdy nagle mój świat eksplodował i rozpadł się na miliard kawałeczków.

– Panie Whitehall...?

Do sali wpadła moja osobista asystentka Joanne, z przekrzywionymi okularami i fryzurą w nieładzie. Wyciągnąłem szyję, zapuszczając żurawia nad głowami Cilliana, Huntera i reszty rady nadzorczej Royal Pipelines.

– Jak widzisz, Jo, jestem na spotkaniu. – Amerykanie słyną z nieokrzesania i melodramatyzmu, ale to już przesada.

– To pilne, sir. Sytuacja awaryjna.

Oczywisty absurd. Awarie przydarzały się tym, którzy mieli coś do stracenia. A ja miałem tylko kilkoro bliskich i garstkę przyjaciół, z których większość siedziała ze mną w tej sali. I szczerze mówiąc, za żadnego nie dałbym sobie ręki uciąć.

Odchyliłem się w fotelu, rzucając pióro na biurko.

– Mianowicie?

Zdyszana Joanne położyła sobie rękę na piersi, kręcąc głową.

– Sprawa osobista.

– A konkretniej?

- Rodzinna.
- Nie mam rodziny. Spróbuj jeszcze raz.
- Z całym szacunkiem, pańska matka jest innego zdania.

M a m a?

Rozmawialiśmy ze sobą dwa razy w tygodniu, we wtorki i soboty rano. Połączenia ustawiały w grafikach nasze asystentki i z reguły się tego trzymaliśmy, więc to nagłe odstępstwo wzbudziło moje zainteresowanie.

Siedzący po obu moich stronach Cillian i Hunter rzucili mi ciekawskie spojrzenia. Zawsze milczałem jak zaklęty na temat swojego życia rodzinnego, częściowo dlatego, że przypominało istny cyrk. Nie żeby Fitzpatrickowie sami tworzyli stadło idealne, ale prywatność była dla mnie bardzo ważna.

– Powiedz jej, że oddzwonię. – Wbiłem w Cilliana spojrzenie pod tytułem „kontynuuj”.

Joanne nie ruszyła się spod drzwi.

– Proszę wybaczyć, ale chyba mnie pan nie zrozumiał. Pan musi odebrać ten telefon.

Hunter strzelił głośno szyją, rozluźniając kark.

– Po prostu odbierz ten cholerny telefon i załatw to. Nie mamy całego dnia.

– Nie mamy całego dnia? – powtórzyłem z niedowierzaniem. Facet miał tyle do roboty, co hiena cmentarna w krematorium. – Możesz zwalić konia w toalecie. Przy gabinecie mam prywatną. – Rzuciłem mu klucz. Ten gówniarz był ładniutki jak bohater akcyjniaków Marvela i mógł pochwalić się intelektem podartego plakatu filmowego. Choć trzeba przyznać, że małżeństwo mu służyło. Nie oddałbym mu co prawda kontroli nad elektrownią jądrową, ale i tak się poprawił.

– Ha. – Odrzucił mi klucz. – Idź załatw swoje sprawy, zanim moja pięść załatwi ci facjatę.

– Nie wierzę, że to mówię, ale Hunter ma rację – wtrącił przeciągłym, znudzonym głosem Cillian. – Załatw to. Niektórzy z nas mają ważniejsze obowiązki niż wybór kolejnej piękności do łóżka.

Nie było sensu im mówić, że mój wybór padł już na Allison Kosinki. Miała zagościć w moich progach dziś wieczór o wpół do dziewiątej.

– I d ź! – ryknęli chórem.

Poirytowany jak diabli wyszedłem za Joanne do swojego gabinetu.

– Jak dzieciaki, Jo?

– Dobrze, dziękuję, wasza miłość. To znaczy wysokość... – W towarzystwie błękitnej krwi ludzie wiecznie się jękali. Nawet ci, którzy pracowali z nią na co dzień. – A pan jak się trzyma?

– Dziękuję, znakomicie.

– To dobrze. I proszę pamiętać, że zawsze może pan na nas liczyć.

Oho. „Możesz na mnie liczyć” nieodmiennie zwiastowało złe wieści. Joanne otworzyła mi drzwi i uciekła za swoje biurko, unikając mojego spojrzenia.

Spiorunowałem wzrokiem centralkę.

Lepiej, żeby to był poważny wypadek albo czyjeś zejście.

Podniosłem bez słowa słuchawkę, czekając, aż mama odezwie się pierwsza.

– Devvie? Jesteś tam?

– Mamusiu. – Zdrobnienie nie należało do moich ulubionych wyrazów; używając go, czułem się jak czterolatek, ale niestety wyższe sfery miały w zwyczaju wysławiać się jak przedszkolaki.

– Och, Devvie, jestem w takiej rozpacz! Siedzisz?

Wciąż stojąc, rozejrzałem się po tradycyjnie urządzonej gabinecie – kasetonowy sufit, wbudowane regały, masywne biurko.

– Tak.

– Papa dziś zmarł.

Pomimo najszczęśliwszych chęci wieść o zgonie ojca nie obudziła we mnie ani krzty wzruszenia.

Przez większość mego dzieciństwa Edwin Whitehall stale mi przypominał, że go zawodzę, zmuszając mnie w końcu do opuszczenia ojczyzny i odbierając podstawowe prawo do decydowania o wyborze żony.

Daleko było mi więc do opłakiwania jego śmierci, bo choć utrzymywałem kontakt z mamą i Cecilią, on nie chciał mnie widzieć, dopóki nie poślubię Louisy Butchart, na co odpowiedziałem, że fajne życie to żadna groźba.

Od tamtej pory moje było niekończącym się balem.

– To straszne – odparłem beznamiętnie. – Trzymasz się?

– Ja... – Pociągnęła nosem. – T-tak.

Odnosiłem zgoła inne wrażenie.

– Umarł nagle? – Oparłem się biodrem o biurko, wkładając rękę do przedniej kieszeni spodni. Znałem odpowiedź. Mama opowiadała mi o wszystkich jego polowaniach i partyjkach golfa.

– Tak. Zawał. Gdy obudziłam się rano, leżał obok mnie w łóżku i nie reagował.

– Okej, ale kiedy zdałaś sobie sprawę, że nie żyje? – wymruczałem pod nosem. Na szczęście tego nie usłyszała.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć. – Znów wybuchnęła płaczem. – Papa odszedł!

– Straszne – powtórzyłem tępo, czując w duchu radość. Na świecie nie było miejsca dla nas obu.

– Tak bardzo chciał się z tobą zobaczyć – chlipała mama. – Szczególnie w ostatnich latach.

To akurat wiedziałem. Broń Boże nie z tęsknoty, ale dlatego, że byłem de facto dziedzicem jego tytułu i całego majątku. Wszystko, co drogie Whitehallom, znaczenia rodu nie pomijając, leżało u moich stóp i chciał mieć pewność, że nie położę na tym laski.

– Moje kondolencje, mamusiu – powiedziałem z całą szczerością sprzedawcy aut z drugiej ręki.

– Przyjedziesz na pogrzeb?

– Kiedy jest? – zapytałem.

– W przyszłym tygodniu.

– A niech to – rzuciłem ze sztucznym ubolewaniem. – Chyba nie dam rady. Mam naradę za naradą. Ale gdy tylko się odrobuję, obiecuję, że przyjadę podtrzymać was na duchu.

Od przeprowadzki do Stanów mama i Cece odwiedzały mnie dwa razy do roku. Zawsze organizowałem im dobrą zabawę, obsypywałem prezentami i pilnowałem, żeby były zadowolone. Ale powrót do Anglii na ostatnie pożegnanie Edwina Whitehalla był poza zasięgiem mojej zepsutej moralności.

– Kiedyś będziesz musiał przyjechać, Devonie – odparła surowo. – Nie tylko na odczytanie testamentu, ale jak zapewne wiesz, Whitehall Court Castle należy teraz do ciebie, nie wspominając o tytule markiza. Stałeś się tym samym najbardziej pożądaną partią w kraju.

Niech sobie w tyłek wsadzą tę „najbardziej pożądaną partię”. Wejście do rodziny królewskiej było niewiele lepsze od wżenienia się w mafię.

Carmelli Soprano przynajmniej paparazzi z „Daily Mail” nie grzebali w śmieciach.

– Przyjadę, by dopilnować przekazania dóbr i majątku – odparłem. – I oczywiście żeby służyć wam wsparciem moralnym. Jak Cece to przyjęła?

– Nie za dobrze.

Oprócz matki w Whitehall Court Castle mieszkała także moja siostra z mężem, Drew. Zamierzałem go im oddać, bo i tak nigdy nie chciałem zamieszkać w tym strasznym dworze, i przyznać miesięczną zapomogę na pokrycie kosztów życia.

Ostatni raz widziałem się z matką rok temu. Ciekawe, jak się zmieniła. Czy nadal była tragiczną piękną, od stóp do głów spowitą teraz czernią? Czy nadal spotykała się co tydzień z przyjaciółkami na herbatkę i pół kruchego ciasteczka, które spalała później na bieżni?

– Minęło dwadzieścia lat, Devonie.

– Umiem liczyć, mamusiu.

– Choć od czasu do czasu się widzimy, to jest inaczej, niż gdybyś tu był.

– O tym też wiem. I przykro mi, że musiałem wyjechać. – Ale wcale mi nie było przykro. W Bostonie czułem się jak w domu. Multikulturowy, tętniący życiem i przesycony historią – zupełnie jak Londyn, tylko bez paparazzich ganiających za mną czy cioteczkami z towarzystwa podsuwającymi mi swoje córki w nadziei na złapanie tłustego mężowskiego kąska.

– Spotykasz się z kimś? – Jeśli mama jest zrozpaczoną wdową, to ja jestem Celine Dion. Ale to pewnie przez szok.

– Z niejedną. Liczba mnoga. Jestem, jak zapewne doniosły ci już dobrze poinformowane przyjaciółeczki zza oceanu, znanym i lubianym rozpustnikiem.

To akurat prawda. Kochałem kobiety, a najbardziej te rozebrane. I z zasady pożerałem je jak codzienne gazety – na jeden raz i do kosza.

– Twój ojciec też nim był, do czasu. – Zadumała się.

Podniosłem drewniany humidor i obróciłem go w dłoni.

– Owszem, ale bynajmniej nie do ślubu, więc bez przesady z tą żałobą.

Jęknęła w proteście, ale szybko porzuciła temat, dobrze wiedząc, że nic nie zmieni mojego zdania o ojcu.

– Louisa znów jest do wzięcia. Na pewno słyszałeś.

– Na pewno nie. – Gdy nozdrza wypełnił mi aromat piżma i dojrzałych tytoniowych liści, odstawiłem pojemnik z powrotem na biurko.

Nie znosiłem tematu Louisy, ale mama ciągle go wywlekała. Miałem wielką ochotę okręcić sobie szyję kablem telefonicznym i zacisnąć.

– Nie śledzę losów znajomych z domu.

– Fakt, że nadal nazywasz go domem, jest bardzo wymowny.

Zachichotałem cicho.

– Nadzieja jest jak lody. Im więcej pochłoniesz, tym bardziej cię zemdli.

– Cóż – odparła pogodnie, nie chcąc przyznać się do porażki. – Tak się składa, że znów jest wolna. Jakiś rok temu straciła narzeczonego podczas meczu polo. Okropny wypadek. Na widowni były dzieci!

– Straszne – przytaknąłem. – Polo jest nudne dla dorosłego, a co dopiero dla dziecka. Makabra.

– Och, Devvie! – oburzyła się. – Była zdruzgotana, ale chyba już jej przeszło... Czyż to nie zrządzenie losu? – Pociągnęła nosem.

Czy ta kobieta naprawdę doszukiwała się pozytywów w czyjejś nagłej i gwałtownej śmierci na oczach publiki? Panie i panowie, moja matka, Ursula Whitehall.

– Cieszę się, że dostrzegasz pozytywną stronę dwóch zgonów, czyli sprowadzenie mnie na ten sam kontynent, na którym jest Louisa – odparłem z lekkim uśmieszkiem.

– Wyczekuje cię z niemałą niecierpliwością.

– Śmiem wątpić.

– Sam zobaczysz, jak przyjedziesz. Jesteś jej winien co najmniej porządne przeprosiny.

Trudno zaprzeczyć. Tuż przed odlotem do Bostonu w wieku osiemnastu lat obiecałem Louisie, że po nią wrócę. Nigdy się tak nie stało, choć czekała cierpliwie przez pierwsze cztery lata, wysyłając mi zdjęcia sukien ślubnych i pierścionków zaręczynowych na zamówienie. W końcu biedaczka zdała sobie sprawę, że do ślubu nie dojdzie, i zapomniała o mnie. Ale zabrało jej to dekadę albo dwie.

Byłem jej winny przeprosiny i zamierzałem je złożyć, ale pomyślałem, żebym odnowił te całe zaręczyny, był absurdalny.

– Wiesz... – mama zniżyła konspiracyjnie głos – ...twój ślub z Louisą był ostatnim życzeniem ojca.

Wiesz – miałem ochotę zripostować – mało mnie to obchodzi.

– Rozumiem twój ból, ale spełnianie życzeń Edwina przychodzi mi z wielkim trudem. Zwłaszcza teraz, gdy już go z nami nie ma – odparłem łagodnie.

– Musisz się ustatkować, kochanie. Założyć rodzinę.

– Nic z tego.

Ale Ursula Whitehall przecież nie pozwoli, by coś tak nędznego jak rzeczywistość powstrzymało ją przed wygłoszeniem wzniosłej przemowy. Oczami wyobraźni dosłownie widziałem, jak wkracza na mównicę.

– Ze Wschodniego Wybrzeża dochodzą mnie różne doniesienia na twój temat. Podobno jesteś sprytny, masz głowę na karku i nie marnujesz

dobrych okazji. O r a z że twoje życie osobiste jest w rozsypce, wieczory spędzasz na hazardzie u tego bezbożnika Sama Brennana, pijesz i zadajesz się z o połowę młodszymi panienkami.

Pierwsze oskarżenie było w punkt, ale ostatnie to bezczelne kłamstwo. Gdyż narzuciłem sobie żelazną „zasadę pięciu lat”: sypiałem wyłącznie z kobietami maksymalnie o pięć lat młodszymi bądź starszymi od siebie. Złamałem ją tylko raz, dla zachwycająco irytującej Emmabelle Penrose. Przy wszystkich moich wadach oblechem lecącym na małolaty stanowczo nie byłem. Nie ma nic bardziej żalosego od wożenia się z partnerką, którą z powodzeniem można by wziąć za twoją córkę. Na szczęście nikt przy zdrowych zmysłach nie oskarżyłby mnie o to, że pozwalałam córce ubierać się tak jak Emmabelle.

– Rozumiem, mamó, że jesteś rozbita, ale nie nakłanisz mnie do ożenku.

Przez szklaną ścianę zobaczyłem Cilliana, Huntera i resztę wychodzących z konferencyjnej. Ten pierwszy skinął mi głową w stylu „później pogadamy”, a drugi pokazał pięknego faka.

Ta rozmowa kosztowała mnie już godzinę opóźnienia w grafiku. Więcej niż poświęciłem ojcu przez ostatnie trzy dekady. Chyba pošlę mu do piekła tłusty rachunek. Tymczasem mama nadal przynudzała.

– ...kontakt ze swoimi korzeniami, pochodzeniem. Podejrzewam, że po twoim przyjeździe niejedno ujrzy światło dzienne. Jeśli chcesz, pošlę po ciebie prywatny odrzutowiec.

Który należał do Butchartów, nie do Whitehallów, a ja nie zamierzałem być dłużnikiem kogoś, z kim nie chciałem się w żaden sposób wiązać.

– Nie trzeba. Przylecę rejsowym, z plebsem.

– Tylko Singapore Airlines mają porządną pierwszą klasę. – Jeśli coś potrafiło sprawić, by moja matka na chwilę zapomniała o swoim świeżym

wdowieństwie, tym czymś był temat bogactwa.

– Wolę biznesową – odparłem sardonicznie. – I towarzystwo autentycznych przeciętniaków.

Wiedziałem, że w jej oczach latanie biznesklasą jest synonimem przeprawy przez ocean w papierowej łupinie o chlebie i wodzie.

– Och, Devvie, tylko nie to. – Dosłownie widziałem, jak ściska swoje perły. – Kiedy mamy się ciebie spodziewać?

– Odezwę się za parę dni.

– Proszę, spiesz się. Tak się stęskniłyśmy.

– Ja też.

Odkładając słuchawkę, poczułem się jak obdarty ze skóry.

Może i tęskniłem za matką i siostrą.

Ale na pewno nie za murami Whitehall Court Castle.

Wziąłem wolne na resztę dnia. Wbrew obiegowym opiniom praca nie była moją żoną. A nawet narzeczoną. Pozostawałem w luźnym związku ze stworzoną przez siebie spółką i wymykałem się z biura przy każdej okazji.

Śmierć ojca, mimo że zapomniałem nawet, jak wyglądał, była genialnym pretekstem do krótkiego urlopu.

Po niebie leniwie płynęły chmury, wyczekując z ciekawością mojego następnego ruchu. A jako że byłem przeciwnikiem trzymania natury w napięciu, pomaszerowałem prosto do Temple Bar, irlandzkiego pubu tuż za rogiem. Siedziałem sobie spokojnie przy barze, gdy nagle w lepiących się drewnianych drzwiach stanęła zalana łzami Emmabelle Penrose. Wyglądała jak wrak pociągu sekundę po ogłuszającej eksplozji.

Z tym że była również najpiękniejszą kobietą na planecie Ziemia. Żadna przesada, tylko niezaprzeczalny fakt. Jej długie, przepyszne włosy wyglądały, jakby spiły wszystkie promienie słońca, spływając falami

w różnych odcieniach blond. Jej kocie oczy barwy jagodowego *slushie* były wiecznie ocienione, a wargi miała napuchnięte jak po brutalnych pocałunkach.

O jej boskim ciele nie wspomnę, ale z powodzeniem mogłoby wywołać trzecią wojnę światową.

Była młoda. O jedenaście lat młodsza ode mnie. Gdy ujrzałem ją po raz pierwszy trzy lata temu, przynosząc jej młodszej siostrze intercyzę do podpisania, zobaczyłem ją śpiącą i od tamtej pory śniłem o podboju łóżka tej jasnowłosej nimfy.

Równie pociągające było jej podejście do małżeństwa, które sam podzielałem: nie uznawała go i do romantycznych przygód podchodziła tak samo praktycznie jak do finansów. Jej intelekt, wewnętrzny ogień i nonkonformizm były takie ożywcze. W przeciwieństwie do wyrzucenia mnie na zbity pysk w środku nocy krótko po tym, jak zaczęliśmy ze sobą sypiać.

Panna Penrose może i była wynurzającą się z morskiej piany Afrodytą, ale ja z kolei miałem jeszcze odrobinę swojej arystokratycznej godności.

Wybaczyłem, lecz nie zapomniałem.

Choć teraz, gdy się jej przyjrzałem, wyglądała dziwnie... k r u c h o?

Jakby miała ochotę się rozpłakać nad tym swoim kieliszkiem chardonnay.

Już po paru sekundach od jej pojawienia się w barze podszedł do niej jakiś facet, któremu zebrało się na amory. Z rogu sali patrzyłem z rozbawieniem, jak w odpowiedzi prawie łamie mu rękę.

Ale po chwili odezwał się irytujący głos obowiązku i momentalnie przestało mi być do śmiechu. Bez względu na to, jak bardzo nie miałem ochoty pomagać tej małej jędzy, wiedziałem, że żona Cilliana i zarazem jej

siostra, Persy, wrzuciłaby mnie na samo dno piekła Dantego, gdyby się dowiedziała, że ją zwyczajnie olałem w ewidentnej potrzebie.

A poza tym Emmabelle nie była kimś, kto ulega pełnowymiarowemu załamaniu nerwowemu przez byle złamany paznokieć. Jako prawnika zawsze wypełniało mnie antropologiczne zaciekawienie. Co też mogło podłamać taką twardą laskę?

Podszedłem więc do niej, obsypując ją komplementami i słowami otuchy, by wszystko z niej wyciągnąć. Jak można było przewidzieć, stanowczo odmówiła współpracy. Ta dziewczyna miała więcej kolców niż cały różany ogród – i była równie piękna.

Postanowiłem rozwiązać jej język przy nieocenionej pomocy międzynarodowego serum prawdy: alkoholu.

Po trzecim kieliszku koniaku spojrzała na mnie swoimi dużymi, błyszczącymi oczami i powiedziała:

– Jeśli chcę mieć biologiczne dziecko, muszę natychmiast zająć w ciążę.

– Masz dopiero trzydzieści lat – odparłem, wciąż sącząc tego samego Stingera, przy którym zacząłem wieczór. – I mnóstwo czasu.

– Nie. – Pokręciła wściekle głową, czkając. Ten dzień, jak widać, należał do histeryczek. Nie było przed nimi ucieczki. – Mam pewne... schorzenie. Muszę się szybko postarać o dziecko. Tylko nie mam z kim go sobie zrobić, o stabilności finansowej nie wspominając.

W moim mózgu zaczął kiełkować praktyczny, acz chory pomysł. Mógłbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Z ojcem nie będzie problemu. – Pociągnęła nosem, podnosząc szklaneczkę do ust. Wyjąłem ją z jej ręki, zastępując szklanką wody. Skoro miała problemy z płodnością, alkoholizm nie był krokiem w dobrym kierunku. – Zawsze mogę iść do banku spermy. Ale Madame Mayhem wreszcie zaczęła przynosić zyski. Nie trzeba było spłacać współników.

Belle była wyłączną właścicielką klubu z burleską w śródmieściu. Z tego, co mówił jej szwagier, miała głowę na karku, instynkt zabójcy i była na dobrej drodze do pierwszego miliona, ale wykupienie wspólników nieźle trzepnęło ją po kieszeni.

– Dziecko kosztuje. – Zacmokałem z żalem, przygotowując grunt pod swoją niecną propozycję.

– I to jak. – Upiła z niechęcią wody i położyła ręce na barze. – Nic dziwnego, że ludzie z reguły pasują po dwojce.

– Nie wspominając o tym, że w końcu będziesz musiała wrócić do pracy. Głównie nocki, co? Ktoś będzie się musiał zajmować małym. Droga opiekunka albo ojciec.

Pójdę do piekła, ale przynajmniej w wielkim stylu.

– Ojciec? – Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, jakbym zaproponował usługi gangu ulicznego. – Już mówiłam, że skorzystam z banku spermy.

C z y ż b y?

Zrobienie dziecka Emmabelle Penrose byłoby idealnym rozwiązaniem moich własnych palących problemów.

Nie żebym chciał się jej oświadczyć, co to to nie. Oboje byliśmy przeciwnikami małżeństwa i podejrzewałem, że tę dziewczynę trudniej byłoby ujarzmić niż miodożera na haju. Ale zamierzałem zaproponować jej pewien układ. Będę ją utrzymywał, a w zamian ona stanie się moim znamieniem Kaina. Moim biletem w jedną stronę z rodziny królewskiej.

Matka da mi spokój, Louisa nie będzie chciała mnie znać, a inne stracą złudzenia, że uda się mnie usidlić. Poza tym n a p r a w d ę pragnąłem dziedzica. Nie chciałem, by tytuł markiza umarł wraz ze mną. Niedawno brytyjski parlament, idąc z duchem czasu, przyjął ustawę przyznającą

nieślubnym dzieciom pełnię praw do dziedziczenia arystokratycznych majątków i całej reszty. To było jak znak niebios.

A Emmabelle idealnie pasowała do mojego planu.

Spoza układu. Zazdrośnie chroniącą swoją niezależność. Posiadającą łono.

No i trzeba wspomnieć, że zrobienie jej dziecka nie będzie najnieprzyjemniejszym zadaniem.

Podczas gdy ja dopisywałem już w myślach drobny druczek do naszej przyszłej umowy, Belle była cztery kroki za mną, nadal użalając się nad swoim wyczyszczonym kontem bankowym.

– ...pewnie będę musiała zaciągnąć pożyczkę u siostry. Czy chcę to zrobić? Nie. Ale w tej sytuacji muszę schować dumę do kieszeni. Zawsze spłacałam swoje długi, Devon. Ciężko spać spokojnie ze świadomością, że wisisz komuś kasę, nawet jeśli tym kimś jest twoja siostra...

– Ja zrobię ci dziecko – przerwałem jej, okręcając się na stołku.

Była tak pijana, że w pierwszej chwili wlepiła we mnie wzrok, mrużąc oczy, jakby dopiero mnie zauważyła.

– Eee... że co?

– Dam ci to, czego chcesz. Dziecko. Bezpieczeństwo finansowe. Cały kram. Potrzebujesz dziecka, kasy i pomocy drugiego rodzica. Dam ci to wszystko, jeśli ty dasz mi dziedzica.

Instynktownie się odsunęła.

– Nie chcę za ciebie wychodzić, Devon. Wiem, że Persephone to się sprawdziło, ale ta cała monogamia to nie moja bajka.

Słyszałeś, nie jej bajka. Zabieraj rzeczy i wyjdź.

Ale mój fiut kazał mi zostać.

Podniosłem stojącą przed nią szklanekę wody i przystawiłem jej do ust.

– Nie proponuję ci małżeństwa, kochanie. W przeciwieństwie do Cilliana nie interesuje mnie rozgłaszanie wszem wobec, że dostałem się pod pantofel. Chcę tylko mieć z kimś dziecko. Osobne domy, osobne życie. Przemyśl to.

– Chyba się naćpałeś.

Przyganiał kocioł garnkowi. Sama obecnie nie była w stanie policzyć na palcach do pięciu.

– Jeśli się zgodzisz, twoje dziecko zostanie Jego albo Jej Wysokością – syknąłem. W Bostonie nie było nikogo, kto nie wiedziałaby o moich królewskich tytułach. Ludzie traktowali mnie tak, jakbym był następny w kolejce do tronu, choć w praktyce dzieliła mnie od niego gwałtowna i bezpotomna śmierć jakichś trzydziestu osób.

Odstawiłem szklanę, zawołałem barmana i zamówiłem jej coś tłustego na zbliżającego się nieuchronnie kaca. Na zewnątrz zapadał już zmrok. Zegar tykał. Wiedziałem, że Emmabelle spędzała noce albo w Madame Mayhem, albo na klubowych parkietach.

– I to dziecko będzie markizem? – Skubała koniuszek jasnego pasemka z bardziej rozbawioną niż zamyśloną miną.

– Albo markizą.

– I będzie zapraszane na królewskie imprezy? Na przykład chrzty? Musiałabym nosić śmieszne kapelutki i dygać?

– Jeśli chcesz tortur w postaci wypisywania odpowiedzi na zaproszenia.

– Nie mam żadnego kapelutka. – Zmarszczyła nos.

– Dostaniesz w prezencie po urodzeniu dziecka – odparłem z rosnącym zachwytem swoim pomysłem. Emmabelle była ideałem. Czytaj: idealnie fatalną kandydatką na matkę przyszłego markiza. Gdybym zrobił jej dziecko, nikt by mnie nawet kijem nie tknął.

A w pierwszej kolejności Louisa Butchart.

– Posłuchaj, już ze sobą spaliśmy, więc oboje wiemy, że w łóżku będzie dynamit. Jestem bogaty, pod ręką, cieszę się dobrym zdrowiem i wysokim IQ. Będę łożył na dziecko, ulokuję cię w ładnym domu i pomogę ci je wychować. Podzielimy się opieką albo zadowolę się weekendami i świątami. Z odwiedzin nie zrezygnuję, bo dzieciak będzie spadkobiercą olbrzymiej fortuny i królewskiego tytułu.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mi się, jakbym postradał zmysły.

– Pomyśl o tym. W ten sposób dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz: kogoś więcej niż dawcę spermy, ojca dla dziecka, plus rekompensatę, i to wszystko bez niedogodności w postaci męża, zaobrączkowania i bata nad głową.

– Czyś ty oszalał? – Potarła się po czole.

W pierwszej chwili pomyślałem, że obawia się historii chorób psychicznych w mojej rodzinie.

– Możliwe, ale to niekoniecznie dziedziczne.

– Nie możemy tego zrobić! – Rozrzuciła bezradnie ręce.

– Czemu nie?

– Po pierwsze, nie lecę na kasę.

– Wiem – przytaknąłem, gdy barman podsunął jej pod nos cheeseburgera z frytkami. – A szkoda, bo *gold diggerki* są niedocenianie. Można się od nich uczyć mistrzowskiego planowania i ambicji.

– Nasze rodziny się wściekną – powiedziała, wsuwając burgera i oblizując palce.

Nie było nic seksowniejszego od widoku mięsa w ustach Belle Penrose. Może z wyjątkiem m o j e g o mięsa w jej ustach. Zrobienie tej kobiecie dziecka będzie czystą przyjemnością.

– Nie wiem jak twoja, ale moja od zawsze była dziwna – odparłem beznamiętnie, wyskubując nitkę ze swojej bosmanki. – Ale żarty na bok.

Jestem już po czterdziestce, tobie stuknęła trzydziestka. Jesteśmy najbardziej niezależną dwójką wśród naszych znajomych. Cała reszta odziedziczyła albo wżeniła się w pieniądze i status. Nikt nie może kręcić nosem na ten układ.

– Ale ja mogę. – Wrzuciła sobie do ust frytkę i żuła ją w zamyśleniu. – To by mi skomplikowało życie. Dawca spermy nie rościłby sobie żadnych praw do dziecka, nie musiałabym prosić go o zgodę na nic. Jaką wybrać szkołę, jak je wychowywać, jak ubierać. Pełna kontrola. A ja nie lubię się dzielić władzą.

– Cukiereczku. – Wyjąłem z kieszeni skręta i zapaliłem. – Na niewiele w życiu mamy prawdziwy wpływ. Udawanie, że jest inaczej, to recepta na rozczarowanie. Jeśli rzeczywiście nie chcesz grać według zasad zwykłych śmiertelników, trzymaj się mnie.

– Tu się nie pali, tłuczku. – Upuściła niedojedzonego burgera na talerz, spoglądając wyczekująco na barmana.

– Rzeczywistość mówi coś zgoła innego. – Mógłbym się wysrać na tym barze i nikt by okiem nie mrugnął. Teraz to ja odwróciłem się do barmana, wydmuchując mu dym prosto w twarz. – Zgodzisz się ze mną, Brian? – syknąłem.

– Tak jest, sir, ale na imię mi Ryland. – Skłonił się barman.

Belle przekrzywiła głowę, nieufnie mi się przyglądając.

– Co to za trik?

– Żaden trik. Dobrze urodzonym zawsze okazuje się szacunek.

– Na taki haczyk chcesz mnie złapać, Einsteinie? Bo nie mam najmniejszej ochoty rodzić bachora z zadartym nosem.

Uśmiechnąłem się słodko, bo oboje wiedzieliśmy, że to tylko takie gadanie.

– Wymień swoją cenę – powiedziałem po prostu.

– Najpierw przestań nazywać ją „nim”.

– Skąd wiesz, że będzie dziewczynka? – Dawno nic mnie tak nie rozbawiło. Nie posądziłbym Emmabelle o taką emocjonalność i marzycielstwo. Cóż, człowiek całe życie się uczy.

– Po prostu wiem.

– No więc? – nie ustępowałem. – Robimy sobie ten genetyczny ideał czy nie?

Belle wstała, sięgnęła po swoją designerską torebkę z drugiej ręki i pokazała mi środkowy palec.

– C z y n i e. Znajdź sobie inną głupią. Ja idę pić, dopóki ta rozmowa nie wywietrzeje mi z głowy. Nie zasługuje na najmniejszy kął w moim mózgu.

I wyszła, zostawiając mnie z rachunkiem, pomysłem, który coraz bardziej mi się podobał, oraz telefonem pękającym w szwach od nieodebranych połączeń z Anglii i od sfrustrowanej Allison Kosinki, od wielu godzin czekającej pod moimi drzwiami w szpilkach i płaszczu, pod którym nic nie miała.

C h r z a n i ć t o.

Belle

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Tak to się nazywa.

Wreszcie zaczynam rozumieć dlaczego.

Mam wrażenie, jakbym z impetem uderzyła o taflę morza, twardą jak beton. Boli jak diabli.

Tak jak jego uroda. Nieznośnie piękne brązowe oczy, które błyszczą, gdy nasze spojrzenia spotykają się w klasie czy na szkolnym korytarzu.

Tak jak jego śmiech, miód na moją duszę.

Boli, gdy widzę go rozmawiającego z inną dziewczyną; mam wtedy ochotę potrząsnąć nią, wrzeszcząc, że on jest MÓJ. Bo jest tylko mój. To dlatego chowa dla mnie te uśmiechy, spojrzenia i uniesienia brwi.

Nie wiem, czy to normalne uczucie. Jakby tylko on miał jedyny klucz do mojego nastroju.

A najdziwniejsze, że to jest takie... kompletnie nie w moim stylu. Nigdy nie uganiałam się za chłopakami. W zasadzie sama byłam chłopczycą.

Psotną łobuzicą. Łaziłam po drzewach, wkręcałam, kogo się dało, przesiadywałam na dworze do późnego wieczora. To było moje pierwsze starcie z uczuciem do kogoś spoza rodziny.

I pierwsza miłość. Więc nie wiedziałam, czy to normalne, że oddałam mu serce.

Jedno jest pewne.

Dziewiąta klasa będzie bardzo długa.

Bo facetem, w którym się zakochałam, jest pan Locken, mój trener.

Belle

DZIESIĘĆ LAT TEMU Z OKŁADEM moja siostra Persy, najlepsza przyjaciółka Sailor, Aisling i ja uświetniłyśmy swoją obecnością pewien bal charytatywny organizowany przez Fitzpatricków.

Gapiąc się na jedną z naszych koleżanek ze szkolnej ławy u boku puszącego się jak paw starszego pana, zawarłyśmy pakt, przysięgając sobie, że wyjdziemy za mąż tylko z miłości.

Nie dla pieniędzy, pozycji czy z musu.

Ale nie każdej w pełni się to udało.

Piekielnie ambitna Sailor dotrzymała słowa. Jej stadło było podręcznikowym przykładem małżeństwa z miłości, pełnego serduszek i pulchnych bobasów oraz dodatku w postaci zreformowanego kobieciarza wielbiącego ziemię, po której stąpa.

Persy wyszła za Cilliana Fitzpatricka, brata Huntera. Tę parkę nazywam roboczo bajzlem na kółkach. Zaczęli od układu iście biznesowego, ale wiedziałam, że moja siostra podkochuje się skrycie w starszym z braci Fitzpatricków. On z kolei zakochał się w niej mimowolnie, jakby pewnego dnia po prostu wessało go do czarnej dziury. W mgnieniu oka i bez trzymanki.

Aisling dostała się w szpony ulubionego potwora Bostonu tylko po to, by odkryć, że są śmiertelne dla wszystkich oprócz niej. Sam Brennan nie znał strachu, ale biada temu, kto ośmieliłby się podnieść rękę na jego żonę.

No i jeszcze ja.

Choć wiedziałam, że nigdy nie wyjdę za mąż, przystąpiłam do paktu. Nie dlatego, że kiedyś mogłabym zmienić zdanie, ale z tego powodu, iż czułam, że dziewczyny potrzebują ode mnie potwierdzenia.

Potwierdzenia, że wszystko ze mną okej. Że ja też jestem zdolna do miłości, choć tak naprawdę nie byłam.

A może jednak byłam? Nie miałam zielonego pojęcia, bo ów absurd nigdy mi nie groził.

– Halo? Ziemia do pani na włościach! – Sailor pstryknęła mi palcami przed twarzą, wyrywając mnie z zamyślenia.

Jak co tydzień urządziłyśmy sobie na mojej sofie ucztę na wynos. Tym razem nasz wybór padł na kuchnię peruwiańską.

– Jej mózg zaliczył krótkie śpięcie. – Aisling odgarnęła z policzka swoje kruczoczarne włosy, wyrywając mi telefon z ustami pełnymi paelli z owocami morza. – Pewnie jeszcze jest w szoku. Podaj wino, przejmuję pałeczkę.

Siedziałam wciśnięta między nią a Persy i jedwabną kurtynę jej złocistych włosów. Zapuściła żurawia nad moją głową, ciekawa zawartości telefonu, który dostał się w szpony Aisling. Nasz piegowaty rudzielec o dziewczęcej urodzie, czyli Sailor, przycupnęła na brzegu ławy i dołała nam wina, pałaszując *ceviche*.

Dołożyłam starań, by wystrój mieszkania odzwierciedlał moją osobowość. I sądząc wyłącznie po stanie wynajmowanej przeze mnie klitki, byłam barwną i szokująco niedomytą schizofreniczką.

Wobec dowodów w postaci tapety z palmami, ciemnozielonego sufitu i jaskrawopomarańczowej sofy nikt nie mógłby oskarżyć mnie o konserwizm. Miałam słabość do popkulturowych grafik, wazonów

z przeróżnych zakątków świata oraz wydruków ulubionych feministycznych cytatów.

Aha, i ogromnych plakatów promocyjnych, z których uśmiechałam się w samych stringach z wanny pełnej szampana. Tak się składa, że wisiały również na ulicznych billboardach.

„Madame Mayhem: tam, gdzie umiera wszelka moralność”.

– Nie do wiary, że wy dwie pijecie. – Sailor łypnęła na karmiące piersią Persy i Aisling.

Zwłaszcza Aisling należała do tych, którzy nie odważyliby się nawet przejść przez ulicę w niedozwolonym miejscu. Jej synek Ambrose był jeszcze maleństwem.

– Nie do wiary, że nigdy nie robiłaś machlojek finansowych. – Sącząc wino, Aisling „Ash” Fitzpatrick wzruszyła ramionami. – I to niby ja jestem nerdem.

– Bo jesteście! – zawołałyśmy chórem.

Aisling dołączyła do naszego klubu Bostońskich Ślicznotek jako ostatnia. Z Sailor chodziłyśmy do szkoły, a Ash poznałyśmy, gdy Sailor spiknęła się z Hunterem. Była tą grzecznutką z naszej czwórki. Lekarzem. Dobrze wychowaną córką bajecznie bogatych nafciarzy, która wzięła i wyszła za mąż za najokrutniejszego bostońskiego mafioza.

– Wiem, że mleko matki nazywa się płynnym złotem, ale to? – Persy zacmokała z uznaniem, unosząc kieliszek. – To prawdziwa ambrozja. Muszę się nią nacieszyć, dopóki mogę.

– Jak to? – Sailor zmarszczyła brwi.

Persy spuściła z uśmiechem oczy, trzepocząc długimi, czarnymi jak sadza rzęsami.

– Za parę miesięcy chcemy z Cillianem się postarać o trzecie dziecko.

– Wy jesteście jak króliki. – Udałam odruch wymiotny.

– Wiesz, jak to jest, gdy się marzy o maleństwie – odparła obronnym tonem.

Poczułam ukłucie w środku. Odkąd doktor Bjorn poinformował mnie, że moja macica jest bardziej bezużyteczna niż „g” w słowie lasagne, co noc upijałam się w trupa, próbując zagłuszyć ból. Nie do wiary, że z dnia na dzień z twardej laski zamieniłam się w smętny zlepek hormonów. Nie umiałam się pogodzić z tą nową rzeczywistością. I po co mi w ogóle dziecko? Śmierdzą, kosztują kupę kasy i nie dają spać.

Ale są twoje. To twoja rodzina, constans, kompas.

Byłam zaskoczona reakcją przyjaciółek na wieść, że oto staję do wyścigu z własnym zegarem biologicznym. Okazały mi takie wsparcie, taką radość, że przestałam się nad sobą użalać.

Persy zaoferowała pomoc w niańczeniu maleństwa („Dwójka czy trójka, niewielka różnica”), Ash zaklepała sobie nocne dyżury („W końcu jestem lekarzem i to dla mnie nie pierwszozna”), a Sailor obiecała mi wszystkie ubranka i mebelki po swoich pociechach („Żeby Hunter zapomniał o trzecim”).

Został tylko ostatni mały szczegół: wiecie, z a j ś c i e w ciąży.

Propozycja Devona Whitehalla absolutnie odpadała. Nie skażę swojego dziecka na życie w skostniałej, snobistycznej i wsobnej instytucji.

I dlatego przeglądałyśmy teraz profile dawców spermy w poszukiwaniu takiego, który mi się spodoba. Co jest przygnębiające, bo wartościowych cech nie znajdziesz na sklepowej półce. By dokonać świadomego wyboru, najpierw trzeba kogoś naprawdę p o z n a ć. I dlatego randki internetowe są generalnie do kieszki.

„Nieśmiały blondyn” vel dawca numer 4322, rocznik dziewięćdziesiąty ósmy, ulubione zwierzę: delfin – to może i genetyczny strzał w dziesiątkę, ale czy jest dobrym człowiekiem?

– A ten? – Ash podstawiła mi telefon pod nos.

Zamiast zdjęcia kolejny anonimowy awatar plus niezwykle szczegółowy opis osobowości kandydata.

– „Mistrz grilla”? Serio? – jęknęłam. – Jeśli jego jedynym talentem jest przewracanie burgerów na ruszcie, to ja pasuję. Nie będę wyrzucać pieniędzy w błoto.

Bo to nie była tania impreza, a ja celowałam w opcję premium. Moje dziecko zasługiwało na wszystko, co najlepsze.

– Gość ma metr dziewięćdziesiąt i dołeczki w policzkach. Klinika reklamuje go jako młodego Seana Connery’ego – zachwycała się Persy.

– A ten? – Aisling wyszperała kolejny profil. – Mieszana rasa, wysoki, atletycznie zbudowany, kosmiczne IQ, zżyty z matką.

Wyrwałam jej telefon, marszcząc brwi.

– I grupa krwi AB minus, więc, jeśli odpukać, dziecku coś się stanie, będzie problem z transfuzją. No i ten nick, „Zmajstrujmy coś razem”. Żenada.

– Uspokój się, marudo. Ktoś tu ma poważne uprzedzenia. – Sailor uniosła brew.

– Znajdziemy ci kogoś, Belly-Belle, obiecuję. – Persy pogłaskała mnie czule po głowie, a wpatrzona w telefon Ash tylko pokręciła głową.

Po czterdziestu minutach wreszcie trafiłyśmy na profil idealny o nicku Sympatyczny Lider Rankingu. Metr osiemdziesiąt pięć, Azjata, dyplom z nauk politycznych i społecznych. Sprawiał wrażenie interesującego, zabawnego i inteligentnego luzaka, a jego idolem był Nikola Tesla.

– Ideal. – Sailor uderzyła otwartą dłońią o ławę, na której siedziała. – Gdybym była wolna, sama chętnie zrobiłabym sobie z nim dziecko.

– A co się stało z zapomnij o trzecim? – zakpiła Persy, zaplatając mi warkocz.

Sailor podniosła ręce w geście poddania się.

– Próbuję tylko nakłonić naszą przyjaciółkę do wyboru dawcy, zanim nasze jajeczka szeszają ze starości.

– Facet ma ograniczoną liczbę fiolek i branie, więc musisz się pospieszyć – wtrąciła Ash, przeglądając jego „kartotekę”.

Wiedziała, że ma rację. Wiedziała również, że Sympatyczny jest na czele peletonu. Pogodny i mocno stąpający po ziemi, zabawny i szczerzy. A mimo to... jakoś nie mogłam się do niego przekonać.

Bo co ja o nim wiedziałam? Informacji było jak na lekarstwo. Tyle wyciągnęłabym z niego na pierwszej randce.

Ale czy był miły dla obcych?

Nie siorbał?

Dopuszczał istnienie pizzy z ananasem w cywilizowanym społeczeństwie?

Za dużo tych niewiadomych.

I było coś jeszcze. Coś, o czym nie mogłam przestać myśleć, choć wiedziałam, że to przepis na katastrofę.

Propozycja Devona Whitehalla.

– O-o. Znów ją tracimy. Czuję się jak w kiepskim odcinku *Chirurgów*. – Sailor wrzuciła sobie do ust krewetkową tempurę.

– Z medycznego punktu widzenia wszystkie były beznadziejne – zawyrokowała Aisling.

– Belle. – Persy położyła mi brodę na ramieniu, spoglądając na mnie z niepokojem w tych swoich błękitnych oczach. – Wszystko dobrze?

Odstawiłam kieliszek.

– Zapomniałam wam powiedzieć, że jest jeszcze jedno wyjście.

Aisling przekrzywiła z zaciekawieniem głowę.

– Ale wiesz, że niepokalane poczęcie raczej nie wchodzi w grę?

– No ba. Jestem taką grzesznicą, że większe szanse mam z bocianem. – Przewróciłam oczami.

– To gadaj. – Sailor usiadła prosto, wyjadając okruszki z pudełka.

Zaczęłam się bawić końcówką warkocza. Miałam na sobie różową satynową piżamę z napisem „Na Twój widok muszę się napić”.

– Devon Whitehall zaoferował mi swoje usługi reprodukcyjne. Stwierdził, że w gruncie rzeczy to przydałby mu się dziedzic, ale nie chce się chajtać. W rewanżu zadbałby o moją sytuację finansową i obiecał pomoc w wychowaniu dziecka. Też wymyślił, nie?

– O kurde. – Sailor aż zasłoniła usta dłonią. – On nie jest przypadkiem jakimś księciem czy coś?

– Markizem – poprawiłam, jakbym miała pojęcie, co to w ogóle znaczy. – Ale chyba jeszcze nie przejął tytułu.

– Za to ma miliony, wysokie IQ i seksowny tyłek. Dostałaś taką propozycję i przeglądasz profile jakichś studenciaków? – zapytała z niedowierzaniem Aisling. – To do ciebie zupełnie niepodobne, Belle. Gdzie się podział twój zdrowy rozsądek?

Fakt – miałam ochotę odpowiedzieć. – Ten sam rozsądek nakazuje mi trzymać się z daleka od takich jak on.

– I nie zapominaj, że to jedyna szansa, by dziecko miało ojca – dodała Persy.

– To nie takie proste. – Skrzywiłam się, rzucając pudełko na ławę. – Sęk w tym, że nie chcę, by ktokolwiek mi się wtrącał w jego wychowywanie.

– Czy druga opinia od czasu do czasu naprawdę jest taka zła? – zapytała cicho Aisling. – Przy dziecku jest dużo pracy. Przyda ci się każda pomoc.

– A poza tym – wtrąciła Persy – rodzicielstwo jest jak praca biurowa. Ci, którzy siedzą w tym dłużej, mianują się twoimi przełożonymi. Będiesz

dostawać masę rad, czy o nie poprosisz, czy nie. Mnie na przykład mama zabroniła przez całą zimę wychodzić z Astorem na spacer, bo podejrzewała u niego zapalenie płuc.

– Łatwo wam mówić. – Pociągnęłam z kieliszka. – Wszystkie macie stałych, sprawdzonych facetów. Pewnie, że decyzja o dziecku była dla was łatwa. Ja nie znam Devona, Devon nie zna mnie, a nie uśmiecha mi się dopuszczać jakiegoś nadzianego gościa z wątpliwą reputacją do podejmowania decyzji o moim nienarodzonym dziecku.

Ale oczami duszy już widziałam symbol dolara i przebierałam w ekskluzywnych prywatnych szkołach. Nie bez powodu wyrzekłam się mężczyzn, choć to nie przeszkadzałoby mi ujeźdzać Devona i korzystać z jego karty kredytowej.

– Przepraszam, coś mówiłaś, Belle? Bo zdawało mi się, że słyszę ble-ble – zakpiła Sailor, udając, że nadstawia ucho. – Jakich decyzji? Przecież nie zamierzasz wychowywać go na poganina czy wegetarianina, tylko na normalnego amerykańskiego dzieciaka. Z tą różnicą, że będzie mieć bogatego ojca i seksowny akcent.

– A jeśli się rozejdziemy? – zapytałam prowokująco.

– Daj spokój. – Sailor prychnęła, zbierając puste pudełka i zanosząc je do kuchenki. – Gość dorobił się na fortunach innych i umie orznąć każdego. To rasowy dyplomata. Czemu mielibyście się zaraz rozstawać?

– Ale to by było złamanie paktu. – Sięgnęłam po argument ostateczny.

Sailor wyrzuciła pudełka do kosza, a Aisling zabrała się do mycia kieliszków. Tylko Persy została przy mnie.

– Miłość to nie musical – szepnęła mi do ucha. – Nie musi mieć idealnie skonstruowanego początku, środka i zakończenia. Czasami jej historia zaczyna się właśnie od środka, a nawet końca.

– Nie jestem taka jak ty. – Spojrzałam na nią, zniżając głos, żeby nas nie usłyszały. – Posłuchaj, Pers, ja...

Chciałam powiedzieć, że nigdy nie wyjdę za mąż, nie zakocham się, nie zamieszkam w nudnym domku z białym płótkiem, gdy nagle moja siostra przyłożyła palec do ust, kręcąc głową z poważną miną.

– Nie kończ. Możesz to zrobić i zrobisz. Nic nie jest silniejsze od miłości. Nawet nienawiść. Nawet ś m i e r ć.

Myliła się, ale nic nie powiedziałam.

Śmierć była silniejsza od wszystkiego.

Była moją ścieżką do odkupienia, do odrodzenia.

A cenę stanowiła moja dusza.

Dusza i nadzieja na miłość.

Tej nocy, nie mogąc zasnąć z nudów, napisałam do Devona. Po tamtym szalonym romansie jakoś nie wykasowałam jego numeru.

Belle: A tak w ogóle to po co Ci dziecko?

Odpisał dopiero po dwudziestu minutach. Pewnie był zajęty zabawianiem jednej ze swoich długonogich intelektualistek.

Devon: Pani od spisu powszechnego?

Drań albo wykasował mój numer, albo nigdy go nawet nie zapisał. Cóż za cios dla mojego ego!

Belle: Tu Belle. Odpowiedz na pytanie.

Devon: A zawsze musi być jakiś niecny powód?

Belle: Jesteś cwany, a ja cwaniakom nie ufam.

Devon: Aha, lepiej pokładać zaufanie w głupich ludziach, tak?
Inteligentni są przynajmniej wysoce przewidywalni.

Belle: Wiem tylko, że pochodzisz z królewskiego rodu i jesteś bogaty.

Devon: Innym kobietom tyle wystarczy, żeby mi się całkowicie oddać.

Belle: Nie jestem jak inne, Devon. Nawet Twój najbliższy przyjaciele nic o Tobie nie wiedzą. Jeśli to zrobimy – a nie mówię, że tak – chcę wiedzieć, na czym stoję.

Przez dłuższą chwilę nie odpisywałam, trzymając mnie w niepewności. Ciekawe, czy z premedytacją, by pokazać mi, kto tu rządzi, czy dlatego, że rzeczywiście był z inną. Jak dla mnie mógł nawet urządzić sobie orgię z całym zespołem Miami Heat Dancers. Albo przesiadywać w spelunie Sama Brennana, chłając i grając w karty do białego rana.

Devon: To mi już stoi na samą myśl o Tobie.

Przekręciłam się na brzuch, wystukując odpowiedź.

Devon: Marzenie każdej panny. <załącznik>

Oczywiście w pierwszej chwili pomyślałam, że ten zarozumialec wysłał mi fotkę fiuta. Ale gdy ją kliknęłam, wyświetliło się zdjęcie niebieskookiego cherubinka z jasną czupryną w marynarskim wdzianku. Był taki słodki, że miałam ochotę go zjeść.

Belle: ZALEWASZ?!

Zero odpowiedzi. Cholera, rozmowa z tym człowiekiem to droga przez mękę.

Belle: To Ty?

Devon: Ja.

Był najśłodszy bobasem pod słońcem, to na pewno. Ale nie wiedzieć czemu nawet tak niewinny komplement nie chciał mi przejść przez gardło.

Belle: Ale w białoniebieskim niezbyt Ci do twarzy. A to wdzianko pogrubia kostki.

Wiedziała, że go rozbawiłam, tak jak wiedziała, że nie odbije piłeczki żadnym pospolitym „LOL”. Skrótowce i akronimy były poniżej jego godności. Kiedyś rzucił mydłem w Huntera za nieopatrne wstawienie go w zdanie, oburzając się na tak karygodne kalandryczność języka królów.

Devon: Ostatnio wróciłem do szermierki, więc już mi wyszczuplały.

Belle: To po co Ci dziecko?

Nie zamierzałam odpuścić.

Devon: Chcę mieć komu wszystko zostawić.

Belle: A słyszałeś o fundacjach charytatywnych?

Devon: To brzmi jak pseudonim striptizerki.

Belle: Ha, ha. A tak serio?

Devon: Dobroczynność zaczyna się w domu. Zapytaj Dickensa.

Belle: Zza grobu raczej mi nie odpowie. To o to chodzi?
O pieniądze?

Nie mam pojęcia, kiedy zdążyłam wyhodować sobie sumienie, ale stało się. Zresztą, czy miałam prawo go krytykować, podczas gdy sama zastanawiałam się nad przyjęciem jego propozycji dla kasy i zaproszeń na królewskie śluby?

Devon: Nie. Co więcej, nawet lubię dzieci. Są zabawne, bystre i generalnie bardziej kulturalne od większości dorosłych.

Belle: Jeśli mam się zgodzić – a powtarzam, JESZCZE NIE PODJĘŁAM DECYZJI – po zapłodnieniu nie liczy na seks, randki i ślub. Nigdy nie dam ci tego wszystkiego, czego mężczyzna chce od matki swojego dziecka.

Prawdę mówiąc, ten pomysł zaczynał mi się coraz bardziej podobać. Owszem, pieniądze były istotnym elementem tej układanki, ale doceniałam też, że nie jest kolejnym szarym awatarem w morzu dawców spermy. Miałam jakieś punkty odniesienia w kontekście mojego przyszłego dziecka. Wiedziałam, że jest utalentowanym szermierzem, niezmordowanym strażnikiem poprawności gramatycznej, a rozmowy o pieniądzach uważa za nietaktowne; że nie znosi futbolu amerykańskiego, za to pasjonuje się historią świata. Że jeździ na nartach i kolekcjonuje vintage'owe kurtki od legendarnego Barboura. Wiedziałam, jak pachnie po seksie: męskim potem, drogą skórą i olejkiem sandałowym.

Wiedziałam też, że nie był mi nic winien i na matkę swojego dziecka mógł wybrać każdą mieszkanke Wschodniego Wybrzeża. I to z pocałowaniem ręki.

Devon: Rozumiem, a poza tym to wszystko i tak jest przereklamowane. Uprawianie seksu z tą samą osobą dłużej niż pięć miesięcy jest nie lada wyzwaniem dla obu stron.

Kto na tym świecie posługuje się takim językiem? No kto?

Belle: Jesteś już staruszkciem.

Devon: A Ty obstrukcjonistką.

Belle: Jak ludzie się dowiedzą, nazwą Cię czubkiem.

Devon: Możliwe, ale w rodzinie królewskiej roi się od większych, więc szybko mi odpuszczą.

Belle: Więc jak to widzisz?

Belle: (Jeśli mamy to zrobić, ale nie mówię, że zrobimy).

Devon: Możemy zabrać się do roboty jeszcze w tym miesiącu. Mam parę spraw do załatwienia w Anglii, ale potem będę wolny. Po prostu przekręć, jak przyjdzie pora.

Belle: Przedtem muszę zobaczyć Twoje wyniki badań na STD.

Devon: Prześlę je faksem.

F a k s e m. Ten człowiek wciąż używał f a k s u. Był tak zacofany. Aż dziw, że nie gołębiem pocztowym.

Devon: Przygotuję projekt umowy z uwzględnieniem kwestii finansowych, wspólnej opieki i tak dalej. Przejrzyj i odeślij mi z uwagami, żeby była satysfakcjonująca dla obu stron.

Belle: Boże, my naprawdę to zrobimy?

Devon: Czemu nie?

Belle: Cóż, pomyślmy...

Belle: Bo to CZYSTE SZALEŃSTWO?

Devon: Nie takie jak zajście w ciążę z anonimowym dawcą, a przecież to powszechna praktyka. Ewolucja, kochanie. Koniec końców jesteśmy tylko cywilizowanymi małpami dążącymi do przedłużenia gatunku.

Belle: Czy Ty właśnie nazwałeś mnie małpą? Szczyt romantyzmu, Whitehall.

Nie odpisał. Może to nie on był wiekowy, tylko ja czułam się przy nim jak smarkula.

Belle: Ostatnie pytanie...

Devon: Tak?

Belle: Jakie jest Twoje ulubione zwierzę?

Na bank delfin albo lew.

Coś sztampowego i oklepanego.

Devon: Żabnica.

Super. Kolejne dziwactwo.

Belle: Dlaczego?

Devon: Bo wyglądają jak pijani kibole szukający zwady w barze. I mają śmieszne łapy zamiast płetw. Zasługują na współczucie, biedne kaleki.

Belle: Dziwny jesteś.

Devon: Owszem, ale Ty jesteś zaintrygowana, kochanie.

Belle

NASTĘPNEGO DNIA W DRODZE DO PRACY wstąpiłam do Walgreens po test owulacyjny i witaminy prenatalne. Mijając billboard z moim nagim zdjęciem, od razu połknęłam cztery. Z instrukcją testu w ręce, pchnęłam tylne drzwi do biura Madame Mayhem.

Mój klub był o rzut beretem od Chinatown Gate w centrum Bostonu, wciśnięty między dwie kamienice, biuro podróży i sklep z płodami rolnymi. Kupiłam go z dwoma wspólnikami za bezcen i zamieniłam z podupadającej restauracji w modny bar. Dwa lata temu właściciel pralni samoobsługowej obok zwinął interes i namówiłam go, by sprzedał nam lokal z upustem. Wydreptałam prawdziwą ścieżkę do ratusza, załatwiając pozwolenie na zburzenie ściany działowej. I tak powstał nowy, powiększony klub. Śmiałe, ryzykowne przedsięwzięcie.

Zupełnie jak ja.

Obecnie byłam dumną właścicielką jednego z najbardziej osławionych przybytków w mieście. Obok nieprzyzwoicie drogich koktajli serwowaliśmy burleskę stylizowaną na nowoorleański show z lat pięćdziesiątych: artystki w ekskluzywnej bieliźnie oraz „wieczorki amatorskie” w każdy czwartek, podczas których ekshibicjoniści wszelkiego autoramentu mieli okazję zabłysnąć na scenie.

Na papierze klub przynosił fantastyczne zyski. Ale spłacenie wspólników i remont generalny mocno uszczupliły moje środki. Na tyle, by dziecko stanowiło nie lada wyzwanie dla mojego skromnego budżetu.

Mimo to zapaku do pracy mi nie brakowało i żadna przeszkoda nie była mi straszna. W ciągu dnia siedziałam w biurze, a wieczorami pomagałam za barem.

– Belly-Belle – przywitał mnie Ross, gdy tylko przekroczyłam próg szarej klitki zwanej moim gabinetem. Podsunął mi kubek kawy i przysiadł na brzegu biurka. Mój najlepszy przyjaciel ze szkoły był szefem barmanów i managerem Madame Mayhem. A także wyrósł na niezłe ciacho. – Boston odwykł od widywania cię w ciuchach. Jak samopoczucie?

– Upijam się życiem, licząc każdy grosz. Co nowego? – Nie ściągając torebki z ramienia, wzięłam łyk kawy. Przed pracą musiałam jeszcze nasiusiać na ten cholerny test.

Ross wzruszył ramieniem.

– Chciałem się tylko upewnić, że doszłaś do siebie po zesłotygodniowej aferze.

– To w zeszłym tygodniu była jakaś afera? – Chyba byłam zbyt zajęta upijaniem się w trupa i próbą wymazania z pamięci diagnozy doktora Bjorna, by ją zapamiętać.

– Frank – wyjaśnił usłużnie Ross.

– Kim, do diabła, jest Frank? – Zamrugałam.

Ross posłał mi spojrzenie pod tytułem „chyba sobie jaja robisz”.

– Aaa, masz na myśli tego debila.

Frank był naszym byłym barmanem. W zeszłym tygodniu przyłapałam go na napastowaniu na zapleczu jednej z tancerek i z miejsca wylałam. Frank przyjął wymówienie, ale przedtem postanowił powiedzieć mi do słuchu i nazwał mnie zapijaczoną szmatą. Na szczęście zawsze jestem gotowa do nawalanki, zwłaszcza z facetem. Więc gdy zaczął na mnie wrzeszczeć, bez problemu go przekrzyczałam.

A gdy rzucił we mnie lampą i spudłował... Cóż, ja rzuciłam w niego krzesłem, którego koszt potrąciłam mu oczywiście z ostatniej wypłaty.

„A masz, ty wypierdku ludzkości. A teraz zmywaj się z tego miasta, bo jak opowiem wszystkim znajomym właścicielom klubów o tym, co tu odpierdoliłeś, to już nigdzie się nie zaczepisz!”

Na tym nie poprzestałam. Wysłałam jego zdjęcie z opisem zajścia do lokalnych gazet.

Przesada? Nie sędzę. Następnym razem niech trzyma łapy przy sobie.

– Było, minęło. – Machnęłam lekceważąco ręką. Nie miałam czasu na rozkminki o Franku. Spieszyło mi się skontrolować swoje jajeczka i ich wydajność.

– Musimy znaleźć kogoś na jego miejsce. – Ross chyba przyrósł pupą do biurka.

A ja ruszyłam prosto do toalety.

– Okej, tylko dobrze go prześwietl.

Zamknęłam za sobą drzwi, kucnęłam i nasiusiałam na patyczek. Ale zamiast odłożyć go i poczekać na wynik jak dorosły człowiek, wbiłam weń wzrok, modląc się o dwie ciemnoróżowe kreski zamiast jednej jasnej.

Gdy się pojawiły, cyknęłam im fotkę telefonem i wysłałam Devonowi z podpisem: „Jesteśmy w grze”.

Następnie wyszłam z toalety i usiadłam za biurkiem, próbując się skupić na jakichś wykresach z Excela, ale raz po raz zerkałam w telefon. Po godzinie daremnego czekania na odpowiedź obróciłam go ekranem do blatu.

Ochłoń trochę – zbeształam się w duchu. Facet miał swoją karierę. I wysoką stawkę godzinową. Jasne, że nie rzuci wszystkiego i nie przyleci do Madame Mayhem, żeby zrobić mi dziecko.

Jakąś godzinę później w drzwiach mojego gabinetu pojawił się Ross z butelką drogiego szampana i postawił mi ją na biurku. Z jej szyjki zwisała złota karteczka.

– Dom Perignon? – Uniosłam nieufnie brew. Akurat ten rocznik chodził po jakiś tysiąc dolców za butelkę. – Nie sprzedajemy go u nas. Skąd masz?

– Oto jest pytanie. Otwórz tę cholerną kopertkę i się dowiemy. – Wskazał brodą karteczkę, która po bliższym zbadaniu rzeczywiście okazała się miniaturową kopertą.

Krew ścięła mi się w żyłach z przerażenia. To za bardzo przypominało romansowanie, a ja nie kalałam sobie nim rąk. Już wolałam, żeby Devon porównywał mnie do małp.

– Skąd wiesz, że jest dla mnie? – Łypnęłam nań podejrzliwie.

– Błagam. Mnie faceci fundują co najwyżej colę z automatu. No dalej, otwieraj. Od kogo to?

Drżącymi palcami otworzyłam pospiesznie tajemniczą kopertkę. Wypadły z niej dwa bilety. Podniosłam jeden z nich.

– Bilety na operę? – zapytał z niedowierzaniem Ross. – Jakie głodne kawałki wciskasz tym biedakom z Tindera? Ten gościu w ogóle cię nie zna.

Kpi sobie ze mnie w żywe oczy. Dobrze wie, że nie chadzam na randki.

– Powiedziałam mu, że lubię Oprah, nie operę. Pewnie źle usłyszał. – Ziewnęłam wyzywająco. Nie ma mowy, żebym puściła farbę o Devonie. Przyznanie się do niepłodności przed dziewczynami już i tak dużo mnie kosztowało. Kolejnego wstrząsu moja kobieca duma nie przetrzyma.

– Czemu mnie faceci nigdy nie zapraszają do takich fikuśnych miejsc? – naburmuszył się Ross.

– Bo za szybko im dajesz – mruknęłam, nadal gapiąc się na bilet w dłoni jak na trupa, którego trzeba się pozbyć.

– Ty też. I to bez randek.

– Możesz sobie wziąć ten bilet, jak chcesz.

Nie pójdę na żadną operę. Jestem zawałona robotą. Nie wspominając, że brakuje nam barmana.

Powtarzałam sobie, że Devon zrobił to z tych samych pobudek, co wszystko inne: żeby mnie zmanipulować i zbić z pantałyku. Pewnie uznał tę zabawę w randkowanie za dobry żart. Musiałam wyprowadzić go z błędu.

Belle: Cześć, Ty ślimakożerny miłośniku kamizelek i regat.

Niestety nie dam rady iść z Tobą na tę operę, ale po północy zapraszam do siebie i obiecuję wejść na równie wysokie tony – B.

Na to też nie odpisał.

Wieczorem wbiłam się w gorsetową kieckę z odstającym staniczkiem z marszczonej koronki i stanęłam za barem ramię w ramię z pozostałymi sześcioma pracownikami. Przez te wszystkie lata wytężonej pracy zapach własnego potu stał mi się tak dobrze znany, że się nim rozkoszowałam.

Serwowałam koktajle, kroiłam limonki i biegałam do magazynu po parasolki do drinków. Tańczyłam na barze, flirtowałam z facetami i laskami i parę razy zadzwoniłam dzwonkiem na konkurs z napiwkami.

W pewnej chwili burgundowa kurtyna nad sceną podniosła się, ukazując orkiestrę w smokingach. Wysokie ściany klubu wypełniły się jazzowymi dźwiękami, a na scenę wkroczyły dumnie tancerki w szpilkach i cekinowych sukienkach w kolorze szafwii. Na sali rozległy się gwizdy i oklaski. Złana potem, przystanęłam ze skrzyneczką parasolek w rękach, przyglądając się artystkom z uśmiechem.

Moja decyzja, by kupić Madame Mayhem, nie była przypadkowa czy impulsywna. Wypływała z mojego pragnienia pokazania światu, że

seksualność nie jest czymś grzesznym. Seks nie był brudny. Mógł być przypadkowy i nadal piękny. Moje tancerki nie były striptizerkami – klienci mieli trzymać od nich łapy z daleka pod groźbą wykopania z lokalu – ale same decydowały o swoim ciele i mogły robić, co im się żywnie podobało.

Według mnie właśnie w tym leżała prawdziwa siła.

Gdy wróciłam za bar, dochodziła już jedenasta. Wiedziałam, że muszę się zbierać, jeśli chcę wrócić do domu przed północą, by zdążyć jeszcze wziąć prysznic, ogolić nogi i zrobić się na bóstwo.

– Ross! – próbowałam przekrzyczeć muzykę, przechodząc po lepkiej podłodze do automatu z colą, by zrobić drinka dżentelmenowi w garniaku. – Za dziesięć minut się zmywam.

Ross pokazał mi podniesionego kciuka, drugą ręką przyjmując pięćdziesiątkę od opartej o bar biuściastej laski w jaskrawożółtym sportowym staniku.

Już miałam przyjąć zamówienie od grupki dziewczyn przepasanych szarfami à la wieczór panieński (z dumnymi napisami „Druhna”, „Czarna Owca” i „Pierwsza Game Overka”), gdy nagle czyjaś dłoń chwyciła mnie za nadgarstek i mocno ścisnęła.

Obróciłam się na pięcie, chcąc wyszarpać rękę, i stanęłam twarzą w twarz z właścicielem rzeczonyj dłoni. W jego oczach płonęła obietnica bolesnej i gwałtownej śmierci, a twarz miał tak poraną bliznami, że nie sposób było nawet określić jego wieku. Wytatuowany i od stóp do głów w czerni, w niczym nie przypominał naszej typowej klienteli.

Wyglądał jak diabeł z piekła rodem... i nie puszczał mojej ręki.

– Sugeruję, żebyś zabrał łapę, chyba że nie jesteś do niej szczególnie przywiązany – syknęłam przez zęby, bo się we mnie zagotowało.

Uśmiechnął się przerażająco. Nie to, żeby miał popsute zęby – wprost przeciwnie, wyszczerzył równiutki rząderek śnieżnobiałych, lśniących pereł jakby świeżo spod dentystycznej igły – a mimo to był cholernie niepokojący.

– Mam dla ciebie wiadomość.

– Jeżeli od szatana, niech przekaże mi ją osobiście, jeśli ma jaja – wycodziłam, wyrrywając rękę z jego uścisku.

Opuścił dłoń i tylko dzięki niezwykłej sile woli nie wbiłam w nią noża do limonek.

– Radzę ci posłuchać uważnie, Emmabelle, chyba że chcesz ekspressem przenieść się na tamten świat.

– Że co? – wykrztusiłam, parszcząc śmiechem.

– Jeśli nie chcesz...

Nie skończył, bo z mroków sali u mego boku zmaterializowała się nagle wysoka elegancka postać i odepchnęła tamtego jak szmacianą lalkę. Poorany bliznami napastnik runął na podłogę, a w moim polu widzenia pojawił się Devon w designerskim smokingu i z nażelowanym fryzem. W tym świetle jego wydatne kości policzkowe przypominały dwa ostrza. Stanął nad tamtym, przyglądając się swoim mokasynom, jakby potrzebowały czyszczenia.

– Przerwałeś mi rozmowę. – Pokazałam mu zęby.

– Jakże mi przykro.

– To tobie bywa przykro?

– Ogólnie? Tak. Ale nie wobec kobiet, które wystawiają mnie do wiatru.

Przechylił się przez bar, jednym szybkim ruchem przerzucił mnie sobie przez ramię i pomaszerował do wyjścia. Podniosłam głowę, spotykając się wzrokiem z oniemiałym Rossem, który znieruchomiał z butelką piwa w jednej ręce i otwieraczem w drugiej.

– Mam wezwać ochronę? Policję? Sama Brennana? – zawołał zza baru, przekrzykując muzykę.

Devon nawet nie zwolnił.

– Nie, nie trzeba, sama go ukatrupię. Ale spisz tamtego. – Wyciągnęłam rękę, żeby zlokalizować Scarface’a, ale niestety zdążył wyparować jak kamfora.

Nie stawiałam oporu. Wynoszenie z pracy po sześciu godzinach na nogach to jeszcze nie koniec świata. Zamiast tego przypuściłam atak werbalny.

– Czemu przebrałeś się za kelnera z wyższych sfer?

– To się nazywa smoking. Najzupełniej stosowny strój. Ale z tego, co się orientuję, ty wolisz facetów w pomarańczowych kombinezonach.

– Kto ci powiedział? Persy? – pisnęłam. – Spałam tylko z j e d n y m byłym skazańcem. I w dodatku siedział za piramidę finansową. To jak wyruchanie polityka.

– Czekałem na ciebie – przerwał mi lodowatym głosem.

– A po co? – wysapałam, opierając się pokusie uszczyknięcia go w tyłek. – Przecież dałam ci znać, że nigdzie nie idę.

– Nic z tych rzeczy – powiedział sucho, mocniej wbijając mi palce w pupę. – Szampan i bilety dotarły, a że się nie odezwałaś, uznałem, że opera aktualna.

Niemożliwe. Przecież mu napisałam.

Oj. Oj. Widocznie esemes nie dotarł. Mój operator miał bardzo słaby zasięg. Zwłaszcza w podziemnym bunkrze zwanym również moim biurem.

– Wysłałam ci esemesa. Pewnie nie doszedł. Myślisz, że to całe zgrywanie samca alfa mnie podnieci? – Prychnęłam. Bo, mówiąc szczerze, jeszcze jak podniecało. Ale w życiu bym się do tego nie przyznała.

Niemniej ten krótki pokaz szorstkiej męskości był piekielnie gorący.

– Nie wszyscy utrzymują się na powierzchni, robiąc show, moja droga Emmabelle. To, co o mnie myślisz, ani trochę mnie nie obchodzi. – Devon wymaszerował z klubu i owionął mnie chłód nocy. – Twierdzisz, że chcesz mieć dziecko, a potem lecisz się nachlać i zaharować. Przynajmniej jedno z nas wie, jak zabrać się do rzeczy, i tym kimś nie jesteś ty.

Co za bezczelny typ. Miał jeszcze czelność mnie pouczać. Gdybym rzeczywiście nie była odrobinę zawiana i nie leciała z nóg, tobym mu pokazała.

Otworzył drzwi od strony pasażera swojego ciemnozielonego bentleya, posadził mnie w środku i zapiął pasy.

– A teraz mów, kim był ten facet. Ten, który złapał cię za rękę.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, trzasnął drzwiami i obszedł auto. Gdy wsiadł za kółko, momentalnie owionął mnie jego zniewalający męski zapach.

– Nie mam pojęcia. Zamierzałam się właśnie dowiedzieć, gdy wparowałeś razem ze swoim kompleksem rycerza na białym koniu.

– Często ci się to zdarza? Mężczyźni nagabują cię w klubie? – Odpalił silnik i ruszył z piskiem opon w stronę mojego mieszkania.

Skubany pamiętał mój adres. Poczułam jakieś dziwne szmery w sercu. Tak, to na pewno były tylko szmery.

– A jak sądzisz? – wypaliłam.

– Sądzę, że pewne typy myślą, że mają prawo cię dotykać, bo pracujesz w klubie – odparł szczerze.

Prawdę mówiąc, dość często mi się to zdarzało. Zwłaszcza kiedy tańczyłam na barze albo dołączałam do tancerek na scenie. Ale umiałam wytyczać granice i stawiać co odważniejszych do pionu.

– Masz rację. – Wyszczерzyłam się. – Bez przerwy opędzam się od mężczyzn. Jak myślisz, skąd mam te maleństwa? – Pocałowałam swój biceps.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, otworzyłam schowek i zaczęłam w nim grzebać. Taki niewinny zwyczaj obliczony na sprowokowanie reakcji.

Sposób radzenia sobie ze złością dużo mówił o człowieku. Natrafiłam palcami na jakiś minerał z grawerunkiem i go wyjęłam.

– Nie podoba mi się to, czego byłem dziś świadkiem. – Ze spokojem Dalajlamy wyjął mi z rąk kamień i rzucił go między fotele.

– Nie może być! – Uderzyłam się otwartą dłonią w pierś, przechodząc na brytyjski akcent. – Boże drogi, muszę natychmiast z tym skończyć i zostać guwernantką albo zamknąć się w klasztorze. Co tylko każesz, milordzie.

– Jesteś nieznośna. – Zniecierpliwiony potarł dłonią po tej swojej idealnie rzeźbionej szczęce.

– A ty mieszasz się do nie swoich spraw – zakończyłam, wyławiając kamień, by się nim pobawić. – Sama dam sobie radę.

– Ledwie dajesz radę utrzymać się przy życiu. – Jego grobowa mina mówiła, że nie żartuje. On naprawdę tak myślał.

Na miejscu znów przerzucił mnie sobie przez ramię i wzgardziwszy windą, wbiegł po schodach do mojego mieszkania. Dziwactwo na dziwactwie dziwactwem pogania. Jak to możliwe, że żadna z jego miejscowych ultrafanek nigdy tego nie zauważyła?

– Tu jest winda. Postaw mnie, jaskiniowcu.

– Nie korzystam – uciął.

– Nie korzystasz z wind? – dopytywałam, rozkoszując się dotykiem jego muskułów.

– Zgadza się. Podobnie jak z wszystkich innych zamkniętych przestrzeni-pułapek.

– A auta? Samoloty? – No i to tyle, jeśli chodzi o moje fantazje o seksie z royalsem w przestworzach. Szkoda, że były takie ulotne. A także wyjątkowo sugestywne.

– Logika nakazuje inaczej, ale staram się ich unikać, gdy to tylko możliwe.

– Czemu? – Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Tak irracjonalna fobia zupełnie nie pasowała do człowieka, który był chodzącym racjonalizmem.

Jego pierś wstrząsnął stłumiony chichot i spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– To nie twoja sprawa, kochanie.

Gdy dotarliśmy na górę, ze zdumieniem odkryłam, że nie spieszy mu się, by zedrzeć ze mnie ciuchy i uprawiać wyuzdany, dziki seks.

Zamiast tego ze stylowej skórzanej aktówki wyjął plik dokumentów i położył je na stole, siadając. Ja z kolei rozwaliałam się na kolorowym fotelu, łypiąc na niego.

– Co ty robisz? – zapytałam, choć było jasne, że wyciąga tyle papierów, że zdołałby nimi okleić Statuę Wolności.

Nawet nie oderwał od nich oczu.

– Przygotowuję naszą umowę do podpisania. W międzyczasie zerknij sobie, co cię ominęło. *Cyganeria*.

Podał mi swój telefon, na którym zdążył włączyć filmik z opery.

– Jak wszedłeś? Przecież podesłałeś mi oba bilety.

– Drugi był na wypadek, gdybyś swój zgubiła, a w ogóle to wykupiłem cały rząd.

A to skurczybyk. To było seksowne jak cholera, ale jednocześnie wkurzające, bo świadczyło o jego nieufności wobec moich zdolności organizacyjnych.

Wyrwałam mu telefon z rąk.

– Skąd wiesz, że nie przejrzę twoich wiadomości?

– Skąd wiesz, że to nie telefon służbowy? – odparował.

Posłałam mu spojrzenie pod tytułem „jest mi to obojętne”. Bo, jak widać, różnica wieku między nami mi nie wystarczyła i musiałam zachować się jak nastolatka.

– Obejrzyj. – Wskazał brodą telefon, ewidentnie niewzruszony moimi zabójczymi spojrzeniami.

– Nagrałeś całość?

Niewielu ludzi było w stanie mnie zszokować, ale on był wyjątkiem. Zwykle to ja robiłam za skandalistkę.

Sięgnął po czerwony flamaster, zbyt pochłonięty lekturą dokumentów, by zwracać na mnie uwagę.

– Tak.

– Ale dlaczego? Przecież cię wystawiłam.

– A ja zaraz odwdziczę ci się za to w łóżku. Więc? – Nawet powieka mu nie drgnęła. – A teraz oglądaj i daj mi przejrzeć w spokoju te papiery.

I tak upłynęło nam czterdzieści minut: na oglądaniu opery i czytaniu umowy. Przez pierwsze dziesięć raz po raz na niego zerkałam. Cieszyłam się, że za chwilę znajdę się pod tym potężnym, wyrafinowanym człowiekiem. Ale po tych dziesięciu minutach zadziało się coś dziwnego. Tak jakby wkręciłam się w tę całą operę. *Cyganeria* opowiadała historię biednej szwaczki i jej przyjaciół artystów. Śpiewali po włosku i choć nie rozumiałam ani słowa, przeżywałam wszystko razem z główną bohaterką.

W tej muzyce była siła. Pociągała za moje sznurki, jakbym sama była marionetką na miniaturowej scenie.

W końcu Devon wyjął mi telefon z rąk i schował go do kieszeni. Nagle okazało się, że siedzi tuż obok mnie.

– Hej! – Spiorunowałam go wzrokiem. – Jak mogłeś, Mimi i Rodolfo właśnie postanowili zostać ze sobą do wiosny.

– Zakończenie jest fenomenalne – zapewnił mnie, wyjmując z aktówki drogie pióro. – Spodobałoby ci się, gdybyś ze mną poszła.

– Chcę je zobaczyć.

– Rozegraj dobrze swoje karty, to je poznasz. A teraz przejrzyjmy razem umowę.

– A potem? – Uniosłam brew, krzyżując ręce na piersi.

– A potem, moja droga Emmabelle – uśmiechnął się szelmowsko. – Zerznę cię do nieprzytomności.

Godzina i dwadzieścia trzy minuty.

Tyle czasu zabrało nam przejrzenie wszystkich klauzul przygotowanej przez Devona umowy. Następnie pokazał mi swoje badania – facet był czysty jak łąza – i zrezygnował z żądania ich ode mnie, by, cytuję, nie zaszkodzić atmosferze wzajemnego zaufania.

Ten prawniczy żargon był mi nawet w smak. Bo to był zwykły kontrakt, nic więcej.

Problem w tym, że gdy już skończyliśmy całą tę papierkową robotę, było grubo po północy i leżałam zwinięta w kłębek obok niego, ziewając w poduszkę. Nie zdążyłam nawet wyskoczyć ze swojej „roboczej” gorsetowej kiecki i wyglądałam jak średniowieczna prostytutka z zakusami na królewskiego syna.

– To jest twoja tajna broń? Wymęczyć i złamać kontrahenta? – wymruczałam w poduszkę, dzielnie walcząc z opadającymi powiekami.

Usłyszałam, jak wkłada papiery z powrotem do aktówki i ją zamyka.

– Między innymi. – Szczęka mu drgnęła i na twarzy pojawił się jakiś cień.

Zamknęłam na chwilę oczy.

– Hmm – odparłam, przytulając poduszkę i oplatając się wokół niej jak kotka. – Trafiła kosa na kamień. Mnie się nie da złamać.

– Miałaś kiedyś chłopaka? – zapytał.

– Nie.

– Tak myślałem.

– A ty? – zapytałam, odpływając.

– Chłopaka nie, ale parę dziewczyn tak. Choć żadna nie przetrwała dłużej niż pół roku.

– Tak myślałam – wybełkotałam, pochrapując sobie z cicha w pachę niczym rasowa kokietka.

– S z w e c j a. – Jego niski głos zawisł mi nad głową jak chmura burzowa. – No już.

– Jedziesz do Szwecji? – Zdążyłam obsłonić poduszkę, bo przykleiła mi się do policzka.

Zachichotał.

– Nie S z w e c j a, tylko S w e v e n.

– Aha. – Umilkłam. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale prowadziłam z nim rozmowę przez sen. – A co to?

– Sen, wizja. Coś, co przychodzi we śnie. Jesteś fantazją, Emmabelle. Zbyt dobrą, by być prawdziwą. Zbyt okrutną, by miała się ziścić.

– Brawo ja – wyjęczałam. Tylko żeby nie poprosił mnie o rękę. Byłam zbyt wyczerpana i niedospana, by nawet o tym myśleć.

– Pora na prysznic.

– Jutro – próbowałam negocjować.

– Już jest jutro – wytknął. – A wujek Google mówi, że twoje okienko owulacyjne trwa od dwunastu do dwudziestu czterech godzin. Wskakuj pod prysznic, bo musimy wywiązać się z umowy.

Płynnie i bezszelestnie wziął mnie na rękę jak pannę młodą i wyniósł z salonu. Wreszcie – pomyślałam, nie otwierając oczu. Niósł mnie do łóżka. Zrobimy to jutro albo pojutrze, albo...

Co, do...?

Czując na skórze igiełki lodowatej wody, momentalnie oprzytomniałam. Leżałam na posadzce kabiny prysznicowej, pod bezlitosnym obstrzałem dwóch strumieni. Rozejrzałam się w panice i dostrzegłam Devona za szklanymi drzwiami kabiny. Stał oparty wąskim biodrem o ścianę z podwiniętymi do łokci rękawami, pod którymi rysowały się seksowne, żylaste ramiona.

I z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

Wygrzebałam się z już zniszczonej, przemoczonej kiecki i cisnęłam ją w kąt kabiny.

– Zabiję cię! – Kompletnie naga i otrzeźwiona, zaczęłam wściekle drapać w kabinę niczym zmoknięta kotka, nabuzowana i gotowa do ataku.

W odpowiedzi doskoczył do drzwi i przytrzymał gałkę.

– Później. Ale teraz masz być czysta i przytomna.

– Gdy się stąd wydostanę, jedyną pieszczotą, na jaką możesz liczyć, będą moje pazury. – Obnażyłam kły.

Wcześniej nie był taki męczący. Przeszedł przeszczep osobowości czy co?

– Seks z wściekłą partnerką nie ma sobie równych. – Musnął kciukiem dolną wargę, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa.

– Ja tu zamarznię na śmierć! – spróbowałam negocjować.

– Napiszę ci piękny nekrolog.

– Nie możesz być aż tak bez serca! – Walnęłam pięścią w szybę.

– Ależ mogę. – Uśmiechnął się promiennie jak hostessa w restauracji z przewodnika Michelin. – A poza tym pod ciśnieniem wykuwają się diamenty.

– Puść gałkę.

– Najpierw się umyj.

– Albo co? – Ogarnęła mnie żądza krwawej zemsty, a mózg pracował na podkreślonych obrotach. Ja mu tego nie daruję. Nigdy.

– Albo innej wilgoci dziś nie zaznasz. I skończ już z tymi groźbami; oboje wiemy, że marzysz o tym, odkąd mnie wtedy wyrzuciłaś.

Na te słowa mimowolnie powędrowałam wzrokiem do jego spodni. I strzelistego namiotu domagającego się mojej uwagi. Spojrzałam mu w oczy.

– Przykro mi, kolego, ale żaden z naszych numerków nie dostał się do mojej pierwszej dwudziestki.

Jego usta wygięły się w uśmiechu – w komplecie z dołeczkami w policzkach.

– K ł a m c z u c h a.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł tanecznym, pewnym siebie krokiem. Korzystając z okazji, wyskoczyłam z kabiny i zatarasowałam mu drogę, wpychając z powrotem do łazienki i ochlapując wodą jego garniak.

– Nie tak szybko, wasza sryłość. Teraz twoja kol...

Nie zdążyłam dokończyć zdania, bo przycisnął mnie do ściany, bezlitośnie rozgniatając ustami moje wargi.

Jego silne dłonie wędrowały po moich plecach i pupie, a potem się na niej brutalnie zacisnęły. Naparł na mnie swoim twardym penisem, nabuzowany, zniecierpliwiony i wściekły. Oboje byliśmy tacy wygłodniali.

Oderwał usta od moich, namiętnie rozwierając mi wargi kciukiem.

– Już, już, Sweven. Nie złość się. Musiałem cię obudzić, zanim w ciebie wejde – i dotknąć przed odlotem do Anglii.

– Kiedy lecisz? – Wysunęłam język, by oblizać mu kciuk. Rozchylił usta i te jego oczy Adonisa zaszczyły mgłą.

Powędrowałam palcami do jego rozporoka. Moje ciało było takie rozpalone, tak gotowe na jego przyjęcie.

– Jutro?

– Po co?

– Interesy. – Nachylił się do moich piersi i zaczął skubać zębami sutek. Uśmiechając się do mnie, wessał go do ust.

– Ale co, jeśli nie zdążymy przed zamknięciem okienka owulacyjnego? – Odchyliłam głowę i z moich ust wyrwał się cichy jęk. Wplatając mu palce we włosy, poczułam, że znów zalewa mnie fala pożądania.

Usta Devona zadrgały.

– Obawiam się, że wtedy będziemy musieli przełknąć kolejny miesiąc rznięcia. Pamiętaj, masz pięć miesięcy, zanim porzucę twój słodki tyłeczek.

Jego penis wyskoczył ze spodni, a kłykcie zaczęły pocierać moją szparkę. Ale wiedziałam, że nie robi mi palcówki. To nie było w jego stylu. W łóżku był niespotykane poprawny, a jednocześnie zwierzęcy. To

dlatego miałam na jego punkcie taką obsesję. Moje ciało drżało z niecierpliwości tak jak wtedy, przed laty, gdy dopadł mnie w leśniczówce Cilliana, obiecując pięć orgazmów jednej nocy. Dotrzymał słowa. Z nawiązką.

Złapał swojego twardego fiuta i nakierował go na moją dziurkę, raz po raz uderzając łechtaczkę. Dysząc z podniecenia, oboje nie mogliśmy oderwać oczu od tego widoku.

Wsunął koniuszek w moją wilgotną jak nasączona gąbka cipkę. Powoli podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Uśmiechnęliśmy się do siebie i skinęłam głową, dając mu przyzwolenie.

Wsunął go do końca, złapał mnie za uda i zaczął ładować, przyciskając do zimnej ściany.

Ale nie dbałam o niewygodę.

Nie dbałam o to, że rżnie mnie w ubraniu.

Nie dbałam, że jest środek nocy i jęczałam tak głośno, że chyba pobudziłam mieszkańców Wisconsin.

Nie. Dbałam. O. Nic. Z wyjątkiem tych wspólnych chwil.

Rozkoszna świadomość, że znów miałam go w sobie, była niczym w porównaniu z poczuciem, że oto być może tworzymy nowe życie.

Doszliśmy razem, wstrząsani spazmem za spazmem. Było inaczej niż wtedy. Orgazm był fantastyczny, ale tym razem, gdy trysnął i poczułam w sobie lepłą, gorącą spermę, patrzyliśmy sobie z uśmiechem w oczy, drżąc w swoich objęciach. Było mi z nim jak w niebie.

Położył mnie delikatnie na podłodze i się odsunął. Czytałam gdzieś w czeluściach internetu, że trzymanie nóg w górze zwiększa szanse na zapłodnienie, i postanowiłam sprawdzić tę teorię.

– Cóż. – Kołysząc biodrami, sięgnęłam po szlafrok i owinęłam się nim, zawstydzona nagle swoją nagością i widokiem wypływającej ze mnie

spermy. – Dziękujemy za pańskie usługi. A teraz byłabym wdzięczna, gdybyś się stąd czym prędzej wyniósł – dodałam z tym samym udawanym brytyjskim akcentem, by zagrać mu na nerwach.

Spodnie miał wciąż spuszczone do kolan. Teraz spokojnie wkładał w nie koszulę, nigdzie się nie spiesząc.

– Jak wspominałem, zostaję w Anglii do końca tygodnia – zaczął, ale tym razem to ja przejęłam pałeczkę.

– Gościu, przecież mówiłam, że nie będziesz potrzebny do przyszłego miesiąca, jeśli w ogóle. Podziel się grafikami z kimś, kogo on obchodzi.

Wypchnęłam go do drzwi. W normalnych okolicznościach próba przesunięcia takiego wielkiego kłosa byłaby nie lada wyzwaniem, ale na szczęście z niezapiętymi spodniami stawiał mniejszy opór.

– Subtelnością dorównujesz wyliniałym dachowcom – stwierdził z niemałą satysfakcją.

– To nie ja wrzuciłam przysypiającą kobietę pod zimny prysznic. – Pchnęłam go znowu, a on udał, że chce ugryźć mnie w rękę.

– Niczego nie żałuję, Sweven. Seks z tobą to prawdziwa przyjemność.

– Jednorazowa – przypomniałam mu, otwierając drzwi za jego plecami i wypychając go za próg. – A tak na marginesie, nawet nie próbuj ziścić tego swojego sweven. My nie jesteśmy tacy.

Rechocząc na wpół ubrany na klatce schodowej i podskakując na jednej nodze, by wsunąć nogawkę spodni, posłał mi najbardziej uwodzicielski uśmiech, jaki w życiu widziałam. Powtarzałam sobie, że to łajdak i flirciarz, a pod tą ładną buźką kryła się bardzo brzydka reputacja wśród kobiet.

– Nie wiesz, jaki jestem. Ale wkrótce się dowiesz.

Devon

TAK SIĘ NIESZCZĘŚLIWIE ZŁOŻYŁO, że jednak zdążyłem na pogrzeb ojca. Ale nawet to nie mogło zgasić mojej radości na widok mamy i Cece.

Pierwotnie miałem zjechać dzień po pogrzebie, ale najwidoczniej postanowili go przyspieszyć, skoro kazałem im na siebie nie czekać. Załapałem się na ostatni akt, gdy spuszczano już trumnę do grobu.

Ojciec został pochowany pod opuszczonym kościółkiem za Whitehall Court Castle, w miejscu spoczynku swoich przodków. Pewnego dnia przypuszczalnie i ja do nich dołączę.

Mój dom rodzinny był gotycką fortecą ze średniowiecznymi wieżyczkami, granitami, marmurami i zatrzęsieniem okien łukowych, od frontu otoczoną ogrodem na planie podkowy i z opuszczonym kościołem na tyłach. W majątku były jeszcze dwie stodoły, cztery domki dla służby i wyrównana ścieżka prowadząca do lasu.

W bezchmurny dzień z dachu zamku widać było wybrzeże Francji. Nagle przed oczami stanęły mi wspomnienia z młodości, gdy do oporu wylegiwałem się tam na słońcu, jakbym tylko czekał, aż roztopię się w jego promieniach.

Zbliżając się do stłoczonej grupki żałobników w czerni, w myślach odhaczałem nazwiska z listy obecności.

Mama, elegancka i wytworna jak zawsze, raz po raz przykładała chusteczkę do nosa. Moja siostra Cecilia stała obok swojego męża, Drew

Hastinga, którego miałem okazję dobrze poznać podczas jego licznych wizyt w Stanach. Choć zabrakło mnie na ich ślubie w Kencie, podarowałem im piękne mieszkanie na Manhattanie, by mogli mnie regularnie odwiedzać.

Oboje byli wysocy, dość przysadziści i na pierwszy rzut oka wyglądali jak bliźnięta. Stali teraz ramię w ramię, ale prawie na siebie nie patrzyli. Mimo że ze względu na siostrę starałem się polubić Drew, jakoś nigdy nie mogłem się przekonać do tego bezbarwnego człowieka.

Choć pochodził z wielkiego rodu i był znakomicie ustosunkowany, w londyńskich klubach dżentelmenów uchodził za nudnego, ograniczonego prostaczka, który nie potrafiłby utrzymać posady, nawet gdyby go doń przykuć.

Tyły obstawiali bracia Butchart, obaj nalani i mocno nadgryzieni zębem czasu. Zupełnie jakby wszystkie te lata od naszego rozstania strawili na ostrym picciu i paleniu.

No i była jeszcze Louisa, ich siostra.

Jako trzydziestodziewięciolatka stała się całkiem miła dla oka. Miała krótkie, lśniące włosy, czarne jak moja dusza, szkarłatne usta i smukłą sylwetkę damy, okrytą teraz czarnym dwurzędowym płaszczem.

Taka kobieta byłaby dumą każdego mężczyzny z mojej sfery.

Abstrahując od tego, że musiałem odrzucić ją dla zasady, trzeba przyznać, że mogłaby uszczęśliwić kogoś takiego jak ja.

Wetknąłem w usta skręta i zapalając go, ruszyłem ku tej wielkiej, ziejącej dziurze w trawniku. Zatrzymałem się tuż za plecami Cecylii i nachyliłem się jej do ucha.

– Cześć, siostrzyczko.

Momentalnie się odwróciła i w jej okrągłych niebieskich oczach błysnęło zaskoczenie. Wbiłem wzrok w powoli znikającą pod bryłkami

ziemi trumnę. W jednej chwili poczułem na sobie wszystkie pary oczu. Nic dziwnego, ich właściciele pewnie wzięli mnie za hologram.

– Devvie! – Cecilia zarzuciła mi ręce na szyję, chowając twarz w zagłębieniu mojej szyi. – Tak się stęskniłyśmy! Mamusia powiedziała, że będziesz dopiero jutro.

Objąłem ją, całując w czubek głowy.

– Piękna, zawsze będę przy tobie.

Nawet jeśli to miałyby oznaczać uczczenie pamięci skurwiela, który mnie spłodził.

– O Boże, prawie dostałam zawału! – zawołała mama.

Podeszła do mnie chwiejnym krokiem, wbijając obcasy w rozmokłą ziemię. W powietrzu pachniało angielskim deszczem. I domem. Przytuliłem ją i uścisnąłem, całując lekko w policzek.

– Mamusiu.

Z niemałą satysfakcją kątem oka zauważyłem, że wokół nas zaczęli się tłoczyć zaciekawieni żałobnicy. Nawet podczas jego ostatniej drogi udało mi się przyćmić Edwina.

Mama odchyliła głowę, obejmując moje policzki skostniałymi dłońmi. W jej oczach szklily się łzy.

– Jesteś taki przystojny. Taki... taki w y s o k i! Po paru miesiącach niewidzenia cię zupełnie zapomniałam twoją twarz...

Mimowolnie wyrwało mi się coś pomiędzy pomrukiem a śmiechem. Z uporem godnym lepszej sprawy odmawiałem powrotu do Anglii za życia ojca i ja też prawie zapomniałem, jak bardzo mi ich brakowało.

– Jednak dotarłeś, znakomicie. – Drew poklepał mnie po plecach.

Nadal nie wypuszczając mamy z objęć, poczułem na ramieniu niepewny dotyk dłoni. Odwróciłem się do zaróżowionej, kruchej jak

żarówka Cecilii i jej nieśmiałego uśmiechu.

– Tęskniłam za tobą, braciszku – powiedziała cicho.

– Cece – jęknąłem niemal z bólem. Wypuściłem z ramion mamę i objąłem siostrę. Jej żółte kędziorki łaskotały mi nos. Ze zdumieniem odkryłem, że nadal pachnie zielonymi jabłkami, zimą i lasem. Niewesołym dzieciństwem naszpikowanym zakazami.

Poczułem dojmujące ukłucie żalu.

Praktycznie porzuciłem swoją młodszą siostrę i musiała radzić sobie sama.

Mama miała rację. Powrót do Anglii wskrzeszał stare wspomnienia i niezamknięte sprawy.

– Zostaniesz na trochę? – zapytała błagalnie.

– Na parę dni. – Pogłaskałem ją po włosach, zerkając ponad jej głową na Drew, który przestępował z nogi na nogę, ewidentnie kręcąc nosem na rywala do tytułu domowego samca alfa. – C o n a j m n i e j – dodałem znacząco.

Trzęsła się w moich objęciach i poczułem wzbierającą złość na samego siebie, że za mało interesowałem się jej życiem. W dzieciństwie bardzo mnie potrzebowała i zawsze przy niej byłem, ale w końcu rozdzieliła nas moja nienawiść do ojca i nie przyjechałem nawet na jej ślub przed trzema laty.

– Jesteś z nim szczęśliwa? – wyszeptałem jej do ucha, by nikt nie usłyszał.

– Ja... – zaczęła.

– Proszę, proszę – rzucił w ramach powitania Benedict, ciągnąc za sobą Byrona, i ścisnął mi ramię. – Myślałem, że prędzej świnię zaczną latać, niż zobaczą Devona Whitehalla z powrotem na angielskiej ziemi.

Oderwałem się od Cecilii, by uścisnąć im rękę.

– Wybacz, ale jedyne świnie, jakie widzę, stoją tu przede mną i wyglądają, jakby na gwałt potrzebowały odwyku.

Uśmiech zszedł mu z twarzy.

– Bardzo zabawne. – Zacisnął zęby. – Dla twojej informacji mam problemy z tarczycą.

– A ty, Byron? – Odwróciłem się do jego brata. – Jakie problemy przeszkadzają tobie wyglądać jak trzeźwy, funkcjonujący członek społeczeństwa?

– Nie każdy jest tak próżny, by przesadnie dbać o wygląd. Słyszałem, że dorobiłeś się grubych milionów. – Byron wygładził garnitur.

Skończyłem palić papierosa i rzuciłem niedopałek w stronę grobu.

– Radzę sobie.

– Ciężko wyrobić sobie markę na własnych dokonaniach, oj, ciężko. Znacznie łatwiej wybić się na nazwisku i tytułach. – Benedict zarechotał. – Tak czy siak, dobrze, że wróciłeś.

Sęk w tym, że wcale nie wróciłem. Byłem tu tylko „przejazdem”. Gościem w domu, z którym już dawno wziąłem rozbrat.

Zbudowałem życie gdzie indziej, nierozzerwalnie związałem je z Fitzpatrickami, którzy wzięli mnie pod swoje skrzydła. Z moją kancelarią, szermierką i uwodzonymi kobietami. Z nowym zwrotem akcji w osobie Emmabelle Penrose, dziewczyny, która miała więcej demonów niż ciuchów w szafie.

Otoczony zewsząd ciżbą domagającą się opowieści o moim amerykańskim śnie – o moich przyjaciołach, wspólnikach, klientach i podbojach – kątem oka zauważyłem tylko jedną osobę, która trzymała się na uboczu, po drugiej stronie świeżego płytkiego grobu.

Louisa Butchart przyglądała mi się spod rzęs z bezpiecznej odległości. Miała lekko wydęte usta i wyprostowane plecy, jakby chciała się pochwalić

dwoma nowymi nabytkami.

– Chodźmy. – Mama wsunęła mi rękę pod ramię, ciągnąc mnie w stronę zamczyska. – Jeszcze zdążysz porozmawiać z Lou. Najpierw muszę przedstawić cię nowej służbie.

Tylko że nie było o czym rozmawiać.

Po prostu: byłem jej winien przeprosiny.

Nic więcej.

Godzinę później siedziałem u szczytu długiego stołu w jednej z dwóch jadalni Whitehall Court Castle, otoczony rodziną i przyjaciółmi z dzieciństwa.

Ze zdumieniem odkryłem, że przez te wszystkie lata nic się tu nie zmieniło. Te same tartanowe dywany, rzeźbione drewniane meble, te same kandelabry i kwieciste tapety. Mury zamku były przesiąknięte wspomnieniami.

Jedz ten groszek albo wylądujesz w windzie.

Ale papo...

Żadnego „papo”. Mój syn nie wyrośnie na tłustego mazgaja jak bachory Butchartów. Masz zjeść ten groszek albo spędzisz noc w kozie.

Jak go zjem, to zwymiotuję!

Tym lepiej. To ci dobrze zrobi na tuszę.

Rozglądając się wokół, bardziej niż sobie współczułem jednak mamie i Cece. Ja przynajmniej miałem szansę wyjechać i zbudować sobie nowe życie, a one musiały zostać i znosić humory ojca oraz zaspokajać jego niekończące się wymagania.

– Devonie, opowiedz nam, jaki jest Boston. Naprawdę tak ponury i szary, jak mówią? – dopytywał Byron, przeżuując głośno zapiekanke

pasterską i pieczeń rzymską. – Pod tym względem podobno w niczym nie ustępuje Birmingham.

– Pewnie ci, którzy tak „mówią”, nigdy nie byli w żadnym z tych miast – odparowałem, połykając w całości kęs zapiekanki. – Ja wolę doświadczać wszystkich czterech pór roku i odwiedzać przybytki kultury. – Przez te ostatnie miałem rzecz jasna na myśli klub dla dżentelmenów Sama Brennana, w którym grałem w karty, robiłem interesy i paliłem cygaro za cygarem.

– A kobiety? – dopytywał Benedict przy piątym kieliszku wina. – Jak stoją w porównaniu do Angielek?

Spotkałem się wzrokiem z siedzącą po drugiej stronie stołu Louisą. Nie uciekła spojrzeniem, ale nie zdradzała też żadnych emocji.

– Kobiety jak to kobiety. Rozrywkowe i potrzebne, ale to zasadniczo kiepska inwestycja – odpowiedziałem leniwie. Chciałem podtrzymać image tamtego zepsutego kobieciarza, który uciekł do Stanów przed małżeńskimi okowami.

Benedict się roześmiał.

– Cóż, skoro wszyscy udają, że nie widzą słonia w salonie, to równie dobrze mogę wyjść przed szereg. Devonie, nie masz nic do powiedzenia naszej drogiej siostrzyczce, którą tak okrutnie porzuciłeś? Cztery lata na ciebie czekała.

– Benedikcie, d o ś ć – warknęła Louisa, zadzierając brodę. – Gdzie twoje maniery?

– A jego gdzie? – odparował słodkim tonem. – Ktoś musi domagać się wyjaśnień, skoro rodzice już nie mogą.

– Właśnie, gdzie są książę i księżna Salisbury? – zapytałem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że nie było ich na pogrzebie.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwało chrząknięcie mamy.

– Obawiam się, że nie żyją. Wypadek samochodowy.

Chryste. Czemu mi nie powiedziała?

– Moje kondolencje – powiedziałem, patrząc tylko na Louise. Jej bracia zatrzymali się na niższym szczeblu ewolucji, więc nie było sensu dzielić się z nimi jakimikolwiek uczuciami wyższymi.

– Zdarza się. – Byron machnął lekceważąco ręką. Jak widać, za bardzo zachłysnął się swoim nowym tytułem, by przejmować się jego ceną.

Po kolejnej chwili niezręcznej ciszy Benedict znów się odezwał.

– Bo wiesz, naopowiadała swoim przyjaciółkom, że do niej wracasz. Biedaczka zwiedziła chyba wszystkie sale zaręczynowe w Londynie.

Louisa gryzła policzek, bawiąc się kieliszkiem. Chciałem odciągnąć ją na stronę, by porozmawiać na osobności, przeprosić za tę całą aferę i powiedzieć, że przy okazji sam schrzaniłem sobie życie.

– Boże, pamiętasz? – zarechotał Byron, klepiąc brata po plecach. – Wybrała nawet pierścionek zaręczynowy. I namówiła ojca, by za niego zapłacił, bo nie chciała, żebyś pomyślał, że ma zbyt wysokie wymagania. Zrobiłeś ją w niezłego wała, stary.

– To nie było moim zamiarem – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, tracąc apetyt i chęć obracania się w takim towarzystwie. – Oboje byliśmy dziećmi.

– Uważam, że to sprawa między Devonem i Louisą. – Moja matka otarła serwetką kącik ust, choć nie został nań ani okruszek. – Nie ma potrzeby roztrząsać tego publicznie, w dodatku na stypie po moim mężu.

– A poza tym jest wiele ważniejszych kwestii do przedyskutowania – wtrącił Drew ze sztucznym podekscytowaniem, uśmiechając się do mnie promiennie. – Devonie, jestem ciekaw, co sądzisz o boomie hipotecznym w kraju? Ryzyko inflacyjne jest dość wysokie, nie uważasz?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej chwili Byron postanowił wznieść toast niczym despotyczny cesarz przy swoim stole biesiadnym.

– Błagam, rynek mieszkaniowy nikogo nie obchodzi. Rozmawiasz z ludźmi, którzy nie umieją nawet przeliterować słowa „hipoteka” i nigdy nie musieli jej spłacać. – Walnął kieliszkiem o stół i czerwone wino chlusnęło na biały obrus. – Porozmawiajmy lepiej o obietnicach, których Devon Whitehall przez te wszystkie lata nigdy nie spełnił. Względem naszej siostry. Swojej rodziny. I o tym, jak brutalna rzeczywistość wreszcie puka do drzwi Lorda Piękniśia, wymuszając szereg ustępstw dla ratowania resztek dawnego życia.

Louisa wstała, rzucając serwetkę na swoje nietknięte danie.

– Proszę wybaczyć. – Głos jej drżał, ale nie traciła zimnej krwi. – Kolacja była znakomita, pani Whitehall, w przeciwieństwie do manier moich braci. Ogromnie współczuję pani straty.

I z tymi słowy odwróciła się na pięcie i wyszła.

Spojrzeliśmy na siebie z mamą.

Wiedziałem, że muszę ugasić ten pożar, choć to nie ja podłożyłem ogień.

Ale najpierw musiałem uciszyć tych dwóch klaunów przy moim stole.

Spiorunowałem ich wzrokiem.

– To, że współczuję wam straty rodziców, nie znaczy jeszcze, że zamierzam tolerować w swoim domu takie teksty. Czy wam się to podoba, czy nie, ja jestem tu gospodarzem i to ja dobieram sobie gości. Przekroczyliście wszelkie granice, grając na nerwach swojej siostrze i mojej matce. Następnym razem spodziewajcie się za taką akcją kulki w tyłek. Może i jestem pozbawionym skrupułów łajdakiem, ale jak wszyscy wiemy, całkiem nieźle strzelam, a wasze tłuste dupska to łatwy cel.

Głupie uśmieški momentalnie spełzły im z ust, a ich miejsce zajął grymas niezadowolenia.

Wstałem i wybiegłem za Louisą. Moich uszu dobiegły jeszcze koślawe przeprosiny braci zwałających wszystko na wino.

Odnalazłem ją w mojej starej oranżerii, pośród egzotycznych roślin, przestronnych okien i powleczonego miętową farbą drewna. Bawiła się nerwowo bukietem kolorowych róż w starym, dziewiętnastowiecznym wazonie, prezencie od pewnego francuskiego wicehrabiego.

Ale zamiast muskać aksamitne płatki, dotykała kolców. Stałem w drzwiach jak zaczarowany. W tej chwili tak bardzo przypominała Emmabelle. Kobieta, którą bardziej pociąga ból niż rozkosz płynąca z piękna.

Ukłuła się w opuszek palca wskazującego i niespiesznie go cofnęła. Spokojnie zlizwała krew.

Zamknąłem za sobą drzwi.

– Louiso.

Nawet nie podniosła tej swojej łabędziej szyi.

– Devonie.

– Jestem ci winien przeprosiny. – Powiodłem palcem po drewnianym panelu, zbierając grubą warstwę kurzu. Chryste. W Whitehall Court Castle zawsze panował nieskazitelny porządek. Czyżby mama i Cece miały kłopoty finansowe?

– Mnie czy swojej rodzinie? – Wróciła do głaskania kolców.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Po tych wszystkich latach nadal zachowywała stoicki spokój.

Wszedłem dalej i owionęła mnie słodka, dusząca woń kwitnących kwiatów.

– I tobie, i im.

– Moje wybaczenie już masz. Nie mam w zwyczaju chować urazy. Choć nie odpowiadam za Ursulę i Cece.

– Nie mają o nic pretensji – odparłem sucho.

– Być może, ale od twojego wyjazdu posmutniały i są bardzo samotne.

W gardle stanęła mi gęsia skórka wyrzutów sumienia.

– Powiedz mi, co się dzieje w tym domu? – zapytałem, siadając na wprost niej na podłokietniku obitej zielonym aksamitem kozetki. – Bo odnoszę wrażenie, że robią dobrą minę do złej gry.

Zwłaszcza że gdy do mnie przyjeżdżają, zawsze umieszczam je w luksusowych apartamentach, zabieram do najlepszych restauracji i na zakupy do najdroższych butików.

– Pan Hasting jest doszczętnie splukany. Nie ma grosza przy duszy i nigdy nie dokładał się do kosztów utrzymania rodziny, co może stać się problemem teraz, gdy środki twojego ojca są zablokowane testamentem. – Zmarszczyła swoje delikatne brwi, dotykając kolców zranionym palcem. – Cece jest z nim bardzo nieszczęśliwa, ale mówi, że jest za stara, za brzydka i za nudna, by się rozwieść i znaleźć sobie innego. Wasi rodzice też nie byli idealnym małżeństwem i podejrzewam, że twojej matce samotność też bardzo doskwierała, zwłaszcza w ostatnich latach.

Wstałem, podszedłem do okna i oparłem się łokciem o szybę. Trawnik przemierzało właśnie stadko kaczek.

– Czy mama ma jakieś wsparcie?

Co ze mnie za syn, że muszę o to pytać?

– Od dawna nie pojawia się w towarzystwie i nie przyjmuje gości. Nic dziwnego, córka wyszła za głupca, a syn ma reputację największego bostońskiego playboya, więc nie ma się czym chwalić. Ale staram się ją odwiedzać, gdy jestem w Kencie.

Nawet serwując mi tę brutalną prawdę, unikała wrogiego, oskarżycielskiego tonu. Łagodna i uległa, była absolutnym przeciwieństwem Emmabelle Penrose.

– Cece nie ma dzieci. – Zadumałem się.

– Nie ma. – Stała przede mną, opierając pierś na mojej klatce. Dopiero teraz dostrzegłem, że wszystkie opuszki palców ma porane rankami. – Wątpię, by zainteresowania Hastingsa wykraczały poza hazard i polowania. Dzieci nie są na jego liście priorytetów.

Przycisnęła się do mnie jeszcze mocniej. Nie była już tamtą nieśmiałą dziewczyną błagającą o skrawek uwagi.

Teraz spróbuj uciekać – mówiły jej oczy. – Jeśli się odważysz.

Ale żadna komórka mojego ciała nie miała na to ochoty. Louisa była atrakcyjna i zainteresowana. Jednak ja nie potrafiłem zapomnieć o Sweven, która wkradła się w moje sny niczym złodziej, wypełniając je pożądaniem i namiętnością.

– A ty, Lou? – Położyłem jej dłoń na szyi i delikatnie odsunąłem, czując pod palcami, jak dostaje gęsiej skórki. – Słyszałem, że straciłaś narzeczonego. Wyrazy współczucia.

– No cóż. – Oblizała usta, wygładzając mi garnitur i uśmiechając się ponuro. – Można powiedzieć, że nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn.

– To, co nam szykowano, nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Ja byłem samolubnym draniem, który uciekł przed odpowiedzialnością, a ty niewinną ofiarą tego wszystkiego.

– Wiesz, nigdy nie chowałam do ciebie urazy – szepnęła spokojnym, opanowanym głosem. Zaskoczyła mnie; gdybym to ja był na jej miejscu, potoczyłyby się głowy. – Gniew nie ma najmniejszego sensu. I nie przynosi niczego dobrego.

– Piękna filozofia życiowa – stwierdziłem z posępnym uśmiechem. Gdyby nasi klienci też jej hołdowali, kancelaria poszłaby z torbami.

– Ale już wróciłeś. – Wbiła we mnie te swoje czarne oczy.

Zdjąłem sobie z piersi jej zimną dłoń i podniosłem do ust.

– Nie na długo. – Pokręciłem głową, przytrzymując jej spojrzenie. – Nigdy tu nie zostanę.

– Nigdy nie mów nigdy, Devonie.

Upchnąwszy pijanych jak bela braci Butchart do ich range roverów i poinstruowawszy szoferów, by się nie zatrzymywali, dopóki nie znajdą się po drugiej stronie wyspy, pocałowałem Louise na pożegnanie i obiecałem, że zadzwonię, gdy znów będę w kraju, której to obietnicy zamierzałem dotrzymać.

Po wyjściu gości zakradłem się do ogrodu i wypaliłem trzy skręty pod rząd, sprawdzając skrzynkę w telefonie z myślą o pewnej amerykańskiej złošnicy. Pusto.

Dziewczyna ma problemy, a i tobie daleko do zdrowia psychicznego. Wślizgnąłem się przez kuchenne drzwi z powrotem do ciemnego zamczyska, mijając Drew chrapiącego przed telewizorem w jednym z salonów i siedzącą w bezruchu przy fortepianie Cece.

Zerznij ją, zapłodnij i zapomnij.

Na każdym froncie sprawy przedstawiały się niewesoło.

Skręciłem do dawnego gabinetu ojca. Zastałem tam mamę siedzącą za jego wiktoriańskim biurkiem.

Była w swoim żywiole, notując coś na marginesach dokumentów i stukając w leżący obok kalkulator. Ten widok przypomniiał mi to, co wiedziałem od lat: że to właśnie ona jest szarą eminencją rodzowego dworu. Mój ojciec był hulaką z tytułem, a Ursula – nieodrodną córką swojego

przedsiębiorczego ojca. Tony Dodkin może i miał tylko tytuł hrabiego, ale był również geniuszem matematycznym i potentatem na rynku nieruchomości z prawdziwą smykałką do interesów. Mama się w niego wdała.

Od razu więc nasuwa się pytanie: jak to możliwe, że nie dostrzegła, iż ojciec mnie maltretuje? Ale po co rozdrapywać stare rany.

– Devvie, kochanie. – Westchnęła cicho, odkładając długopis i zadzierając głowę z uśmiechem niczym kwiat wznoszący się ku słońcu. – Siadaj.

Usiadłem na wprost niej, wpatrując się w portret wiszący za jej plecami. Papa i ja w wieku czterech–pięciu lat. Obaj mieliśmy tak skwaszone miny, jakbyśmy chcieli zaznaczyć, że łączy nas tylko DNA. Ostre nordyckie rysy i zimne oczy.

– W oranżerii jest pełno kurzu – powiedziałem z zaśpiewem.

– Czyżby? – Pośliniła palec, przerzucając kartkę dokumentu, który przed sobą trzymała. – Jutro powiem pokojówkom, żeby się przyłożyły do pracy.

– Masz kłopoty finansowe?

Wciąż wpatrywała się w kartkę ze zmarszczonymi brwiami.

– Och, Devvie, czy naprawdę musimy rozmawiać o finansach? To takie prostackie. Dopiero przyjechałeś. Zjedzmy w spokoju brunch, pojedźmy na wyścigi.

– Dobrze, mamusiu, ale najpierw muszę wiedzieć, czy jesteście zabezpieczone.

– Przeżyjemy. – Podniosła wzrok, uśmiechając się niepewnie.

– Kiedy dokładnie jest to odczytanie testamentu? Jutro czy pojutrze?

– Obawiam się... – Dopisała coś na kartce. – ...że będzie sporo opóźnienie.

– Jak to? Dlaczego? – Uniosłem brew.

– Pan Tindall przebywa obecnie za granicą.

Harry Tindall był zaufanym radcą ojca.

– I nie uznałaś za stosowne, by mnie o tym poinformować, zanim wsiadłem do samolotu?

Uśmiechnęła się w zamyśleniu, wpatrując się w moje włosy, jakby chciała pogłaskać swego małego synka po głowie.

– Powiedzmy, że nie mogłam się oprzeć pokusie, by cię wreszcie zobaczyć. Jestem tylko człowiekiem, wybaczn. – W jej oczach zaszklily się łzy.

To mnie udobruchało.

– Już dobrze, mamu, jestem przy tobie.

Sięgnąłem przez biurko i ścisnąłem jej wiotką dłoń.

– Przeleję ci pieniądze, żebyś miała na dom do ogłoszenia testamentu. – Usłyszałem swoje słowa.

– Nie, kochanie, nie mogłybyśmy przyjąć...

– Co też mówisz, mamu. Choć tyle mogę dla was zrobić.

Przed dłuższą chwilę tylko na siebie patrzyliśmy, odkrywając każdą nową zmarszczkę na naszych twarzach.

– Podobno Drew nie troszczy się tak, jak powinien, o szczęście Cecylii. – Rozwaliłem się w fotelu, kładąc nogi na biurko.

Mama sięgnęła po długopis i wróciła do pisania, przygryzając dolną wargę, jak to miała w zwyczaju, gdy musiała sprzątać po ojcu.

– Nie da się ukryć.

– Jak mogę pomóc?

– Nijak, szczerze mówiąc. Twoja siostra sama musi sobie z tym poradzić.

– Cece nie umie w te klocki. – Niedopowiedzenie stulecia. W dzieciństwie dzień w dzień ściągałem na siebie baty, ratując jej tyłek.

Mama zaczęła skubać wargę w zadumie.

– Mimo wszystko najwyższa pora, żeby wzięła się z życiem za bary. Najlepszym, co możesz dla mnie teraz zrobić, jest niedostarczanie prasie kolejnych skandalicznych nagłówków. Są nam zupełnie niepotrzebne.

W tej chwili mama wyglądała na tak złamaną i zmęczoną życiem, że nie miałem serca jej dobić. Nie teraz, gdy zabrakło jej nadziei na lepsze jutro.

Dlatego też nie mogłem jej powiedzieć, że zamierzam zrobić nieślubne dziecko rozrywkowej właścicielce klubu z burleską, która na dodatek świeciła tyłkiem z billboardów na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Poza tym Belle nie była jeszcze nawet w ciąży, więc co za sens chwalić się tym mamie? Sytuacja wyklaruje się za trzy do pięciu miesięcy, gdy ziemia na grobie ojca zdąży osiąść.

Nie ma potrzeby dorzucać matce zmartwień.

– Żadnych skandalicznych nagłówków... – Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – Obiecuję.

Devon

Devon: Owulacja nadal aktualna?

Belle: Po sześciu dniach? Wyglądam na afrykańską mrówkę?

Musiałem zasięgnąć informacji u wujka Google'a, który twierdzi, że przedstawicielka wyżej wymienionego gatunku składa przeciętnie trzy do czterech milionów jaj miesięcznie i jest uważana za najpłodniejsze zwierzę na ziemi.

Devon: Pod tym kątem nie bardzo, ale uklęknij z łaski swojej z wypiętym tyłeczkiem, żebym miał pewność.

Belle: A w ogóle to czemu pytasz?

Devon: Może wieczorny numerek poprawiłby nasze szanse?

Belle: Nie sądzę.

Devon: Czyli pewności nie masz.

Belle: Czekasz na zaproszenie?

Devon: Od takiej niewychowanej arogantki? Nie. Jestem już w drodze.

Belle: Gdy tylko zajdę w ciążę, koniec z tym.

Devon: Absolutny.

Belle: Mówię serio. Już czuję się przytłoczona Twoją obecnością w moim życiu.

Devon: Pewnie nie ma sensu pytać, skąd u Ciebie taka nienawiść do mężczyzn?

Belle: Nie, chyba że nie zależy Ci na szczerej odpowiedzi.

Devon: Rozumiem. Możesz być spokojna, że zmyję się z niego, gdy tylko powijesz.

Belle: „Powijesz”.

Belle: Boże, co za język...

Belle: Czekam w Madame Mayhem.

Devon: Podjeżdżam. Ściągaj majtki.

Po wylądowaniu na Boston Logan, nie zwracając sobie nawet głowy prysznicem, wskoczyłem w taksówkę i pojechałem prosto do Madame Mayhem, ufając w moc moich dobrych przyjaciół: dezodorantu i gumy miętowej.

Przez cały lot powrotny myślałem tylko o cipce mojej ponętnej złośnicy. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła się u mnie obsesja na punkcie Emmabelle Penrose, ale jeśli miałbym zgadywać, to powiedziałbym, że tym, co pociągało mnie w niej najbardziej, była ta jej bezkompromisowa niezależność. W przeciwieństwie do siostry i przyjaciółek nie uwiesiła się bogatego faceta i podobnie jak ja nie miała kompleksu jedynej singielki w towarzystwie.

Była wyszczekana, zawzięta i pewna siebie.

No i olśniewająco piękna.

W taksówce zrobiłem mamie hojny przelew. Gdy już miałem schować telefon do kieszeni, na ekranie wyskoczyła nowa wiadomość.

Nieznany numer: Jesteś jeszcze w kraju? Lou. X

Zanim wyszła ze stypy, wymieniliśmy się numerami, który teraz dodałem do kontaktów, nie chcąc po raz drugi bez słowa zniknąć z horyzontu.

Devon: Już w Bostonie, ale wracam na odczytanie testamentu. Lunch?

Louisa: I drinki.

Devon: Nigdy nie odmawiam.

Louisa: Super. Zatem powoli otwieram tego Remy Martina.

Wyskoczyłem z taksówki, ominąłem ogonek, rzuciłem bramkarzowi plik setek i wszedłem do środka.

Belle znów kręciła się za barem, serwując piwo i odrzucając do tyłu te swoje blond włosy. Była ubrana w coś na kształt kremowego obcisłego gorsetu i bordowe skórzane spodnie – wkrótce zedrę je z niej zębami.

Żegnaj, krucha obietnico przystopowania ze skandalami!

Nie odrywając od niej wzroku, ruszyłem prosto do baru, przeciskając się przez roztańczony, wstawiony tłum.

Była tak zajęta obsługiwaniem klientów, że w pierwszej chwili mnie nie poznała.

– Co podać, skarbie? – rzuciła z automatu, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

S k a r b i e.

Ta kobieta była plamą na honorze tego miasta. Co mi strzeliło do głowy, by próbować ją zapłodnić?

– Siebie na talerzu. Nagą, wypiętą i błagającą o rżnięcie.

Obróciła się na pięcie z szokiem wypisanym na pięknej twarzy, który po chwili przeszedł w uśmiech rozbawienia.

– Kończę za dwadzieścia minut. – Uwijała się dalej za barem, w przeciwieństwie do Louisy nie rzucając wszystkiego na jedno moje pstryknięcie.

– Nic z tego. Za góra dziesięć masz czekać na mnie w swoim biurze, goła jak cię Pan Bóg stworzył i w opisanej przeze mnie pozycji.

– A l b o? – Prychnęła, mierząc we mnie pistoletem barmańskim.

– Albo... – Wyrwałem go jej i wycelowałem prosto między piersi. – ... spędzisz tę noc ze swoją Magiczną Różdżką – wyszeptałem jej do ucha.

– Ona przynajmniej nie składa obietnic bez pokrycia – odparowała.

Wcisnąłem spust, wlewając jej w dekolt dietetyczną colę. Z wypchanego stanika trysnęły bąbelki. Pisnęła, odpychając mnie za bar.

– Co ty wyprawiasz, dupku?

– Stawiam ci się, w przeciwieństwie do tych wszystkich żalonych mydłków, których bierzesz sobie do łóżka – odparłem sucho.

– Odmawianie mi za karę seksu nazywasz stawianiem się? – Wybuchnęła histerycznym śmiechem, sięgając po ściereczkę, by osuszyć dekolt. – Chyba się naćpałeś, gościu. Wystarczy, że pstryknę palcem i chętni zlecą się jak muchy do miodu.

– Nie przeczę, ale to nie seksu chcesz, Sweven, tylko dziecka, które mogę dać ci tylko ja. – Cofnąłem się, spoglądając na zegarek. – Mam wideokonferencję z Tokio. Do zobaczenia za dziesięć minut.

– Zapłacisz mi za to – warknęła, ciskając ściereczką w bar.

Rzuciła za mną jeszcze parę gróźb, ale Joanne zdążyła mnie już połączyć z kontrahentami. Załatwiłem się z nimi w cztery minuty i puściłem maila do prawnika ojca z pytaniem o datę odczytania testamentu. Ogarnęły mnie jakieś złe przecucia. Mama i Cece na pewno miały kłopoty.

Dla zasady potrzymałem Emmabelle jeszcze osiem minut w niepewności i dopiero wtedy bezceremonialnie wparowałem do jej

gabinetu. Czekala na mnie w wymarzonej pozie i z rozpuszczonymi włosami na zawalonym papierami biurku. Golutka i na czworakach, wypinajac tylczek do drzwi.

Gdy szczeknela klamka, blyskawicznie odwrócila glowe.

Cmoknałem z dezaprobatą.

– Pupa do góry, wzrok w ścianę.

– Już od roślin doniczkowych słyszałam sprośniejsze teksty, ale za dobrze się bawię, żeby cię wyrzucić. – Odwróciła się z powrotem do ściany.

Przekręciłem klucz w zamku i niespiesznie wszedłem dalej. Jędrny tylczek miała apetycznie wypięty, a różowa szparka lśniła wilgocią. Była gotowa na moje przyjęcie, ale nie miałem zamiaru się spieszyć.

Zatrzymałem się tuż przed nią, w milczeniu napawając się widokiem jej idealnych kształtów. Emmabelle Penrose olśniewała taką urodą, że gdyby tylko chciała, nigdy nie musiałaby pracować. Bez trudu mogłaby sobie złowić bogatego męża. Jednak tego nie zrobiła.

– Jesteś tam jeszcze? – marudziła.

Jej celowy brak manier bawił mnie, choć u wszystkich innych działał mi na nerwy.

– Cierpliwości. – Musnąłem kłykciami jej pośladek. Momentalnie zadrzała, wyginając się w łuk, jakbym wepchnął w nią kutasa.

– Nie każ mi dłużej czekać – jęknęła. – Zmajstruj mi wreszcie tego dzieciaka.

– Z przyjemnością. – Wgryzłem się delikatnie w jej tylczek jak w słodką brzoskwinkę.

Rozwarłem kciukami jej falbanki i zacząłem skubać ustami jej cipkę, drażniąc ją czubkiem języka. Wiedziałem, że tak najszybciej doprowadzę ją do szaleństwa.

– Aaaaaa... – wysapała, opuszczając głowę między drżące ręce.

Przycisnąłem ją lekko do biurka, rozwarłem jej nogi i zacząłem ją nieprzytomnie lizać. Spijając jej słodycz, patrzyłem, jak odrzuca głowę, dławiąc jęki rozkoszy, by zrobić mi na złość.

Kolana się jej trzęsły, a ciało płonęło jak pochodnia.

– O Boże, o Boże, tak – mruzczała jak kotka.

Panie i panowie, przyszła matka mojego dziecka.

– Milaaady – sarknąłem przeciągle, wbijając palce w jej pupę i jeszcze bardziej podkreślając tempo. Doszła tak nagle, że po wszystkim opadła bez sił na biurko.

– Jasna cholera. – Przycisnęła spocone czoło do blatu. – Szybko poszło. Jak nigdy.

– Lepiej, że tobie, a nie mnie. – Klepnąłem ją protekcjonalnie w pupę.

– Chryste, stary! Co to za szatańskie sztuczki? To było mocne.

Nie zaszczycając jej odpowiedzią, przekręciłem ją na plecy i przyciągnąłem do siebie, oplatając się jej nogami w pasie.

Rozpięła mi sprzączkę paska. Jej skwapliwe ruchy mówiły mi, jak bardzo się cieszy z mojego powrotu na amerykańską ziemię.

– Czy ty się kiedyś rozbierzesz do seksu? – zakpiła, zataczając językiem koła na mojej szyi.

– To ty chciałaś trzymać mnie na dystans. – Mój znudzony ton nie był w stanie ukryć gigantycznej erekcji, którą uwolniła z moich spodni. Ani podniecającej adrenaliny krążącej w moich żyłach.

– No tak. – Roześmiała się.

Jeszcze chwilę się z nią podroczyłem i wszedłem w nią jednym szybkim ruchem.

Jęknęła przeciągle.

Było mi w niej jeszcze lepiej niż poprzednim razem, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Oto cały problem z Emmabelle Penrose. Smakowała jak grzech śmiertelny, a ja, osławiony grzesznik, nigdy nie umiałem się oprzeć pukającej do drzwi pokusie.

Doszła znowu, zanim zdążyłem się w nią spuścić. Po wszystkim zwałem się na nią, zdyszany i wyczerpany lotem, jet lagiem i seksem.

– Stary – wysapała po chwili. – Jesteś strasznie ciężki, złaź.

Zwlokłem się z niej i usiadłem na krześle przed biurkiem, tym razem odmawiając natychmiastowego wyjścia jak pospolita dziwka.

Musiałem przecież wyrobić sobie jaki taki autorytet w oczach tej dzikiej pannicy.

Położyłem bezczelnie nogi na jej zagraconym biurku i zapaliłem skręta, rozsiadając się wygodnie.

– Nie zapytasz, jak udała mi się podróż? – Wydmuchnąłem w górę dym, patrząc, jak wiruje w powietrzu.

Zeskoczyła ze stołu i zaczęła ubierać się pod lampą, niezrażona jej zimnym, niezbyt łaskawym światłem.

– Nie. Nie obchodzi mnie, kogo i gdzie pukasz.

– Mój ojciec umarł. – Zignorowałem jej wulgarne słownictwo.

Znieruchomiała, przykładając sobie pięść do ust, jakby chciała cofnąć swoje słowa.

– Ale palnęłam. Tak mi przykro, Devonie.

– A mi nie – odparłem sucho. – Niemniej dziękuję.

– Jak... eee... się trzymasz? – Wsunęła nogę w nogawkę swoich skórzanych spodni.

– Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, że nienawidziłem go każdą komórką ciała.

– Dziwne, że Cillian czy Sam nie puścili pary z gęby – powiedziała, przyglądając się bacznie mojej reakcji.

Cwana bestyjka. Oboje wiedzieliśmy, że nie dzielę się z kumplami szczegółami życia osobistego. Pewnie nie mogła pojąć, dlaczego ze wszystkich ludzi postanowiłem się zwierzyć właśnie jej. Ja zresztą też. W rankingu współczujących słuchaczy plasowała się o oczko niżej od Antarktydy.

– Moje życie osobiste to moja prywatna sprawa – rzuciłem, wypuszczając kółka dymu i „przebijając” je strzałkami.

– Mimo wszystko... – Odrzuciła włosy na plecy, podeszła do mnie i oparła się o biurko. – Utrata rodzica zawsze jest trudna. Nawet, a niekiedy zwłaszcza, gdy nie żyło się z nim w zgodzie. Przypomina nam o własnej śmiertelności. Życie jest ciężkie.

– Podobnie jak twoje biurko uginające się pod tymi wszystkimi papierzyskami – stwierdziłem, zmieniając temat. – Czemu tu wygląda jak po wybuchu w Office Depot?

Parsknęła śmiechem.

– Jestem bałaganiarą. Witaj w moim świecie, Devon.

– To nieprawda. – Ściągnąłem nogi z biurka i zacząłem przerzucać pogniecione i zaplamione koperty. – Jesteś bardzo łośna i zmotywowana. Twój wizerunek zdobi wielgaśne bilbordy i masz biznes, który mogłabyś w każdej chwili sprzedać i żyć sobie wygodnie z kapitału. Ale na twoim biurku walają się sterty nieotwartej korespondencji. Oświecisz mnie?

Dla podkreślenia moich słów machnąłem jej przed nosem naręczem zaadresowanych ręcznie kopert wyglądających na prywatne listy. Sweven wyrwała mi je z ręki i wyrzuciła do kosza między nami. Jej twarz wykrzywiła się w wiedźmowatym grymasie i wyczułem, że trafiłem w czuły punkt.

– A z jakiej paki? To nie rachunki; w przeciwieństwie do dinozaurów trzymających się kurczowo faktów, płacę je online. I nie są od przyjaciół, bo oni po prostu dzwonią. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego badziewia jest od turbokonserwatystów pragnących mnie poinformować, że będę się smażyć w piekle za prowadzenie klubu z burleską. Więc po co mam to czytać?

– Wszystkie te listy są od hejterów? – dopytywałem.

– Do ostatniego. – Podniosła inny plik i otworzyła pierwszą z brzegu kopertę. Odchrząknąwszy, zaczęła czytać teatralnym głosem:

Szanowna panno Penrose,

nazywam się Howard Garrett i jestem sześćdziesięciodwuletnim mechanikiem z Telegraph Hill. Piszę do Pani w nadziei, że zdołam nakłonić ją do powrotu na ścieżkę przyzwoitości, gdyż uważam Panią za jedyną winowajczynię zepsucia i spszedajności – błąd ortograficzny – naszej młodzieży.

Moja wnuczka znalazła w lokalnej gazecie reklamę Pani przybytku ze zdjęciem nagich kobiet i postanowiła go odwiedzić. Trzy dni później przysłała do mnie i oznajmiła, że jest lesbijką. Zbieg okoliczności? Nie sądzę. Homoseksualizm to, jeśli Pani nie wie, akt wojny przeciwko Bogu...

– Czytać dalej? – Oparła brodę na kłykciach z miną niewiniątka. – Czy wystarczy?

– Brzmi jak list od jaskiniowca.

– Może jesteście sąsiadami. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Ale tu są całe góry listów. Naprawdę wszystkie są od zdewociałych starych pryków, którym przeszkadza seks? – Nie ustępowałem.

Belle była jedną wielką puszką Pandory i problemów. Jej zajęcie, osobowość, zachowanie. A jednak nie umiałem się wycofać z naszego układu.

– Naprawdę. – Marszcząc brwi, wyjęła mi papierosa z ust, zaciągnęła się i go oddała. – Jestem już dużą dziewczynką. Potrafię o siebie zadbać.

– Oddanie się pod czyjąś opiekę to nie grzech.

– Wiem. – Puściła mi oko z szelmowskim uśmiechem. – Gdyby nim był, już dawno bym go popełniła.

– A wiesz, że istnieje ptak o nazwie trzewikodziób, który wygląda identycznie jak Severus Snape?

– A ty, że jelonkowiec błotny to Bambi z wąsami? – Wyszczrzyła się i ot tak całe napięcie między nami wyparowało.

Nagle jej telefon rozświetlił się na zielono, tańcząc na biurku. Wyciągnęła szyję, by zobaczyć, kto dzwoni, po czym westchnęła ciężko i odebrała.

– Hej.

Zeskoczyła z biurka i zaszyła się w kącie ciasnego gabinetu, szukając odrobiny prywatności. Było widać, że mnie tu nie chce, więc oczywiście rozsiadłem się jeszcze wygodniej.

– W porządku, dzięki. A u ciebie? – zapytała zdawkowo.

Byłem zdumiony jej uprzejmością i grzecznym tonem. Damski miotacz ognia w jednej chwili zgasł, a jego miejsce zajęła jakaś kompletnie obca osoba.

Stała przed kolekcją fotek przyczepionych do tablicy korkowej pod oknem, bawiąc się z roztargnieniem kolorowymi pinezkami. Z daleka wyglądały na zdjęcia jej rodziny, ale pewności nie miałem.

– Nie przeszkadzasz. A coś się stało? – zapytała i umilkła, słuchając swojego rozmówcy, po czym zaśmiała się ze skrzepowaniem. – Powiedz jej, że przyjmuję zaproszenie. Jakie wino przynieść?

Cisza.

– Tak, na pewno wszystko gra. Po prostu jestem w pracy.

Cisza.

– Zajęta.

Znów cisza.

– Tak, kupiłam ci cały sprzęt na ryby. Nie, nie musisz oddawać mi kasy, jesteśmy rodziną. Wezmę ze sobą.

Coś w jej rozmowie z tajemniczym ktosiem zmroziło mi krew w żyłach. Miałem wrażenie, że się ode mnie oddala, wymyka mi się z rąk. Odbierając ten telefon, zrzuciła starą skórę jak wąż.

W końcu się rozłączyła, poprawiając z roztargnieniem włosy.

– Kto to był?

– Mój tato. – Podeszła do drzwi, otwierając je na oścież i wskazując wyjście brodą. – Wynocha.

– Twoi rodzice wciąż są razem? – zapytałem, nie spiesząc się. Od czasu do czasu widywałem ich na imprezach rodzinnych typu ślub Cilliana i Persy czy chrzciny ich synów, ale nigdy się im nie przyglądałem. Można powiedzieć, że byli tak nudni jak ich córka fascynująca.

– I żyją długo i szczęśliwie. – Tupnęła niecierpliwie. – Ale tę bajkę mogę opowiadać wyłącznie przyjaciołom. Skończyliśmy na dziś, Devonie. Won stąd.

Wstałem leniwie, żeby zrobić jej na złość, po raz milionowy zachodząc w głowę, na co mi to wszystko. Owszem, Belle była piękna, inteligentna i silna, ale również okropna dla mnie i każdego faceta, z którym się spotykała. Nie dało się jej zmiękczyć. Nawet gdy byliśmy razem, miałem wrażenie, że trzymam w ramionach pustą skorupę.

– Czego nie można powiedzieć o ich córce – rzuciłem z przekąsem, ruszając do drzwi.

Zastawiła mi drogę z bolesnym, jadowitym uśmieszkiem.

– Ojej, zapomniałam wspomnieć: żadnych rozmów o rodzinie, Devvie.

Uśmiechnięty od ucha do ucha – mogła mnie nie prowokować – odwróciłem się na pięcie i podszedłem do tablicy, przyglądając się jej ze zmrużonymi oczami.

Uwielbiałem uderzać w piętę achillesową, by wyciągać z ludzi prawdę. Nie chciałem jej tego robić – w końcu nie była klientem – bo mimo wszystko ta kobieta potrafiła wciskać wszystkie moje guziczki. A nie było ich wiele.

Dobrze zgadłem – Emmabelle powiesiła tu fotki całej swojej rodziny: matki, siostry, siostrzeńców, a nawet swojej rudowłosej przyjaciółki, Sailor.

Brakowało tylko ojca.

– Chyba trafiłem w dziesiątkę z tym kompleksem tatusia, Sweven – rzuciłem przez ramię, wracając.

– Cóż, jak widać, nie tylko mnie można go przypisać. Trochę za bardzo ucieszyło cię zejście twojego.

– Impreza jutro. Włóż coś kolorowego – odparowałem.

– Wow. Nie jestem wróżką, ale widzę w twojej przyszłości wiele godzin terapii, stary.

– Jestem zadowolony ze swojego zdrowia psychicznego, dziękuję bardzo. A ty, moja droga, skrywasz jakiś pikantny sekret, który mam zamiar odkryć.

Jak zwykle trzasnęła za mną drzwiami.

Jak zwykle zaśmiałem się pod nosem.

Dopiero w domu zauważyłem odwet Belle za oblanie jej dekoltu zimną colą.

Koniec końców była to miła niespodzianka.

Znoszone damskie majtki z różowej koronki w przedniej kieszeni spodni.

Rozsiadając się w gabinetowym fotelu, wyciągnąłem je z uśmiechem. Odchyliłem głowę, napawając się ich zapachem – aż mi stanął. Gdy położyłem je sobie na twarzy z jękiem rozkoszy, wypadła z nich jakaś karteczka.

Podniosłem ją.

Hej Dev,

właśnie obwąchałeś jajka mojego kolegi Rossa.

Mam nadzieję, że Ci się podobało.

Sweven

Belle

Lat czternaście

– **OBRZYDLISTWO** – oznajmiam światu, bo tylko tak można nazwać widok twoich własnych rodziców obłapiających się jak para nastolatków na przednim fotelu hondy accord wagon.

Persy raczej nie podziela mojego niesmaku, bo wzdycha romantycznie obok mnie na tylnym siedzeniu.

– *Niech się całują.*

– *Nie, twoja siostra ma rację. Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce. – Tata odkleja się od mamy, dając jej ostatniego całusa w ramię, i kładzie ręce na widoku, czyli kierownicy.*

Na domiar złego (jakby mało mi było oglądania wymiany śliny między rodzicami) stoimy właśnie w ogonku do okienka na wynos. Momentalnie tracę apetyt.

Niedzielne burgery i milkshaki to nasza wieloletnia rodzinna tradycja. Co tydzień zatrzymujemy się po nie w drodze do Piers Park, gdzie wciągamy tłuste frytki, oglądając bostoński taniec świateł.

Postanowiłam sobie, że gdy za tryliard lat wyjdę za mąż, będę kontynuować z rodziną tę prześwietną tradycję.

Auto przed nami odjeżdża i nadchodzi nasza kolej. Tata odsuwa szybę, wyjmuje zwitek banknotów ze swojego wytartego portfela i macha nimi przed dzieciakiem w okienku.

– Proszę. I za następną osobę w kolejce.

Robi tak co tydzień.

Płaci za klienta za nami.

Czasami to samotna matka w gruchocie.

Czasami, tak jak dziś, hałaśliwa grupka studenciaków. Wszystkie szyby ich buicka LeSabre są odsunięte, a ze środka wydobywa się słodkawa woń ziola.

– To bardzo miłe z pańskiej strony. – Kasjer nachyla się, podając mu brązowe torby z naszym zamówieniem.

Mama parska zduszonym śmiechem.

– Każdy akt dobroci się liczy. – Tata przewiesza rękę przez jej oparcie. Patrzy na nią z zachwytem, jakby to była ich pierwsza randka, i stara się zrobić wrażenie. Chciałabym, żeby trener Locken tak na mnie patrzył.

Raz było nawet blisko.

Locken prowadzi nasze treningi na bieżni i w biegach przełajowych, a tak się składa, że jestem gwiazdą tej przeciętnej drużyny. O dołączeniu do niej nawet nie myślałam, dopóki w dziewiątej klasie nie przyszedł do nas na lekcję, błagając, żebyśmy się zapisywali.

Minęło już parę tygodni i chyba zaczyna mnie zauważać. Tamten półuśmiech dowodem.

Przełom ów nastąpił w zeszłym tygodniu na stołówce podczas jego dyżuru. W swojej niebieskiej wiatrówce z emblematem szkoły, spodniach khaki i młodzieżowych trampkach wyglądał naprawdę luzacko. Był dużo wyższy od wszystkich chłopaków, nawet tych z ostatniej klasy, miał kilkudniowy zarost i dołeczki w policzkach.

– Przestań się na niego gapić – zbeształ mnie mój najlepszy przyjaciel Ross, nachylając się konspiracyjnie nad stolikiem. – To dorosły facet.

– Jakby tobie to kiedykolwiek przeszkadzało. – Rzuciłam w niego frytkę. Przed dwoma tygodniami przyznał mi się, że jest gejem. Nie powiem, abym była zaskoczona. W końcu oboje wzdychaliśmy do Channinga Tatuma w Magic Mike’u. – Popatrzyć zawsze można. Przecież nie dotykam towaru. – Wymierzyłam w niego marchewczką.

– Na razie. – Nachylił się i ją ugryzł. – Ty zawsze dostajesz to, czego chcesz. Aż strach się bać.

Zerknęłam ukradkiem na trenera, a on nagle się do mnie uśmiechnął.

Promiennie.

Już miałam wstać i do niego podejść, ale w tej samej chwili na stołówkę wparowała reszta drużyny. Sami faceci. Dziewczyny też biegały, ale byłam od nich o niebo lepsza, więc trener przeniósł mnie do chłopaków. Im też dawałam wycisk, ale przynajmniej miałam z kim się ścigać.

Klapnęłam z powrotem na ławkę, przeklinając ich w duchu. Nie mogli zobaczyć mojej rozmowy tête-à-tête z Lockenem. Jeszcze by pomyśleli, że mam u niego fory.

– Wróć do Jezusa. – Na widok mojego tęsknego spojrzenia Ross pokręcił głową.

Ze Steve’em Lockenem jest niestety jeden problem.

A w zasadzie dwa, jeśli wziąć pod uwagę, że ma dwadzieścia dziewięć lat i jest moim nauczycielem.

Otóż jest również żonaty.

– Belly-Belle? Wsiadka. – Tata odwraca się w fotelu i klepie mnie w kolano. Aż podskakuję, wyrwana ze snów na jawie. A tak. Niedzielny wypad z rodzinką. Wyglądam przez okno; jesteśmy na miejscu.

Jutro poniedziałek, czyli poranny trening w lesie.

Czyli parę pięknych godzin z trenerem Lockenem.

Czyli raj na ziemi.

– Spójrzcie tylko na jej rozmarzoną minę. Ach, ta młodość – komentuje tata. – O czym tak rozmyślasz, słoneczko?

– O niczym. – Odpinam pasy.

O wszystkim, dodaję w duchu, wysiadając.

Belle

TEST OWULACYJNY, na który wywaliłam kupę kasy w Walgreens, okazał się równie potrzebny, co krem do opalania na długich wakacjach w tropikach.

Gdyż przez ten miesiąc po powrocie Devona uprawialiśmy seks codziennie. Tak na wszelki wypadek, rzecz jasna.

A w zasadzie dwa razy dziennie, co było zupełnie niepotrzebne, ale nie mogłam odmówić sobie tej przyjemności. Wiedziałam, że to się utnie, gdy już zajdę w ciążę, więc pomyślałam sobie: czemu nie?

(Tak się składa, że odpowiedź na to pytanie można znaleźć na stronkach medycznych. Podobno ilość i jakość plemników leci na łeb na szyję, gdy pary robią to codziennie. Ale ponieważ my parą nie byliśmy, więc to nas nie dotyczyło, prawda?)

Spotykaliśmy się rano, po jego treningu szermierki i przed pracą. Albo na przerwie obiadowej. Albo po prostu w ramach spalania kalorii robiłam sobie dłuższy spacer i zachodziłam do jego biura, by się przywitać.

No i jeszcze nocami, po mojej pracy.

Pukaliśmy się w każdej możliwej pozycji i o każdej porze.

Devon zawsze był czarujący, miły i powściągliwy.

Nie przeszkadzały mu moje małe dziwactwa, nawet gdy celowo bywałam nieznośna, tak dla przypomnienia, że nie nadaję się do ożenku.

Równocześnie przerażało mnie jego zdystansowanie. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto miał tak fatalny kontakt z własnymi emocjami.

Z jego rozmów telefonicznych, których czasami byłam świadkiem, wywnioskowałam, że czeka na ważną wiadomość z Anglii. Coś o spadku i testamencie. Ciągle wisiał na telefonie z matką. Słodził jej i słodził; mogłam się tylko cieszyć, że taki facet będzie ojcem mojego dziecka.

Nawet z siostrą rozmawiał spokojnym, kojącym głosem, na którego dźwięk uginały się pode mną kolana. Na swój sposób to było okrutne z jego strony. Przy takim ideale dziewczyna może z łatwością opuścić gardę. Na szczęście nie miałam zamiaru być tą dziewczyną.

Mili faceci to wciąż faceci. Nie zbliżaj się za bardzo.

Choć starałam się ze wszystkich sił trzymać go na dystans, wiedziałam, że tu i ówdzie poznaje skrawki mojego świata. Mojej historii. Mojego życia rodzinnego.

I to mi się nie podobało.

Tak więc gdy po czterech tygodniach naszego układu zajrzałam w kalendarzyk i odkryłam, że okres spóźnia mi się o dzień, wpadłam w euforię przemieszana z przerażeniem.

Istniała szansa, że jestem w ciąży. Z markizem.

Wstrzymałam się z testem ciążowym jeszcze dwa dni, co dla mojej silnej woli było herkulesowym wysiłkiem.

Powstrzymywał mnie głównie strach. Bałam się, że wynik będzie negatywny – co, jeśli hormony dały plamę – albo, co gorsza, pozytywny – dziecko! Nie umiem zająć się dzieckiem! Ledwie dawałam sobie radę z fretką! A i to była porażka, bo w końcu oddałam ją Aisling.

Wreszcie trzeciego dnia zebrałam się na odwagę, pomaszerowałam do Walgreens i kupiłam wypasiony test ciążowy. Taki z elektronicznym

wyświetlaczem zamiast kresczek i wszystkimi bajerami.

Ale w drodze do kasy oświeciło mnie, że nie ma nic bardziej przerażającego. Każda babeczka, która go kupowała, miała jasno sprecyzowane oczekiwania co do wyniku. Cięża to nie pełnoziarniste pieczywo, nie można mieć do niej neutralnego stosunku.

Albo b a r d z o chce się w niej być, albo b a r d z o nie chce.

Nie ma nic pomiędzy.

Gdy kasjerka go zeskanowała, zauważyłam, że zerka na mój nagi palec serdeczny, unosząc krytycznie brew.

Zgadza się, w żyłach mojego dziecka będzie płynąć królewska krew, Karen.

– Człowieka może oblecieć strach, co nie? – zaświergotałam, uśmiechając się promiennie.

– Zależy od sytuacji – odparła z nagłym ożywieniem.

– Na szczęście moja nie jest taka zła. Muszę tylko ustalić, kto jest ojcem.

Zbladła. Roześmiałam się. Zgarnęłam torebkę z testem i pobiegłam do pracy. Zamknąwszy się w toalecie, próbowałam nie myśleć o tych wszystkich tygodniach seksu z Devonem na gabinetowym biurku, fotelu i podłodze.

Kucając nad sedesem, by nasiusić na patyczek, postanowiłam się rozerwać grupowym chatem z dziewczynami.

Zawsze był superaktywny, więc wystarczyło włączyć się do rozmowy.

Sailor: Hunter chce wyskoczyć na lato do Cancún. Piszecie się?

Persy: Pewnie! Podaj tylko datę, to powiem Cillianowi, żeby zarezerwował sobie termin w kalendarzu.

Aisling: Co do mnie i Sama, to chcieliśmy polecieć na parę tygodni do Szwajcarii. Muszę odwiedzić klinikę.

Persy: A tak, Cillian wspominał coś o Zurychu i spotkaniu z bankierami.

No proszę, środek zimy, a moje laski już robiły plany na lato.

Sailor: A ty, Belle? Masz ochotę na drinki przy basenie z Fitzpatrickami?

Bella: O niczym tak nie marzę jak o byciu piątym kołem u wozu, ale biznes się sam nie poprowadzi.

Sailor: Widzę, że do kogoś tu przyjechała ciotka. Pamiętaj tylko, że złość piękności szkodzi, Belle.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo przestrelała. A przynajmniej miałam taką nadzieję.

Persy: Nie daj się namawiać, @BellePenrose.
Przepracowujesz się. My stawiamy.

Nie chciałam, żeby mi „stawiano”. Chciałam być tak niezależna, by nigdy nie musieć liczyć na niczyją łaskę. Moja siostra, niepoprawna romantyczka, nie potrafiła tego pojąć. Pozwalanie, by ktoś się o nią zatroszczył, przychodziło jej z łatwością, bo to leżało w jej naturze. Nawet za Cilliana tak naprawdę nie wyszła dla pieniędzy.

Belle: Jesteś kochana, ale serio mam kupę roboty.

Persy: Cóż, próbowałam.

Sailor: Bez obaw, jeszcze ją przekonamy. Siła złego na jednego.

Belle: Jak za studenckich czasów, ech.

Aisling: Dziewczyny, macie smaka na kanapkę z Belle?

Belle: Bardzo śmieszne.

Spojrzałam na znacznik czasu z początku konwersacji i zdałam sobie sprawę, że minęło już sześć minut.

Biorąc głęboki wdech, podniosłam test z umywalki i zamknęłam oczy.

Będzie dobrze.

Jesteś w ciąży.

Robisz to z mężczyzną, który przeniósłby góry, by postawić na swoim, a teraz chce dziedzica.

Przekręciłam test i otworzyłam oczy.

CIAŻA.

Wstrzymałam oddech tak gwałtownie, że chyba wyszałam cały tlen z pomieszczenia. Miałam ochotę skakać z radości i jednocześnie trzęsłam się ze strachu.

Byłam w ciąży.

Będę matką.

To naprawdę się działo.

Może. Problem jest nie z zajściem, tylko z donoszeniem, pamiętasz? – ostrzegął głos w mojej głowie.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co ze sobą począć. Zaczęłam się nerwowo przechadzać po ciasnej toalecie, ale w końcu stanęłam przed lustrem nad umywalką i uszczypnęłam się w policzki, wrzeszcząc w myślach jak Macauley Culkin w *Kevin sam w domu*.

Będę.

Matką.

Ja.

Nikogo już nie potrzebuję.

Oprócz tego dziecka. Będziemy tylko ono i ja. Wreszcie będę miała kim się opiekować, kto zastąpi w moim życiu Persy, którą odebrał mi Cillian.

Wzięłam się w garść, cyknęłam fotkę testowi i podesłałam ją Devonowi. Komentarz był zbędny. Chciałabym zobaczyć jego minę!

Na ekranie pojawiły się dwa niebieskie „ptaszki” oznaczające, że odczytał.

I... nic.

Minęło dziesięć sekund.

Dwadzieścia.

Po trzydziestu zaczęłam się denerwować.

Co z tym człowiekiem jest nie tak?

Zaczęłam wystukiwać zaprawionego przekleństwami esemesa, żeby zmyć mu porządnie głowę, gdy nagle na ekranie pojawiło się połączenie przychodzące.

DEVON WHITEHALL

Odchrząknęłam, przyjmując jego irytująco obojętny ton.

– Co tam?

– Tworzymy świetny duet, Sweven. – W słuchawce rozległ się jego perlisty śmiech, wstrząsając mną do głębi. Serce zabiło mi szybciej.

Nie spodziewałam się tego wybuchu radości. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się po tym zimnym Adonisie żadnych emocji.

– Cóż, w końcu włożyliśmy w to masę czasu i wysiłku – rzuciłam z przekąsem.

– Zwłaszcza mój wacek, nie zapominaj o nim. – Usłyszałam, jak zapala papierosa.

– Jakże mogłabym o nim zapomnieć. Będę o nim opowiadać wnukom, kiedy ty już dawno będziesz gnił w ziemi, pochowany obok swojego ukochanego faksu.

– Faks woli kremację. Chce, by jego prochy rozsypać nad oceanem, a jak wiesz, nie potrafię mu niczego odmówić. – Czego jak czego, ale pokręconego poczucia humoru to mu nie brakowało.

– Dziecko – wyszeptałam, kręcąc głową. – Dasz wiarę?

– Jeszcze do mnie nie dotarło – zachichotał. Ale nie sprawiał wrażenie tak przytłoczonego tymi rewelacjami jak ja. – W każdym razie interesy z tobą to czysta przyjemność. – W tle coś zaszeleściło. – Naturalnie od dziś zacznę ci przelewać dwadzieścia tysięcy miesięcznie. W drugim trymestrze przegadamy sprawę domu dla ciebie i urządzenia pokoiów dziecięcych. No i oczywiście oczekuję cotygodniowych raportów, wedle umowy.

Eee... Okej...

Technicznie rzecz biorąc, nie powiedział nic złego. Wprost przeciwnie. Zapowiedziałam mu przecież, że gdy tylko zajdę w ciążę, nasze zbliżenia dobiegną końca, a on tylko trzymał się kontraktu, który podpisaliśmy tamtej nocy, gdy wystawiłam go do wiatru.

Ale nie mogłam pozbyć się poczucia, że zostałam odstawiona na boczny tor jak zużyty sprzęt.

Sama chciałaś na niego wskoczyć. Dosłownie o tym marzyłaś.

– Jasne. – Ziewnęłam ostentacyjnie, udając, że jego biznesowy ton wcale mnie nie rusza. – Może być mailem? Wysyłałabym faksem, ale nie mam siedemdziesiątki na karku.

– Może być mailem. Powinniśmy też ustawić cotygodniową rozmowę telefoniczną.

To już lepiej.

– Niech ci będzie.

Co było ze mną nie tak, do diabła? To pewnie hormony. Bo jakby tego było mało, postanowiłam uczcić sukces tortem dorównującym mi wagą. Muszę teraz przecież jeść za dwoje, mimo że rozwijający się we mnie mały człowiek na razie jest mniejszy od ziarenka ryżu.

– Joanne, moja sekretarka, ustali z tobą wszystkie szczegóły.

To już gorzej.

– Wygląda na to, że czekają mnie cotygodniowe wizyty u lekarza, bo moja macica odmawia współpracy i mam cysty na jajnikach.

Muszę to dopisać do profilu na Tinderze, gdy już wrócę na rynek. Niezły ze mnie kasek, co?

– Sweven... – zaczął Devon. Ten głupi przydomek był jak miód na moje serce. – Przysięgam, że będę takim ojcem, jakiego to dziecko potrzebuje. Lepszym niż nasi.

Ta obietnica z kolei była jak kubeł zimnej wody. Wręcz lodowatej. Nigdy ani słowem się nie zająknęłam na temat mojego ojca. Do wysnucia totalnie błędnych wniosków wystarczyła mu tamta dwuminutowa rozmowa telefoniczna, którą podsłuchał.

Między mną a tatą wszystko grało.

Jak najbardziej.

W przeciwieństwie do tej angielskiej zimnej ryby, która odetchnęła z ulgą, gdy jej stary kopnął w kalendarz, ja zapłakałabym nad grobem swojego.

Nie chcąc jeszcze bardziej się zdradzić, zaśmiałam się chrapliwie.

– Mów za siebie, Devon. Mój tato jest w pytę.

– Może i jestem starym prykiem, ale przynajmniej nie używam rysztkowego słownictwa.

– To znaczy jakiego? – zapytałam wyzywająco.

Parsknął cichym śmiechem.

– Niezła próba.

– Co powiesz na moment zen? – zaproponowałam pojednawczo. – Pogadajmy o zwierzęcych dziwadłach. Widziałeś kiedyś tenrekowca pręgowanego?

– Nie przypominam sobie.

– Wyglądają jak wyblakłe skunksy z odrostami, które się właśnie obudziły po nocnej hulance zaprawionej ecstazy.

– A markury? – zapytał. – Wyglądają jak kobiety z reklam BabyLiss. Miłego dnia, Sweven. Dzięki za dobre wieści.

Gdy się rozłączyliśmy, przesłałam wiadomość doktorowi Bjornowi, pytając, czy mam zadbać o coś jeszcze oprócz wysypiania się, prawidłowego odżywiania i wszystkich tych rzeczy, o których czytałam codziennie we wszystkich artykułach o ciąży.

Drżącymi z podekscytowania palcami otworzyłam nasz dziewczynski czat. Wiedziałam, że jest jeszcze za wcześnie, by się pochwalić, zwłaszcza że to ciąża wysokiego ryzyka, ale nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności.

Belle: Muszę wam coś powiedzieć. Jutro w Boston Common?

Aisling: Jasne.

Persy: Chyba wiem, o co chodzi, i już skaczę ze szczęścia.

Sailor: Dozo.

Nie potrzebowałam Devona.

Miałam swoje Bostońskie Ślicznotki.

Belle

Lat czternaście

PIERWSZY RAZ JEST NIEWINNY.

Jeśli w ogóle można go tak nazwać.

Rok szkolny rozkręcił się na dobre – klasówki, prace domowe, dziewczynskie koterie. Uciekam jak najdalej od tego białego szumu, skupiając się na tym, co ważne: bieganiu, chronieniu Persy i Sailor przed szkolną przemocą oraz fantazjowaniu o trenerze Lockenie i jego ustach.

Podczas jednego z naszych katorżniczych treningów czuję nagle ukłucie bólu w kolanie.

Ponieważ nie jestem z tych, co łatwo się poddają, zaciskam zęby i biegnę dalej. Ale gdy Locken dmucha w gwizdek, który wiecznie tkwi w jego ustach, przystaję i kuśtykam w jego stronę z resztą psów gończych. Próbuję ukryć kuśtykanie, bo zrozumiałam coś ważnego o ludzkiej naturze: pokazując słabość, spodziewaj się błyskawicznego ataku.

– Kurde, stara. To wygląda paskudnie. – Krzywi się Adam Handler, wskazując brodą moje kolano. Patrzę na nie, nie zatrzymując się. Istotnie, „kurde”. Jest obrzęknięte i całe czerwone.

– Nic mi nie jest – warczę, momentalnie przechodząc do defensywy. – Prawie nie czuję.

– Co się dzieje, Penrose? – pyta pan Locken łagodnym tonem, którym nigdy nie zwraca się do chłopców, biorąc się pod boki. Nikt się temu

specjalnie nie dziwi, bo niby czemu? W końcu jestem jedyną dziewczyną w drużynie, więc alibi jak się patrzy.

Tylko że ja znam prawdę.

Taką, że ostatnio ciągle wodzi za mną wzrokiem.

A ja nie pozostaję mu dłużna.

Wiem, że to złe. Że jest żonaty. A jego żona jest w ciąży. Nie jestem głupia. Ale nie zamierzam posuwać się dalej. Po prostu schlebia mi jego uwaga, to wszystko. Na swój pokręcony sposób wmawiam sobie nawet, że wyświadczam jej przysługę. Dopóki jest we mnie wpatrzony, nie ma szans dać upustu żądom. Przynajmniej jej nie zdradzi.

Wiem, to durne. Nie znam kobiety i nie jestem jej nic winna. A poza tym może to tylko moje chore urojenia. Może Locken wcale nie wodzi za mną wzrokiem.

– Nic takiego, trenerze. – Uśmiecham się, zaciskając zęby z bólu, żeby mu pokazać, jaka jestem twarda.

– Jakoś nie wygląda. Proszę bliżej.

Wykonuję polecenie. Cała drużyna niezgrabnych wyrostków tłoczy się wokół mnie. Wszyscy się krzywią, pokazując na moje kolano.

„Oho, robi się gorąco”, jak mawia mój tato.

Trener Locken przyklęka, przyglądając się mojej nodze ze zmarszczonymi brwiami. Czuję na skórze jego gorący, wilgotny oddech i przechodzi mnie rozkoszny dreszcz.

– Zaczekaj w moim gabinecie, przyniosę ci lód.

– Naprawdę nie trzeba, wszystko gra – protestują moje durne usta, choć mózg każe im się zamknąć i wykorzystać okazję. To byłoby nasze pierwsze tête-à-tête.

– Nic nie będzie grało, jeśli na resztę sezonu trafisz na ławkę z kontuzją, pozbawiając drużynę gwiazdy i siebie stypendium sportowego – rzuca przez ramię, zapędzając chłopaków do szatni.

Kuśtykam do jego kanciapy na końcu korytarza. Drzwi są otwarte. Siadam przed biurkiem i wreszcie pozwalam sobie na jęk bólu.

Z nudów zaczynam się rozglądać. Półki uginają się od książek o bieganiu, pucharów i fotek trenera ze słynnymi sportowcami. Na jasnobrązowym drewnianym biurku stoi jego zdjęcie zaręczynowe z żoną. Całują się na jakiejś łące, a ona wyciąga rękę do obiektywu, pokazując pierścionek z brylantem. Jest drobną brunetką i sprawia wrażenie... dobrej, miłej osoby. Nie tak ją sobie wyobrażałam i nagle dopadają mnie wyrzuty sumienia za te wszystkie fantazje na temat jej męża.

Jestem taka głupia. Powinnam natychmiast wstać i wyjść.

I rzucić w diabły to cholerne bieganie. Siatkówka bardziej mi leży.

Już kładę dłonie na podłokietniki, żeby się dźwignąć, gdy on wchodzi do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Jest wyższy, niż pamiętałam. Większy. Wypełnia sobą cały ten gabinet. Przypomina mi mojego ukochanego tatę, tyle że w wersji chłopięcej.

Siadam z powrotem. Tylko spokojnie.

Rzuca mi woreczek z lodem.

– Przyłóż.

Robię, co każe. Zimno przynosi natychmiastową ulgę i wydaję z siebie kolejny jęk.

– Mam nadzieję, że stypendium jest tego warte. Nawet nie lubię biegać.

Śmieje się i ku mojemu zdumieniu przyciąga sobie krzesło, siadając na wprost mnie. Serce wali mi jak oszalałe.

– I jak? – pyta niskim, chrapliwym głosem.

– Już dobrze. – Czuję się taka młoda, głupiutka i dziecinna. Chciałabym powiedzieć coś wyrafinowanego, żeby spadły mu kapcie. I by zrozumiał, że nie jestem już dzieckiem.

– Niech spojrzę. – Klepie się zachęcająco w udo.

Gapię się na niego, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Bo chyba nie o...

– Połóż mi stopę na kolanach. Muszę oszacować straty.

Wykonuję jego polecenie, pęczniejąc z dumy. Na bank nigdy nie zaproponował tego żadnemu chłopakowi z drużyny.

Jego uda są muskularne i twarde jak skała. Moja noga wygląda przy nich jak patyk pokryty niemal niedostrzegalnym blond meszkiem.

Nachyla się, ściągając mi z kolana swój woreczek lodu, i marszczy brwi.

– Nie wygląda lepiej.

– Ale już nie boli – kłamię.

– Pokręć nogą.

Próbuję. Nic z tego. To znaczy nie do końca, ale boli jak cholera.

Trener wzdycha z rezygnacją.

– Trzeba poprawić krążenie. Mogę? – Podnosi swoje piękne dłonie, spoglądając na mnie wyczekująco.

Chce mnie dotknąć? Serio?

– Krew musi dopływać do kolana – tłumaczy.

No tak. Ogarnij się, dziewczyno! To takie żenujące.

Przełykam ślinę, wpatrując się w te jego brązowe oczy.

Przypomina trochę Matthew Brodericka z Wolnego dnia Ferrisa Buellera. Taki słodki gamoń, któremu możesz zaufać, bo świat patrzy mu na ręce.

Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiem swojej reakcji. Przecież to żadne molestowanie, bo dosłownie prosi mnie o zgodę. Gwałciciel po prostu by się na mnie rzucił. Doszukuję się w tym nie wiedzieć czego.

Kiwam głową, nie odrywając od niego oczu, gdy zaczyna masować mi kolano. Zupełnie niewinnie. Jestem w wieku, w którym dziewczyny interesują tylko pieszczoty i całowanie, a penisy nadal są odstręczające. Po prostu... leżeć, mały. Nie musisz stawać na baczność jak rura striptizerki za każdym razem, gdy laska ściąga stanik.

Zaczyna ugniatać kolano kciukami i ból prawie ustępuje. Czuję, jak pod jego palcami moje mięśnie się rozluźniają.

– Lepiej? – pyta.

Kolejne skinięcie. Przetykam ślinę, gapiąc się na jego palce. Na obrączkę. Na zwinne dłonie, które masują mnie teraz pod kolanem, i mimowolnie chichoczę, bo mnie łaskocze.

– Masz bardzo napięte mięśnie. – Marszczy brwi.

Ta jego cholerna obrączka pali mi skórę przy każdym dotyku. Czemu się nie wstrzymał z tym ślubem? Gdyby zaczekał do mojego dyplomu – cóż znaczą cztery lata wobec wieczności – moglibyśmy być razem.

– Musimy popracować nad elastycznością, Penrose. Twoje mięśnie się kurczą. To pewnie genetyczne.

– Mam to po mamie. – Bo przecież nie po ojcu.

Jego palce wędrują w górę, na moje udo, i nagle przestaje być tak niewinnie. Czuję przyjemne mrowienie, ale w gardle z nerwów staje mi gula.

– N-no – wyjąkuję, próbując zagadać niezręczną ciszę. – Muszę wprowadzić więcej rozciągania do wieczornej gimnastyki.

– To ważne.

Pod jego palcami moje nogi zamieniają się w plastelinę. Przestaję się nawet wstydzić swojego blond meszku.

– Boże, jak dobrze. – Odrzucam głowę i z gardła wyrywa mi się jęk.

Chichocze.

– Masz szczęście, że jesteś utalentowaną biegaczką, Penrose. Nie każdy dostępuje takiego zaszczytu.

Ale czy naprawdę zawdzięczam go tylko talentowi?

Muska palcem brzeżek moich szortów przy kroczu. Już mam odskoczyć, ale mnie uprzedza, odsuwając się i wstając. Uśmiecha się nieśmiało, acz spokojnie, patrząc mi prosto w oczy.

– Już lepiej?

Czerwona jak burak, chwytam woreczek z lodem i podrywam się z krzesła.

– Lepiej.

– Daj znać, jeśli znów będę mógł pomóc. O każdej porze. Czasami nawet diamenty potrzebują małej polerki.

Jeszcze tego samego dnia robię nalot na łazienkę taty w poszukiwaniu maszynki i golę sobie starannie całe nogi.

Od tamtej pory zaczynam chodzić do trenera na regularne masaże, wmawiając sobie, że to wszystko dla stypendium.

Belle

NASTĘPNEGO DNIA spotkałam się z Aisling, Sailor i Persy w Boston Common. Wszystkie trzy pojawiły się z wózkami, potomstwem i trzema groszami do dorzucenia w mojej sprawie.

Cały ten kram przypominał mi, że wkrótce będę musiała porzucić świat stringów i nocnych klubów na rzecz bambusowych wkładek dla karmiących matek, śliniaczków i powijaków.

Wózki moich przyjaciółek genialnie odzwierciedlały ich osobowości.

Sailor pchała spacerówkę. Czarną, sportową i praktyczną.

– Bestseller – pochwaliła mi się raz, gdy byłam w świetnym humorze i udawałam, że mnie to obchodzi.

Persephone była zaopatrzona w wypasiony jasny „bliźniak” od Bugaloo dla Astora i Quinn, choć temu pierwszemu przypięła smycz i puściła go luzem jak pijaną chihuahę.

A Aisling wybrała luksusowy, klasyczny wózek Balmoral od Silver Cross. Cała ona. Ambrose pasował doń jak ulał. Zakutane w ciepłe płaszcze, spacerowałyśmy alejką lipową, mijając Freedom Trail oraz pomniki poległych żołnierzy i marynarzy.

Po chłodnym niebie płynęły blade chmury niczym nieprzerwany strumień japiszonów spieszących rano do pracy.

– A wiedzieliście, że w siedemnastym wieku publicznie powieszono tu za czary niejaką Ann Hibbins? – poinformowała nas Sailor, pchając wózek

z Xanderem.

– Chryste, Sailor. – Aisling się przeżegnała, spoglądając na nią kątem oka. – Idealna ciekawostka na dobry początek dnia.

Persy parsknęła śmiechem. Poczułam ukłucie smutku w piersi. Devonowi by się to spodobało, ale przecież nie mogę ot tak podrzucać mu historyjek, bo jak by to wyglądało? Sama chciałam, żeby komunikacja między nami ograniczała się do tematu dziecka, i muszę się tego trzymać. Beznadzieja.

– No dobra! – zawołała Persephone. – Polowania na czarownice to czarujący temat, ale Belle chyba ma nam coś do powiedzenia.

– Dzięki za płynny przeskok, siostrzyczko.

Ponieważ jako jedyna nie miałam wózka do pchania, trzymałam na smyczy małą Rooney, córeczkę Sailor, która postanowiła zboczyć ze ścieżki w pogoni za gołębiami. Wyglądała jak miniaturowy pijaczek szukający zaczepki. Jak dla mnie bomba.

– To świeża sprawa, ale muszę się wam pochwalić: jestem w ciąży. – Wskazałam na swój brzuch.

Dziewczyny wyhamowały i rzuciły się na mnie jak jeden mąż, piszcząc i podskakując z radości. Nieświadomi niczego Rooney i Astor oczywiście też musieli się przyłączyć do świętowania, płacząc się nam pod nogami, obejmując mnie i popiskując „ciociu Belle, ciociu Belle!”.

Śmiejąc się z lekkim zażenowaniem, pozwalałam się ścisnąć i przytulać. Do rodziców zadzwonię wieczorem. Nie będą zachwyceni, że urodzę nieślubne dziecko, ale chyba zdążyli już obniżyć oczekiwania wobec swojej starszej córki. Wiedzieli, że jestem przeciwniczką małżeństwa, i nie mieli złudzeń, że pójdę w ślady siostry.

– Zamknęliście się z Devonem na miesiąc w łazience czy co? Szybko poszło! – Sailor wróciła do porzuconego wózka, a w jej zielonych oczach

tańczyły iskierki radości.

– To chyba nie temat do rozmów w towarzystwie, którego średnia wieku wynosi dwa i pół roku. – Machnęłam ręką w stronę małego przedszkola na kółkach.

– Dzieciaki nie mają pojęcia, o czym gadamy – odparła nasza pruderyjna Aisling. – Mój jest tak mały, że chyba jeszcze nie wyrósł z daltonizmu.

– A Rooney i Astor? – przypomniała jej z uśmiechem Persy. – Wstrzymajmy się może do naszej cotygodniowej nasiadówki.

– Od której Belle będzie miała szlaban na wino – dodała triumfalnie Sailor. – Zostanie więcej dla nas.

– O klubach też może zapomnieć. – Persy wyglądała na wybitnie ucieszoną tym zwrotem akcji. – I nikt nie wsypie jej niczego do drinka.

Nie żeby taka sytuacja miała kiedyś miejsce, ale zamartwianie się było ulubionym hobby mojej siostry.

– W każdym razie zawsze możesz na nas liczyć, powiedz tylko słowo. Ale Devon na pewno będzie chciał trzymać rękę na pulsie. – Persephone przekrzywiła głowę, uważnie mi się przyglądając.

– Devon może się walić. Wiedział, na co się pisze... Chwila. – Nagle mnie olśniło. – A ty skąd to wiesz?

– Nie mógł się powstrzymać i zadzwonił do Cilliana. – Wyszczерzyła się jak Kot z Cheshire. – A Cillian poleciał do mnie.

Zapisałam sobie w pamięci, by przy najbliższej okazji okaleczyć Devona testem ciężowym za jego brak dyskrecji.

– Dziad. Gdzie się podziało to słynne prawnicze przywiązanie do tajemnicy służbowej? – utyskiwałam, ale w duchu było mi miło, że pęka z dumy i chwali się przed całym światem. Zwłaszcza po jego pierwszej chłodnej reakcji na wieść o tym, że będzie tatusiem.

– Nie jest t w o i m prawnikiem, tłuczku. – Sailor udała, że puka mnie w czoło. – Ale to tylko kwestia czasu, zważywszy na twoją awanturniczą naturę.

– Poza tym pewnie kazał Cillianowi trzymać język za zębami, a mój braciszek po prostu nie mógł się powstrzymać. Bez mrugnięcia okiem sprzedałby największe tajemnice państwowe i pół Teksasu, byle tylko podlizać się żonie. – Aisling spojrzała z uśmiechem na Persephone.

Persy zrobiła się czerwona jak burak i spuściła głowę. Co racja, to racja; przed obliczem żony Cillian był bezbronny jak dziecko. Hunter i Sam też nie umieli niczego odmówić swoim.

Pokręciłam głową.

– To nic. Ważne, że gładko poszło. Ale zajście to pestka; prawdziwym wyzwaniem będzie teraz utrzymanie ciąży.

– Eee... dziewczyny? To moja paranoja czy śledzi nas jakiś facet w czarnym płaszczu? – Sailor uniosła brew.

– Gdzie? – Aisling zaczęła się rozglądać, zdezorientowana.

– Na trzeciej.

Obie z Persy momentalnie znieruchomiały, zerkając ukradkiem w stronę domniemanego intruza. Ja byłam dużo mniej subtelna. Odwróciłam się gwałtownie, wbijając zmrużone oczy w chowającego się za drzewem faceta w czerni. Był wysoki i szeroki w barach, a na głowie miał kapelusz, więc nie sposób go było rozpoznać.

– Może powinniśmy powiedzieć o tym Samowi? – zapytała Persy.

Aisling ściągnęła brwi.

– Nie, ostatnio nie jest z nikim w otwartym konflikcie. Odkąd spacyfikował ruskich, jest spokojnie. Jak dla niego może nawet za spokojnie. Gdyby myślał, że jestem w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, nie wypuściłby mnie z domu bez co najmniej podwójnej obstawy.

Co prawda, to prawda. W razie potrzeby otoczyłby ją całą armią. Nieobecność ochrony oznaczała, że Sam ma spokojny rok.

– A ty? – Sailor odwróciła się do Persephone. Choć interesy jej męża były czyste jak łąza, nie można było wykluczyć próby porwania dla okupu.

Persy pokręciła głową.

– Fitzpatrickowie współpracują z agencją ochrony złożoną z samych byłych agentów Secret Service. Stale trzymają rękę na pulsie. Na razie ryzyko porwania jest niskie, bo akcje Royal Pipelines notują spadek na giełdzie.

– Biedactwa – zamruczałam. – Jak spłacicie kolejną ratę hipoteki?

Wszystkie pary oczu spoczęły na mnie i znów się obejrzałam. Gość zniknął, ale założyłam się, że po prostu zmienił drzewo.

– No co? – Prychnęłam. – A z jakiej paki ktoś miałby mnie śledzić?

Szczerze mówiąc, przychodziła mi na myśl jedna osoba, ale od dawna nie żyła.

– Może to któryś z twoich listownych stalkerów? – podsunęła Sailor. – W końcu jesteś pierwszą skandalistką Bostonu, Belle.

– Wykluczone. Tamci ledwie umieją korzystać z telefonu stacjonarnego, a co dopiero zaplanować mord. – Mimo to na wszelki wypadek przyciągnęłam do siebie małą Rooney. – To pewnie tylko jakiś parkowy onanista.

– Mamusiu, kto to jest onanista? – zapytała niewinnie Rooney i jej matka posłała mi spojrzenie pod tytułem „zadowolona jesteś z siebie?”. „I to jak” – odpowiedziałam w tym samym języku.

– Cóż, właśnie go przylookałam i patrzy na ciebie, Belle. – Głos Persephone jak ostrze przeciął mi skórę.

Włosy stanęły mi dęba, a dłonie zaczęły potnieć. Przeczesałam pamięć w poszukiwaniu nazwisk ludzi, z którymi miałam na pieńku, ale nic

nie było na tyle poważne, by sprowadzić mi na głowę pełnokrwistego stalkera.

Logika podpowiadała, że oczywistym celem mogła być Aisling z powodu jej męża mafioza albo Persy, która wyszła za jednego z najbogatszych (i najokrutniejszych) ludzi na planecie Ziemia. Ale obie miały rację: ich mężowie byli świadomi każdego zagrożenia i na pewno podjęliby środki zaradcze.

– Czegoś nam nie mówisz? – zagruchała słodko Aisling, próbując pociągnąć mnie za język. – Nam możesz powiedzieć. Wiesz, że jesteśmy po twojej stronie. Zawsze.

Ale nie mogłam. Bo nie było o czym.

– Wszystko w porządku. – Obejrzałam się jeszcze raz przez ramię, wyciągając szyję.

Za jednym z posągów mignęła czarna bosmanka.

Walić to.

– Potrzyj. – Oddałam Sailor smycz Rooney i rzuciłam się w pościg za intruzem, gotując się ze złości. Nieważne, na kogo się zasadził – zaraz wszystko wyśpiewa.

Stał sobie spokojnie oparty o posąg, przeglądając zdjęcia w telefonie. Zdjęcia moich pleców, uzmysłowiłam sobie, rozpoznając swój czerwony płaszcz.

– Rewelacja, co? Z przodu wygląda jeszcze lepiej. – Zamachnęłam się pięścią, celując w jego nos. Błyskawicznie oderwał oczy od ekranu i rzucił się z jękiem do ucieczki. Moja pięść przecięła powietrze. Pudło.

Zaczęłam za nim biec. Persy deptała mi po piętach.

– Belle! – krzyknęła, zziajana i przerażona. – Wracaj! Nie możesz!

Oczywiście, że mogłam.

To był mój moralny o b o w i ą z e k.

Dawno temu poprzysięgam sobie stawać w obronie kobiet krzywdzonych przez mężczyzn, którzy myśleli, że skoro są więksi i silniejsi, to wszystko im wolno.

Przyspieszyłam, ale intruz zaczął się oddalać. Tymczasem Persy po raz pierwszy od zarania dziejów postanowiła pokazać swoją sportową stronę, bo ni stąd, ni zowąd wrzuciła drugi bieg, dogoniła mnie i złapała za kołnierz.

– Puszczaj! – ryknęłam. – Ten dupek miał czelność robić mi zdjęcia i muszę się dowiedzieć po co! – Wyrwałam się jej i biegłam dalej, nie zważając na ból w kolanie. Ale nie dawała za wygraną. Skąd u niej tyle samozaparčia?

– Nie możesz! – Wyskoczyła przede mnie, tarasując mi drogę. No i facet zwiął.

To mógł być ten sam gość, który miesiąc temu zaczepiał mnie w Madame Mayhem.

C h o l e r a.

Persy złapała mnie za ramiona, wbijając we mnie przerażony wzrok.

– Posłuchaj. Wiem, że nie znasz strachu i jesteś twardą laską, ale musisz teraz myśleć o dziecku. Rozumiesz?

Przypomniałam sobie słowa doktora Bjorna.

„Cięża wysokiego ryzyka”.

„Groźba poronienia”.

„Musimy monitorować sytuację”.

Skinęłam ponuro głową. Wiedziałam, że ma rację. Co ja sobie, do diabła, myślałam, rzucając się za nim w pogoń?

– W porządku – odparłam naburmuszonym tonem. – Ale przecież nie mogę tego tak zostawić.

– O to cię nie proszę – podkreśliła Persephone. – Pogadam z Cillianem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Ale nie zamierzałam pozwolić jakiemuś facetowi, nawet własnemu szwagrowi, bawić się w moją niańkę. Sama się o siebie zatroszczę.

– Ja się tym zajmę.

– Nie w pojedynkę – upierała się Persy.

Przytaknęłam i ugryzłam się w język. Nie od dziś wiadomo, że diabeł tkwi w szczegółach. I w drobnym druczku.

Objęła mnie.

– Moja ukochana siostrzyczka.

– Chcesz powiedzieć: jedyna – jęknęłam z policzkiem przyciśniętym do jej nabrzmiałych, pełnych mleka piersi.

Pogłaskała mnie po głowie.

– To też.

Devon

TRZY DNI PO TYM, jak Emmabelle zakomunikowała mi, że jest w ciąży, jak co tydzień zadzwoniłem do matki. Była dziwnie podekscytowana i radosna. Niech się cieszy, dopóki może. Gdy tylko poinformuję ją, że zostanę ojcem, przestanie jej być do śmiechu.

Choć już nie mogłem się doczekać, by przywitać na świecie swego potomka, nie chciałem serwować matce kolejnego rozczarowania. Co gorsza, teraz, gdy Sweven nosiła moje dziecko, miałem szlaban na jej ponętne łóżko.

To było jak kara za dobre zachowanie.

– Witaj, kochanie. Jeśli dzwonisz w sprawie pana Tindalla, to z przykrością muszę cię poinformować, że nadal jest na Kajmanach. Ale dowiedziałam się, że niedługo wraca.

– Dziękuję, mamó, ale nie o tym chciałem porozmawiać. – Przechadzałem się nerwowo po swoim łofcie w Back Bay, przepasany ręcznikiem po katorżniczym treningu.

– Tak? – dopytywała. – O co chodzi, kochanie?

Zatrzymałem się przed elektrycznym kominkiem w salonie i go włączyłem.

– Siedzisz? – Powtórzyłem jej słowa po śmierci ojca i usłyszałem, jak ugina się pod nią skórzany fotel.

– Już tak – odparła zestresowanym głosem. – Stało się coś złego?

- O d d y c h a j.
- Oddychanie jest przereklamowane. Po prostu mi powiedz.
- Zostanę ojcem.
- Ja... e... że co? – Była absolutnie zaskoczona.
- Tata – sparafrazowałem. – Będę miał dziecko.

Usłyszałem głuchy łoskot – pewnie upuściła telefon, zaraz pospiesznie go podniosła i w słuchawce rozległ się jej ciężki, chrapliwy oddech.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz miał b ę k a r t a?
- Albo bękartkę – odparłem lekko. – Matka dziecka czuje, że to będzie dziewczynka, a zwykle się nie myli.
- Ale... ale... jak? Gdzie? Kiedy?

Serio musiała koniecznie wiedzieć „gdzie”? Bo naprawdę sam nie miałem pojęcia, czy zapłodniłem Belle na biurku w gabinecie, czy może jednak pod prysznicem.

Wszedłem do kuchni swojego czterystumetrowego mieszkania. Nigdy nie widziałem takich przestrzeni zamkniętych w jednym budynku, i to na dodatek w Back Bay. Było starannie urządzone w tym samym tradycyjnym stylu, co mój gabinet w kancelarii. Rzeźbiony dąb, drogie tkaniny, plinty z brązu i szkarłatny fryz.

A co ważniejsze – wielka otwarta przestrzeń z minimalną ilością ścian. Dokładnie to, czego trzeba było mojej udręczonej klaustrofobią psychice.

– Ma na imię Emmabelle. Pozostajemy w luźnej relacji, nigdy nie byliśmy oficjalnie parą. Zatrzyma dziecko. Jest właścicielką klubu z burleską – dodałem ostrożnie, gdy odpowiedziała mi cisza w słuchawce. – W sieci znajdziesz jej zdjęcie. Pisywała felietony o wyzwoleniu kobiet i pozowała do rozbieranego kalendarza. Na pewno byście się zaprzyjaźniły.

To była oczywiście bzdura, ale naprawdę nie chciałem jej dobijać tuż po śmierci ojca.

– A po co miałabym się z nią spotykać? – odparowała sucho.

– Bo będzie matką twojego upragnionego wnuka – odparłem lekko.

– Pomiot tej kobiety nigdy nie będzie moim wnukiem. – Była tak zła, że głos jej drżał.

Fakt, nie liczyłem na fanfary, ale jej wrogość mnie zdumiała. Koniec końców służyłem wsparciem jej i Cecylii i pomagałem im finansowo. W zamian oczekiwałem tylko akceptacji dla swojego stylu życia.

W którym nie było miejsca na zamykanie w lochu krnąbrnych kobiet i obdzieranie ich ze skóry. W dzisiejszych czasach nieślubne dzieci stały się powszechnym zjawiskiem.

Otworzyłem lodówkę i zacząłem sobie robić kanapkę z indykiem.

– W takim razie nie musisz się widywać z wnukiem. Twoja strata.

– Może z czasem zmienię zdanie. – Uderzyła w obronny ton. – Po prostu nie chcę, żeby jedno nieślubne dziecko przekreśliło twoją świetlaną przyszłość. Jest dwudziesty pierwszy wiek. Utrzymanie tego w tajemnicy nie będzie problemem.

– Czemu miałbym chcieć trzymać to w tajemnicy?

– Bo może kiedyś zechcesz się ożenić.

Poprzysiągłem sobie nigdy się nie ożenić, ale jedna zła wiadomość na telefon wystarczy.

– Mało prawdopodobne, ale w takim wypadku będę szczery ze swoją przyszłą żoną.

– Nie każdej się to spodoba.

– Może przestańmy owijać w bawełnę? Powiedz to wprost.

– L o u i s a, Devvie.

Jej imię zadźwięczało mi w uszach. Przypomniałem sobie, jak ojciec kazał mi ją pocałować, i mimowolnie zacisnąłem szczęki.

– Co z nią? – Zamknąłem kolanem lodówkę i wepchnąłem plaster indyka w kanapkę z majonezem i musztardą. – Myślisz, że zaaprobuje mój układ z burleskową pięknnością, której zrobiłem dziecko?

– Czyli to striptizerka? – Zgorszona mama aż wstrzymała oddech. – Tak teraz się na nie mówi?

– Nazywaj ją sobie, jak chcesz. – Ziewnąłem.

Miałem wrażenie, że moje wnętrzności zalewa ognista lava. To było kłamstwo. Które z pewnością nie spodoba się Sweven. Może więc to dobrze, że mama ani myśli poznawać swojego wnuka. Bo gdyby ośmieliła się patrzeć z góry na Belle... Boże, dopomóż. Mogłaby się pożegnać ze swoim zadartym nosem.

– Cóż, wszystko jest do zrobienia, Devvie. Nowoczesność bynajmniej nie wymiotła libertynów. My, kobiety z wyższych sfer, po prostu nauczyłyśmy się zamiatać wasze brudy pod dywan.

– Nie mogę się ożenić z Louisą. – Walnąłem z wściekłością plasterkiem sera w tuńczyka, jakby to on był wszystkiemu winien. – Co cię naszło? Nigdy mi jej tak nie wciskałaś. To specjalność ojca, który przypłacił ją utratą jedyne go syna. Nie tylko się z nią nie ożenię; ja nie mogę być z nią nawet w i d y w a n y. Brytyjskie brukowce dopiero miałyby używanie, gdyby zwęszyły, że zrobiwszy dziecko jakiejś ognistej Amerykance, smale cholewki do córki księcia.

„Daily Londoner” zatrudniał całą ekipę pismaków, których jedynym zadaniem było śledzenie każdego kroku royalsów. W takim środowisku sekrety nie miały najmniejszych szans.

– Wrócimy do tego tematu – poinformowała mnie oficjalnym tonem. – Kiedy ma się urodzić?

– To szósty czy siódmy tydzień, więc nieprędko.

– Podejrzanie wcześniej się dowiedziała. Zupełnie jakby to było ukartowane – snuła swoje teorie mama.

Nie przyznałem się, że w istocie wszystko „ukartowaliśmy”. Kochałem matkę, ale to nie była jej sprawa.

– Nie wszyscy są tak przebiegli jak Whitehallowie, mamó.

Rozłączyłem się i ugryzłem kanapkę. Smakowała jak popiół.

Cokolwiek wymyśli moja szanowna rodzicielka, zamierzałem stawić temu czoła.

– Chcesz mnie zabić? – zapytał mój sparingpartner Bruno, gdy nazajutrz niemal przeszyłem mu maskę szpadą. Po raz trzeci. Zwarcie corps à corps, czyli fizyczny kontakt z przeciwnikiem, było niedozwolone w szermierce. – Co cię gryzie? – zapytał przez siateczkę z nierdzewnej stali.

Nie zaszczycając jego pytania odpowiedzią, zrobiłem wypad, myśląc o rozmowie z mamą i ciszy radiowej ze strony Belle.

Szermierka to jak fizyczne szachy. Oprócz zwinności i sprawności wymaga również niemałego intelektu. I dlatego jest moim ulubionym sportem. Zrobiłem kolejny wypad i Bruno przeszedł do defensywy, cofając się w panice.

– Devon! – Zeskoczył z maty, ściągając maskę. Twarz miał oblaną potem, a w oczach przerażenie. – Devon, przestań!

Słyszając jego błagania, uzmysłowiłem sobie, że prawie go zabiłem. Trząśnięty jak osika, wciśnięty w kąt sali z opuszczoną szpadą.

– Nie wiem, co cię dręczy, ale musisz się ogarnąć, stary.

I z tymi słowami wypadł z sali. Ściągnąłem maskę, marszcząc brwi.

To nie do zrobienia, STARY.

Prosto z treningu pojechałem do Badlands, klubu Sama. Chociaż „klub” to małe niedomówienie. Mój kumpel Sam Brennan prowadził najlepszą szulernię w mieście, w której płynęły rzeki koki i whiskey z najwyższej półki.

Sam klub nie należał do undergroundowych i był otwarty dla szerokiej klienteli. Ma się rozumieć, oprócz szulerni na zapleczu, do których wstęp mieli nieliczni wybrańcy. Odwiedzałem je przynajmniej trzy razy w tygodniu, czasami częściej.

Teraz siedzieliśmy z Samem, Hunterem i Cillianem przy jednym z obitych zielonym filcem stolików, grając w karty, paląc cygara i osuszając szklaneczkę za szklaneczką.

– Gratuluję zrobienia dziecka największemu wampowi Bostonu. – Wyszczrzył się zza wachlarza kart Hunter. Graliśmy w remika, przez co w oczach Sweven czułem się jeszcze większym starym prykiem.

Moje usta wygięły się w sardonicznym uśmiešku.

– Bułka z masłem.

– Bułka? Owszem. Dziwne? Jeszcze jak. Nie wiedziałem, że nadal ze sobą kręcicie – zastanawiał się na głos.

Nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać o Emmabelle Penrose ani z nim, ani z Cillianem – którzy, technicznie rzecz biorąc, byli moimi klientami – ani tym bardziej z Samem Brennanem, który dosłownie błagał, żebym go reprezentował.

– Wpadka? – dopytywał Cillian, pykając cygaro i wbijając we mnie oczy jak sztylety. Nie żebym czymś mu podpadł. Ten typ już tak miał. Rozluźniał się tylko w towarzystwie żony i dzieci. Bez nich u boku wyglądał jak seryjny morderca polujący na kolejną ofiarę.

– Nie twoja sprawa – odparłem wesoło, dobierając kartę.

– Na bank. Nikt nie jest tak głupi, żeby wiązać swoją przyszłość z tą wilczycą. – Sam pociągnął swojego guinnessa, rozglądając się znudzonym wzrokiem po sali.

– O ile się nie mylę, twoja żona wyszła za gościa, który ma więcej krwi na rękach, niż płynie w Mystic River. Jak to świadczy o jej IQ? – Uniosłem brew.

– A tak, że jest boskie, jak cała ona. Twoje natomiast jest co najmniej wątpliwe. Jeszcze słówko krytyki pod adresem mojej żony, a powąchasz kwiatki od spodu.

– Powściągnij emocje, synu, bo kiedyś cię zgubią – odparłem sucho z kamienną twarzą, klepiąc go protekcjonalnie po dłoni.

Dzieciak zapominał, że nie należę do jego fanklubu. Wszystkie pary oczu zerknęły na mnie z zaciekawieniem.

– Zadurzyłeś się w tej małej dzikusce? – Hunter posłał mi współczujące spojrzenie. – Cholera, Dev. Ty nie bronisz za mniej niż sto koła zaliczki.

Cillian uśmiechnął się złośliwie.

– Ma dobrą passę.

– I krótką, jeśli nie przestanie mi pyskować. – Sam przygryzł beznamiętnie swojego elektrycznego papierosa.

Tak oto wyglądał typowy miły wieczór w naszym wykonaniu.

– Ja bym tam nie wytrzymał. – Hunter pokręcił głową. Odkąd spiknął się z Sailor, nie tknął kropli alkoholu, o dragach nie wspominając.

– A ja wytrzymuję, dziękuję bardzo. – Wbiłem wzrok w karty, bębniąc palcami w stół. Nagle przeszła mi cała ochota na spędzenie reszty wieczoru w ich towarzystwie.

Tak bardzo chciałem złapać za telefon i zadzwonić do Belle, posłuchać jej śmiechu i kąśliwych złośliwości. Ale wiedziałem, że nic z tego.

– Nie móc być z kobietą, która nosi twoje dziecko, to dopiero nie do wytrzymania. Tyle cię ominie. Kopnięcia i fikołki małego, gdy zmienia pozycję. Pierwsze USG. Mówię wam, jak ujrzałem Rooney na tym czarno-białym ekranie, to prawie się posikałem. Przysięgam, że pokazała mi faka i rozłożyła nogi – ciągnął z dumą Hunter, jakby właśnie nam zakomunikował, że jego córka została nominowana do Nagrody Nobla.

– No, kopnięcia są fajne – przytaknął niechętnie Sam, dobierając kolejną kartę. – Sailor zawsze czekała na mój powrót ze szklanką wody i drinkiem, żebym dotknął brzuszka przed snem.

– Kiedy zrobiły się z was takie stare baby? – Podwinąłem rękawy. Albo ktoś tu podkręcił ogrzewanie, albo to oni zaczęli coraz bardziej działać mi na nerwy.

Nie do końca podobało mi się, że nie mogę być przy kobiecie noszącej moje dziecko, ale nie miałem wyboru. Spojrzałem na Cilliana, który jako jedyny milczał jak zakłęty. Spośród wszystkich przy tym stoliku był najbardziej podobny do mnie – z tym że ja miałem serce i jaki taki kompas moralny.

– Co za bzdury, nie? – prychnąłem, szukając u niego wsparcia. – Ciężarne ciągle mają głupie zachcianki i kosmiczną huśtawkę nastrojów. Mój ojciec podczas każdej ciąży odsyłał matkę do jej rodziców, żeby mieć święty spokój.

Wszystkie pary oczu momentalnie zwróciły się na mnie. Nagle uzmysłowiłem sobie, że po latach milczenia jak grób uchyliłem przed nimi rąbka tajemnicy na temat swojej rodziny.

Jako pierwszy doszedł do siebie Cillian.

– Owszem, życie z ciężarną potrafi dać w kość. – Wzruszył ramionami. – Ale to ona nosi pod sercem twój najcenniejszy skarb. Prawda jest taka, że zakochujesz się w kobiecie dwa razy. Pierwszy, gdy chcesz, by

urodziła twoje dziecko. I drugi, gdy je rodzi, a ty uświadamiasz sobie, że nie możesz bez niej żyć.

Parę godzin później wytoczyłem się z Badlands i bezwiednie skierowałem swe kroki ku Madame Mayhem. Lokale były blisko siebie i stwierdziłem, że chłodne zimowe powietrze dobrze mi robi.

Przemyślawszy sprawę przy kolejnej partyjce, postanowiłem, że nie zostawię Emmabelle z tym samej. Czyż nie mówiła, że to ciąża wysokiego ryzyka? Musiałem trzymać rękę na pulsie na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała.

A poza tym chciałem tego wszystkiego, co mieli moi kumple.

Kopniaków i fikołków. Środkowego paluszka na USG.

Szklanki zimnej wody (choć tu akurat kontekst wyleciał mi z głowy).

Dotarłszy do Madame Mayhem, przypomniałem sobie, dlaczego ten klub nosi taką, a nie inną nazwę.

W jego krwistoczerwonych ścianach panował istny chaos. Za barem uwijały się jak w ukropie trzy osoby, w tym Emmabelle z kosmykami włosów przyklejonymi do spoconego czoła. Lokal pękał w szwach, a przy barze był taki ścisk, że ludzie prawie na siebie wchodzili, próbując zamówić drinka. Braki w personelu dawały się mocno we znaki i lada chwila sprawy wymkną się spod kontroli. Mimo wszystko ta głupia krowa spokojnie mogła wyjść wcześniej i zadbać o siebie, ale zawsze musiała mieć wszystko pod kontrolą. Cóż, przyganiał kocioł garnkowi. Nie byłem lepszy.

Na scenie tancerki ciągle myliły kroki, rozkojarzone całą tą wrzawą, a orkiestra fałszowała.

Nie namyślając się długo, wskoczyłem za bar, ściągnąłem tweedową marynarkę, zakasałem rękawy i zacząłem obsługiwać.

– Gdzie lodówka z piwem?! – ryknąłem, próbując przekrzyczeć muzykę, i pchnąłem tyłkiem na bok matkę mojego nienarodzonego dziecka. – I czyste szklanki?

– Co ty tu robisz?! – krzyknęła Sweven, dosłownie ociekając potem. Nie mogę powiedzieć, by była zadowolona z mojej odsieczy.

– Ratuję cię, zanim padniesz. – Przyjąłem parę zamówień naraz. Otwierałem butelki i robiłem z pamięci improwizowane drinki.

– Nie potrzebuję... – zaczęła swoją typową gadkę „wolnej i niezależnej”, ale okręciłem się na pięcie i przyłożyłem jej palec do ust.

– ...pomocy. Wiem. Ani trochę w to nie wątpię, inaczej nie zrobiłbym ci dziecka. Szczerze mówiąc, kobiety bluszcze mnie odrzucają. Ale jesteś też matką mojego nienarodzonego potomka i nie zamierzam patrzeć, jak się zaharowujesz na śmierć. Zrozumiano?

Łypnęła na mnie.

– Z r o z u m i a n o?

– Tak – mruknęła oszołomiona.

Przez następne półtorej godziny serwowałem koktajle owocowe, orzeszki, puszki naturalnych napojów i zebrałem napiwki o równowartości piętnastu sekund mojej porady prawnej.

Gdy największy młyn wreszcie wygasł, złapałem Belle za rękę i zawlokłem do biura.

Zamknąwszy drzwi, żeby nie mogła uciec, podszedłem do minilodówki, wyjąłem dwie butelki wody, otworzyłem jedną i podałem jej.

Nie znosiłem tej ciasnej klitki. Za każdym razem, gdy tu wchodziłem, kręciło mi się w głowie i wracały koszmary dzieciństwa.

– Nie jestem spragniona – rzuciła beczelnie.

– Masz wypić – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Albo powiem twojej siostrze, jak bardzo o siebie nie dbasz.

– Podkablowałbyś? – Zmrużyła oczy.

– Bez mrugnięcia okiem, kochanie.

Zawahala się, ale upiła łyk wody.

– Co tu robisz, Devon? – Oparła się o biurko, na którym, co niepojęte, panował jeszcze większy bałagan niż wcześniej.

To zaczynało wołać o pomstę do nieba. A raczej o interwencję. Może takie coś się leczy?

– Miałem dziś ciekawą rozmowę z chłopakami. I doszedłem do wniosku, że chcę być przy tobie nie tylko po porodzie, ale i przez całą ciążę. Najważniejszy jest pierwszy trymestr, tak? Nie mogę pozwolić, żebyś pracowała za pięcioro. Chcę się tobą zaopiekować i w pierwszej kolejności znajdę ci dwóch albo trzech dodatkowych barmanów. Masz za mało personelu.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – zapytała, dopijając wodę i ocierając czoło.

Byłem zaskoczony, że nie próbuje się ze mną kłócić. Ale widziałem też, że zrobiła się trochę zielona i nie bardzo przypomina ponętą siebie.

– Problem w tym, że mam niebotyczne wymagania i na razie żaden z kandydatów ich nie spełnia. Potrzebuję ludzi, którzy umieją współpracować. I się zachować.

– Ale nie możesz robić wszystkiego sama.

– Czyżby? – Głowa kołysała się jej z boku na bok, jakby wisiała na cienkim włosku. Byłem przerażony, że ta kobieta się wykończy tylko po to, by postawić na swoim. – Na razie dobrze mi idzie, nie sądzisz?

– Za jaką cenę? – Podeszedłem bliżej, całą siłą woli powstrzymując się, by jej nie dotknąć.

Nie mogłem się przyzwyczaić do tego braku kontaktu fizycznego między nami, ale musiałem to jakoś przełknąć, bo chciałem, żeby i ona wywiązała się z naszej umowy.

– Niczego cię to nie nauczyło? Życie to nie tylko praca.

Wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– Łatwo ci mówić, królewiczu z bogatej rodziny.

Nie było sensu tłumaczyć jej, że od dwudziestego pierwszego roku życia nie miałem dostępu do rodzinnych pieniędzy, więc zbyłem to milczeniem.

– Nie oszukasz ani mnie, ani siebie, Sweven. Wszyscy podejmujemy decyzje pod wpływem emocji, a potem dopisujemy do nich racjonalne argumenty. Cokolwiek próbujesz mi sprzedać, nie kupuję tego. Musisz skupić się na tym, co ważne. Pozwól mi zająć się naborem. Pogadam z tym całym Rossem. Już czuję, jakbyśmy się znali; w końcu parę tygodni temu wahałem jego majty.

Parsknęła cichym śmiechem, zapadając się w sobie z wycieńczenia jak kocykowa „baza”. Nagle wyglądała tak młodziutko.

– W porządku? – Nachyliłem się nad nią.

Skinęła głową.

– Niech ci będzie. Tylko nie myśl, że tu rządysz. Ten jeden raz, jasne?

– Ten jeden raz – przytaknąłem, choć w duszy wiedziałem, że to pierwszy z wielu.

W niejednym tego słowa znaczeniu.

Belle

NAZAJUTRZ RANO wpadłam jak burza do łazienki i zwróciłam nędzne resztki jedzenia.

Poranne mdłości zatruwały mi życie już od tygodnia.

Problem w tym, że bliskich spotkań trzeciego stopnia z muszlą klozetową oszczędzały mi tylko trzy produkty: wafle ryżowe, cukierki imbirowe i dietetyczna cola.

Nie trzeba być dietetykiem, by wiedzieć, że to nie najlepsze źródło witamin i składników odżywczych dla ciężarnej.

Trzeba jednak przyznać, że taka dieta cud pomoże mi wreszcie zrzucić te trzy kilo nadwagi, z którymi walczę od trzech lat.

Przycisnęłam rozpalone czoło do deski klozetowej, rozkoszując się jej chłodem. Boże, co za upadek. Byłam spocona jak mysz i kompletnie wyczerpana. Włosy przykleiły mi się do szyi, opadając wilgotnymi strąkami na ramiona.

Zamrugałam, skupiając wzrok na limonkowej posadzce w nędznej próbie pozbycia się białych mroczków przed oczami.

– Błagam, książatko, pozwól mi zjeść choć kęs tosta z serem. Potrzebujesz białka, a ja urozmaicenia. Wiem, że poranne mdłości mają chronić babeczkę przed śmieciami, ale przysięgam, że przez te dziewięć miesięcy będę się trzymać z daleka od kawy, alkoholu, surowego mięsa i sashimi. Niech stracę, dorzucę nawet korniszony i landrynki, tylko zlituj się nade mną.

Książątko, które – jeśli wierzyć wykresowi wyszperanemu w sieci – było obecnie wielkości fasolki, pozostało niewzruszone, odpowiadając kolejną falą mdłości.

Resztkami sił podniosłam telefon i napisałam do Devona.

Belle: Mówiłeś, że chcesz być bardziej obecny w „naszym” życiu. Zastanawiam się nad wizytą u mojego ginekologa.

Devon: ?

Belle: Nie mogę być ciągle przykuta do muszli klozetowej.

Devon: Jedyńka czy dwójka?

Belle: Trójka.

Belle: (Wymioty).

Devon: Każę Joanne ustawić wizytę i przysłać po Ciebie taksówkę.

Ach, jego zaufana sekretarka. Mówiąc, że chce być przy mnie, tak naprawdę miał na myśli kontrolę na każdym kroku. Aż do rozwiązania.

Belle: Nie trzeba, sama to zrobię.

Devon: Informuj mnie na bieżąco.

Belle: Wal się.

Tego ostatniego nie wysłałam. Kipiało od emocji, a ja przecież omijałam je szerokim łukiem.

Pochlipując nad swym okrutnym losem, snułam się po klitce, w której mieszkałam, zachodząc w głowę, gdzie ja upchnę to biedne dziecko. Samo książątko to jeszcze nic, ale cały ten dziecięcy kram spędzał mi sen z powiek.

A w dzisiejszych czasach niemowlęta potrzebowały całej masy klamotów.

Moja siostra i wszystkie przyjaciółki miały dzieci, a ich zabawki i mebelki zajmowały dosłownie hektary ziemi. Łóżeczka, przewijaki, komódki, krzeselka do karmienia, wanienki, zabawki. Lista nie miała końca, ja z kolei już nie miałam gdzie kubka postawić.

Zbyt wycieńczona, by o tym myśleć, zrobiłam sobie maraton *docu crime* na Netfliksie, bo nic tak nie podnosi przyszłej matki na duchu jak kroniki seryjnych zabójców. I tak upłynęło mi pół dnia.

W pewnej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Aż podskoczyłam.

Dźwignęłam się z jękiem z sofy i dopiero gdy bezmyślnie otworzyłam drzwi, dotarło do mnie, że powinnam była zapytać „kto tam”, i przed oczami stanął mi stalker z Boston Common.

A niech to.

Miałam zadzwonić do Sama Brennana z zapytaniem o cenę ochrony dla singielki, ale ostatnimi czasy ciężowa mgła przysłała wszystko. A poza tym sprawa zdążyła przyschnąć.

– Sweven? – W progu szczyrzył się pryszczaty wyrostek w uniformie luksusowej sieciówki, objuczony pierdylionem brązowych toreb.

Ee, żaden tam seryjny killer.

– Powiedzmy. – Rozejrzałam się w prawo i w lewo, dla pewności, że prawdziwy zabójca nie czai się za węglem.

– Przesyłka dla pani. Soki naturalne, kosze cytrusów i gotowe dania na tydzień od OrganicU. Gdzie postawić?

Machnęłam ręką w stronę kuchni, prowadząc go w głąb mieszkania.

Tatuś mojego dziecka był wrzodem na tyłku, ale przynajmniej miał gest.

Kiedy dotarłam do pracy, wyglądałam tak, jakby mnie tam zaciągnął wściekły bóbr.

Przekrwione oczy, splątane włosy związane w niedbały koczek oraz sukienka, którą czule nazywałam Okresową. **N i e b e z p o w o d u.**

Wtoczywszy się do klubu, nadziałam się na Rossa w towarzystwie trojga nieznajomych. Włosy stanęły mi dęba. Zawsze stroniłam od obcych, zwłaszcza po tamtych incydentach z człowiekiem z blizną w klubie i stalkerem z Boston Common.

– O, znakomicie. Jest i nasza Śpiąca Królewna. – Uśmiechnął się Ross, podając mi kawę. Postawiłam ją na barze, bo na sam jej zapach miałam ochotę zwrócić każdy kawałek pizzy, jaki kiedykolwiek skonsumowałam.

– Mam tylko trzy minuty spóźnienia. – Rzuciłam kopertówkę obok kubka i niezbyt wdzięcznie klapnęłam na stołku. – Bez urazy, ale... ee... co to za ludzie?

– Twoi nowi pracownicy, zatrudnieni przez stronę trzecią. Uroczo, co nie?

Zgadywałam, że owa „strona trzecia” to Devon Whitehall, człowiek, któremu udało się zostać nadopiekuńczym ojcem mojego biednego dziecka jeszcze przed jego przyjściem na świat.

Pierwszą z nich była Morgan, wertykalnie upośledzona jędza z krótkimi włosami i kolczykiem w nosie. Przedstawiła się jako dyplomowana mikserka z pięcioletnim doświadczeniem nabytym w pięciogwiazdkowej restauracji Troya i Sparrow Brennanów, wyjaśniając, że zatrudniono ją na dwie zmiany.

Drugą była Alice, czterdziestoparolatka z dwudziestoletnim doświadczeniem w prowadzeniu baru w Nowym Jorku. Jej szorstkie ręce najlepiej świadczyły o wprawie w wyrzucaniu za drzwi wszelkiego rodzaju psycholi i szumowin.

Trzecim z nowych pracowników był niejaki Simon Diamond (pseudonim sceniczny?), osobnik o gabarytach furgonetki. Nie spuszczał mnie z podejrzliwego oka, jakbym była więźniem, którego ma pilnować. Gdy zapytałam go o doświadczenie, odparł mętnie, że „dziesięć lat stał na bramce”.

– Och. Mamy już bramkarzy. – Uśmiechnęłam się grzecznie, już planując, by go poduczyć na miksera.

Simon odwzajemnił uśmiech – który zmroził mi krew w żyłach.

– Nie przyszedłem na bramkę.

– A na co? – Upiłam łyk kawy i natychmiast wypłułam z powrotem do kubka. Zły pomysł. Bardzo zły pomysł. Książątku nie spodobało się, że tak szybko łamię obietnicę nietykania kofeiny.

– Nadam się do tego i owego.

– Majster-klepka, co? Obawiam się, że mamy komplet.

– Zapłacono mi z góry za dziewięć miesięcy, milady. Tak łatwo się mnie pani nie pozbędzie.

Nie wiedziałam, co było bardziej irytujące: jego upór czy ta „milady”.

I nie miałam pojęcia, jak Devonowi udało się przekonać tych ludzi, by dla mnie pracowali. Mieli kosmiczne kwalifikacje i musiał im nieźle wynagrodzić serwowanie nudnego ginu z tonikiem podstarzałym panom śliniącym się do moich tancerek.

– Belle, skarbie, trochę mniej wredoty, a więcej wdzięczności, proszę. – W drzwiach biura zmaterializował się podenerwowany Ross i z obrażoną miną wszedł za bar. Nawet nie zauważyłam, że zniknął. – Devon zdradził mi, że jesz za dwoje.

Położył mi dłoń na ramieniu, zaglądając w oczy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Myślałem, że jestem jednym z twoich najlepszych przyjaciół.

– Bo jesteś. – Przyparta do muru, nerwowo oblizałam usta. Miał pełne prawo poczuć się zraniony. – Wybacz, po prostu... Problemy zdrowotne. To ciąża wysokiego ryzyka, więc na razie nie chcę chwalić dnia przed zachodem słońca.

– Och. – Rozluźnił się, ale było widać, że nadal ma mi to za złe.

– Devona trzeba zakneblować. Aż dziw, że nie wynajął billboardu na Times Square, by obwieścić to całemu światu. – Rozejrzałam się obojętnie. À propos billboardów, moja kariera rozbieranej modelki niniejszym dobiegła końca. I bez tego biedne książątko dostarczy swojemu przyszłemu psychoterapeucie dość materiału do przerobienia.

– Daj mu trochę czasu, jeszcze się nie rozkręcił.

W odpowiedzi pokazałam mu faka, którego z rozbawieniem zgiął z powrotem.

– Ten jeden raz przymknę oko, bo zdaje się, że twoje życie przechodzi ostatnio prawdziwą rewolucję.

Skubiąc dolną wargę, ugryzłam się w język. W końcu to był R o s s. Mój Ross.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Czyli... poznaliście się. – To nie było nawet pytanie. Wstrzymałam oddech.

– Owszem. – Skinął tajemniczo głową, a Morgan, Alice i Simon udali zajętych rozmową.

– I... jak wrażenia?

– Wrażenia są następujące... – Odgarnął mi włosy, czule się nimi bawiąc. – Facet jest gorętszy od samego diabła, gada jak książkę z Netfliksa i szaleje za tobą. Aprobuję wybór.

– Dzięki za błogosławieństwo, o które nie prosiłam.

– Służę uprzejmie. A skoro już jesteśmy przy temacie... Jestem pewien, że jakimś cudem uda ci się to schrzanić, bo masz alergię na związki, ale plosię, Belly-Belle, możemy go sobie na chwilę zatrzymać? – Złożył dłonie i wlepił we mnie błagalny wzrok jak dziecko, które znalazło bezdomnego kotka i chce go przygarnąć.

– Nie. – Wyjęłam z torebki minilusterko i poprawiłam małym palcem szminkę. – Zrobił swoje.

– To mu to powiedz. Bo zagroził, że jeśli wpuszczę cię dziś za bar, to osobiście skopie mi tyłek. Zamierzam więc odesłać cię do biura, a najdalej o szóstej do domu.

– O szóstej?! – ryknęłam. – Jest czwarta!

– Czwarta dwadzieścia. Nie zapominaj, że się spóźniłaś. – Zabrał mi lusterko i też się przejrzał, unosząc brew w celu skontrolowania botoksu. Wedle moich szacunków z powodzeniem wytrzyma jeszcze trzy miesiące.

– Nie możesz wyrzucić mnie z mojego własnego klubu. – Wyrwałam mu lusterko i wepchnęłam je z powrotem do torebki.

– Zakład? Pan Whitehall kazał mi się powołać na klauzulę dwanaście kropka pięć waszej, tak na marginesie seksownej, umowy, w myśl której może cię pozwać za każde narażenia życia i zdrowia waszego nienarodzonego dziecka.

Chryste. Czemu nie dałam się zapłodnić Liderowi Rankingu? Jego by nie obeszło, czy zachlam się pod mostem.

Nie było sensu się z nimi wyklócać. Bynajmniej nie dlatego, że nie byłam z natury kłótniwa – bo byłam – ale te parę dodatkowych godzin snu brzmiało kusząco. Padałam z nóg. I choć nigdy bym się do tego nie przyznała, Devon miał rację. Musiałam się wysypiać.

Powlekłam się niechętnie na zaplecze. Odpaliwszy swojego MacBooka, na brzegu biurka zauważyłam świeży stos kopert i przypomniałam sobie słowa Devona. Może rzeczywiście nie wszystko było od hejterów?

Może wygrałam na loterii?

Może są tu listy od fanów zachwyconych moją nowatorską, odważną burleską?

Przysunęłam je bliżej i zaczęłam przeglądać.

Parę rachunków, które już opłaciłam, dwa oburzone listy na temat mojej wiodącej roli w demoralizowaniu bostońskiej młodzieży, podziękowania od kobiety, która parę miesięcy temu obejrzała nasz występ, który zainspirował ją go rzucenia pracy biologa morskiego na rzecz burleskowej produkcji *Snu nocy letniej*.

Sięgnęłam po ostatnią kopertę z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem.

„Dla Emmabelle Penrose”

Rozerwałam ją.

List był krótki i zawierał adres zwrotny na poste restante w Marylandzie.

Emmabelle,

boisz się o swoje życie?

Bo powinnaś.

Gdybyś tylko zwracała większą uwagę na to, co się wokół Ciebie dzieje, zauważyłabyś, że od dawna Cię obserwuję.

Planując zemstę.

Wiem, gdzie mieszkasz, gdzie pracujesz i z kim się spotykasz.

To ten moment, w którym zaczynasz się bać. I słusznie. Nie spocznę, dopóki nie wyślę Cię na tamten świat.

Nikt Ci nie pomoże.

Ani mąż Twojej przyjaciółeczki, Sam Brennan.

Ani Twoja głupia siostrunia Persephone i jej mąż miliarder.

Ani nawet ten elegancik, z którym się ostatnio wozisz.

Twój los został przypieczętowany, a ja nie rzucam słów na wiatr.

Możesz sobie zanosić ten list na policję. Nawet Cię do tego zachęcam. Zafundujesz sobie tylko kolejne problemy w swoim gównianym życiu.

Zabiję Cię za to, co mi zrobiłaś.

I nawet powieka mi nie drgnie.

Bez poważania

Ktoś, komu wszystko zabrałaś

Ścisnęło mnie w żołądku pełnym tego głupiego soku ze śniadania. Więc tamten stalker z Boston Common rzeczywiście zasadził się na mnie.

Przysłał go nadawca listu czy sam nim był?

Tak czy siak, ktoś na mnie polował.

I chciał zabić.

Niewidzialny wróg.

Poczułam zaciskającą się na szyi pętlę.

Kto to był?

Fakt, do najmilszych mieszkańców planety nie należałam, ale nie sądziłam, by ktoś życzył mi śmierci. Przecież nikogo nigdy nie skrzywdziłam, nie aż tak.

Była tylko j e d n a taka sytuacja, i to przed wielu laty. Ale ta osoba od dawna nie żyła.

Dobrze, że miałam spluwę, z którą postanowiłam się odtąd nie rozstawać, znałam krav magę i byłam gotowa udusić napastnika gołymi rękami, gdy tylko się do mnie zbliży. No i nie bardzo mogłam robić teraz aferę. Gdyby dowiedział się o tym Devon albo moje przyjaciółki, dopiero miałabym przerąbane.

Tatuz mojego dziecka juz i tak probowal przejac kontrole nad moim zyciem i nie zamierzalam dawac mu na tacy pretekstu, by mnie przytloczyl.

Nie, to po prostu kolejne wyzwanie i zamierzalam mu sproscac.

Musialam teraz myslec o kimś jeszcze. Dla swojego dziecka zrobilabym wszystko, lacznie z dopuszczeniem sie mordy.

Belle

BADANIA KONTROLNE wypadły w idealnym momencie. Nie mogłam się doczekać wieści o tym, jak Książątko radzi sobie w moim nieprzyjaznym łonie, i zamierzałam wydębić z pięć tysięcy recept na poranne mdłości, przez które zdążyłam już schudnąć trzy kilo. Mimowolnie, rzecz jasna.

Rano zadzwoniła Joanne, sekretarka Devona, z informacją, że wysłała po mnie taksówkę. Miała najśłodszy głos pod słońcem; nawet Jennifer Aniston mogła się schować.

– Nie mówię, że wiem, o co tu chodzi, ale mam wielką nadzieję, że nasz przyjaciel lord Whitehall dobrze panią traktuje – gruchała w słuchawkę.

– Proszę pani, on mnie traktuje a ż z a d o b r z e.

– Nie ma czegoś takiego! – zagrzmiała. Dosłownie słyszałam, jak obracają się jej trybiki w mózgu. – Powtarzam, nie mam pojęcia, dlaczego rezerwuję tę wizytę, ale... Trzymam za was kciuki. To wspaniały mężczyzna. Silny, pewny siebie, nie do złamania i niesamowicie inteligentny. Zasługuje na porządną kobietę.

Owszem, pomyślałam z goryczą. Szkoda tylko, że ja nie umiem taka dla niego być.

Gdy godzinę później wsiadłam do taksówki w sztucznym futerku i okularach przeciwsłonecznych na pół twarzy, ze zdumieniem zobaczyłam w środku stukającego w telefon Devona w nienagannym garniturze i bosmance.

– Sweven – włączył swój seksowny akcent à la Hugh Grant, chowając telefon do kieszeni i wlepiając we mnie wzrok. O raju.

– Palancie – odparowałam, wciąż nie mogąc mu darować, że wtryna nos w nie swoje sprawy. – Jedziesz ze mną. Hura. Powinnam była zgadnąć, że bez kontroli się nie obejdzie.

– Podobają ci się nowi pracownicy? – zapytał, ignorując moją szpilę. A w zasadzie szpile. Czemu się jeszcze nie wycofał? Czemu nie machnął na mnie ręką jak wszyscy inni, których wykastrowałam?

– Zapytaj mnie za tydzień.

– Ustawię sobie przypomnienie. – Nie umiałam orzec, czy to był sarkazm.

– Oddam ci za nich kasę. – Położyłam głowę na chłodnym siedzeniu i zamknęłam oczy, walcząc z kolejną falą mdłości.

– Wyglądasz fatalnie, kochanie.

– Dzięki, skarbie. – I jak tu go nie kochać?

– Chciałem powiedzieć: wyglądasz na zmęczoną. Jak mogę pomóc?

– Zejdź ze mnie.

– Wybacz, ale to awykonalne. Jesteś zbyt kusząca.

Uśmiechnęłam się ze zmęczeniem.

– Nic cię nie odstraszy, co?

Wzruszył ramionami i posłał mi taki uśmiech, że serce przestało mi na chwilę bić.

– Piękno często ma kolce. Dla odstraszenia nieproszonych gości.

– Ty naprawdę liczysz na kolejny numer, hę? – Zamrugalam.

– Zgadłaś – przytaknął.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce, doktor Bjorn zupełnie bez powodu wziął Devona za mojego byłego chłopaka, do którego wróciłam. Lekarze są

dziwni.

– Nic mnie tak nie cieszy jak widok rozpalonych na nowo uczuć i ich owoców.

Klasnąwszy w dłonie, zaprosił nas gestem do gabinetu.

– Jeśli mowa o jakimkolwiek rozpalaniu, to najchętniej spaliłabym tego osobnika żywcem – zapewniłam zadowolonego doktora.

Devon zachichotał ponuro, kojąco masując mi plecy. Ściany korytarza były obwieszane zdjęciami śpiących w koszyczkach dzieci. Jak się nad tym zastanowić, kociąta i niemowlaki miały ze sobą dużo wspólnego.

– Jak pan widzi, hormony nie próżnują. – Devon specjalnie uderzył w szowinistyczne tony, żeby zagrać mi na nerwach.

Ale nie dam mu tej satysfakcji, o nie.

– Tylko proszę nie czekać na weselne dzwony, panie doktorze – powiedziałam. Musiałam dopilnować, by Devon nie robił sobie żadnych nadziei. W jego towarzystwie już i tak balansowałam na granicy hysterii.

Niektóre dziewczyny po traumatycznych przejściach nigdy nie chcą być dotykane.

Ale ja? Moje ciało było szeroko otwarte na kontakt z mężczyzną. To umysł, serce i dusza pozostawały zamknięte na cztery spusty.

Weszliśmy do niewielkiego gabinetu z drewnianymi szafkami, stołem do badań i plakatami o chorobach wenerycznych.

– Ani myślę, panno Penrose. A zatem, panie Whitehall, będzie pan przy naszym pierwszym USG? – zwrócił się do Devona, jakby mnie tam nie było. Tych dwóch ewidentnie znalazło wspólny język.

I czy przypadkiem to nie ja powinnam decydować o takich rzeczach?

– Nie – powiedziałam stanowczo.

– Jak najbardziej – zawołał jednocześnie Devon.

Doktor Bjorn patrzył to na mnie, to na niego.

– Proszę o wybaczenie, zwykle gdy pacjentka zjawia się z partnerem, wnioski nasuwają się same. Przepraszam, jeśli się pospieszyłem. Może zostawię państwa na moment samych? Tylko proszę się przebrać w koszulę i położyć do badania, panno Penrose.

Gdy wyszedł, przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem w milczeniu, czekając, aż drugie pęknie.

– W czym problem? – zapytał w końcu Devon.

– To USG dopochwowe.

– No i co w związku z tym? Widziałem twoją cipkę pod każdym możliwym kątem. Lizałem ją, rznąłem, robiłem jej palcówkę.

– To jeden z najważniejszych momentów w moim życiu, ty jaskiniowcu – warknęłam.

– Dla mnie też. To również m o j e dziecko. – Wskazał na mój brzuch.

– I m o j a vagina – przypomniałam mu.

– Boże, ale z ciebie dzieciuch. – Wreszcie, wreszcie miał dość mojego zachowania. Ale nie przyniosło mi to takiej satysfakcji, jak myślałam.

– Cóż, w końcu jestem dziesięć lat młodsza od ciebie. Z hakiem.

– Posłuchaj – westchnął, kręcąc głową, jakbym była niesfornym berbeciem. – Obiecuję, że nie będę... zaglądał ci pod spódniczkę. Chcę tylko zobaczyć dziecko. M o j e dziecko.

– Nie ma czego oglądać. – Rozrzuciłam bezradnie ręce. – Na tym etapie jest wielkości fasolki.

– To n a s z a fasolka – oznajmił.

Miał rację i nie mogłam mu tego wybaczyć. A sobie, że nie umiałam mu odmówić. Pracowników, tej wizyty, niczego. Bo prawda była taka, że...

wsparcie moralne jest jednak całkiem miłe.

– Niech ci będzie. Ale jeden rzut oka na mojego bobra i przysięgam, że utnę ci jaja.

Zmarszczył brwi.

– Naprawdę musisz popracować nad swoim językiem.

– ...i je wybebeszę.

– Cóż za subtelność.

USG dopochwowe przebiegło jak to USG dopochwowe. Doktor pokazał nam małą, dumną kropkę na monitorze, w którą wpatrywaliśmy się z zachwytem i otwartymi ustami.

– Maluch wygląda dobrze. Proszę tylko dbać o wypoczynek i unikać stresu. – Doktor Bjorn zwrócił się do Devona. Bo do kogóż by innego.

– Tak jest, panie doktorze.

– No dobrze, proszę się przebrać i zapraszam do gabinetu.

Spiorunowałam Devona wzrokiem.

– Pozwolisz?

Gapił się na mnie, jakbym właśnie zrobiła jakąś niesamowitą magiczną sztuczkę, której jeszcze nigdy nie widział.

W jego okrągłych lazurowych oczach jaśniała duma i wzruszenie. I to mnie dobijało. Dobijało mnie, że nie mogę go objąć, pocałować i powiedzieć, że czuję to samo.

Szok. Radość. Zachwyt.

Zamiast tego uniosłam wyczekująco brwi.

– A tak. Naturalnie. – Wstał, rozglądając się, jakby szukał kolejnego pretekstu, by zostać. – To ja już sobie... Tego... Do zobaczenia w gabinecie.

Doktor Bjorn przepisał mi jakieś tabletki na poranne mdłości i zapewnił, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie sądzę, że Devon podzieliłby ten pogląd, gdyby wiedział o glocku w torebce i mojej gotowości do fizycznej konfrontacji ze stalkerem.

Wyszliśmy z gabinetu – ja ruszyłam do windy, Devon na klatkę schodową. Nie namawiałam go do wspólnej jazdy. Nie cierpiałam, gdy ktoś próbował wyciągać mnie ze strefy komfortu czy umniejszać moje lęki, i sama nie robiłam tego innym.

Spotkaliśmy się przed budynkiem, stojąc twarzą w twarz na zatłoczonej ulicy naszpikowanej wieżowcami.

Nagle nasza własna „sweven”. Wizja nas, trzymających się za ręce i uśmiechających się do siebie. Cieszących się tą chwilą jak normalna para.

Odchrząknął, uciekając wzrokiem.

– Muszę wracać do biura.

– No. – Poprawiłam kucyk. – Ja też. Mam szkolenie pracowników.

– Auć – skwitował współczująco.

– Zło konieczne – rzuciłam.

Zatrzymaj mnie. Powiedz, żebym nie szła. Pobądźmy razem jeszcze chwilę.

Wow. Nie mam pojęcia, skąd mi się wzięły te myśli.

– Dozo. – Zrobiłam krok w tył i ruszyłam w przeciwną stronę tylko po to, by po chwili usłyszeć za plecami jego wołanie.

– Może...

Znieruchomiałam z sercem w gardle. T a k?

– ...dałabyś się zaprosić na brunch? Słyszałaś, co powiedział lekarz. Musisz dbać o prawidłowe odżywianie. Zamówimy coś i skoczę po te

tabletki. Za rogiem jest kafejka...

– Tak. – Odwróciłam się na pięcie. Drżałam jak osika. Z radości. Ze strachu. Z podniecenia. – Tak. Muszę się dobrze odżywiać.

– Właśnie.

Żadne z nas się nie poruszyło. Z n o w u. Jeszcze parę tygodni temu ruchaliśmy się, jakby zbliżał się koniec świata, i nagle takie z nas wstydziuchy? Nie poznawałam siebie.

– Niekoniecznie dziś. – Skrzyżowałam ręce na piersi, wypychając z uśmiechem biodro. – Może być jutro. Albo pojutrze.

Parsknął śmiechem i podbiegł do mnie. Położył mi dłoń u nasady pleców i mogłabym przysiąc, że przebiegł mnie prąd, biorący początek w opuszkach jego palców i eksplodujący między moimi nogami.

Co, do...

Co, do...

Co, do...

– Fasolka wygląda słodko, prawda? – zapytałam, gdy skręciliśmy do najbliższej kafejki pod obstrzałem ciekawskich spojrzeń. Ludziska pewnie rozpoznali mnie z billboardów. Ale na niego też się gapili. Tu każdy wiedział, że w Bostonie mieszka członek brytyjskiej rodziny królewskiej.

– Przesłodko – przytaknął. – W życiu nie widziałem ładniejszej.

– A ja nawet nie przepadam za roślinami strączkowymi. – Boże, co ja gadam?

Devon się roześmiał.

– Wariatka.

– Dev?

– Hm?

– To dobry moment, żeby się przyznać do klaustrofobii.

- Poproś mnie później.
- To znaczy kiedy?
- Gdy ci zaufam.
- Możesz się nie doczekać – ostrzegłam.
- Otóż to.

Weszliśmy do przytulnej kawiarenki z wykuszami i kwiatami w doniczkach na stolikach.

Gdy kelnerka zaprowadziła nas do jednego z nich, pożerając wzrokiem boskie ciało Devona, jęknęłam w duchu.

Ciekawe, czy miałyby czelność to zrobić, gdybym przyszła z brzuszkiem.

Ale potem przypomniałam sobie, że to bez znaczenia, bo przecież nie jesteśmy parą.

– Czy pan przypadkiem nie jest jakimś lordem? To znaczy księciem? – śliniła się do niego.

Devon rzucił jej uprzejmy, acz zdawkowy uśmiech.

– Markizem – poprawił.

Ojciec mojego dziecka odsunął mi krzesło, a następnie zamówił wszystko, co było w karcie, nawet nie rzucając nań okiem.

– Mamy dwadzieścia siedem pozycji do wyboru – ostrzegła kelnerka, trzepocząc zalotnie rzęsami. Halo, czy ja jestem niewidzialna?

– Znakomicie, moja partnerka uwielbia różnorodność – odparł Dev. Coś czułam, że to aluzja do moich podbojów łóżkowych.

– Jakież preferencje co do kolejności? – Teraz już prawie się o niego opierała i znów miałam ochotę wbić jej widelec w oko.

– Proszę zapytać mojej towarzyszki. I byłbym wdzięczny, gdybyś jej na chwilę przypilnowała. Uwielbia mnie stresować.

I zabrawszy mi receptę oraz prawo jazdy, pobiegł do apteki po drugiej stronie ulicy.

Wrócił z dużo większą torbą, niż powinien.

– Wykupiłeś cały magazyn? – Uniosłam brew, sącząc wściekle zielony i okropnie zdrowy sok.

Książątko niech lepiej urodzi się sportowcem, bo ja robiłam wszystko, jak trzeba.

Devon odwrócił torbę, wysypując na stolik jej zawartość.

– Wiedziałaś, że mają całą alejkę z produktami dla kobiet w ciąży?

– Tak – odparłam rzeczowo.

– A ja nie. Więc wziąłem wszystko. Mamy masę suplementów, coś na zgagę, poranne mdłości, zaparcia i zakwaszenie pochwy.

– Chyba na prawidłowe pH. Gdyby moja pochwa była skwaszona, posłałabym ją do psychiatry dla cipek.

Devon parsknął kawą, którą zdążył upić, siadając, i wybuchnął śmiechem. Skądinąd bardzo zaraźliwym.

– Moja matka się w tobie zakocha – palnął ni z gruchy, ni z pietruchy.

Ku swojemu zdumieniu mimowolnie zarechotałam. Nie tylko dlatego, że pomysł spotkania z jego matką był totalnie chory, ale i dlatego, że miał rację. Na mój widok jego rodzina pewnie dostałaby zbiorowego zawału.

– Powiedziałaś jej o moim nowym stanie? – zapytałam.

– Tak.

– I?

– Nie była zadowolona – przyznał.

– I...? – dopytywałam ze ściśniętym sercem.

– Skończyłem czterdzieści lat i mam ten luksus, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. A spodobałaś mi się t y. Koniec tematu.

O tyle chciałam zapytać, tak wiele chciałam wiedzieć, ale nie miałam prawa go naciskać. Nie po tym, jak narysowałam między nami tę grubą kreskę.

– To opowiedz mi o swoim lęku przed windami, autami, samolotami i tak dalej – poprosiłam, atakując jajka po benedyktyńsku.

Wyszczrzył się.

– Niezła próba. Niestety, ale w ciągu tych ostatnich trzydziestu minut nie udało ci się zdobyć mojego zaufania. I szczerze mówiąc, masz marne szanse.

– Dlaczego?

– Nie można zaufać komuś, kto nie ufa samemu sobie. Nie jestem przeciwnikiem wylewności, Emmabelle, ale słabości należy wymieniać jak jeńców podczas wojny. Są dość mroczne i wstydlive, te nasze kompleksy, prawda? A dawanie czegoś za nic to kiepski interes.

– Ha. – Uśmiechnęłam się, smarując masłem kawałek ciasta marchewkowego, choć to nie miało najmniejszego sensu. – Więc jednak nie jesteś ideałem?

– Daleko mi do niego. – Jego uśmiech był zaraźliwy.

Spuściłam głowę, próbując skupić się na jedzeniu.

– No cóż, ja też nie jestem gotowa ci zaufać – przyznałam.

– To taki grzech? – zapytał łagodnie. – Zawierzenie drugiej osobie?

Po chwili zastanowienia skinęłam głową.

– Tak.

Przytrzymał moje spojrzenie. Czuję, że popełniam straszny błąd, ale nie mogłam się oprzeć.

– Czy mam na ciebie poczekać, Emmabelle? – zapytał cicho. – Jest jakiś powód, bym na ciebie czekał?

Powiedz tak, idiotko. Daj mu skrawek nadziei, żebyś ty też mogła się jej ucześcić.

Ale z moich ust padło tylko jedno słowo, zimne i twarde jak kamień.

– Nie.

Kolejne półtorej godziny zeszło nam na rozmowie o wszystkim oprócz naszych fobii.

Gadaliśmy o przyjaciółach, dzieciństwie, polityce, globalnym ociepleniu i tym, co nas irytuje – on na przykład nie znosił akronimów, a ja – gdy ktoś używał tego samego noża do masła orzechowego i dżemu oraz zwrotu „nie uwierzysz”, podczas gdy byłam gotowa uwierzyć absolutnie we wszystko.

– Ludzie są czasami beznadziejni! – Rozrzuciłam bezradnie ręce, podsumowując nasz brunch.

Devon zapłacił rachunek i dał hojny napiwek.

– Niereformowalni – przytaknął. Cieszyłam się, że tak gładko przełknął moją odmowę. – Ale niestety trzeba z tym żyć.

– Dzięki, że nie jesteś taki okropny, stary. – Szturchnęłam go pięścią w biceps i natychmiast tego pożałowałam. Dotyk jego twardych mięśni momentalnie podziałał na mnie jak najsilniejszy afrodyzjak.

Devon podniósł wzrok i przyłożył mi dłoń do czoła.

– Kochanie, masz gorączkę? Bo chyba właśnie powiedziałaś mi komplement.

– Cóż, przed chwilą zapłaciłeś za prawdziwą ucztę. To nie to, co myślisz – jękałam się. Brawo, Belle. Dopuszczaj dalej do głosu swoją wewnętrzną pięciolatkę.

– Ktoś tu się zaczyna do mnie przekonywać. – Wyszczrzył się.

Udałam odruch wymiotny i sięgnęłam po torebkę.

– Nic z tego. Jak już mówiłam, nie czekaj, aż zmienię zdanie.

Odprowadził mnie do taksówki i cierpliwie ze mną stał, aż biedny, nieogarnięty kierowca nas zlokalizował.

Gdy podjechał, Devon wsadził głowę przez opuszczoną szybę i kazał mu jechać wolno, bo „żona jest w ciąży” i ma mdłości, na co momentalnie zrobiło mi się słabo z rozkoszy i przerażenia jednocześnie.

Owionął mnie jego zapach, korzenny i piżmowy. Zapach, który próbowałam uchwycić za każdym razem, gdy opuszczał moje łóżko czy biuro.

Wpatrywałam się z zachwytem w jego idealnie rzeźbioną twarz i ręce same mi się do niego rwały. Świadomość, że noszę w sobie jego DNA, działała na mnie sto razy bardziej podniecająco niż jakikolwiek clubbing.

Przekrzywił lekko głowę i przez ułamek sekundy myślałam, że mnie pocałuje. Jak ćma, którą ciągnie do ognia, wspięłam się na palce z rozwartymi ustami. Jego nachylone ciało przytłoczyło mnie ze wszystkich stron i serce zaczęło mi walić jak młotem.

To się naprawdę działo.

Łamaliśmy zasady.

Nagle sięgnął za moje plecy i pociągnął za klamkę, odsuwając się, bym mogła wsiąść.

A l e p r z y p a ł.

Prawie się na niego rzuciłam, bo chciał otworzyć mi drzwi.

– Miłego dnia, Emmabelle. – Cofnął się nieco z wkurzającym luzem.

– No – odparłam łamiącym się głosem. Witaj, trzynastoletnia Belle. – Miłego.

Przez całą drogę powrotną powtarzałam sobie, że sama tego chciałam. Uparłam się, by trzymać go na dystans. Figle-migle ze starszym facetem

miały swoją cenę i kiedyś drogo za nie zapłaciłam.

Tak to się zawsze zaczyna – zdusiłam w zarodku kiełkującą nadzieję. Słodko i niewinnie. Wszystko ładnie pięknie, dopóki nie zniszczy ci życia.

Ale nikt mnie nigdy więcej nie zniszczy.

Nagle przypomniałam sobie cytaty ze ściany mojego mieszkania.

„Już dobrze.

Na chwilę zapomniałaś, kim jesteś.

Witaj z powrotem”.

Devon

WYLĄDOWAŁEM NA ANGIELSKIEJ ZIEMI mniej więcej kwadrans po powrocie prawnika ojca, Harry'ego Tindalla, z egzotycznych wakacji.

Opuszczałem Sweven z ciężkim sercem. Nie dlatego, że już zżerała mnie tęsknota (choć niestety przewidywałem taki obrót spraw), ale z tego powodu, że była specjalistką od ładowania się w kłopoty.

Pocieszałem się tylko, że przed wyjazdem jako tako zadbałem o jej bezpieczeństwo. A poza tym nie zamierzałem zostawać tu dłużej niż parę godzin.

Odczytanie testamentu miało się odbyć w kancelarii Tindalla w Knightsbridge. Swoją drogą wszelkie formalności powinny zostać załatwione najdalej tydzień po śmierci ojca, no, ale lepiej późno niż wcale.

Co dziwne, zdawało się, że ani mamie, ani Cecilii, które ewidentnie były pod ścianą, to opóźnienie zupełnie nie przeszkadza. Ale z drugiej strony regularnie przelewałem im pieniądze i co drugi dzień dzwoniłem kontrolnie do mamy.

W kancelarii Harry'ego zjawilem się wciąż w „roboczych” ciuchach. Ursula, Cece i Drew już tam byli i siedzieli w kółeczku przed biurkiem Tindalla.

– Pan Tindall przyjdzie za kilka minut – poinformowała nas jego sekretarka, wnosząc tacę z przekąskami i napojami, która w swojej tweedowej garsonce wyglądała jak bliźniaczka Joanne.

Drew rzucił się na ciastka i kawę, zanim zdążyła postawić ją na masywnym barku.

Mama mocno mnie przytuliła.

– Dobrze cię widzieć, Devvie.

– Ciebie też, mamusiu.

– Co u tamtej?

„Tamtą” była oczywiście Emmabelle Penrose. I choć nienawidziłem jej za to, że nie chce mnie ujeżdżać jak dzikiego ogiera, nie mogłem zaprzeczyć, że każda spędzona z nią chwila była jak miód na moje skołatane serce.

– Wszystko dobrze, dziękuję.

– Nie mogę uwierzyć, że zostaniesz ojcem. – Cecilia wyściskała mnie z całej siły.

– A ja tak. Najwyższa pora spłodzić dziedzica. Jeśli śmierć Edwina czegoś nas uczy, to tego, jak ważne jest zostawić po sobie następcę.

Ale bynajmniej nie dlatego cieszyłem się, że będę tatusiem. Chciałem tego wszystkiego, co mieli moi dzieciaci kumple: meczów T-balla, wypadów na łyżwy, słonecznych wakacji na Cape Cod i szybkich numerków pod prysznicem, gdy dzieciaki oglądają *Blueya* w drugim pokoju.

Chciałem ogniska rodzinnego. Mieć komu przekazać nie tylko tytuł i włości, ale także życiowe doświadczenie, zasady moralne i miłość.

Do gabinetu wkroczył opalony i wypoczęty Tindall.

Uściskawszy nam dłonie, złożywszy zdawkowe kondolencje i zaserwowawszy nam nudny jak flaki z olejem monolog o swoich wyspiarskich wakacjach, wreszcie otworzył teczkę z testamentem ojca.

Ścisnąłem dłoń mamy, by dodać jej otuchy. Była zimna i wilgotna. Tindall odchrząknął ceremonialnie, trzęsąc podwójnym podbródkiem. Był nalany, potężnym facetem ze skłonnością do czerwienienia się ze złości, gdy coś mu nie pasowało. Innymi słowy, do półboga było mu raczej daleko.

– Chciałbym zacząć od tego, że ten testament jest zdecydowanie niekonwencjonalny, ale spisano go zgodnie z życzeniem Edwina z zachowaniem ochrony wartości i zasad, którym hołduje ród Whitehallów. To powiedziawszy, mam nadzieję, że wszyscy zachowają rozsądek i go uszanują, gdyż, jak państwo na pewno wiedzą, testament jest niepodważalny.

Mama, Drew i Cecilia wierzili się nerwowo – oczywisty znak, że znali jego ogólną treść. Mnie z kolei niezbyt obchodziła; miałem własne miliony i nie byłem na niczyjej łasce.

Ale gdy Harry Tindall zaczął odczytywać testament, byłem coraz bardziej skonsternowany.

– Whitehall Court Castle przechodzi na Devona, pierworodnego syna...

Posiadłość dostała się mnie, synowi, którego się wyrzekł, którego całym sercem nienawidził i który zerwał z nim wszelkie kontakty.

– Portfel inwestycyjny o wartości dwóch milionów trzystu tysięcy funtów przechodzi na Devona...

Tak jak wszystkie jego fundusze.

– Kolekcję aut zapisuję Devonowi...

Jednym słowem, wszystko należało teraz do mnie. Przygotowałem się psychicznie na nieuchronny ojcowski cios. Figurowałem w testamencie jako jedyny spadkobierca rodzinnych ziem i majątku, ale na bank był w tym jakiś haczyk. Tindall czytał dalej, a mama coraz bardziej kurczyła się w sobie. Zalana łzami Cecilia odwróciła wzrok, a Drew zamknął oczy i odrzucił głowę, jakby nie chciał tu być.

I nagle bum. Doczekałem się. Drobnego druczku i śmiałego wyzwania. Dotarłszy do ostatniego zdania, pan Tindall podniósł głos.

– Cały majątek, ruchomy i nieruchomy, zostanie przekazany Devonowi Whitehallowi, markizowi Fitzgrovii, w dniu jego ślubu z lady Louisą Butchart. Do tego czasu wyłączną pieczę nad nim będzie trzymała kancelaria Tindall, Davidson i Partnerzy. W wypadku odmowy wypełnienia przez pana Whitehalla wyżej wymienionego warunku w ciągu dwunastu miesięcy kalendarzowych od odczytania testamentu zostanie on podzielony pomiędzy wybrane przez Edwina Whitehalla organizacje dobroczynne. – Tindal oderwał wzrok od kartki i uniósł brew. – Tu wymienia listę podejrzanych fundacji, takich jak Związek Łowiecki. Na wypadek gdyby nie doszło do ślubu. Ale jestem pewien, że to tylko formalność.

J a s n a c h o l e r a .

Edwin Whitehall nie zostawił ani grosza swojej żonie, córce i zięciowi. Nawet z za grobu próbował zmusić mnie do ożenku z Louisą, wciągając w to resztę rodziny.

Wróciło mgliste wspomnienie naszej rozmowy sprzed trzydziestu lat.

„A teraz pójdziesz przeprosić Louisę. Pobierzecie się, gdy tylko skończysz Oksford. I ani chwili później – albo pozbawię cię schedy, nazwiska i rodziny. Czy wyrażam się jasno?”

Tyle że nigdy nie skończyłem Oksfordu. Poszedłem na Harvard.

Zapowiedział to jasno i wyraźnie wiele lat temu. Wóz albo przewóz.

I teraz wywołał istną burzę. Matka wiedziała, że jeśli nie ożenię się z Louisą, straci wszystko, co miała, a przecież już ledwie wiązała koniec z końcem. To dlatego była dziś taka podminowana. To dlatego wieść o ciąży Emmabelle prawie ją dobiła.

– Oburzające – skwitowałem swoim najłagodniejszym tonem, popijając kawę.

– W istocie – lamentował Drew. – Ja i moja droga Cece nie dostaliśmy nawet zasranej rolki papieru toaletowego! – Zacisnął pięść, zgniatając kruche ciasteczko, które trzymał w dłoni.

– Och, przymknij się – warknęła niecierpliwie mama. Po raz pierwszy usłyszałem, że zwróciła się bezpośrednio do swojego zięcia, i można śmiało powiedzieć, że w większym poważaniu miała zbrodniarzy wojennych niż nowy nabytek w rodzinie. – Cecilia będzie zabezpieczona. Nigdy nie pozwolę, aby moja córka cierpiała niedostatek.

– Cecilia? – jęczał Drew, podrywając się z miejsca, ale by trzasnąć drzwiami, już nie starczyło mu jaj. – A co ze mną?

– Ten testament to jeden wielki żart. – Sięgnąłem po jabłko i rozparłem się w fotelu, nie spuszczać oka z Tindalla i polerując czerwoniutki owoc o swój garnitur od Armaniego.

Rzucił mi spojrzenie pod tytułem „nie kpij ze mnie, synu”.

– Przykro mi, Devonie. Akurat ty powinienesz wiedzieć, że prawo i sprawiedliwość mają ze sobą niewiele wspólnego. Bez względu na to, jak bardzo wydaje ci się on absurdalny, testament jest nie do podważenia. Edwin był w pełni władz umysłowych, gdy go spisywał. Mam na to trzech świadków.

– Łamie setki lat tradycji – wytknąłem. Miałbym być pierwszym pierworodnym od siedemnastego wieku, który dostaje pustą szkatułę? – No, ale czymże jest tradycja, jeśli nie formą nacisku z za grobu.

– Czymkolwiek jest, ma się całkiem dobrze – stwierdził Tindall.

– Jest jedno wyjście – zaczęła delikatnie mama, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Mógłbyś spróbować poznać Louise...

– Będę ojcem. – Spojrzałem na nią ze zmarszczonymi brwiami.

Uniosła wiotkie ramię.

– Patchworkowe rodziny można spotkać na każdym kroku. Oglądałeś kiedyś Jeremy’ego Kyle’a? Mężczyzna może mieć dzieci z więcej niż jedną kobietą. Czy dwiema.

– Odkąd to Jeremy Kyle jest dla ciebie wyrocznią? – zapytałem śpiewnie.

– Devvie, przykro mi, ale nie możesz myśleć tylko o sobie. A co ze mną i Cece?

– I ze mną – wtrącił Drew.

I tak bym się nie przejął, gdyby nagle padł trupem i sam szatan zaciągnął go za ucho do piekła.

– Odpowiedź brzmi nie. – Mój lodowaty ton dobitnie mówił, że to koniec dyskusji.

Przez te wszystkie lata unikałem ojca częściowo dlatego, że nie akceptował mojej decyzji w sprawie Louisy, a teraz przez to samo groziła mi utrata mamy i Cecylii. Bo nieważne, jaki byłem bogaty i szczodry, odmawiając ślubu z Lou, okradałem je z majątku wartego miliony.

– Devonie, błagam...

Wstałem i wyparowałem z gabinetu, zatrzymując się dopiero przed budynkiem. Zapaliłem papierosa i zacząłem się przechadzać brukowaną ulicą. Nad Londynem zdążył już zapaść zmrok, a w dali majaczyła rozświetlona siedziba Harrodsa.

Przypomniałem sobie związaną z nim ciekawostkę historyczną: w czasie pierwszej wojny światowej sprzedawał zestawy strzykawek i fiolek z kokainą jako środkiem uśmierzającym ból dla rannych i umierających żołnierzy.

Obudziły się czułe wspomnienia. Rodzina mamy była jednym z dostawców tego luksusowego domu towarowego i zbiła na nim fortunę.

Posiadała połacie pól makowych. Dzięki swojej wytrwałości i żywotności kwiat ten wyrósł na symbol poległych w wielkiej wojnie, jak ją wówczas nazywano.

Emmabelle Penrose też przypominała mi kwiat maku.

Słodki, acz zdradliwy. O wielu obliczach.

– Mój Boże, pozwoliłeś, by emocje wzięły nad tobą górę. Dałeś prawdziwy pokaz jankeskiego niewychowania, gratuluję. Ojciec przewraca się w grobie. – Mama wyskoczyła na przejmujący chłód londyńskiej zimy, zakutana w biało-czarną bosmankę.

Zaciągnąłem się papierosem i wypuściłem w górę wstęgę dymu.

– Mam nadzieję, że przewróci się na samo dno piekła, jeśli jeszcze tam nie trafił.

– Devvie, na miłość boską – zbeształa mnie, teatralnie poprawiając mi kołnierz. – Przykro mi, że postawiono cię w takiej sytuacji, skarbie.

– Niepotrzebnie. Nie dałem Edwinowi manipulować sobą za życia i teraz też nie zamierzam.

– Za parę dni albo tygodni, gdy już ochłoniesz, dojdiesz do jedynego słusznego wniosku, że ślub z Louisą to najlepsze wyjście dla nas wszystkich. Dla ciebie, Cece, Butchartów...

– I oczywiście ciebie. – Uśmiechnąłem się posepnie.

Zamrugła, wpatrzona z ponurą miną w zabytkowe budynki przed nami.

– Czy to grzech uważać, że mam prawo do części własnego majątku?

– Nie. – Rzuciłem niedopałek, odprowadzając go wzrokiem do rynsztoka. – Ale powinnaś mu wyperswadować te zmiany w testamencie.

– Nie miałam o niczym pojęcia – szepnęła, nie odrywając wzroku od paznokci, które Belle nazwałaby „zrobionymi”. Matka mojego nienarodzonego dziecka i jej wytworny język.

– Czyżby? – Przyjrzałem się jej uważnie.

– Owszem.

Nagle mnie oświeciło. Odwróciłem się do niej na pięcie, mrużąc oczy.

– Zaraz, zaraz. Teraz już rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Dlaczego Byron i Benedict suszyli mi głowę o Louise na stypie po Edwinie.

– Devvie, naprawdę wolałabym, żebyś nazywał go pap...

– Dlaczego tam była. Skąd to jej współczucie i wyrozumiałość. Wszyscy wiedzieliście, że ojciec zapędzi mnie w kozi róg, i próbowaliście mnie rozgrywać.

– Och, oczywiście, że wiedziałam. – Westchnęła ze zmęczeniem, opierając się o mur i przymykając oczy. Nagle wyglądała tak staro. Zupełnie nie przypominała tamtej eleganckiej, wytwornej kobiety z mojego dzieciństwa. – Edwin powiedział mi o wszystkim po zdeponowaniu testamentu. Nic już nie mogłam zrobić. Przyjaciele się wykruszyli, a to, co nam zostało, czyli nieruchomości i kolekcja aut, zapisał tobie. Jestem praktycznie nędzarką. Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz nie ożenić się z Louisą.

I wtedy zrobiła coś strasznego.

Coś, czego nie byłem w stanie znieść.

Na środku ulicy upadła rozedrgana na kolana, podnosząc na mnie błyszczące jak dwa brylanty oczy.

Chciałem uklęknąć i nią potrząsnąć, wytłumaczyć, dlaczego nie mogę tego zrobić. Dlaczego nie mogę być tym, kim wymarzył sobie ojciec. Przenigdy.

– Przepraszam, mamó – powiedziałem i odszedłem.

Dwa dni później Sam i Cillian wpadli do mnie z wieczorną wizytą.

Ostatnio nie udzielałem się towarzysko, gdyż: A) nie miałem ochoty na towarzystwo tych dwóch gamoni i B) im dłużej przebywałem wśród ludzi, tym większą czułem presję, by udawać normalnego, ukrywając swoje dziwactwa, wymysły i klaustrofobię.

Dla przykładu, w siedzibie Royal Pipelines zawsze korzystałem z windy. Przedtem musiałem łyknąć sobie valium na odwagę, ale umiałem się jakoś przemóc.

A w Badlands zawsze musiałem pomyśleć, zanim coś powiedziałem, bez względu na temat, pamiętając, żeby dbać o image. Kobieciarza i rozpustnika o osobliwych gustach i wysokich wymaganiach.

Nigdy nie mogłem być przy nich sobą i choć darzyłem ich sympatią, tak naprawdę nigdy się przed nimi nie otwierałem.

– Testament jest nie do obalenia. Przeczytałem go z dziesięć razy w każdą stronę – mruknąłem w szklaneczkę whiskey w obecności dwóch gagatków, którzy umieli się wywinąć z każdych oparów, choć zgoła innymi metodami.

Teraz nie miałem wyjścia i musiałem się przed nimi wywnętrzyć, choćby ogólnikowo.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego nigdy nie mówiłeś o swojej rodzinie. – Cillian stał przed panoramicznym oknem z malowniczym widokiem na Charles River i bostońskie drapacze chmur w dali. – Przy twoich moi rodzice to łagodne owieczki.

– Bez przesadyzmu. – Rozparty w designerskim fotelu na wprost mnie Sam upił swojego drinka. – Powiedzmy, że te organizacje zrezygnują z tak hojnej darowizny, co wtedy?

– Majątek zostanie podzielony między dalszych krewnych, z którymi, szczerze mówiąc, nie utrzymuję kontaktu. Wszyscy faceci noszący

nazwisko Whitehall to pijacy, prymitywy albo jedno i drugie.

Nie wspominając, że absolutnie nie miałem zamiaru zostać dłużnikiem Sama Brennana. Na razie mimo wysiłków nie udało mu się wciągnąć mnie w swoje interesy i chciałem, żeby tak zostało.

– A co mówi na to prawo primogenitury? – dopytywał. – To korona jest jego gwarantem. Nawet taki prostak jak ja to wie.

– Kruczki – rzuciłem gorzko. – Nie jestem w bezpośredniej linii do tronu, więc nie wszystkie przywileje mnie chronią.

Z wyłączeniem tych, które pasowały ojcu.

– Przypomnij mi, czemu nie w smak ci ślub z tą całą Lilian? – zapytał z zamyśleniem Cillian.

– Louisą – poprawiłem, skręcając sobie papierosa, żeby zająć czymś rękę. – Bo nie ugiąłem się za życia ojca i na pewno nie ugnę się po jego śmierci. A poza tym dorzucił intercyzę i w razie rozvodu dostałaby wszystko.

– Nawet gdybyś się ugiął, już o niczym się nie dowie – mruknął w szklaneczkę Sam. – W końcu wacha kwiatki od spodu.

– Co ty nie powiesz.

– Małżeństwo niejedną ma postać. – Cillian oderwał się od okna, podszedł do barku i przeglądał jego zawartość. – Możesz się z nią ożenić i nadal spotykać z innymi.

– I ją unieszczęśliwić? – zarechotałem ponuro.

Sam wzruszył ramionami.

– To już nie twoje zmartwienie.

– Nie umiem niepotrzebnie krzywdzić. – Wodziłem z roztargnieniem kostką lodu po brzegu szklaneczki.

– Nie nie umiesz, tylko nie chcesz – poprawił przeciągle Cillian. – Dla ratowania własnego tyłka ludzie są zdolni do wszystkiego.

– Sęk w tym, że mój tyłek nie jest w opałach. W przeciwieństwie do mojej matki i siostry. – Upuściłem kostkę do szklaneczki. – A wy ożenilibyście się dla pieniędzy?

Sam roześmiał się szyderczo, błyskając groźnie okiem.

– Kiedyś chajtnąłbym się bez mrugnięcia okiem dla kawałka tostu, gdybym musiał. Ale los się uśmiechnął i mogłem wziąć sobie za żonę tę, której pragnąłem.

Cillian się skrzywił.

– Hej, mówisz o mojej siostrze.

– Nie przypominaj mi. – Sam dopił swoją whiskey. – Na samą myśl, że Ambrose ma twoje DNA, dostaję dreszczy.

– Coś takiego. – Zaczekał Cillian. – Bo jakoś sobie nie przypominam, żebyś sam pochodził z rodziny neurochirurgów i pilotów myśliwców.

Nie musiałem go pytać, czy chajtnąłby się z kimś, kogo nie kochał, bo przed paru laty to właśnie zrobił – po czym zakochał się na zabój w swojej wybrance.

Potarłem się kłykcami po szczęce, zastanawiając się, jak na wieść o moim rychłym ożenku zareagowałaby Emmabelle. Pewnie zbyłaby to śmiechem i zapytała, czy na ślubie ma wystąpić w fikuśnym kapelutku.

N i e c z e k a j n a m n i e .

– W każdym razie matka potrzebuje na gwałt pieniędzy. A Cece z radością wzięłaby rozwód i zaczęła nowe życie. Poza tym chcę, żeby majątek został w rękach najbliższej rodziny.

– To nad czym się tu zastanawiać? – Cillian wyciągnął butelkę brandy i nalał sobie szklaneczkę. – Żeń się i już. Tylko nie zapomnij o planie ucieczki.

– To skomplikowane – mruknąłem, myśląc o intercyzie.

– Oświeć nas, Einsteinie – zakpił.

– Chcę schedy, nie kobiety. – W zasadzie nie chciałem ani jednego, ani drugiego, ale musiałem zabezpieczyć mamę i Cecilie.

– Jak już ustaliliśmy, nie musisz jej dziobać do końca zasranego życia. – Sam wychylił drinka i wstał, znudzony rozmową. – Po prostu ją zaobrączkuj. Bonusowe punkty to zmajstrowanie jej dzieciaka, żebyś miał komu wszystko zostawić.

– Mam komu wszystko zostawić. Mojemu dziecku z Emmabelle.

Cillian rzucił mi przez ramię spojrzenie pełne politowania.

– Zostawisz tytuł bękartowi? Serio?

Zerwałem się z fotela i zanim się zorientowałem, stałem przed nim, chwyciłem go za kołnierz i popchnąłem na bary.

– Jeszcze raz nazwij moje nienarodzone dziecko bękartem, a stracisz zęby – warknąłem.

Brennan doskoczył i nas rozdzielił, odpychając w przeciwne strony.

– Spokój, panowie. Cillian dobrze mówi. Może nie spieszy ci się do ślubu z tą całą Laurą, bo fiut ciągnie cię do mamusi twojego dzieciaka.

– L o u i s a – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

– Nie, Belle. Nawet ja to wiem. Weź prochy, stary. – Sam pokręcił głową.

– Tamta ma na imię Louisa.

Cillian sączył brandy ze stoickim spokojem. Sam gratulując sobie zdolności rozjemczych, powoli się wycofał.

Obaj gapili się na mnie jak cielę na malowane wrota.

– No co? – Zmrużyłem podejrzliwie oczy. – Co się tak gapicie?

Cillian uśmiechnął się złośliwie.

– Tak to się właśnie zaczyna.

– Niby co?

Wymienili rozbawione spojrzenia.

– Już po chłopie – stwierdził Sam.

– Nie miał żadnych szans – przytaknął Cillian.

– Biedna Livia – zachichotał Sam.

Tym razem go nie poprawiłem.

Belle

Lat czternaście

– **SKURWIEL.** – *Tata pluje na podłogę.*

Oho, zaraz dostanie od mamy po głowie.

Leży jak katatonik przed telewizorem, zmęczony po całym dniu w pracy.

Mama zaszyła się ze swoim załamaniem w innym pokoju. Takim niezbyt dużym, ale zawsze. Wciąż nie doszła do siebie po śmierci cioci Tildy przed ponad rokiem. To ona ją wychowała, choć dzieliło je tylko... ile to? Dziesięć lat? Ciocia pomagała i w naszym wychowaniu, więc naturalnie ja też jestem przygnębiona. Ale mama... Czasami mam wrażenie, że jest na innej planecie.

– *Tatusiu, język – oburza się Persephone z dywanu, gdzie układa rekordowe puzzle. Ze swoim grubym warkoczem spadającym na ramię wygląda jak ideał. Chciałabym być taka jak ona.*

– *Przepraszam, skarbie. Ale jak widzę takie rzeczy, to aż się we mnie gotuje.*

Podnoszę wzrok znad pracy domowej, którą odrabiam na sofie. Tato ogląda lokalne wiadomości, w których mówią o nauczycielu geografii przyłapanym na romansowaniu z licealistką.

Dziad wygląda co najmniej na pięćdziesięciopięciolatka.

– *Tacy jak on powinni gnić w piekle. – Tata wstaje i zaczyna przechadzać się po salonie.*

Powtarzam sobie, że to nic takiego.

Że to nie ma żadnego związku ze mną i trenerem Lockenem.

A poza tym co ja sobie w ogóle wyobrażam? Nigdy się nie pocałowaliśmy, nie przytuliliśmy, nie dotknęliśmy „w ten” sposób. Leczy moją kontuzję kolana i skurczone mięśnie. Nie jego wina, że mam defekt.

I bądźmy szczerzy, humoru tacie nie popsuły żadne wiadomości, tylko stan mamy, którą próbuje namówić na terapię. Mama odpowiada, że przecież dom jest czysty, a dzieci nakarmione. Co racja, to racja. Jest rewelacyjną matką, nawet gdy jest smutna.

– Mam nadzieję, dziewczynki, że wiecie, iż natychmiast powinniście mi powiedzieć, gdyby coś takiego kiedyś się zdarzyło. – Tata wskazuje na telewizor.

– Tak, tatusiu – odpowiadamy chórem.

Późnym wieczorem dostaję esemesa od trenera Lockena. To nic nadzwyczajnego, czasami do nas pisze. Na przykład z informacją o przełożonym treningu albo coś.

Tylko że tym razem wiadomość nie pojawia się na czacie grupowym, tylko w mojej skrzynce.

Trener Locken: Zmiana godziny porannego treningu. Pod bramą Castle Rock Reservation o siódmej. Nie spóźnij się.

Belle

TYGODNIE PRZELATUJĄ jeden za drugim jak kartki wciągającej powieści.

Jedynymi widocznymi oznakami ciąży nadal były gwałtowne napady porannych mdłości w parze z cotygodniowymi wizytami u doktora Bjorna, gdzie mogliśmy popatrzeć, jak w mojej pokręconej, policystycznej macicy rośnie jak na drożdżach nasze Książątko (czy Jaś Fasola, jak czule nazywał je Devon), zupełnie nie przejmując się kiepskimi warunkami, w których przyszło mu się rozwijać.

M o j a d z i e w c z y n k a.

Devon nie przegapił ani jednej wizyty i nigdy nie przychodził z pustymi rękami. Przynosił mi a to wodę, a to witaminowe żelki, a to imbirowe cukierki. Dzwonił co tydzień, snując poporodowe plany.

– Chcę, żeby miała duży pokój – powiedziałam mu raz.

– Całe twoje mieszkanie to pół pokoju – odparł z typową dla siebie spostrzegawczością. – Mogłabyś się przeprowadzić do mojego budynku.

Skrzywiłam się. Nie dlatego, że nie chciałam być blisko niego, ale dlatego, że oczami wyobraźni już widziałam, jak walę pięścią w ścianę za każdym razem, gdy zobaczę go z jakąś laską.

– Nie, coś sobie znajdę.

– Sweven?

– Tak?

– Dawaj następnego dziwaka królestwa zwierząt.

Ostatnio ciągle nam się to zdarzało – rozmówki na pokręcone tematy. Jakie to tragiczne, że w ciele tego młodego boga mieszkało tyle uroczych dziwactw. Daleko mu było do zarozumialca z zadartym nosem, za którego w pierwszej chwili go wzięłam.

Osunęłam się na poduszkę, wkładając rękę pod głowę i gapiąc się z uśmiechem w sufit.

– Widziałeś kiedyś kazuara hełmiastego?

– Nie przypominam sobie. – Usłyszałam uśmiech w jego głosie i poczułam ukłucie w piersi.

Przymknęłam oczy, przełykając z trudem.

– To taki australijski ptak. Wygląda jak Karen, która chce rozmawiać z kierownikiem, bo w jej odtłuszczonej latte pływają dwie krople zwykłego syropu waniliowego zamiast dietetycznego.

Parsknął śmiechem zachwycony.

– Muszę go wygooglować. O Boże. Nie przesadziłaś. Jaka facjata...

– Twoja kolej.

– Zawsze uważałem, że golce piaskowe wyglądają jak pomarszczone penisy – palnął po chwili zastanowienia. – Pomarszczone i skurczone, dodam.

Ryknęłam takim śmiechem, że aż popuściłam w majtki. Odrobinę.

Zapadła cisza.

– Nadal mam na ciebie nie czekać, Belle?

Poczułam się ciężka jak kloc i przeszył mnie ostry ból, ale nie zapłakałam. Nigdy nie płakałam przez mężczyznę.

– Nie czekaj – odparłam cicho.

Dni spokojnie mijały, zdążyłam zapomnieć o moim stalkerze i jego morderczych zapędach. Od tygodni się nie odzywał (nie odzywała?), mimo że regularnie sprawdzałam pocztę, bez przerwy oglądałam się za siebie na ulicy i nie rozstawałam z bronią.

Na domiar złego Simon, którego pieśczośliwie nazywałam „Si”, chodził za mną jak cień, zwłaszcza gdy wpadałam do Madame Mayhem. Stało się jasne, że wcale nie miał pomagać w klubie, jego zadaniem było utrzymanie mnie przy życiu. Ku mojemu zaskoczeniu, zbytnio mi to nie przeszkadzało. Byłam niezależną kobietą, owszem, ale nie totalnym debilem. Doceniałam każdą pomocną dłoń, przynajmniej do czasu, aż dowiem się czegoś więcej o swoim prześladowcy.

Tymczasem Devon dawał mi prawdziwe wsparcie, spełniając wszystkie moje zachcianki.

Gdy mu powiedziałam, że nie chcę znać płci naszego dziecka, słowem się nie zająknął, choć wiedziałam, że należy do ludzi, którzy muszą wszystko wiedzieć.

Trzęsienie ziemi przyszło znikąd. Pewnego dnia miał mnie odebrać od lekarza i spóźnił się całe trzy minuty. A to nowość. Zwykle to on czekał, aż się łaskawie zbiorę do wyjścia.

Wsiadłam do taksówki i uśmiechnęłam się do niego. Odwzajemnił uśmiech, ale był jakiś taki... nieobecny. Jakby jego twarz zasnuła cienka warstwa szronu.

– Po naszej wczorajszej rozmowie przyszedł mi do głowy kolejny zwierzęcy dziwak – powiedziałam, zapinając pasy.

– Zamieniam się w słuch. – Rozparł się na siedzeniu, unosząc z zaciekawieniem brew.

– Marabut afrykański. Wygląda, jakby miały pod dziobem przywiędłe jajca.

Zachichotał i wtedy je zauważyłam.

Bładoróżowe pręgi na jego szyi.

Przewróciło mi się w żołądku. Gdybym stała, kolana na bank ugięłyby się pode mną. Aż musiałam się oprzeć o drzwi i wziąć głęboki oddech.

– Widzę, że nie próżnowałeś. – Zmrużyłam oczy.

– Ja nigdy nie próżnuję, skarbie. To się nazywa dorosłość. Powinnaś kiedyś spróbować. – Z przyzwoitości odrobinę się zaczerwienił.

– Fajnie, że chociaż jedno z nas zalicza. Szkoda tylko, że nie ja.

Zamknij się, Belle. Nie miałam żadnego prawa robić mu wymówek, zwłaszcza że na każdym kroku przypominałam mu, że nie jesteśmy parą.

Poprawił nerwowo kołnierz, co jeszcze bardziej pogorszyło sprawę. Ale przy tym wszystkim zachowywał klasę, więc nie mogłam nawet strzelić porządnego focha.

– Opowiadaj – zażądałam.

– Nie – odparł przeciągle, mrużąc podejrzliwie oczy.

– No już, Devon. Chcę to usłyszeć. – Skrzyżowałam ręce na piersi, nie bardzo wiedząc, po co suszę mu głowę. Byłam aż taką masochistką? Odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości: chciałam, żeby zabolalo. Chciałam się ukarać za to, że w ogóle mnie to obchodziło. Zanim się odezwał, jego usta wygięły się w skwaszonym grymasie.

– Wczoraj miałem nieplanowane dwugodzinne okienko. Tak się złożyło, że stara znajoma zjechała do miasta na konferencję medyczną. Poszliśmy do jej hotelu na kolację...

– Niech zgadnę: zostałeś na deser? – Uśmiechnęłam się złośliwie.

Spojrzał na mnie pustym, beznamietnym wzrokiem. Miałam ochotę wybuchnąć płaczem. Albo po prostu wybuchnąć, kropka. Może lada chwila

skóra mi pęknie i ze środka wyleje się zielonkawa breja zazdrości. Może wreszcie sobie przypomnę to, o czym ostatnio chyba zapomniałam – że mężczyźni to podłe dranie zaprogramowane, by krzywdzić.

– Przespałeś się z nią. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie. Miałam płonną nadzieję, że zaprzeczy albo powie, że się pocałowali, ale to był błąd i uciekł. Albo że przysięgnie, że to się więcej nie powtórzy, bo wcale mu się nie podobało, a poza tym przez cały czas i tak myślał o mnie.

Ale jego odpowiedź zmroziła mi krew w żyłach.

– Tak – powiedział po prostu.

Taksówkarz poruszył się niespokojnie, zapewne przerażony, że lada chwila zamienię jego furę w miejsce zbrodni, z zimną krwią mordując swojego współpasażera. Biedak. Dam mu podwójny napiwek.

– Obciągnęła ci? – zapytałam rzeczowym tonem.

Taksówkarz zakrztusił się śliną.

Devon strzepnął ze znudzoną, nieobecną miną niewidzialny pyłek ze swojego nienagannego garniaka.

– Sweven...

– Żadna S w e v e n, dupku. Nie waż się tak do mnie mówić.

– Mam podejrzenia graniczące z pewnością, że za chwilę atak zazdrości ci przejdzie i go pożałujesz. Zmieńmy temat – powiedział pewnym siebie głosem.

Nie mylił się. Co tylko jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

– Najpierw odpowiedz na pytanie. Czy. Ci. Obciągnęła?

Spojrzał tymi swoimi bladymi, opanowanymi oczami.

– Tak.

– Podobało ci się?

– Tak.

Zaśmiałam się chrapliwie. Ziemia usunęła mi się spod stóp i miałam ochotę puścić pawia.

– Powiedziałaś, że bym na ciebie nie czekał. Nawet dwukrotnie. Logiczny wniosek: nie możesz rościć sobie żadnych praw do mnie czy moich uczuć.

Jego „uczuć”. Że też musiałam się zadać z jedynym facetem w Bostonie, który gadał, jakby został żywcem wyjęty z powieści Jane Austen.

– Walić twoje logiczne wnioski – oznajmiłam.

– Lubię walenie. Nie tylko logiki.

– Telefon ci dzwoni – poinformowałam go sucho.

Wyciągnął go i marszcząc brwi, wbił wzrok w wyświetlacz.

„Tiffany”.

Nie odebrał i przełączyło ją na pocztę głosową.

Ale nie ustępowała, znów zadzwoniła. Zacisnął usta i znów ją olał.

Podjechaliśmy pod klinikę. Wcisnęłam kierowcy pięćdziesiąt dolców i wyskoczyłam z auta, ciągnąc za sobą Devona. Telefon znów rozświetlił mu się w dłoni. Tym razem na ekranie wyskoczyła „Tracey”.

Nie chcąc tracić z oczu tego klaustrofoba, bezwiednie skręciłam na klatkę schodową.

– Rzniesz tylko laski z imionami na „T”? – zapytałam słodko.

– Tracey to jedna ze współpracowniczek w mojej kancelarii.

– Założę się, że ją też zaliczyłeś.

– Ma sześćdziesiąt lat.

– To tak jak ty. – Serio? Mogłam się pochwalić dojrzałością muffinki.

Pod drzwiami kliniki posłał mi kolejne spojrzenie pełne politowania.

Obiecałam sobie, że potraktuję to jako cenną lekcję. Ta nauka wyjdzie mi na dobre. Jeśli już, to ostatnie pół godziny potwierdziły tylko, że jak zwykle miałam rację.

Devon był tylko niebezpiecznym mężczyzną, który nie potrafi utrzymać wacka w spodniach.

Okej, był miły i bardziej cywilizowany od innych, ale facet to facet.

Złapał mnie za rękę, odwrócił i przycisnął do drzwi. Nie mogłam oderwać oczu od jego napierającego na mnie ciała, pożądając go i nienawidząc jednocześnie.

– Puszczaj! – warknęłam.

– Za nic w świecie, kochanie. A teraz ty odpowiedz mi na pytanie: byłaś z kimś, odkąd się znów spiknęliśmy?

Nie byłam. Przed zajściem w ciążę chciałam wyzerować swoje sekscesy, by mieć pewność, że to on będzie ojcem mojego dziecka. W końcu głupio byłoby wskakiwać do łóżka z jakimś przypadkowym kolesiem, wiedząc, że noszę w sobie Książątko.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że bez przerwy się pukam. Tak zrobiłaby dawna Belle. Ale gdy otworzyłam usta, słowa nie chciały mi przejść przez gardło.

Ten dziad umiał wyciągnąć ze mnie najpodlejszą prawdę.

– Nie – przyznałam. – Po tobie nie byłam z nikim – dodałam głośniej.

Z jego pięknych ust wyrwało się chrząknięcie i przymknął oczy. Gdy znów je otworzył, płonął w nich ogień.

– Mógłbym cię za to pocałować, Emmabelle Penrose.

Zmuszając się do uśmiechu, pchnęłam drzwi. I w tej samej chwili Tiffany znów zaczęła się dobijać.

– A n i s i ę w a ż, Devonie Whitehallu.

Pewnego dnia, obejmując czule swój trzymiesięczny brzuszek i pożerając wzrokiem torby do przewijania i foteliki samochodowe w buybuy Baby, z kubkiem ohydneho zielonego soku w dłoni, zauważyłam płaczącą przy kasie dziewczynę w ósmym lub dziewiątym miesiącu ciąży.

Zgięła się wpół, opierając ręce o taśmę, na której leżała góra zakupów. Torba do przewijania, śliniaczki i cały ten kram, bez którego przyszła matka nie może się dziś obyć. W pierwszej chwili pomyślałam, że rodzi. O rany. Z początkiem trzydziestego ósmego tygodnia nie wychodzę z domu, obiecałam sobie. Z moim szczęściem wody odeszłyby mi w zatłoczonej windzie. Która na dokładkę stanęłaby między piętami.

Jej brzuszek osiągnął rozmiarem punkt krytyczny, a przez bluzkę było widać wyraźny zarys pępka. Po policzkach spływały jej łzy przemieszane z rozmazanym tuszem.

– Przepraszam. Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. – Wytarła nos rękawem. – Wszystko odniosę, proszę tylko dać mi chwilę.

– Nie ma pośpiechu, kochaniutka. – Kasjerka wyglądała, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

– Mogę obejść się bez śliniaczków. Stare koszulki wystarczą, prawda?

Odłożyłam z powrotem na półkę maść do sutków, którą właśnie oglądałam, i podbiegłam do kasy, wyciągając kartę kredytową i kładąc ją na ladzie.

– Proszę niczego nie odkładać. Ja zapłacę.

Zapłakana dziewczyna popatrzyła na mnie żałośnie, głaszcząc się po brzuszku, jakby pocieszała swoje nienarodzone dziecko. Teraz, gdy miałam okazję się jej przyjrzeć, uznałam, że nie ma więcej niż dziewiętnaście lat. Jędrna, zaróżowiona cera nastolatki. Miałam ochotę rozpłakać się razem z nią. Biedna.

– Nawet nie wiem, po co tu przyszłam – wychlipiała.

– Przyszłaś, by kupić parę rzeczy dla swojego dziecka. – Musnęłam jej rękę. – To nie zbrodnia. I wyjdiesz stąd ze wszystkim, czego potrzebujesz.

– Na... na pewno? – Skrzywiła się.

– Na pewno, stara.

Jej usta wygięły się w zawstydzonym uśmiechu. Miała na sobie dziurawe legginsy i koszulę, która przykleiła się jej do brzucha jak folia spożywcza. Żałowałam, że nie mogę się z nią podzielić sukienkami ciążowymi, które kupiłam z pieniędzy na dziecko od Devona – miał naprawdę wielki gest i przelewał mi je co miesiąc na konto. Przy moim płaskim trzymiesięcznym brzuszku jeszcze ich nie potrzebowałam.

– Dzięki – pociągnęła nosem. – Mój chłopak parę miesięcy temu stracił pracę i jeszcze nie znalazł nowej. Masakra.

– Cholera, przykro mi. Trzeba być bez serca, żeby zwalniać przyszłego ojca. – Podałam kasjerce kartę podarunkową ze stojaka. – Proszę nabić dwa tysiące dolarów.

Musiałam dopilnować, by dziewczyna miała środki na pieluchy i resztę, dopóki jej chłopak nie znajdzie pracy, bo inaczej nie mogłabym spać w nocy. W odpowiedzi uderzyła w jeszcze większy płacz, tym razem wywołany ulgą.

– No, jest fatalnie. Bardzo liczyliśmy na tę robotę – wyrzucała z siebie, czkając i pociągając nosem. – Jak go wylali, to strasznie się zmienił. Ostatnio jęczy, bo rachunek ze szpitala, ale co poradzę? Mam rodić w łazience? – Ściągnęła ze złością brwi. – Zapewniał mnie, że uważamy. A ja głupia uwierzyłam. Gdybyśmy uważali, nie zaszłabym w ciążę.

– Do tanga trzeba dwojga.

A do opery mydlanej trójkąta, dodałam gorzko w duchu na wspomnienie Tiffany.

– Prawda? – Zrobiła wielkie oczy. – Ja przynajmniej znalazłam pracę w miejscowym second-handzie, a on przestał wychodzić z domu. Siedzi tylko przed telewizorem i żłopie piwo... kurde, przepraszam. – Oblała się rumieńcem i spuściła głowę, kręcąc nią. – To przecież nie pani problem. Dziękuję za wszystko.

– Stara, ja wywnętrzam się przed każdym chętnym słuchaczem, więc nie ma sprawy. Mój agent ubezpieczeniowy zna moje wyniki badań krwi, a na terapię chodzę do sprzedawczynie w spożywczaku za rogiem. – Podałam jej torbę z zakupami razem z wizytówką. – Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Albo po prostu się wypłakać.

Przyjęła prezent z wdzięcznością, wlepiając we mnie rozanielony wzrok.

– To musi być znak, że idzie ku lepszemu. Wie pani, przed godziną mój chłopak ni z gruchy, ni z pietruchy zapytał, czy nie mam ochoty wybrać się na zakupy. To p r z e z n a c z e n i e.

– Przeznaczenie jest jak stalker. Zawsze cię wyśledzi. – Mrugnęłam do niej.

Dwadzieścia minut i dwa wątpliwe zakupy później (czy naprawdę potrzebowałam śpioszków z mopem i wiatraczka do pupy?) szłam do auta objuczona torbami, zastanawiając się, ile lodów możemy zjeść z Książątkiem w nagrodę za nasz dobry uczynek.

Zdecydowałam, że trzy pucharki. Jeden dla mnie, jeden dla bejbika i jeszcze jeden dla mnie, gdyż mamusia od wieków nie uprawiała seksu i potrzebowała czegoś na poprawę humoru.

Gdy otworzyłam klapę bagażnika ze świeżutkimi blachami o treści „BURSQGRL”, zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Spojrzałam w dół i aż wstrzymałam oddech, zataczając się do tyłu.

Wszystkie opony były przebite.

Zamknęłam bagażnik, rozglądając się w panice po parkingu. Możliwe, że sprawca został, by z ukrycia napawać się moją reakcją. Nagle w głębi parkingu rozległo się trąbienie. Z wałącym jak młotem sercem odwróciłam głowę, odprowadzając wzrokiem odrapanego czerwonego chevroleta camaro z dziewięćdziesiątego szóstego. Przez odsuniętą szybę wystawał łokieć kierowcy, ale pasażerkę rozpoznałam od razu: to była tamta dziewczyna ze sklepu. Znow płała, ze wzrokiem wbitym w kolana.

Ale to na widok kierowcy stanęło mi serce.

F r a n k.

Barman, którego wylałam przed paroma miesiącami.

Rozgoryczony przemocowiec z tendencją do molestowania współpracownic.

Puzzle zaczynały się układać w całość.

F r a n k.

To on był tym skurwielem, który się na mnie zasadził.

I miał ciężarną dziewczynę, o której nie wiedziałam, wywalając go na zbity pysk.

Nie trzeba dodawać, że gdy zobaczyłam go z łapą między nogami mojej tancerki, pierwszym, co pomyślałam, bynajmniej nie było: „to na pewno bardzo rodzinny facet, który lada chwila zostanie ojcem”.

A teraz? Teraz był splukany i miał przechlapane.

Ja też.

Bo chciał mnie ukatrupić.

Uśmiechnął się szyderczo, pokazując mi faka, i odjechał z piskiem opon.

Zastanawiałam się, czy nie rzucić się za nim w pościg, ale nie chciałam narażać ani siebie, ani jego dziewczyny. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Teraz wiedziałam, kim jest mój stalker.

Drżącymi, zimnymi jak lód rękoma wyciągnęłam telefon, by przekreślić do Devona. Udało mi się dopiero po paru próbach.

Po raz pierwszy dzwoniłam do niego poza porą naszych cotygodniowych pogawędek. Można powiedzieć, że złamałam umowę. To był również mój pierwszy telefon, odkąd się dowiedziałam, że przeleciał tę całą T i f f a n y.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Z dzieckiem wszystko w porządku?

Łapałam powietrze, bo dopiero teraz, gdy minął pierwszy szok, dostałam pełnowymiarowego ataku paniki. Cholera, cholera, cholera. To Frank zasypywał mnie tymi pogroźkami, a ja nawet nie wiedziałam, gdzie mieszka. Ostatni czek z wypłatą wrócił do biura. Po tym, jak nasłałam na niego pismaków, musiał się przeprowadzić.

– Tak. – C h y b a.

– Co się dzieje? – zapytał spiętym głosem.

– Ja... Ktoś poprzecinał mi opony. Potrzebuję podwózki.

I drinka. I wyplakać się na czyimś ramieniu.

I boskiego, wytwornego prawie księcia, który to wszystko wyprostuje.

Niekoniecznie w tej kolejności.

– Czemu ktoś miałby zrobić coś takiego? – dopytywał.

Nie ma mowy, żebym mu powiedziała. Co to to nie. Od razu zamknąłby mnie w jakiejś wieży i już nigdy nie zobaczyłabym słońca.

– Nie wiem, wandalizm?

– Gdzie jesteś?

– Pod buybuy Baby.

– Przecież każdy wie, że to niebezpieczna dzielnica – odparł niecierpliwie i po raz enty poczułam się jak dzieciak. – Wyślij mi adres, już jadę.

– Eeee... – zaczęłam elokwentnie.

– Co? – ciągnął mnie za język, najwyraźniej czując, że to nie wszystko.

Jeszcze raz się rozejrzałam. Nie miałam gwarancji, że odwiózłszy swoją dziewczynę, Frank nie wróci na miejsce zbrodni, by dokończyć dzieła.

– Czy... eee... możemy się nie rozłączać, dopóki nie przyjedziesz?

– Sweven – odezwał się nieco cieplejszym tonem, wzdychając ciężko. – Oczywiście.

Na dźwięk swojego przydomka miałam ochotę się rozplakać.

Został na linii, wypytując o zakupy (śpioszki z mopem nie przypadły mu do gustu) i najświeższą premierę w Madame Mayhem (*Suicide Girls Blackheart*), bylebym tylko nie myślała o tym, co się stało.

Trzeba mu oddać, że rzucił wszystko, by popędzić mi na ratunek. Kwadrans później zajechał z piskiem opon i wyskoczył ze swojego bentleya.

– Nic ci się nie stało? – Porwał mnie w ramiona, wtulając twarz w moją szyję. Nie wiedzieć czemu w odpowiedzi rozryczałam się w jego garnitur od Toma Forda, zostawiając na nim chyba cały podkład i kolorowe cienie do powiek. Już tak dawno nie płakałam. To było do mnie zupełnie niepodobne.

Zaczął masować mi kark, obsypując głowę delikatnymi pocałunkami.

– Czemu ktoś miałby zrobić coś takiego, Belle? – powtórzył.

– Ja... ja... ja... Nie wiem – czkałam.

Ale dobrze wiedziałam.

I co gorsza, nie zamierzałam zgłosić Franka na policję, nawet jeśli to on stał za pogrozkami i nasłał na mnie tamtego stalkera z Boston Common.

Zapadł się pod ziemię i od wielu miesięcy nie dawał znaku życia, ale teraz byłam pewna, że to jego sprawka. Mimo wszystko chyba nie był aż tak głupi, by to ciągnąć. Może to był jego łabędzi śpiew i wreszcie się odczepi. Poza tym miał dość własnych problemów, a na utrzymaniu powiększającą się rodzinę i musiał szybko znaleźć pracę. Najlepiej taką, w której nie będzie mieć kontaktu z płcią żeńską.

– Myślałam, że coś ci się stało. Fizycznie. – Przez mgłę adrenaliny i uzalania się nad sobą przedarł się głos Devona. Wsadził mnie delikatnie do auta i zamknął drzwi.

Zapięłam pasy i odwróciłam się do szyby, zaciskając szczękę, by uspokoić trzęsący się podbródek.

– Dobrze, że zadzwoniłaś – powiedział.

No właśnie...

Dlaczego zadzwoniłam do niego, a nie do Persy, Sailor, Aisling czy Rossa? Nawet rodzice przyjechaliby z drugiego końca miasta, by mnie odebrać. Wiecznie zajęty i nie tak mi bliski Devon plasował się na samym dole listy potencjalnych „ratowników”.

A mimo to wybrałam właśnie jego.

– Dokąd cię odwieźć? – zapytał.

– Do mojego mieszkania.

– Nie do Persy?

– Nie.

Byłam zbyt zraniona i podłamana, by oglądać jej idealną rodzinę złożoną z idealnego męża, który ją wielbił, i idealnych dzieciaków, które lampiły się na nią z podziwem i zachwytem.

Wyczuwając, że nie jestem w nastroju do rozmów, Devon docisnął gaz.

– To pewnie jakiś głupi dzieciak – powiedziałam, uświadamiając sobie, jak to musiało wyglądać z jego strony.

– Jak ten, który chodził za tobą w Boston Common? – Zacisnął dłonie na kierownicy, aż mu kłykcie pobielwały.

– Kto ci powiedział? – Momentalnie się odwróciłam.

– Ktoś, komu leży na sercu twoje bezpieczeństwo.

– Kabel – poprawiłam.

– Jak zwał, tak zwał. Nadal nie odpowiedziałś na moje pytanie.

– Moja odpowiedź brzmi tak, że jest dwudziesty pierwszy wiek i kobiety umieją same o sobie zadbać. Wyobraź sobie, że mamy nawet prawa wyborcze! Szok, co nie?

– Skoro lekceważysz sobie stalkera, to może akurat tobie powinno się je odebrać.

Technicznie rzecz biorąc nie jednego, a t r z e c h różnych stalkerów. Ale chyba lepiej nie wyprowadzać go z błędu.

– Nie rozstaję się z bronią.

– I to ma mnie niby uspokoić? – wycedził sarkastycznie dla podkreślenia, jaki ze mnie tłuczek. – To nie Dziki Zachód, Emmabelle. Nie możesz strzelać sobie na ulicy do każdego podejrzanego osobnika. Musisz iść na policję.

Jeszcze nigdy nie widziałam go tak wkurzonego. Fascynujący widok. Na krótką chwilę zapomniałam o wszystkich problemach.

Przekrzywiłam głowę, przyglądając się mu.

– Zdradzę ci pewną tajemnicę – wyszeptałam konspiracyjnie. – Nie jestem tu po to, by robić ci dobrze.

Posłał mi takie spojrzenie, że moja dusza dosłownie skurczyła się w sobie. Spojrzenie mówiące, że ma mnie po dziurki w nosie. Nic dziwnego. Byłam dla niego okropna. Tak bardzo się bałam, że bez przerwy go odpychałam.

– Mówię tylko, że mam to pod kontrolą – mruknęłam, oglądając sobie paznokcie we wszystkich kolorach tęczy.

– I dlatego po mnie zadzwoniłaś? – warknął. – Bo „masz to pod kontrolą”?

Nasza pierwsza kłótnia. Super. Jak mu wytłumaczyć, że nie lubię, gdy ktoś wściubia nos w moje sprawy? W moje życie? Że nie umiem polegać na innych?

– Mój błąd. Następnym razem zadzwonię po kogoś innego.

– Nie ma mowy. Jestem jedyną osobą, która jest w stanie wytrzymać z tobą dłużej niż jeden wieczór.

Zaparkował przed moim blokiem, wysiadł, obszedł auto i otworzył mi drzwi, a wszystko to z miną obiecującą posiekanie na kawałeczki i rzucenie rekinom na pożarcie.

– Dzięki za podwózkę. I cudowne towarzystwo. – Wyślizgnęłam się z auta i ruszyłam do klatki, czując się jak niesforne dziecko odesłane za karę do pokoju.

Szedł za mną bez słowa. Dobrze wiedziałam, że jeśli mi życie miłe, nie powinnam próbować go spławić. A poza tym bałam się być teraz sama. No i w końcu to ja go wezwałam.

Gdy dotarliśmy do mojego mieszkania (znów schodami, hura), Devon zaszył się w sypialni, by zadzwonić do Joanne z prośbą o odholowanie mojego auta. Potem kazał jej dać do telefonu Simona. Ach, stary dobry Si, mój tajny ochroniarz, który wiecznie telepał się po klubie, udając, że w czymś tam pomaga, na przykład w opróżnianiu koszu na śmieci.

Pewnego razu rzucił się na Rossa, który niechcący upuścił przede mną skrzynkę piwa, czym się ostatecznie zdemaskował.

– ...nie za to ci płacę, do cholery. Weź się do roboty albo wylądujesz w McDonaldzie.

Kilka sekund ciszy.

– To zacznij się bardziej starać! – ryknął Devon.

Gdy wrócił do salonu, spojrzał na mnie jak orzeł na upatrzoną ofiarę.

– Jesteś roztrzęsiona i spocona jak mysz – stwierdził.

– Nieprawda. – Fakt, że mówiąc to, szczękałam zębami, nie dodawał mi wiarygodności. Do diabła, to tylko Frank. Jeśli przyjdzie co do czego, załatwię go z zamkniętymi oczami, prawda?

N i e p r a w d a. Nie bądź takim mięczakiem i idź na policję. I co z tego, że jego dziewczyna jest w ciąży? To nie ty zmajstrowałaś jej dziecko.

– Chodź, przygotuję ci kąpiel. – Devon podszedł i wyciągnął rękę, ale jego typowy luz i kulturka gdzieś wyparowały. Gdyby się nad tym zastanowić, wszelki ślad po nich zaginął, gdy tylko odebrał mój telefon.

Ku swojemu przerażeniu uzmysłowiłam sobie, że przestał ze mną flirtować.

Położył na mnie laskę. N a n a s.

I dobrze. Przecież tego właśnie chciałam. Nawet się ucieszyłam, że wreszcie przestanie być niezręcznie.

Nie doczekawszy się reakcji, porwał mnie na ręce i zaniósł do łazienki.

– Nienawidzę tej twojej perfekcyjności – jęknęłam.

– I nawzajem, skarbie. Zwłaszcza że nie ma sensu się starać.

Posadził mnie na desce i podwijając rękawy – przez co odsłonił swoje rzeźbione przedramiona – odkręcił wodę.

Uff. Ależ brakowało mi seksu.

Zrobiło mi się gorąco i aż skręcało mnie w środku.

Bo czymże było życie bez niego? Tylko pracą, podatkami i zmywaniem garów.

To takie niesprawiedliwe, że do porodu nie miałam ochoty kochać się z nikim, kto nie był ojcem mojego nienarodzonego dziecka.

Nie umiałam nawet tego wytłumaczyć. Być może odezwały się drzemiące we mnie resztki tradycjonalizmu, którym musiałam mimowolnie nasiąknąć, mieszkając przez większość życia pod jednym dachem z Persy.

Wrzucił do wanny kulę kąpielową, a ja śledziłam każdy ruch jego muskularnych rąk.

– To spałeś ostatnio z kimś interesującym? – Poprawiłam się na sedesie, nie spuszczać oczu z jego długich, silnych palców.

Chyba się właśnie... podnieciłam. Od pocierania pupą o tę deskę aż stwardniały mi sutki. Powoli się rozebrałam, a on skrzywił się, jakby poczuł nagle jakiś brzydki zapach.

– Myślałam, że skończyłaś z tą samoudręką.

– Daj spokój – parsknęłam śmiechem, rzucając bluzkę na podłogę. Choć jeszcze nie było widać brzuszka, piersi miałam nabrzmiałe i ciężkie, dużo większe niż wcześniej. – Przecież wiem, że nie przestałeś. Niech się nacieszę choćby opowieściami, bo już zapomniałam, jak to jest.

– Doświadczeniem w tych sprawach mogłabyś obdzielić całe Wschodnie Wybrzeże, skarbie – odparł sucho. – Łyknij sobie miłorzębu i popuść wodze fantazji.

– Przypomnij mi, co się robi zaraz po wskoczeniu do łóżka, bo nie pamiętam – wymruczałam, ignorując jego rozdrażnienie.

Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Bo w tamtym momencie ją przypominałam.

– Nie piłaś, prawda? – zapytał z lekką obawą.

Zaśmiałam się.

– Nie. Po prostu... trochę mnie s s i e.

– Brzmi niepokojąco.

– No weź... – Uśmiechnęłam się. – Próbuję być miła.

– Zauważyłem. Od ośmiu minut siedzimy razem w zamkniętym pomieszczeniu, a ty jeszcze ani razu nie próbowałaś mnie zamordować.

Zakręcił kran, wyprostował się i odsunął się na bok.

– Pomogę ci wejść.

– Jeśli masz ochotę się przyłączyć, to zapraszam. – Schowałam dumę do kieszeni, zbyt napalona, by zrezygnować z małej próby uwiedzenia przyszłego tatuśka.

Puszczając propozycję mimo uszu, położył mi rękę u nasady pleców i pchnął lekko w stronę wanny.

Przewróciłam oczami.

– Czy to znaczy n i e?

– Stanowczo zakazałaś mi czegokolwiek próbować, i to nie raz i nie dwa – przypomniał mi sucho.

– A jeśli zmieniłam zdanie?

Chryste, czy dziewczyna naprawdę nie może już zrobić zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, bo jest napalona? A podobno Ameryka to kraina wolności.

– Wejdz do wanny, to porozmawiamy na spokojnie – próbował negocjować.

– Jestem spokojna! – pisnęłam w proteście, tupiąc nóżką jak przedszkolak.

– Jak widać – rzucił beznamiętnie.

Weszłam wreszcie do tej wanny i usiadłam, zanurzając się z przymkniętymi oczami w ciepłej pianie pachnącej truskawką i cytrusami. Devon przysiadł na brzegu za moimi plecami i zaczął masować mi ramiona.

– Jesteś pobudzona – stwierdził, muskając palcami kosmyki, które wymknęły mi się z wysokiego koczka. Jego dłonie wędrowały coraz niżej i niżej, na razie starannie omijając co wrażliwsze punkty.

– P o b u d z o n a – powtórzyłam, chichocząc. – Ale z ciebie stare próchno.

– A ty jesteś typową ciężarną.

– Co to ma niby znaczyć?

– Miewasz różne zachcianki – wyjaśnił.

– No – przyznałam z westchnieniem, momentalnie rozluźniona dzięki masażowi, bąbelkom i poczuciu bezpieczeństwa.

– Co cię powstrzymuje przed miłosnymi uniesieniami? – zapytał z bolesnym zblazowaniem.

– Eee... to, że jestem w ciąży?

– Dziecku to nie zaszkodzi. Doktor Bjorn sam mówił.

Ta, doktor Bjorn, pierwszy fan Bellona (Belle + Devon), bez przerwy nam przypominał, że możemy, a nawet powinniśmy się bzykać.

– Nie chcę dzielić się ciałem z nikim innym.

– Nie z nikim? – dopytywał niewinnym tonem, zbliżając swoje silne palce do moich nabrzmiałych, wrażliwych piersi.

– Ty już mnie załatwiłeś na najbliższe miesiące. – Dmuchnęłam mu żartobliwie pianą w twarz. – Więc równie dobrze możemy to pociągnąć.

Wbił palce w mój kark, zataczając powolne, boskie kręgi.

– Proponuję taki układ: ty odpowiesz na moje pytania, a ja doprowadzę cię do orgazmu.

– Nieźle napompowane ego, nie ma co. Wiesz, zawsze zostają wibratory – wyjęczałam.

Ale co racja, to racja. Cała płonęłam. Miałam ochotę złapać go za kołnierz i pociągnąć za sobą do wanny.

– To nie grzech czasami kogoś potrzebować – szepnął, owiewając ciepłym oddechem płatek mojego ucha.

Był tak blisko, że czułam ciepło jego ciała. Momentalnie dostałam gęsiej skórki. Sutki mi pulsowały i ścisnęłam uda pod wodą. Jeszcze chwila, a wsunę sobie rękę między nogi i sama się zadowolę.

Odwróciłam się i nasze oczy się spotkały. Niebieskie z niebieskimi. Jego – przejrzyste jak poranne niebo. Moje – dużo ciemniejsze, upstrzone fiołkowymi plamkami.

– To zawsze jest grzech – wychrypiałam.

– Przerazająca perspektywa. Ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć, Sweven. Bez względu na wszystko.

– Ile masz tych pytań? – pociągnęłam nosem.

– To zależy tylko od twoich odpowiedzi.

Skinęłam głową, zgadzając się.

– Pytanie numer jeden: czemu mi nie powiedziałaś o tamtym stalkerze z Boston Common? – Objął moje piersi i wodził kciukami wokół sutków, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa.

Zaczęłam ciężko dyszeć.

– Nie chciałam, żebyś zaczął mnie jeszcze bardziej kontrolować.

– Drugie pytanie: czy coś świadczy o tym, że się nie odczepił?

Nie chciałam się przyznać. Nie miałam ochoty na kolejnych Simonów pilnujących mnie na każdym kroku. A poza tym byłam przekonana, że

Frank dał sobie spokój. Tamto na parkingu to pewnie jednorazowy wyskok. Bo niby czemu się ujawnił?

Wyczuwszy moje wahanie, Devon oderwał dłoń od moich piersi, powędrował nią w dół i wsunął ją między moje nogi. Zaczęłam się bezwstydnie więc i dyszeć. I jak tu teraz prowadzić rzeczową rozmowę?

– To szantaż! – oburzyłam się.

– Nigdy nie udawałem, że gram fair. A teraz odpowiedz. – Skubnął zębami płatek mojego ucha.

– Tak. Po Boston Common dostałam list z pogróżkami i zaczęłam nosić przy sobie broń.

– Czemu od razu nie poszłaś na policję?

– Nie chciałam złej prasy i twojej interwencji. Listy od hejterów dostaję niemal codziennie. A poza tym od miesiący jest cisza.

– Podejrzewasz kogoś?

Dotykał mojej cipki, ale bez penetracji. Po prostu trzymał ją w dłoni, podczas gdy ja wygięłam się w łuk, rozpaczliwie szukając jego palców.

– T... tak – wyjąkałam bliska orgazmu.

– Kogo? – Nie ustępował.

– Takiego jednego Franka, mojego byłego barmana. Parę miesięcy temu wylałam go za molestowanie jednej z tancerek. To jego widziałam dziś na parkingu.

– Pozwól, że zapytam: dlaczego, na Boga nie siedzisz w tej chwili na komisariacie?

– To tylko dzieciak i ma dziewczynę w ciąży. Są kompletnie spłukani. Chciał się po prostu odegrać. Pewnie nasłał na mnie kumpla, żeby napędzić mi stracha w tym całym Boston Common. – Choć to nadal nie wyjaśniało człowieka z blizną z klubu. – Pewnie dał już sobie spokój.

– Chyba oszalałaś. I nosisz moje dziecko – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

Nie zabrał ręki, ale wciąż odmawiał mi upragnionego orgazmu. Co za podłość. Takie okrucieństwo powinno znaleźć się na liście zbrodni przeciwko ludzkości.

– Nic mi się nie stanie – odburknęłam. – Potrafię o siebie zadbać, robię to od lat.

– Ustalmy parę drobnych zasad i znów pozwolę ci rozłożyć przede mną nogi – zażądał Devon, uświadamiając mi, że przesłuchanie jeszcze się nie skończyło.

Nie odpowiedziałam, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą i dostać już tę palcówkę. Żalotne, ale byłam pod ścianą. I rozpaczliwie potrzebowałam odskoczni. Taki mechanizm obronny, okej?

– Zasada numer jeden: w pracy Simon nie odstępuję cię ani na krok.

– Si Ochroniarz? – zaśmiałam się chrapliwie. – Dobra, niech stracę.

– Żadne „niech stracę”, nie jesteś nastolatką, Emmabelle. Tak albo nie.

B o s z z s z.

– W porządku! Tak.

– Zasada numer dwa... – Zaczął pieścić palcem moją szparkę. Moje ciało momentalnie zapłonęło i rozchyliłam posłusznie nogi. Nareszcie trochę przyjemności bez korzystania z usług urządzeń na baterie. – Nie wychodzisz sama. Zawsze ktoś ci towarzyszy. Przyjaciółka, rodzice, Simon czy nawet ja.

Bezczelne żądanie, ale i tak nie musiałam robić niczego, czego nie chciałam. Przecież nie będzie miał mnie na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Okej. – Ale wciąż nie poruszył dłonią i jęknęłam. – Zapomniałam, tak czy nie. T a k.

– I ostatni warunek... – Jego palce rozwarły mi szparkę. Jedno małe pchnięcie i będzie w środku. Drugą dłońią nie przestawał pieścić moich piersi. – Wprowadzisz się do mnie. Tylko tymczasowo. Będę mógł cię chronić. Przy okazji możemy obejrzeć mieszkania w mojej kamienicy. System alarmowy i ochrona są z najwyższej półki, więc zaoszczędziłabyś mi zmartwień.

Momentalnie otworzyłam oczy, a w głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

– Mam się do ciebie wprowadzić? – powtórzyłam wolno.

Musnął nosem zgięcie mojej szyi.

– Zgódź się, Sweven. Masz dość odwagi, by strzelić do napastnika na ulicy. Na pewno wytrzymasz parę krótkich miesięcy pod jednym dachem z ojcem swojego dziecka.

To było jak wyzwanie. Wsunął we mnie palec wskazujący i wstrzymałam oddech, wyginając się w łuk, aż sutki wynurzyły się z piany. Nachylił się do jednego i zaczął go pożądliwie ssać.

– Taki słodki... Taki cholernie słodki. – Skubał je swoimi prostymi, śnieżnobiałymi zębami. – Wynagrodzę ci to, nie pożałujesz – szepnął, zataczając kręgi językiem i równocześnie ruchając mnie bezlitośnie swoim palcem pod wodą.

Napierałam na niego biodrami, czując zbliżający się orgazm.

– Nigdy nie uda ci się mnie okiełznać – ostrzegłam.

– Nie chcę tego. – Powędrował gorącymi ustami po mojej szyi i wpił się w moje wargi. W tej zaparowanej saunie myślałam, że lada chwila stanę w płomieniach. – Podobasz mi się taka, jaka jesteś. Niepojęte, wiem, ale taka prawda.

– Jestem w totalnej rozsypce – wydyszałam.

– Bądź m o j ą rozsypką.

To było bardziej kuszące, niż chciałabym przyznać. Wabiące jak światło latarni w morzu ciemności.

Doszłam z jego palcami w cipce, zaciskając się na nich tak mocno i spazmatycznie, że parsknął mi śmiechem w usta.

Po chwili wysunął je ze mnie, unosząc brew.

– Ale tylko na parę miesięcy – jęknęłam bardziej do siebie niż do niego.

– Tylko na parę miesięcy – powtórzył, skubiąc moją dolną wargę.

Błysk w jego oku mówił wszystko.

Zgodziłam się być jego, nawet jeśli tylko na chwilę.

Żegnając się z tym, co ceniłam najbardziej.

Swoją wolnością.

Belle

CZTERY DNI PÓŹNIEJ wprowadziłam się do loftu Devona.

Po raz pierwszy zobaczyłam, jak mieszka. Przez cały nasz długi i burzliwy związek to ja dyktowałam warunki, więc zawsze spotykaliśmy się u mnie.

C o z a u p a d e k.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, ale właśnie tak wyobrażałam sobie jego mieszkanie. Idealnie pasowało do osobowości właściciela.

Imponująca otwarta przestrzeń utrzymana w (zapewne) ulubionej kolorystyce samej królowej Elżbiety. Ale przyznaję, że byłam zaskoczona szerokimi korytarzami i kompletnym brakiem ścian. Całość sprawiała wrażenie opuszczonego magazynu. Zawsze wyobrażałam go sobie zamkniętego w mrocznym warownym zamku pełnym rodzinnych portretów i drogich, acz niemożliwie brzydkich antyków. Nagle przypomniałam sobie, że nie cierpi zamkniętych przestrzeni. Typowa klaustrofobia.

W porównaniu z moją kłitką to był prawdziwy bezkres.

Tamtego dnia byłam wobec niego wyjątkowo miło usposobiona. Od sprawy z Frankiem przychodził do mnie codziennie i przy okazji robił mi dobrze.

Penisem, językiem, palcami.

Do wyboru, do koloru.

Co prawda jeszcze nie poruszyliśmy tematu wyłączności, ale zamierzałam mu zakomunikować, żeby wybił sobie z głowy maczanie w każdej cipce, jaka się napatoczy.

Ostatnie cztery dni przed przeprowadzką poświęciłam na przekonywanie Persy, Aisling, Sailor i Rossa, że wcale nie jesteśmy z Devonem w związku.

Na szczęście zawsze mogłam się zasłonić aferą z Frankiem.

Wszyscy zachwycali się Devonem i jego wspaniałomyślnością, dziwiąc się, że nie całuję ziemi, po której stąpa, i nie próbuję zaciągnąć go do ołtarza.

Innymi słowy, sprawy zaczynały się powoli układać.

Powiedziałabym nawet, że zdążyłam się już zadomowić w jednym z jego pokojów gościnnych.

Każdej nocy wślizgiwał się do mojej sypialni, ale po wszystkim zawsze go wyrzucałam, bo nie umiałam zasnąć w jednym łóżku z facetem.

Od czasu do czasu wyłapywałam strzępy jego rozmów z matką. Dzwoniła do niego często, czasami nawet parę razy dziennie. Zawsze był powściągliwy, acz grzeczny, choć nie dało się ukryć, że Ursula Whitehall to jeden wielki wrzód na tyłku.

„Nie, mamo, nie zmieniłem zdania”.

„Nie wiem, kiedy przyjadę. Dostać ci pieniędzy?”

„Nie mam ochoty z nią rozmawiać. Przeprosiłem i koniec tematu”.

To ostatnie wzbudziło moją ciekawość, ale przypomniałam sobie, że to przecież nie moja sprawa.

Trzy dni po mojej przeprowadzce wyszedł do biura i zostałam sama.

Siedziałam sobie spokojnie w alabastrowym kąciku, zajadając się cytrusami i ziarnami – no dobra, to były froot loopy. Właśnie nimi się

napychałam, zajęta swoimi sprawami. Miałam na sobie tylko oversize'ową koszulkę – wypadki (obżarstwa) się zdarzają – dzięki ci, Etsy, za studnię inspiracji oraz życiowych cytatów, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Nie namyślając się długo, poszłam otworzyć. Bo przecież jego *casa* to teraz *mi casa*, prawda?

A poza tym to mógł być kurier ze świeżym zapasem pyszności. Facet subskrybował z pięciuset dostawców food boxów.

Ale w drzwiach stała wysoka kobieta o czarnych włosach, starannym makijażu, sylwetce bociana w szpilkach i we wdzianku à la Kate Middleton. Miała poirytowaną minę i pachniała jak ekskluzywny dom towarowy.

Popatrzyła na mnie tak, jakbym ukradła jej męża czy coś.

– Dzień dobry.

Brytyjski akcent. To pewnie siostra Devona. Albo matka po bardzo (b a r d z o) dobrym liftingu.

– Hejka. – Oparłam się łokciem o futrynę, myśląc sobie, że jeśli to Tiffany, to dam jej pięć sekund forów, zanim puszcze w ruch pięści.

– Ty pewnie jesteś tą striptizerką, z którą zaliczył wpadkę i która stoi teraz między nim a rodzinnym majątkiem?

E e e ... ż e c o?

– We własnej osobie! – zawołałam radośnie, gdy minął pierwszy szok. – A pani to...?

– Jego n a r z e c z o n a.

Devon

TEGO DNIA praca była ostatnim, o czym myślałem.

Obecnie moim priorytetem nie było wyciąganie klientów z tarapatów, w które sami się wpakowali, lecz jak najszybszy powrót do domu i cipki Emmabelle.

Wiedziałem, że to tymczasowy układ. Kobiety pokroju Sweven rzadko nadawały się na strażniczki domowego ogniska. Ale jako że do fanów otwartego ognia w salonie nigdy nie należałem, najzupełniej mi to odpowiadało. A poza tym musiałem mieć pewność, że jest bezpieczna, przynajmniej do rozwiązania.

No i miałem po dziurki w nosie suszenia głowy przez matkę próbującą wymusić na mnie powrót do Anglii i „herbatkę” z Louisą. Chyba nie dość jasno się wyraziłem, że nie zamierzam się z nikim chajtać tylko dlatego, że człowiekowi, który mnie spłodził, zachciało się szantaży z za grobu.

Wbiegłem na górę klatką schodową, pokonując po dwa stopnie naraz.

Wstukalem kod i pchnalem drzwi, wołając śpiewnie: „Kochanie, wróciłem!”.

I zamarłem w pół kroku.

Emmabelle siedziała we wnęce jadalnej w tej samej absurdalnie rozciągniętej koszulce, w której ją zostawiłem.

I nie była sama.

– Cześć, Devvie. – Posłała mi przesłodzony uśmiech, ale jej oczy ciskały gromy. – W t o p a.

Naprzeciwko niej siedziała Louisa, popijając zieloną herbatkę.

O k u r w a.

Louisa wstała, podeszła do mnie, kołysząc ponętnie biodrami, i pocałowała mnie przeciągle w policzek.

– Stęskniłam się, kochanie. Twoja matka dała mi adres. Bardzo się niepokoi. Poprosiła mnie, żebym porozmawiała z tobą na żywo.

Śmiały ruch. Powiedziałbym nawet: szalony. Ale na szali był majątek o wartości parudziesięciu milionów dolarów, a mama nie miała żadnego innego źródła dochodu.

Co do Louisy, to byłem dla niej wyzwaniem. Tym, który się wymknął.

– Mogłaś zadzwonić. – Uśmiechnąłem się czarująco, nachylając się, by musnąć ustami jej kłykcie.

– Ty też – odparowała, zupełnie niezrażona moim chłodnym powitaniem. Umiała się odszczeknąć, ale nie aż tak jak Belle. – Kiedy możemy porozmawiać?

– Teraz – wtrąciła Belle z głębi wnęki, sięgając do miseczki i wrzucając sobie do ust froot loopa. – To najlepsza pora, by wyjaśnić mi, co tu się, do diabła, wyprawia. Ze szczegółami.

– Wyszczekana. – Louisa spojrzała na mnie, unosząc brew.

– Nie widziałaś jeszcze, jak młóćę pięściami – odparła pogodnie Belle.

Aż się zakrztusiłem.

Louisa tylko zamrugała ze stoickim spokojem.

– Niech cię nie zwiedzie mój wygląd. Ja też nie boję się ubrudzić sobie rączek.

Gdyby miało do czegoś dojść, to lepiej, żeby Louisa była szybka, bo Emmabelle Penrose zmiecie ją na proch.

Niemniej Lou bardzo wypiękniała i nawet taki koneser kobiecej urody jak ja musiał to przyznać.

Czując w kościach nadciągającą konfrontację fizyczną, wszedłem potulnie do wnetrza i usiadłem obok Belle.

Ująłem jej dłoń i delikatnie pocałowałem. Wyrwała mi ją.

No cóż, nawarzyłem piwa i teraz muszę je wypić, nawet jeśli to były chrzczone szczyny.

– Jak wiesz, mój ojciec niedawno zmarł – zacząłem. – Gdy pojechałem na odczytanie testamentu, okazało się, że zapisał mi wszystko pod warunkiem, że ożenię się z Louisą. Oczywiście odmówiłem spełnienia jego życzenia. Już dawno powinienem ci być o tym powiedzieć, wybacz. Po prostu miałaś dość własnych problemów. Ale ten temat jest dla mnie definitywnie zamknięty.

– Ile ci zostawił? – zapytała rzeczowo.

– Trzydzieści milionów funtów w ruchomościach i nieruchomościach – wtrąciła z boku Louisa. – A Whitehall Court Castle jest bezcenny. Do tego stopnia, że korona już zaciera ręce. Jeśli Devon się nie ogarnie, zrobią w nim muzeum. To ogromna część brytyjskiej historii.

– Kupa kasy. – Belle wrzuciła sobie do tych swoich pełnych, ponętnych ust kolejnego samotnego froot loopa, kiwając z aprobatą głową.

Nie wiedzieć kiedy zamieniła się w zimny posąg.

Louisa odwróciła się do mnie.

– *Nie mówię, że to na pewno gold digerka...* – zaśpiewała z idealnym amerykańskim akcentem, cytując Kanye Westa.

– *...ale z gołodupcami się nie zadaję.* – Belle się zaśmiała. – Zgadza się.

– Ta rozmowa nie ma sensu. – Potarłem się po czole.

Ale zaczęły nachodzić mnie wątpliwości. Co mnie powstrzymywało przed poślubieniem Louisy? Była piękna, dobrze wychowana, odczytana i inteligentna. I wciąż miała do mnie słabość. Wzbogaciłbym się, rozwiązał wszystkie problemy finansowe rodziny i dyktował warunki w małżeństwie. A przede wszystkim wreszcie miałem pretekst, by się ożenić.

– Nie musi. – Louisa bawiła się sznureczkiem torebki herbaty wystającym z filiżanki. – Mamy dużo do omówienia, a czas goni.

– Nie rozumiem. Przecież nie umawialiśmy się na wyłączność. – Belle zmarszczyła nos. – Co cię powstrzymuje przed ślubem z tą nadętą pannicą? – Wskazała na Louise jak na rzeźbę w muzeum. – Bez urazy.

– Ty nie jesteś w stanie mnie urazić – prychnęła Louisa.

– Wszyscy wygrywają – dodała Belle.

Nie wszyscy, pomyślałem. Ja nie.

Belle posłała mi uśmiech, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widziałem. Zraniony, niemal brzydki. Wstała, mierząc Louise lodowatym wzrokiem. Aż dziw, że jej ofiara niczego sobie nie odmroziła.

– Wy dwoje chyba macie sobie dużo do wyjaśnienia. Gdyby mnie ciekawiły rozmówki Brytoli o seksie i związkach, to obejrzałabym *Sex Education*. Z tego można się przynajmniej pośmiać.

I z tym słowami zgarnęła miseczkę froot loopów i poszła do siebie, trzaskając drzwiami.

Louisa odwróciła się do mnie.

– Skarbie, ta dziewczyna jest kompletnie niewychowana. Jak mogła ci się spodobać? Ile ma lat? Dwadzieścia pięć? Toż to jeszcze dziecko.

– Jest najbardziej wkurzającą i irytującą kobietą, jaką w życiu spotkałem, ale wciąż kobietą – odparłem. Wyjąłem pudełko z tytoniem, ale poszedłem po rozum do głowy i je odłożyłem.

Teraz, gdy mieszkała ze mną Sweven, nie mogłem palić w domu. Musiałem myśleć o niej i o dziecku.

Louisa wstała, podeszła do mnie tanecznym krokiem i zarzuciła mi ręce na szyję.

Miło było znaleźć się w objęciach kogoś, kto o każdej porze dnia i nocy nie chce mnie kopnąć w jaja, gdy tylko się do niego zbliżę.

– Lou – powiedziałem łagodnie, obejmując ją. – Doceniam wysiłki, ale nic z tego.

– Dlaczego? – zapytała, wpatrując się we mnie swoimi ciemnymi okrągłymi oczami. – Zawsze byłeś taki pragmatyczny i rozsądny. Dlaczego nie chcesz się wżenić w świat tytułów? Nawet ta twoja dziewczyna uważa, że to grzech przepuścić taką okazję.

Złapałem jej ręce i delikatnie zdjąłem je z mojej szyi.

– Żałuję, ale nie mogę dać ci tego, czego pragniesz.

– Dlaczego? – powtórzyła łamiącym się głosem.

– Edwin – odparłem krótko. Nigdy nie pozwolę mu wygrać.

– Nie dowie się. – W jej oczach stanęły łzy. – I już cię nie skrzywdzi. Posłuchaj, wiem, że nie chcesz tańczyć, jak ci zagra. Ale już tego nie zobaczy. Umarł ze świadomością, że się zbuntowałeś.

Uśmiechnąłem się smutno.

– Zbyt dobrze mnie znasz.

Nawet po tych wszystkich latach umiała uderzyć w moją czułą strunę. I wiedziała, z czego zbudowałem wokół siebie ten mur.

Spuściła wzrok, biorąc głęboki oddech.

– Cecilia jest na skraju samobójstwa.

– Nie. To nie może być prawda. – Odchyliłem głowę.

Lou skinęła.

– Możesz ją za to winić? Jej życie praktycznie się skończyło. Chce zostawić Drew, ale swoją odmową poślubienia mnie pozbawiłeś ją drogi ucieczki. Zamierzały z Ursulą namówić cię do sprzedaży kamienicy w Battersea, żeby mieć z czego żyć po tym, jak Edwin roztrwonił wszystkie oszczędności.

Trafiła mnie dokładnie tam, gdzie chciała. Prosto w serce.

– Twoja matka ma głęboką depresję. Góra rachunków rośnie i nie ma ich kto spłacić. Wiem, że nie możesz ich wiecznie utrzymywać. Świetnie sobie radzisz finansowo, ale masz swoje życie. Ślub rozwiązałyby wszystkie te problemy. Jestem skłonna przymknąć oko na wyskok z tą całą Belle – wypowiedziała jej imię z odrazą. – Ożeń się ze mną i wszyscy będą szczęśliwi. Nie wyłączając twojej striptizerki. Spędziłam z nią parę godzin i mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nie zależy jej na tobie, Devvie. Bez przerwy powtarzała, że nie może się już doczekać, kiedy się stąd wyrwie. I wróci na rynek.

A więc Sweven tęskniła za randkowaniem, tak?

Pociemniało mi w oczach ze złości.

Zamieszkała ze mną tylko dlatego, że chciała seksu i wisiała jej nad głową groźba śmierci.

Była samolubną babą bez serca i nawet się z tym nie kryła.

A ja byłem skończonym durniem, odrzucając z miejsca opcję ślubu z Louisą tylko dlatego, że uszczęśliwiłbym ojca, który zamienił się w nędzną kupkę kości w garniturze.

– Przemyślę to. – Potarłem się po szczęce.

Louisa odsunęła się o krok. Zmierzyłem ją wzrokiem. Rzeczywiście była miła dla oka. Nie tak egzotyczna i dzika jak Belle, ale też ujdzie.

Równie krzepiąca była świadomość, że Lou nigdy nie ściągnęłyby na siebie pogrózek, nie machnęłyby ręką na policję, nie nosiłaby przy sobie

broni ani nie jadła froot loopów na śniadanie, obiad i kolację.

– Czy mogę zostać do tego czasu? Pozwoliłam sobie zwiedzić twoje mieszkanie i zauważyłam parę pustych pokoi gościnnych – wymruczała.

Myśl o mieszkaniu pod jednym dachem z nimi dwiema była tak kusząca jak kastracja z ręki ślepcy. To się mogło łatwo skończyć podwójnym zabójstwem, a wolałbym, żeby matka mojego dziecka nie rodziła w więzieniu.

– Lepiej zatrzymaj się w hotelu. – Zbliżyłem się, muskając kciukiem jej policzek. – Ja go opłacę.

– Dziękuję, mam własne pieniądze. – Uśmiechnęła się uprzejmie, ale było widać, że to ją zraniło. – Kolacja jutro? Pokażesz mi Boston?

– Jasne – jęknąłem. – Sprawdzę tylko grafik.

Momentalnie się do mnie przykleiła, patrząc ciętym wzrokiem jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

L o u i s a.

Ona by mnie nigdy nie zdradziła.

Nie wiedziała, co to nielojalność.

Wytresowałbym ją w mig.

– Będę tuż obok. – Złapała moją rękę i przyłożyła ją sobie do policzka jak koci pieszczoł.

– Odezwę się.

– Boże, Devvie, tak się cieszę, że porozmawialiśmy. Twoja matka będzie wniebowzięta.

Belle też, jak się okazuje.

Odprowadziłem Louise do drzwi, pocałowałem ją na pożegnanie w policzek i zamknąłem za nią.

Może pora wreszcie zatrzaskać jedno, by otworzyły się drugie.

Belle

Poszła sobie.

Ale przedtem pogłaskała kciukiem jej policzek.

Patrząc na nią z taką samą wyższością i rozbawieniem jak na mnie.

Podglądałam ich przez szparę w drzwiach.

Przez pół dnia opowiadałam jej, jak bardzo nie zależy mi na Devonie, jak bardzo nie mogę się doczekać powrotu do normalnego życia. A wszystko po to, by zachować twarz.

Ale to nie była prawda. Przyznaj to. Czujesz coś do ojca swojego dziecka. Wpadłaś po uszy.

Objęłam się za brzuch i rzuciłam na łóżko, które wciąż nim pachniało.

Zdrada to zdrada. Już raz to przerabiałam. Oddałam serce facetowi, który bezlitośnie je zgniótł, a ja mogłam tylko bezradnie patrzeć.

Zwinęłam się w kłębek na tym królewskim łożu, trzęsąc się ze złości.

Musiałam się stąd wyrwać. Wrócić do swojej klitki.

Dzięki Bogu nie przestałam opłacać czynszu.

Na wypadek gdybyśmy się nie dogadywali. Ale dobrze się nam razem mieszkało.

Była tylko jedna przeszkoda – jego n a r z e c z o n a.

Może jeszcze nią nie była, ale podczas naszej dzisiejszej rozmowy trafiła w samo sedno.

„Devon zawsze robi to, co słuszne, a tym czymś jest ślub ze mną. Opuść, Emmabelle. Przegrałaś. On nie ma wyboru”.

Za moimi plecami rozległo się ciche pukanie. Nawet się nie poruszyłam.

– Mogę wejść? – zapytał szorstko zza drzwi.

Ani krztyny skruchy. Zupełnie jakby szukał zaczepki. To chyba mój szczęśliwy dzień.

– To twoje mieszkanie.

Powiedział jej, że jestem striptizerką. Bo niby czemu tak mnie nazwała? Pewnie się pochwalił, że prowadzę klub z burleską. Wielu mężczyzn pociągało moje zajęcie. Bynajmniej nie w znaczeniu: „któregoś dnia ją poślubię”.

Poczułam, jak materac się ugina. Wypełnił sobą całe łóżko i nic nie mogłam z tym zrobić.

– Chciałem tylko jeszcze raz powtórzyć, że nie byłem i nie jestem zaręczony z Louisą. Gdybym kogoś miał, nigdy nie poszedłbym z tobą do łóżka.

Prychnęłam szyderczo, ani myśląc się odwracać.

– Błagam. Sam się przyznałeś, że sypiasz z innymi.

– Sypianie z kobietami to jeszcze nie związek.

– No to poinformuj resztę swoich podrywek, że już nie jesteś do wzięcia.

– Nie mam żadnych podrywek – odparł z rozdrażnieniem, jakbym to ja opowiadała bzdury. A może jednak?... – Tamtego dnia, kiedy pocięli ci opony, przestałem odbierać telefony od innych kobiet. Za kogo mnie masz?

– Na pewno chcesz odpowiedzi na to pytanie?

W sypialni zapadła martwa cisza. Dało się słyszeć świergot ptaków i szum przejeżdżających samochodów za oknem. Można się załamać, gdy cały twój świat rozpada się na kawałeczki.

– Ożeń się z nią, Devonie.

Bo to byłby koronny dowód, że jest taki sam jak inni. Nielojalny i niesłowny.

– Naprawdę tego chcesz? – Podchwytliwe pytanie.

Chciał mojego błogosławieństwa? Żeby się lepiej poczuć?

Ten człowiek mnie zniszczy. Ale już dawno nauczyłam się, że to ma swoje dobre strony.

Na gruzach można zbudować coś nowego.

– Tak – usłyszałam swoją odpowiedź. – Nic nie sprawi mi większej radości. Może wreszcie przestaniesz się za mną uganiać. Bo zachowujesz się jak desperat. W twoim wieku!

– Sama nie jesteś taką młódką, za jaką się masz – odparł z żalem.

– Zastanawiasz się nad tym ślubem – rzuciłam oskarżycielsko.

C h o l e r a. Po co to powiedziałam?

I po co wpychałam go w jej ramiona?

– Tak – przyznał cicho.

W środku rozpadłam się na tysiąc kawałeczków.

Taka jest kara za uchYLENIE drzwi do swojego serca.

– No cóż... – Uśmiechnęłam się z nadzieją, że nie widzi łez, które spływały mi po policzkach. – Nie stanę wam na przeszkodzie.

Poczułam, jak materac się odgina, gdy wstał i ruszył do drzwi.

– Rozumiem, Sweven.

Przez następne dwa tygodnie byłam rozdrażniona i agresywna.

Przelewałam złość w każdą najmniejszą czynność. Ślęcząc w biurze nad arkuszami, waliłam bezlitośnie w Bogu ducha winną klawiaturę. Z byle powodu wrzeszczałam na Rossa, gdy tylko ośmielił się do mnie zagadać.

A kiedy wpadła mama z naręczem złotych ubranek dla dziecka, nakrzyczałam na nią za kuszenie losu.

I jestem prawie pewna, że zamiast chodzić, wszędzie truchtałam, za co mogłam podziękować podwyższonemu poziomowi adrenaliny.

Od tamtego dnia nie widziałam już Louisy, ale byłam pewna, że Devon się z nią spotyka.

Przestał wracać do domu punktualnie o szóstej.

Szczerze mówiąc, prawie się nie widywaliśmy. Gdy już na siebie wpadaliśmy, najczęściej przy śniadaniu, gdy budził mnie głód, a on wracał z treningu, kiwał na przywitanie głową, ale szybko się zmywał spod obstrzału.

A nade wszystko miałam czarną, ziejącą dziurę w sercu. Wyrzucałam sobie każde przykre słowo, jakim go poczęstowałam. Traktowałam go okropnie i sama byłam sobie winna. Od początku zachowywałam się niemożliwie, a teraz, gdy chciałam to zmienić, okazało się, że jest już za późno.

Byłam pewna, że Louisa siedzi w Bostonie i kombinuje, jak dostać go w swoje szpony.

Devon całe dni i noce spędzał poza domem. Pewnie z nią, snując plany na wspólną przyszłość.

Pewnego ranka w kuchni wreszcie nie wytrzymałam.

Gdy on robił sobie proteinowego shake'a, nalałam sobie wysoką szklankę soku z matchy i odwróciłam się do niego.

– Co słyhać u Louisy? – zapytałam.

– W porządku – odparł sucho.

Zwykle w tym momencie wbiłabym mu szpilę, ale byłam tak wyczerpana, przygnębiona i zła na siebie, że brnęłam dalej:

– Czy wy...?

Uniósł brew, czekając na resztę.

Czasy, kiedy ułatwiał mi sprawę, dawno minęły.

– Jesteście razem? – wyrzuciłam z siebie.

– Jeszcze nie wiem. Zapytaj mnie za parę tygodni.

Poranne mdłości już dawno ustąpiły, ale i tak zebrało mi się na wymioty.

– Devon, przepraszam.

Za to, jak go traktowałam.

Za to, że nie poszłam na policję, jak powinnam była.

Za to, że byłam taka popaprana i nie umiałam docenić dobra, które dostałam na tacy.

– Ależ, skarbie, przecież ustaliliśmy, że sypianie z jedną osobą dłużej niż pięć miesięcy wieje okropną nudą. – Poglaskał mnie po twarzy z sardonicznym uśmiechem. – Czas minął.

Nasz status quo wywrócił się do góry nogami pewnego spokojnego piątkowego wieczoru. Zbierałam się właśnie do wyjścia z klubu. Jeszcze przed pojawieniem się Louisy starałam się nie przepracowywać, ale tym razem, wiedząc, że Devon pewnie nie wróci na noc, postanowiłam zostać po godzinach.

Dotrzymując słowa, nie przeganiałam Si i starałam się wychodzić tylko w towarzystwie przyjaciółek, więc trochę opuściłam gardę.

Gdy zamykałam tylne wyjście, dochodziła już jedenasta. Przyciskając do piersi torebkę z bronią, ruszyłam ciemną uliczką do auta.

Pistolet nie był naładowany, ale i tak czułam się dzięki niemu dużo bezpieczniej.

Pstryknęłam kluczykiem i światła auta zamrugały.

Plując sobie w brodę, że akurat dziś odprawiłam wcześniej Simona, weszłam pomiędzy kontenery na śmieci.

Nagle zważyło się na mnie coś ciężkiego.

Zatoczyłam się, grzebiąc panicznie w torebce, ale napastnik był szybszy.

Chwycił mnie w ciemności za rękę i pchnął na auto, aż zaparło mi dech w piersiach.

– Puszczaj! – ryknęłam, stając twarzą w twarz z mężczyzną w czarnej kominiarce.

I to nie mógł być Frank, bo był od niego dużo wyższy i szczuplejszy.

Ale to mógł być tamten stalker z Boston Common, który po naszej konfrontacji zapadł się pod ziemię.

– Nic z tego, kotku. Najpierw odbędziemy długą i owocną rozmowę o tym, dlaczego musisz zniknąć z miasta.

Zniknąć z miasta? A co się stało z groźbami śmierci? Kiedy zdegradowano je do nędznej banicji?

Gdy wyciągnął dłonie w rękawiczkach, próbując przygwoździć mnie do pobliskiego murku, skorzystałam z okazji i kopnęłam go kolaniem prosto w jaja.

Zgiął się wpół. Poprawiłam kopniakiem w klatę, po którym upadł na ziemię. Pochylając się, ściągnęłam mu z głowy kominiarkę.

I rzeczywiście, to był tamten gość z Boston Common.

C o , d o...?

– Frank cię nasłał? – Przycisnęłam szpilkę do jego gardła, gotowa ją wbić, gdyby tylko drgnął.

– Kim, do cholery, jest Frank? – Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

Oho, fabuła zaczyna się zagęszczać. Ile osób udało mi się w tym roku wkurzyć? To jakiś absurd.

– Kim jesteś?

– Musisz wyjechać z Bostonu.

– Mów, kto cię przysłał. – Przycisnęłam szpilkę do jego grdyki.

– Wody ci odeszły – rzucił.

C o? Skąd w ogóle wiedział, że jestem w ciąży? Przecież jeszcze nawet nie widać brzuszka.

Spojrzałam odruchowo w dół i momentalnie to wykorzystał. Wykręcił się spod mojego obcasa i skoczył na nogi.

Rzuciłam się w panice do auta, otworzyłam je, wskoczyłam do środka i łapiąc powietrze jak ryba, zablokowałam wszystkie drzwi.

Walnął z całej siły w szybę, próbując się do mnie dostać.

– Suka!

– Kim jesteś? – Trzęsącymi się palcami wepchnęłam kluczyk do stacyjki i przekręciłam. – Czego ode mnie chcesz?

– Zniknij z Bostonu! – Kopnął w karoserię. – Jedź i nie oglądaj się za siebie!

Wcisnęłam gaz do dechy i przewracając jeden z kubłów, wyjechałam na ulicę. Z wałącym jak młotem sercem minęłam wejście Madame Mayhem, Chinatown i całe tętniące nocnym życiem centrum, mknąc w kierunku Back Bay.

W pierwszym odruchu chciałam złapać za telefon i zadzwonić do Persy, Sailor albo Aisling, ale uznałam, że zasypałyby mnie niewygodnymi pytaniami. Tak naprawdę jedyną osobą, do której mogłam polecieć, był Devon, ale utraciłam ten przywilej tamtego wieczora, gdy kazałam mu się ożenić z Louisą. Może gdybym zastała go w domu, byłoby inaczej.

Powiedziałabym mu, co się stało, i przeprowadzilibyśmy prawdziwą rozmowę.

Możesz też zrobić, co trzeba, i wziąć sprawy w swoje ręce.

I tak oto znalazłam się pod jednym z komisariatów. Wiedziałam, że tego chciałby Devon. I wreszcie dotarło do mnie, że zanim zostanę matką, muszę się nauczyć dbać o siebie.

Posiedziałam jeszcze chwilę w aucie, by się uspokoić i przestać pocić jak mysz. Przyspieszony puls nie przysłuży się Książątku.

– Już dobrze, już wszystko dobrze. – Pogłaskałam brzuszek z nadzieją, że mi uwierzy.

Wysiadłam, weszłam do komisariatu i stanęłam przed dyżurnym, który gryzmolił z nudów w jakiejś książce, żując gumę i przeraźliwie ziewając.

– Chciałabym zgłosić przestępstwo.

Czy może skargę? Nigdy wcześniej tego nie robiłam, a komisariaty znałam tylko z filmów i seriali.

– Jakie? – Bezczelnie zrobił balona. Profesjonalizm w każdym calu.

– Stalking. Podwójny.

– Dwóch? – Uniósł brew.

– Niestety tak.

– Proszę usiąść. Ktoś zaraz się panią zajmie.

Ale nikt się mną nie zajął. Czekałam pół godziny na policjantkę, która gdy w końcu się zjawiła, łaskawie spisała moje zeznania, przy czym wyglądała na wybitnie niezainteresowaną moją opowieścią o Franku, człowieku z blizną, stalkerze z Common i całą resztą.

– Proszę dzwonić, gdyby pojawiły się nowe informacje. – Podała mi swoje namiary i ziewnęła na pożegnanie.

Nie, nie jestem pod wrażeniem.

– I już? To wszystko? – Zamrugałam z niedowierzaniem.

Wzruszyła ramionami.

– A co, liczyła pani na fajerwerki i osobistą ochronę?

Liczyłam, że będziesz kompetentna, tępą dzido. Powiedzenie tego na głos skończyłoby się tylko kłopotami z wymiarem sprawiedliwości, a i bez tego Devon uważał mnie za niezdolną do usmażenia sobie głupiego omletu bez puszczenia chaty z dymem.

Przez całą drogę do domu musiałam sobie powtarzać, że nie mogę tam wrócić i powiedzieć pani funkcjonariusz, co o niej myślę.

Na podziemnym parkingu zaparkowałam na jednej z dwóch miejscówek Devona. Obie były nieużywane, bo on wolał zostawiać auto na ulicy, nawet w najgorszy mróz.

Wskoczyłam do windy i pojechałam na górę. Gdy wysiadłam na jego piętrze, zza drzwi loftu dobiegł mnie stłumiony szczeł sztucców i talerzy. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła pierwsza. Ktoś tu podjada w nocy, nieładnie.

Serce zabiło mi szybciej. J e s t w d o m u.

Wczoraj o tej porze jeszcze nie wrócił. Pewnie siedział w Badlands. Albo u Louisy.

Motyle w moim brzuchu poderwały się do dzikiego lotu. Wstukałam kod i pchnęłam drzwi.

Tym razem spróbuję nie być wredną małpą. Bez względu na to, co było między nimi, to wciąż ojciec mojego dziecka i musimy się dogadać.

Moim oczom ukazał się zastawiony stół, a przy nim Devon i Louisa, on głupio wyszczerzony, ona z zaparowanym kieliszkiem wina przy policzku. Kokietka.

Nie. Nie, nie, nie, nie, nie.

Znieruchomiałam w progu, nie odrywając od nich oczu.

Przeszywający ból w piersi, oto co czułam. Wyglądali jak para kochanków. Idealnie do siebie pasowali. My z każdej strony wyglądaliśmy jak wybitnie niedobrana para. Księżę i prostytutka.

– O, zobacz, kto przyszedł. Twoja przyjaciółeczka! – zawołała z udawaną radością Louisa, jakby w ciągu tych dwóch tygodni zapalała do mnie szczerą sympatią.

Devon nawet się nie odwrócił.

Siedział ze wzrokiem wbitym w talerz.

– Dobry wieczór, Emmabelle.

„Emmabelle”. Już nie Sweven.

– Dzięki, Dev. Mam oczy.

– Rozkoszna – mruknęła Louisa. – Jak się czujesz, Emmabelle? Nie powinnaś siedzieć w pracy do tak późna. Opuść trochę temu dziecku.

– Nie wiedziałam, że jesteś lekarzem – zagruchałam słodko.

– Bo nie jestem. – Uśmiechnęła się.

Odwzajemniłam uśmiech mówiący: „to się przymknij”.

– Po prostu się martwię! – Oparła się ramieniem o Devona. Nie odepchnął jej ani nawet nie zeszywniał.

Boże, co za tortury. Umrę z zazdrości, prawda? Jako pierwsza w dziejach świata.

– Zostało trochę steków i szpinaku. Wstawiłam do lodówki, smacznego – powiedziała.

Wow. Nie ma co, kobieta mocno uderzała w struny Wyrozumiałej Żony. Nie tylko mu gotowała, ale i w mig udało jej się odstawić mnie na boczne tory.

– Super. Cóż, nie przeszkadzajcie sobie w negocjowaniu najbielszego małżeństwa w historii, w zestawie z garstką dzieciaków z chowu wsobnego oraz gwarancją zdrad na prawo i lewo – zaszcebiotałam, skręcając do siebie. – Miłego wieczoru!

Gdy rzuciłam się na łóżko, wyjęłam namiary od tamtej funkcjonariuszki i spojrzałam na nie z furją.

Policja mi nie pomoże.

Moja wersja nie trzymała się nawet kupy.

Porwałam karteczkę na kawałki.

Sama się obronię.

Belle

Lat czternaście

O WSCHODZIE SŁOŃCA niebo zachwyca wszystkimi odcieniami różu i błękitu.

Trener Locken i ja jesteśmy jedynymi spacerowiczami w rezerwacie Castle Rock.

– Pomyślałem sobie, że przydałby ci się indywidualny trening. Aha, i wyszperałem dla ciebie kilka porządnych obozów letnich do wyboru – mówi.

Oblewam się rumieńcem ładnych parę odcieni głębszym od feerii barw nad naszymi głowami.

Trener Locken wygląda dziś wyjątkowo dobrze. Jest świeżo ogolony i ma na sobie szare dresy podkreślające jego umięśnione nogi i równie obcisłą niebieską bluzę z kapturem. Sorry, ale nie ma porównania z tamtym obleśnym nauczycielem geografii z telewizorni. W każdej chwili mogłabym wymienić co najmniej pięćdziesiąt dziewczyn, które chętnie zamknęłyby się z nim w kanciapie i rozłożyły nogi. A tamten dziad był stary i paskudny.

– Nie zawiodę pana, trenerze.

I z tymi słowami ruszam z kopyta.

Bieganie w lesie to mój ulubiony trening. Zatracam się w rześkim powietrzu i kakofonii obcych dźwięków.

Przede mną dwukilometrowe okrążenie. Trzy pętle. Trener włącza stoper. Stoi na linii mety i gdy oglądam się za siebie, zanim znikam w gęstwinie, gapi się na moje nogi.

Nie będę kłamać, postawiłam dziś na superkrótkie szorty. Nieprzypadkowo. Ostatnio moje sny na jawie o całowaniu się z Lockenem przeniknęły do nocnych. Zawsze budzę się z nich spocona i wilgotna między nogami. W takich chwilach funduję sobie zimny prysznic na otrzeźwienie albo seans filmowy z jakimś ekranowym przystojniakiem, ale nic nie działa. Tylko on mi się naprawdę podoba.

Wszystkie moje przyjaciółki już się całują i obściskują z chłopcami. Ostałam się jako jedyna. Ale nawet gdybym sobie znalazła chłopaka do całowania, wiem, że żaden nie miałby szans z dotykiem silnych palców trenera, więc po co się wysilać?

To tylko niegroźna obsesja – powtarzam sobie w myślach, wychodząc z ostatniego zakrętu i dostrzegając w dali jego sylwetkę. Jak go pocałujesz, to czar pryśnie.

I znów zaczynam się przed sobą tłumaczyć. No i co z tego, że jest żonaty? Że jego żona jest w ciąży? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Jeden mały pocałunek nic nie znaczy. Pewnie od razu o nim zapomni. A ja zostanę uleczona i radośnie poszukam sobie rówieśnika.

Ale wtedy przypominam sobie słowa taty o tamtym nauczycielu geografii i przerażenie ściska mi żołądek. Wyobrażam sobie tatę całującego jakąś obcą babę i zbiera mi się na wymioty. Tak nie można.

Nie chcę być tą drugą, która niszczy komuś życie.

Ale skoro trener Locken zdecydował się na zdradę, to znaczy, że w jego małżeństwie źle się dzieje. Przecież nie można zniszczyć czegoś, co już jest popsute, prawda?

Drugie okrążenie to bułka z masłem. Biegnę na autopilocie, pogrążona w myślach, a nogi same mnie niosą.

Nie muszę nawet regulować oddechu. Ale już trzecie okrążenie daje mi w kość. W kolanie pojawia się tępy, uporczywy ból, a stopę przeszywa nagłe ukłucie. Resztę trasy pokonuję, kuśtykając.

– Co się stało? – Słyszę trenera, jeszcze zanim go widzę, schodząc z pagórka. – Po drugim okrążeniu miałaś szansę pobić rekord życiowy.

– Skurcz mnie złapał! – wołam do niego.

– No dobrze, rzućmy okiem.

Podaje mi rękę i opieram się na niej, człapiąc do jego samotnego auta. Zwykle to tata podrzuca mnie rano na trening i czeka, aż zjedzą się inni, a do szkoły wracam z którymś z kolegów.

Trener jeździ dużym srebrnym chevroletem suburban z bagażnikiem wielkości mojego pokoju. Gdy go otwiera, moim oczom ukazuje się góra sprzętu sportowego.

– Wskakuj. – Wskazuje brodą. Ale nie jestem w stanie. Stopa odmawia posługi. Z wyrozumiałym uśmiechem Locken wyciąga rękę. – Mogę?

Kiwam głową i podnosi mnie za biodra, sadzając na brzegu otwartego bagażnika. Ujmuje moją kontuzjowaną stopę, ściąga z niej trampka i skarpetkę i zaczyna masować, wpijając mocno kciuki i zataczając kręgi.

– O Boziu – jęczę, kładąc się na wznak. – To jak bóle porodowe.

Przed oczami staje mi jego ciężarna żona, czytaj: kubeł zimnej wody.

– Język, młoda damo – beszta mnie po przyjacielsku.

– Przepraszam, ale boli jak diabli.

Ups, znowu.

– Dążenie do perfekcji ma swoją cenę.

– Lepiej, żebym dostała to stypendium.

– Masz duże szanse. Chcesz zostać na miejscu czy wolisz wyjechać gdzieś na studia? – pyta.

– Myślę o Zachodnim Wybrzeżu. – Mrugam, wpatrując się w sufit jego SUV-a. – Może Kalifornia.

Złote plaże i gorące słońce to jest to. Ja i Santa Barbara jesteśmy dla siebie stworzone.

– Naprawdę? Za dzieciaka mieszkałem przez chwilę we Fresno. Jeśli cię tam zanieś, dam ci numer mojej ciotki. Wiesz, żebyś nie czuła się samotna. A co na to twój chłopak? – mruczy pod nosem. – To drugi koniec kraju.

– Nie mam chłopaka – szepczę trochę zbyt skwapliwie.

– Nie chodzisz z Rossem Kendrickiem? – dopytuje niewinnie Locken, podwijając rękawy.

No błagam. Ross Kendrick nie gustuje w dziewczynach i wcale się z tym nie kryje. Oscara za najlepszą rolę męską to nasz trener nie dostanie.

– A jak się czuje pańska żona? – zmieniam temat, bezczelnie wpływając na zakazane wody. – Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec – odpowiada skwaszonym tonem. – Wyprowadziła się do matki. To skomplikowane.

– Okej.

Chwilę później chrupie mi w stopie.

– W końcu coś mi pan złamał – śmieję się.

– Jeszcze nie – mruczy pod nosem, ale wszystko słyszę.

I nagle znów ogarnia mnie pragnienie jego dotyku.

– Pokręć kostką. Wyciągnij piętę.

Z premedytacją podciągam kolano pod brodę i robię, co mi każe, przy okazji fundując mu niezłe widoki. Gdyż w tej pozycji szorty mi się podciągają, odsłaniając białe bawełniane majtki.

– Już dużo lepiej, dziękuję.

– Szybki masaż mięśni? – proponuje komicznie ściśniętym głosem. – Mamy jeszcze dwadzieścia minut do pierwszego dzwonka.

– Pewnie.

Tym razem rozwiera mi szeroko kolana i nagle siedzę przed nim okrakiem. Jego palce zaczynają wędrować po wewnętrznej stronie moich ud. Bolesne rozciąganko, nie ma co, ale go potrzebuję.

Mimo to dobrze wiem, że nie powinien dotykać mnie w ten sposób i że przekroczyliśmy granicę.

Niewidzialną czerwoną linię między niewłaściwym zachowaniem a wieloletnią odsiadką dla niego i terapią dla mnie.

– Dzięki – jęczę. Tak mi dobrze. Jego dłonie, jego dotyk, wszystko jest takie boskie.

Będę się smażyć w piekle.

– Nie ma za co.

Zataczając kręgi na mojej skórze, zaczepia kciukami o brzeg spodenek. Raz. Drugi. Przy trzecim wiem już, że nieprzypadkowo. I że balansujemy na krawędzi CZEGOŚ. Czegoś zakazanego.

Podnosi moją stopę aż do głowy, rozciągając ścięgno udowe. Gdy się nade mną nachyla, czuję przez ubranie jego twardego, pulsującego penisa i robi mi się sucho w ustach.

– A więc pańska żona jest u matki? – pytam głośno. Może żeby go otrzeźwić. Może żeby otrzeźwić samą siebie. Może żeby przypomnieć nam obojgu o jej istnieniu.

– Tak. Pokłóciliśmy się i praktycznie rzecz biorąc... nie jesteśmy już razem.

Już dawno puścił moją stopę i teraz opuszki jego kciuków muskają brzeg moich majtek pod szortami. Nieruchomieję. Przetykam z trudem ślinę i zamykam oczy.

– Emmabelle.

Po raz pierwszy w życiu nie zwrócił się do mnie per Penrose. Nie odpowiadam. Nie oddycham. Nie cierpię, że tak go pragnę. Nie cierpię tego, że znów mam mokro w majtkach.

– Mogę ci zrobić bardzo dobrze, skarbie. Ale nikomu ani mru mru, okej?

Słowa więzną mi w gardle. Wiem, że powinnam powiedzieć „nie”, ale moje usta układają się w „tak”. Chcę go zadowolić.

– Gdyby ktoś się o tym dowiedział, miałbym duże kłopoty. Ale wiem, że ty też tego chcesz.

Oboje milkniemy. Jego palce na moich majtkach są takie... obce. Ale i podniecające.

Gdy już myślę, że ściągnie mi je razem z szortami i we mnie wejdzie – tak jak widziałam kiedyś w pornosie – po prostu odsuwa je na bok, a moją waginę owiewa chłodny podmuch i już wiem, że jestem przed nim kompletnie obnażona.

Otwieram jedno oko i widzę, jak pożera mnie wzrokiem, oblizując się.

– O kurwa – mówi.

– Je... jestem dziewicą.

Ale tak naprawdę mówię przez to, że chcę, by tak zostało. Nie jestem jak Persy. Nie chcę czekać z tym do ślubu, ale niech to coś znaczy. Wspominając po latach swój pierwszy raz, nie chcę żałować, że oddałam się komuś, kto spodziewał się dziecka z inną.

– Wiem. Nigdy bym cię nie skrzywdził, kotku.

I po chwili już przede mną klęczy, tym razem pożerając ją ustami. Mam ochotę spalić się ze wstydu. Odepchnąć go. A jednocześnie nie chcę wyjść na mięczaka, zwłaszcza po tym wszystkim, co dla mnie zrobił – indywidualne podejście, treningi, masaże.

Zaciskam powieki i powtarzam sobie w duchu, że nikt się nie dowie.

Ani Persy, ani rodzice, ani moi najlepsi przyjaciele, Ross i Sailor. Nikt. Jeśli w środku lasu zwali się drzewo i nikt tego nie usłyszy, to... nie było sprawy, prawda?

To będzie nasz mały sekret.

Coś, co zabiorę ze sobą do grobu.

Jestem już cała mokra tam na dole i nie mam pojęcia, czy mi się to podoba, czy nie. To znaczy kręci mnie jego zainteresowanie, ale... nie wiem. Niekoniecznie cała reszta.

Mija cała wieczność, to znaczy jakieś dziesięć minut, gdy w końcu przerywa i się odwraca. Jego napięte, drgające ręce mówią mi, że wali sobie konia i się spuszcza. Po wszystkim wyciera się chusteczką i wraca do auta. Ja siedzę już na brzegu bagażnika, majtając nogami jak gdyby nigdy nic.

Wszystko gra. On praktycznie rozstał się z żoną i „to” było za obopólną zgodą. Zupełnie co innego niż ta sprawa z telewizji. A poza tym jeśli to takie złe, czemu jest mi jak w niebie?

– Hej. – Uśmiecha się szeroko.

– Hej.

I wtedy całuje mnie z języczkiem. Czuję smak piżma, ziemi i jego śliny – zupełnie nową mieszankę.

Dochodzę do wniosku, że grzech smakuje całkiem nieźle.

Devon

SEKUNDĘ PO TYM, jak Sweven zatrzasnęła za sobą drzwi, Louisa spojrzała na mnie i powiedziała:

- Nie jestem głupia, wiesz.
- Nigdy tak nie uważałem – odparłem swobodnie, popijając wino.
- Wciąż mnie nie dotknąłeś. Nie było nawet buziaka.

Mieliśmy za sobą już sześć randek. Było miło, ale zawsze starałem się zgrywać dżentelmena. Nie gadaliśmy o zwierzęcych dziwadłach i nie naigrawała się z mojego wieku, języka, akcentu czy generalnie faktu istnienia.

– Szczycę się swoimi nienagannymi manierami – odparłem od niechcienia.

– Jesteś zatwardziałym grzesznikiem i oboje o tym wiemy. – Rzuciła mi zniecierpliwiony uśmiech. – Gdybyś mnie chciał, już dawno byś mnie wziął.

Odchyliłem się w krześle, przyglądając się w zamyśleniu jej twarzy.

Louisa zaczynała wyglądać na swój wiek: jej skóra straciła sprężystość, oblekając cienką warstwą lekko wychudzone policzki. Jakże było jej daleko do Sweven i jej jędrnych, różanych i upstrzonych piegami policzków.

W urodzie Louisy, w tych zmarszczkach, zapisane były jej lata i historia.

Była pociągająca w zupełnie innych sposób niż do bólu wyretuszowana seksbomba.

– Podobasz mi się – przyznałem.

– Ale jak widać, nie na tyle, by zrobić pierwszy krok – odparła swobodnie.

Dla niej wszystko było takie proste – i właśnie w tej prostocie tkwiła największa pułapka.

– Więc czemu tu jesteś? – zapytałem.

– Bo nadal mam nadzieję. To takie głupie? – Przesuwała kieliszkiem po stole, trzymając go za nóżkę.

– Głupie? Nie. Bezsensowne? Tak.

– Myślałam, że uda mi się cię złamać – dumiała na głos, sącząc wino. Blask świec tańczył na jej skórze, łagodząc uśmiech. – Gdybym rok temu powiedziała ci, że będziemy siedzieć przy tym stole i rozważać ewentualny romans, nigdy byś mi nie uwierzył.

– To prawda – przyznałem.

– A mimo to jesteśmy tu.

– Jesteśmy.

Po raz enty zerknąłem na drzwi Sweven.

Tym razem nie podglądała i nie podsłuchiwała.

W ten weekend wypadła siedemdziesiąta ósma doroczna gala dobroczynna Fundacji imienia Geralda Fitzpatricka, dla wielu symbolizująca oficjalny początek wiosny. Datki z balu, zwykle oscylujące w granicach trzech milionów dolarów, przekazywano przeróżnym miejscowym placówkom, o których nic nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć.

Ale to była znakomita okazja, by odpisać sobie co nieco od podatku, i jeszcze lepsza, by wystąpić w garniturze od Ermenegilda Zegny.

Obecność na tym balu była również świetnym posunięciem biznesowym.

Trudno było na przykład o większe zgromadzenie właścicieli prywatnych wysp pod jednym dachem, z których między innymi rekrutowali się moi obecni i potencjalni klienci.

Stojąc na środku Sali Balowej O'Donnella i rozglądając się wokół, czułem niemałą dumę.

Byłem całkowitym przeciwieństwem swojego ojca.

Pracowitym, przestrzegającym prawa obywatelem, który nie ulega kobietom i nałogom.

Niemal pięćsetmetrowa Sala Balowa O'Donnella przy Boylston Street była wyposażona w imponujące okna, eleganckie wykończenia w stylu Tudorów, czarne drewniane belki, kremowe żyrandole i jedwabne draperie w kolorze szampana.

Po sali krążyli kelnerzy, przemykając między damami w sukniach balowych i dżentelmenami w wytwornych smokingach. Ja stałem w kółeczku z Cillianem, Hunterem, Samem i jego ojczymem, Troyem, wypatrując jak sokół panny Emmabelle.

Wiedziałem, że się pojawi. Jej siostra była jedną z organizatorek gali, a Sweven nie przepuszczała okazji, by wesprzeć ją w każdym mikroskopijnym przedsięwzięciu.

– ...powiedziałem, że on zna się na bankowości tak jak ja na hodowli zadziornic włośchatych. Facet nigdy nie będzie dla mnie wiarygodny – tłumaczył coś Troyowi Cillian.

Skoro on tu był, jego żona też kręciła się w pobliżu. A gdzie Persephone, tam i Belle.

– Włożyłem w to tylko dwie bańki – próbował bronić się Hunter. – Zresztą tylko po to, żeby zasiadać w radzie i nabrać doświadczenia. Jeśli wtopię, to wtopię. Nie trzepnie mnie po kieszeni.

– Devon? A ty co sądzisz o nowym banku Jamesa Davidsona? – wciągnął mnie w rozmowę Sam. Jego kpiarski uśmieszek mówił dobitnie, że wie, że się wyłączyłem, bardziej skupiony na szukaniu wzrokiem mojej współlokatorce niż na dyskusji.

Stuknąłem palcem wskazującym w kieliszek szampana, który trzymałem.

Zastanówmy się, co ja o nim sądziłem...

– Myślę, że Davidson partoli wszystko, czego się dotknie, i to właśnie powiedziałem Hunterowi, gdy przyszedł do mnie z propozycją. Na szczęście Hunter potrzebuje kasy tak jak ja drugiej babeczki z huśtawką nastrojów pod swoim dachem, więc tak jak stwierdził, luz.

– À propos, jak tam Emmabelle? – zapytał Hunter. – Widać już brzuszeczek?

Gdy przed paroma dniami minęliśmy się w kuchni, wydawało mi się, że się lekko zaokrąglił, choć pewności nie miałem. Ale ponieważ nigdy nie byłem wylewny w temacie życia osobistego, moi kumple nie mieli pojęcia, że ze sobą nie rozmawiamy.

– Trochę.

– Spełniasz jej zachcianki? – Sam uniósł znacząco brew.

W odpowiedzi ja uniosłem kieliszek.

– Jak wyżej.

– W każdym razie... – Cillian wskazał małym palcem za moje plecy, cały zadowolony. – Lepiej się pilnuj, bo chyba masz rywala. Wygląda na to, że Davidson ruszył z nowym przedsięwzięciem.

Odwrociłem się, wędrując za jego wzrokiem, i w rogu sali dostrzegłem Emmabelle. Miała na sobie błękitną suknię à la Kopciuszek, a jasne włosy upięła w wytworny koczek.

Bawiąc się naszyjnikami, śmiała się z czegoś, co powiedział James Davidson.

Ten sam Davidson, który nie umiałby odróżnić kiepskiego interesu od złotego, nawet gdyby ten drugi oślepił go swoim blaskiem.

Z jego gęstą ciemną czupryną, białymi zębiskami i leniwymi ruchami człowieka, który nigdy nie musiał pracować na to, co ma, można go było nazwać konwencjonalnie przystojnym.

I był doszczętnie zauroczony efektowną pięknnością, z którą rozmawiał.

Zmrużyłem oczy, skupiając wzrok na jej brzuszku, ale niestety sukienka dobrze go maskowała. Co i tak było bez znaczenia. Jeśli Belle będzie chciała się przespać z Davidsonem, to nic jej nie powstrzyma.

– On nie jest przypadkiem żonaty? – bardziej jęknąłem, niż zapytałem.

– Świeżo po rozwodzie – poprawił Hunter, trącając mnie lewym ramieniem, gdy na naszych oczach Belle śmiała się do rozpuku z kolejnego błyskotliwego tekstu Davidsona.

Co mogło ją tak rozbawić? Gość był nudny jak flaki z olejem.

– Jego eks zafundowała sobie nowego cadillaca i jeszcze nowsze cycki, żeby zrobić mu na złość, ale ponoć rozgląda się za świeżym mięskiem.

– Emmabelle nim nie będzie.

Cillian zacmokał.

– Chyba o tym nie wie.

– Chce być po prostu miła – wyjąkałem.

– O tak, mamusia twojego dziecka słynie z dobrych manier – parsknął Sam.

– A poza tym „po prostu mili” ludzie nie dotykają obcych klat. – Zaśmiał się Hunter.

Cholera. Rzeczywiście dotykała jego klaty.

Nie byłem porywczym człowiekiem, ale zaraz zrobię coś, przez co wyląduję za kratkami.

– Co sądzisz? – zapytałem Sama.

W głębi sali Emmabelle pokręciła głową, gdy u jej boku zmaterializował się kelner z tacą szampana, a James nachylił się, by szepnąć jej coś do ucha.

– Sądzę, że gdybym był na twoim miejscu, Jamesowi brakowałoby już sześciu zębów i tchu w płucach – odparł od niechcenia Sam.

Tyle wystarczyło, by mnie upewnić, że moja reakcja bynajmniej nie jest przesadzona. Choć technicznie rzecz biorąc, nie miałem do niej prawa, gdyż sam obecnie spotykałem się z inną. Mniejsza, że nawet jej nie dotknąłem.

Zaciskając palce na kruchym szkle kieliszka, ruszyłem przez salę, rozjeżdżając wszystko, co mi stanęło na drodze.

Miałem ochotę ukatrupić Jamesa, a Emmabelle zamknąć w wieży z kości słoniowej. Ale czy mogłem mieć do niej pretensje, tak szczerze? Myślała, że lada dzień zaręczę się z inną.

Jakie prawa mogłem sobie rościć do tej kobiety? Żadnych.

Stanąłem przed nimi, uśmiechając się, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Belle, skarbie, szukałem cię. – Pocałowałem ją pokazowo w oba policzki i udałem, że nie widzę wyciągniętej ręki Jamesa.

Gdy bierze na celownik to, co moje, niech nie liczy na uprzejmości.

– Doprawdy? – Zmierzyła mnie obojętnym spojrzeniem. Jak zawsze działało na mnie cholernie pociągająco. – Myślałam, że zajmiesz się raczej poszukiwaniem kręgosłupa moralnego.

– Może przy okazji natknę się na twoje zagubione maniery – wycedziłem.

– Szczerze wątpię. W szukaniu jesteś raczej kiepski, mój punkt G świadkiem.

Co za bezczelne kłamstwo. Odnalazłbym jej punkt G z zawiązanymi oczami i bardzo dobrze o tym wiedziała.

– Devon, znasz tę perłę? – James pokazał ją kieliszkiem, jakby była obrazem na aukcji, który wpadł mu w oko. Miałem ochotę wbić go w podłogę i nie przestawać okładać, dopóki nie znajdzie się na samym dnie piekieł. – Jest taka zabawna!

– Jak cholera – odparłem ponuro. – I tak, znam ją całkiem dobrze.

– Ale jak widać, nie dość dobrze. – Belle wyjęła ostentacyjnie telefon z torebki, żeby mi pokazać, że jest bardziej zainteresowana jego zawartością niż sceną, którą postanowiłem jej urządzić.

– Na tyle, by zrobić jej dziecko – zwróciłem się do Jamesa, wbijając w niego lodowate spojrzenie. – Myśl sobie o tym, co chcesz.

– Jesteś w ciąży? – Jego wzrok wylądował na jej brzuchu i pobladł. Ze złości. Biedak pewnie myślał, że znalazł idealną kandydatkę na żonę numer dwa.

Belle wzruszyła ramionami, jakby spłynęło to po niej jak po kaczce.

– Oboje chcieliśmy dziecka, ale nie jesteśmy razem.

– Ale razem m i e s z k a m y. – Błysnąłem wilczym uśmiechem.

Pogłaskała mnie po rękę jak zmartwiona ciotka.

– Tylko dlatego, że to wybłagałeś.

– Wybłagałem? Skądże. Użyłem po prostu niekonwencjonalnych środków perswazji.

– Robisz z igły widły, kochany. Ale wiesz, że ludzie ciągle uprawiają seks, nawet po ślubie i urodzeniu dziecka?

– Możesz sobie umniejszać naszą relację, ile dusza zapragnie, ale fakty mówią same za siebie. Nosisz moje dziecko, mieszkasz pod moim dachem i regularnie rozkładasz przede mną nogi.

W tym momencie Davidson postanowił się z nami pożegnać, udając, że zauważył znajomego w drugim końcu sali.

Zostałem ze Sweven, która patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby chciała mi urwać jaja i usmażyć je sobie jutro na śniadanie.

– Co to, kurwa, miało być?

– To, że na moich oczach flirtujesz z największym oszustem w branży, a ja nie mam zamiaru pozwolić, by taki półgłówek kręcił się w pobliżu mojego dziecka. Strach myśleć, co by było, gdyby został jej ojczymem.

Miałem pełną świadomość, że brzmię jak skończony hipokryta.

Niebieskie oczy Belle zrobiły się okrągłe, choć bardziej ze złości niż zdumienia.

– Jaja sobie robisz?

– Jeszcze nie, ale nic straconego. W naszej sytuacji poczucie humoru jest na wagę złota.

– Ż e n i s z się z inną! – Pchnęła mnie w klatkę. Mocno.

Zaczynaliśmy ściągać na siebie niechcianą uwagę.

Na jej nieszczęście trafiła kosa na kamień. Mnie też niezbyt obchodziło, co ludzie o mnie myślą. Większość była tak olśniona moimi tytułami i akcentem, że przymknęłyby oko nawet na morderstwo.

– Jeśli dobrze to rozegrasz, pozwolę ci nadal grzać mi łożę. –
Wiedziałem, jak doprowadzić ją do szału.

Zamachnęła się i mnie spoliczkowała. M o c n o. Nie zareagowałem.

– Chodźmy w jakieś ustronne miejsce, to odgryzę ci głowę – rozkazała.

Położyłem jej dłoń u nasady pleców i zaprowadziłem do niewielkiej biblioteki na antresoli. Wszystkie ściany były oklejone tapetą udającą rozgwieżdżone niebo, więc można się tu było poczuć jak w kosmosie.

Obecnie była oblegana przez grupkę miejscowych biznesmenów z drinkami.

– Won! – warknąłem.

Czmychnęli jak przestraszone zające, na które spuszczone ogary.

To miasto wiedziało, że lepiej mieć we mnie przyjaciela niż wroga.

Przycisnąłem Sweven do ściany, wbijając wzrok w jej zmysłowe wargi.

Była w potrzasku. Unieruchomiona.

– No dalej – wymruczałem seksownie w jej usta. – Odgryź mi głowę.
Mogę nawet przykucnąć, żeby ułatwić ci sprawę.

– Żenisz się z inną, więc idź w cholerę, zanim wezmę się za twoje jaja i dopilnuję, by nasze dziecko nie miało rodzeństwa.

Parsknąłem szyderczym śmiechem, ujmując jej policzek. Odepchnęła moją dłoń.

– Boisz się, co? Że pozwolę się jej zaobrączkować. – To łechtało moją próżność, ale dalej nie miałem pojęcia, dlaczego jest taką upartą zimną rybą.

– Tak się składa, że mam to gdzieś. I wiesz, że nie będę niczyją babą na boku. – Zanurkowała mi pod ramieniem, by uciec, ale byłem szybszy i ją przyblokowałem.

– Kto cię tak zwichrował? – warknąłem, gotując się ze złości.

Trzymałem ją bezradnie za ręce, nie wiedząc, jak do niej trafić.

– Wychodzę z siebie, żeby cię zadowolić, ale za każdym razem odrzucasz uczucie i chcesz jedynie fiuta, rozmówek i wymiany uszczypliwości. A gdy tylko znajduję sobie inny obiekt owych odrzuconych uczuć, ty od razu się wściekasz. Więc pozwól, że powtórzę pytanie. Kto. Cię. Tak. Zwichrował? – Teraz już trząsałem się ze złości. Ukatrupię tego skurwiela. Wykończę go. – Kto odebrał ci zdolność zbudowania zdrowej relacji?

– Nie twoja sprawa! – Splunęła mi w twarz.

Nawet nie starałem jej śliny. Znow próbowała się wyrwać i znow ją przyblokowałem.

– Nie tak szybko. Powiedz, co mam zrobić, żeby do ciebie dotrzeć?

To mnie kompletnie przerastało.

Wydzieraliśmy sobie panowanie nad sytuacją, która była poza wszelką kontrolą.

Zadarła brodę i na jej ustach Afrodyty zatańczył przebiegły uśmiezek.

– Nic nie jest w stanie zmienić mojego zdania o tobie. Dla mnie jesteś tylko rozpieszczonym paniczkiem, który uciekł z domu, ale nie ze złotej klatki. Wreszcie nie możesz czegoś mieć i jak dla mnie możesz sobie nawet zdechnąć ze zgryzoty.

Z frustracji walnąłem pięściami w ścianę po jej bokach. Miałem ochotę roznieść ten pokój na kawałki.

I gdzie się podział mój kieliszek?

– Jesteś niemożliwa! – ryknąłem.

– A ty jesteś palantem. – Ziewnęła mi prosto w twarz.

– Żałuję dnia, w którym zaproponowałem ci ten układ. Przedtem chociaż miałem dla ciebie odrobinę współczucia i sympatii.

– Nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego. – Odepchnęła mnie chłodno. – Masz się za lepszego od swojej rodziny, co? To, że pracujesz na swoje utrzymanie, nie robi z ciebie świętego. Nie czekaj na mnie w domu. Przenocuję u Persy.

– Po co, do diabła ciężkiego?

– Żebyś mógł wreszcie w spokoju zerznąć swoją nową dziewczynę! – ryknęła i pokazawszy mi środkowy palec, wyleciała jak z procy, prawie się potykając o tę swoją suknię.

Ruszyłem za nią. O c z y w i ś c i e, że ruszyłem za nią. Sprawy zaszły już tak daleko, że nie byłem w stanie logicznie myśleć.

Przynajmniej przestałem się zachwycać jej dzikimi wybrykami. Zostało tylko rozczarowanie i odraza do niej i samego siebie.

Byłem na to za stary.

Nagle przystanąła w pół kroku i odwróciła się na pięcie, otwierając usta.

– Bawisz się tą swoją ukochaną Louisą, jakbyś nie dzielił dachu z matką swojego nienarodzonego dziecka. Cóż, skoro ty się puszczasz, to ja też znajdę sobie rozrywkę i nic nie możesz na to poradzić. A tylko spróbuj się do mnie zbliżyć, to złamię ci nos.

I zniknęła, szeleszcząc suknią.

Zatrzymałem się.

Po raz pierwszy w życiu doszedłem do wniosku, że gonienie króliczka w osobie Emmabelle Penrose może nie być najbardziej konstruktywnym rozwiązaniem.

Zostałem sam na tle rozgwieźdzonego nieba. Uspokajając oddech, rozejrzałem się wokół.

Życie to samotność, nawet pośród tłumów.

To dlatego ludzie się zakochują.

Miłość była w istocie ucieczką od smutnej rzeczywistości przemijania i bezsensu istnienia.

Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś niepojętego.

Zostałem sam w ciasnym, klaustrofobicznym pokoiku – i nie miałem ataku paniki.

Miłość naprawdę czyni cuda – pomyślałem, schodząc spokojnie z antresoli i ściągając kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera – ale lepiej nie zgłębiać jej tajemnic.

Devon

PRZEZ RESZTĘ WIECZORU Sweven starannie mnie unikała.

Fruwała między grupkami jak motyl, czarując uśmiechem i rozmową.

Poszedłem w jej ślady i kursowałem między klientami i wspólnikami, udając, że nie jestem martwy w środku. Czas zdawał się topnieć jak na obrazie Salvadora Dalego i każde tyknięcie wskazówki zegarka na moim nadgarstku przybliżało mnie do ucieczki.

Od zobowiązań.

Obowiązków.

Od wszystkiego, czym otoczyłem się jak murem, dystansując się od Anglii.

W pewnej chwili podeszła do mnie Persephone, wsunęła mi rękę pod ramię i odciągnęła od wyjątkowo nudnej rozmowy o szelkach.

– Cześć. – Jej lawendowa suknia zamiatała marmurową posadzkę.

Była krucha jak skorupka jajka i blada niczym księżyc w pełni. Miła i łagodna, w niczym nie przypominała swojej ognistej siostry; teraz już rozumiałem, co Cillian w niej widział. Była jego przeciwieństwem, równoważnikiem jego zimnej natury. Ona rozpuszczała jego lód, on – studził jej przesadne ciepło. Byli jak yin i yang.

Ale Belle i ja tak się nie uzupełnialiśmy. Ona była ogniem, ja – betonem. Kiepska mieszanka. Ja stąpałem twardo po ziemi, a jej żywiołem był chaos.

– Jak tam dzieciaki? – zapytałem od niechcenia, już znudzony rozmową, która się nawet nie zaczęła.

Czegóż bym nie dał, by pogadać ze Sweven o zwierzęcych dziwadłach!

– Dziękuję, dobrze, ale chyba nie o nich chcesz rozmawiać. – Uśmiechnęła się półgębkiem, wciągając mnie w sam środek kółeczka złożonego z niej, Aisling i Sailor.

Nie stawiałem oporu, bo mając do wyboru dyskusję o szelkach i pożarcie przez tę kobietą hałastrę, za każdym razem bez zastanowienia wybrałbym to drugie.

Patrzałem to na jedną, to na drugą, to na trzecią.

– Czyżby interwencja? – zapytałem przeciągle, unosząc brew.

– Spostrzegawczy jak zawsze – pochwaliła mnie Sailor, wychylając whiskey jak wodę.

Córeczka tatusia, bez dwóch zdań. Jako jedyna wystąpiła na balu w garniturze, w którym zresztą wyglądała fantastycznie.

– Musimy z tobą o czymś pogadać – dodała Sailor.

Tym „czymś” na bank była Louisa.

Skrzyżowałem ręce na piersi, czekając na ciąg dalszy.

– Chciałybyśmy wiedzieć, jak zamierzasz zapewnić Belle bezpieczeństwo. W końcu to my zdradziłyśmy jej zaufanie, donosząc ci o tamtym mężczyźnie z Boston Common. Postąpiłyśmy słusznie czy nie? – Aisling przyszpiliła mnie wzrokiem.

O tym chciały rozmawiać, serio?

– Belle mieszka teraz ze mną i przydzieliłem jej Simona do ochrony. Staram się mieć ją stale na oku, ale przecież nie założę jej na kostkę bransoletki z GPS-em.

– W sumie dobry pomysł z tą bransoletką. Może jednak...? – zastanawiała się na głos Sailor.

– Wolę się nie narażać – skwitowałem z pełną powagą.

– Simon to z pewnością zawodowiec w każdym calu, ale jest przy niej tylko na terenie klubu. Nadal uważam, że powinienes poprosić o pomoc Sama. – Aisling nie ustępowała.

– Gdy o nim napomknąłem, Belle powiedziała, że ma wszystko pod kontrolą i nie chce go w to mieszać – wykręciłem się. – A ponieważ życie mi miłe, muszę uszanować jej życzenie. Jak ty się czułaś, kiedy Cillian nasłał na ciebie jego ludzi? – Tu spojrzałem na Persephone, a ona się zaczerwieniła, wbijając wzrok w podłogę.

– Nie za dobrze – przyznała. – Ale w końcu mi przeszło.

– Szczęściem dla twojego męża drania jesteś łagodna jak owieczka. Ale chyba się zgodzimy, że twoja siostra bardziej przypomina rogatego barana.

Aisling ściągnęła brwi.

– Belle jest w gorącej wodzie kąpana, ale czasami trzeba działać wbrew komuś dla jego dobra.

– Słowa godne tyrana. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Sweven zamknęła się w swojej skorupce i nie trafiały do niej żadne argumenty.

A ja musiałem utrzymać ją przy życiu.

H u r a.

– Gdybyśmy tylko wiedziały, kto to może być... – Sailor potarła się w zamyśleniu po skroni.

– Ona uważa, że to palant, którego niedawno wylała – sypnąłem.

– Frank? – Persephone zmarszczyła nos.

Wzruszyłem ramionami, choć imię zapamiętałem. Pewnie, że zapamiętałem. Jak każdy zrobiłby na moim miejscu.

– To się trzyma kupy. Rzeczywiście tylko on przychodzi mi do głowy. – Sailor potarła się po brodzie.

Zapadła cisza, którą postanowiłem przerwać własnymi pytaniami.

– Wspominała wam coś o naszej sytuacji?

– Jakiej sytuacji? – podchwyciła czujna jak ważka Persephone. – Mam nadzieję, że traktujesz ją dobrze.

– Stara, błagam – prychnęła Sailor. – Jeśli kogoś tu źle traktują, to jego.

– Ostatnio miewa humory – przyznałem mgliście.

– Nie martw się, to nie przez twój rychły ożenek – wypaliła rozbawiona Sailor, wkładając niedbale rękę do kieszeni cygaretek.

Więc jednak wiedziały o Louisie.

Belle niczego przed nimi nie ukrywała. Po prostu nie obchodziło jej to aż tak, by wdawać się w szczegóły.

– Myślicie, że spływa to po niej jak po kacze, ale tak szczerze?

Zabrzmiałem jak smarkuła pytająca swoją psiapsiółkę, czy miałyby szanse u Justina Biebera.

Szukając swojego kręgosłupa moralnego i manier Belle, mógłbym przy okazji rozejrzeć się za utraconą męskością.

– Spłynęłoby po niej nawet pięć twoich ożenków. Równoczesnych – zapewniła Sailor. – Belle nie bawi się w związki. W moralność zresztą też nie.

– Nigdy nie była zakochana – westchnęła tęsknie Persephone. – Nigdy nie chciała się ustatkować.

– Ludzie się zmieniają – rzuciłem z wątlą nadzieją.

– Nie ten ludź. – Aisling potwierdziła głośno moje największe obawy.

– Jeśli czekasz ze ślubem na jej miłosne wyznania, to szkoda czasu. –
Aisling położyła mi rękę na ramieniu z przepaszającym uśmiechem. –
Belle Penrose kocha tylko siebie, swoje nienarodzone dziecko i rodzinę.

Belle

Lat czternaście

ZIMA PRZYCHODZI I PRZEMIJA, a ja w międzyczasie zyskuję sławę. Wygrywam parę zawodów i w lokalnej gazecie pojawia się nawet mały artykuł o nowym rekordzie hrabstwa mojego autorstwa, który tata wycina i przyczepia do lodówki, gdyż, jak widać, robienie córce przypału to jego nowe hobby.

W marcu żona trenera Lockena, Brenda, rodzi zdrowego chłopczyka, ale do tego czasu nasz „leśny romans” zdążył rozkwitnąć. Za każdym razem jest tak samo: on robi mi minetę, potem się całujemy, a na koniec wali konia i odwozi mnie do szkoły. Kiedyś w swoje urodziny przekonał mnie, bym zlizła lepką spermę z jego palców, jakby to był lizak, i zrobił mi trzy fotki. Przeplakałam całą noc. Nie mogę przestać myśleć, że wciąż ma je w telefonie, i gdy tylko sobie o tym przypominam, zbiera mi się na wymioty.

Gdy robimy to w jego kanciapie – co się rzadko zdarza – zdjęcia Brendy nie ma już na jego biurku. Do lasu zdejmuję też obrączkę.

Mówi, że rozstali się parę miesięcy temu. Po zajściu w ciążę żona nie chciała, by jej więcej dotykał, i naśmiewała się z jego pracy i zarobków.

Ponoć chciałby, żebym była jego dziewczyną. By móc zabierać mnie do kina, fajnych restauracji czy na zwykły spacer.

Szczerze mówiąc, zaczynam myśleć, że ta cała Brenda nie zasługuje na Steve’a (gdy nie jesteśmy sami, nie wolno mi się do niego tak zwracać).

W każdym razie ta świadomość podnosi mnie trochę na duchu.

Ale wtedy ona rodzi i wszystko się zmienia.

Trener opuszcza trzy dni z rzędu. Jakby się pod ziemię zapadł. Trzeciego dnia mimochodem słyszę w stołówce rozmowę dwóch nauczycielek, z której wynika, że Brenda urodziła w miejscowym szpitalu, co się zupełnie kupy nie trzyma, bo przecież wyjechała do matki, do New Jersey.

– Widziałaś małego? Ale słodziak. Wykapany tatuś – zachwyca się panna Warski, dźgając jogurt plastikową łyżeczką.

– Tak, Steve rozesłał fotki do całej grupy, pamiętasz? I uważaj: kupił żonie w prezencie nowiutkie auto.

– Kię rio, zgadza się?

– Aha. Sama się zastanawiam nad kupnem...

Prezent?

Dla żony?

Myślałam, że się rozstali.

Że rozwód to tylko kwestia czasu.

Przez resztę dnia snuję się jak cień, zmuszając się, by do niego nie napisać.

Ross się wymyka i kupuje mi butelkę gatorade, ale nie dopytuje o moje zaczerwienione oczy i pobladłą twarz.

Ale gorszy od złamanego serca jest potworny wstyd.

Ten człowiek, któremu bezgranicznie zaufałam, oszukał mnie i ośmieszył.

Tego dnia coś we mnie pęka.

Coś, czego być może nigdy nie da się naprawić.

Devon

BELLE DOTRZYMAŁA OBIETNICY i nie wróciła na noc do domu.

Więc rano w drodze do pracy zadzwoniłem do Louisy.

Zatrzymała się w Four Seasons i spędzała całe dni na zakupach i niestraceniu nadziei, że się wreszcie ogarnę.

Ucieszy się, że owo ogarnięcie powoli staje się faktem.

Odebrała po pierwszym sygnale, zziajana.

– Halo? Devon?

– Dzwonię nie w porę? – Skręciłem za róg swoim bentleyem, szukając wolnego miejsca. Bo podziemne parkingi to jakaś pomyłka. Po co pchać się za życia pod ziemię?

– Ależ skąd, jak najbardziej w porę.

Usłyszałem głuchy odgłos upadającego ręcznika i skrzypnięcie drzwi, a w tle głos trenera personalnego: „...i wracamy do pozycji psa z głową w dół”.

– Cześć, czołem. – Zaśmiała się cicho ze swojej niezręczności. Wjechałem na puste miejsce i cofnąłem. – Wszystko w porządku? – dopytywała.

Zaraz będzie.

Najwyższa pora wybrać tę, która wybrała mnie.

– Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

– Super. Mam zrobić rezerwację? – zapytała słodkim głosem. – Na Salem Street jest fantastyczna restauracja, którą mam na oku, ale oczywiście dostosuję się do twoich upodobań kulinarnych.

Nawiedziły mnie słowa ojca.

„Małżeństwo z miłości jest dobre dla niedomytej tłuszczy, która musi stosować się do jakichś żalonych zasad społecznych. Żona jest nie po to, by jej pożądać, Devonie, lecz by służyć mężowi, dać mu dzieci i ładnie wyglądać”.

Miałem tu coś do zrobienia. Whitehallowie byli starym rodem z tradycjami. Kimże on był, by skazywać go na wymarcie? Nie pozwolę się okraść z należnej mi schedy.

– Nie. – Wysiadłem i ruszyłem ku wejściu do biurowca. – Pomyślałem, że zjemy w twoim pokoju hotelowym. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem.

– Nie – powtórzyłem, wbiegając po schodach. – Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Można powiedzieć, że doznałem olśnienia.

– Lubię olśnienia.

To ci się bardzo spodoba.

– Devonie... – Zawahała się.

Pchnąłem szklane drzwi swojego gabinetu. Joanne już czekała z filiżanką kawy i wydrukowanym grafikiem. Przejąłem je od niej.

– Tak, Lou?

– Od lat mnie tak nie nazywałaś.

Znów cisza.

– Czy... Czy mam założyć najlepszą sukienkę?

Praktycznie widziałem, jak przygryza dolną wargę.

Upiłem kawy z ponurym uśmiechem.

– Tylko nie miej niczego pod spodem.

Tego dnia matka bez przerwy do mnie wydzwaniała i krążyła wokół tematu Louisy, choć jej imię ani razu nie padło.

Zapytała na przykład, czy nadal mieszkam z Emmabelle. Gdy odpowiedziałem, że tak, od razu straciła humor.

– Jeśli mam budować przyszłość z Louisą, dziecko i Emmabelle będą jej ważną częścią – oznajmiłem sucho.

– Ale ona przykuje cię do Bostonu i nigdy nie wrócisz do Anglii – odparła mama.

– Kocham Boston. – Co było prawdą. – Teraz tu jest mój dom.

Whitehall Court Castle to tylko mury pełne koszmarnych wspomnień.

W przerwie obiadowej skoczyłem do Tiffany’ego po półtorakaratowy pierścionek z brylantem o szlifie poduszkowym.

Po powrocie do biura kazałem Joanne kupić ogromny bukiet kwiatów i nie patrzeć na cenę.

– Panna Penrose na pewno się ucieszy z tak romantycznego gestu, milordzie – wypaliła zza ekranu, skubiąc swojego nieodłącznego selera. – Najwyższa pora. Dziecko powinno mieć stabilny dom i oboje rodziców. Za moich czasów tak wyglądał model rodziny, Wasza Wysokość.

Wszędzie wtrącała tę „Waszą Wysokość”, bo nie miała zielonego pojęcia, jak się do mnie zwracać. I myślała, że kwiaty są dla Emmabelle. No tak, w końcu bookowała jej cotygodniowe wizyty lekarskie i zamawiała nam taksówki.

– To nie dla panny Penrose – uciałem, wparowując do gabinetu.

Joanne popędziła za mną, przebijając swoimi krótkimi nóżkami jak wtedy, gdy musiała wziąć pół dnia wolnego, bo jej córka zaczęła rodzić.

– Jak to nie dla panny Penrose? – powtórzyła z oburzeniem.

Usiadłem za biurkiem i odpaliłem laptopa.

– To nie pani sprawa, ale zalecam się do innej.

– Zaleca się pan do inn... Devonie, czy tak się postępuje w Anglii? Bo u nas bigamia jest nielegalna.

„Devonie”? A gdzie się podziała „Wasza Wysokość”?

– Belle i ja nie jesteśmy małżeństwem. – Odprawiłem ją gestem.

– Tylko dlatego, że się nie oświadczyłeś! – ryknęła.

– Nie jest zainteresowana.

Łatwiej było to przyznać przed sześćdziesięcioletką z piątką dzieci i siedmiorgiem wnucząt, która uważała Ferrero Rocher za szczyt wyrafinowania, niż moimi kolegami i ich żonami.

– To ją z a i n t e r e s u j.

Zarechotałem posepnie.

– Proszę mi wierzyć, próbowałem. – W każdym razie na swój sposób.

– Gdyby nie była zainteresowana, nie pozwoliłaby ci zrobić sobie dziecka, kochany. Oczywiście, że jest zainteresowana. Musisz po prostu trochę się postarać. Jeśli zaczniesz się prowadzić z inną, na zawsze stracisz u niej szansę. A z tej nowej relacji i tak będą nici.

– Louisa to prawdziwa perła. Piękna, elegancka i w ogóle.

– Według tych kryteriów to można wybrać sofę do salonu, milordzie, a nie partnerkę.

– Żonę też.

Specjalnie ją prowokowałem, żeby zmyła mi głowę za to, co zamierzałem zrobić – a Joanne z nikim się nie patyczkowała.

Bóg świadkiem, że przydałyby mi się porządne cięgi.

Policzki jej spąsowiły i odrzuciła głowę, jakbym ją uderzył.

– Chwileczkę. – Uniosła dłoń. – Powiedziałeś ż o n ę?

– Tak.

– Ale przecież... ty kochasz Emmabelle.

– Chryste, wy, Amerykanie, uwielbiacie nadużywać tego słowa. – Wyjąłem papierosa i wetknąłem sobie w usta. – Nie miałem wielkich wymagań, chciałem od niej choćby przyjaźni, ale i jej mi odmówiła. Muszę się z tym pogodzić i zamknąć ten rozdział.

– Jeśli Wasza Wysokość ożeni się z inną, obawiam się, że złożę wymówienie.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej, że jest pan tłuczkiem.

Skoro nawet Joanne uciekła się do tak obrazowego słownictwa, to musiało być ze mną bardzo źle.

Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Proszę zamówić ten bukiet i wracać do pracy. A jeśli chce pani odejść, proszę złożyć pisemną rezygnację.

Odwrociła się na pięcie i odmaszerowała, mrużąc pod nosem.

Przez resztę dnia już mnie nie zaczepiała, nie zasypywała fotkami swoich wnucząt ani nie podsuwała przygotowanych z myślą o mnie przekąsek, jak to miała w zwyczaju.

Gdy z wybiciem szóstej wyszedłem z gabinetu, na jej biurku czekał ogromny bukiet białych róż, peonii i jaskrów wraz z karteczką:

Panie Whitehall,

gratulacje, za chwilę straci Pan wszystko, nie zyskując nic w zamian.

PS Proszę to uznać za moją oficjalną rezygnację.

J.

Wyrzuciłem karteczkę do kosza, wziąłem bukiet i wyszedłem.

Na schodach rozdzwonił się mój telefon. Mama.

W Anglii była późna noc. Albo wczesny poranek, zależy, z której strony spojrzeć. Bezmyślnie odebrałem, choć instynkt ostrzegał, że to bardzo zły pomysł.

– Co znowu? – warknąłem.

– Devvie! – zawołała z radością. – Wybacz, ja tylko na sekundę. Otóż z wielką chęcią zorganizowałabym wam przyjęcie zaręczynowe. Dasz radę wyrwać się z Lou na weekend do Anglii?

Nie podobało mi się, że już otwiera szampana. A na samą myśl o imprezie w zamkniętym pomieszczeniu z udziałem braci Butchart i paru innych royalsów miałem ochotę szukać azylu na innej planecie.

– Jestem zawałony robotą, mam.

– Ślub bierze się raz w życiu. – Nie odpuszczała.

– Niekoniecznie, jest dwudziesty pierwszy wiek.

– Mam nadzieję, że to nie przez tamtą koszmarną dziewczuchę. Jeśli napytała sobie jakiejś biedy, to jej problem, nie twój.

Ta koszmarna dziewczucha miała imię, choć jeśli mam być szczery, moja matka nie zasługiwała, by wypowiadać je na głos. Ale coś mnie tknęło.

Nie waż się drażnić tematu.

– Czemu miałaby jej sobie napytać? – drażyłem, otwierając drzwi swojego bentleya i wskakując za kółko. Przełączyłem na tryb głośnomówiący i rzuciłem telefon na środkową konsolę. – Co wiesz?

A jeśli to ona nęka Sweven?

Odhaczała wszystkie punkty: motyw, urazę i konkretny cel.

Wiedziała, gdzie mieszkam, i tym samym wiedziała, gdzie mieszka Belle.

A resztę informacji bez trudu ustaliłby pierwszy lepszy detektyw.

Ale czy byłaby do czegoś takiego zdolna?

– Nic nie wiem – rzuciła pospiesznie z udawanym oburzeniem. – Mówię tak tylko dlatego, że przedstawiłeś mi ją jako striptizerkę. Kłopoty się takich mają. Wybory życiowe dużo mówią o człowieku. Co to w ogóle za insynuacje?

– Co ukrywasz? – odparowałem.

– Nic nie u k r y w a m. Ale dobrze znam ciebie i twoją opiekuńczą naturę. Nie chcę, żeby odebrała ci szansę na szczęście.

– Ty coś wiesz, jestem tego pewien.

Wypuściła powietrze.

– Masz paranoję, zaczynam się o ciebie martwić. Powrót do domu dobrze by ci zrobił. Proszę, przemyśl to.

Kolacja, tak jak się spodziewałem, była idealna.

Sceneria, pokój, jedzenie, kobieta. Pięć gwiazdek w każdej kategorii.

Siedząca naprzeciwko mnie Louisa wyglądała nienagannie w swojej czarnej sukni wieczorowej.

Zamówiliśmy homara i czerwone ziemniaki w mundurkach.

Drzwi balkonowe były otwarte i wpuszczały wonny powiew wiosennego wietrzyku.

Przypomniałem sobie Europę i leniwe letnie dni na Riwierze Francuskiej.

Mięsiwa i sery tak aromatyczne, że aż łzy napływały do oczu, opalenizną i zamczyską, w których można się zgubić.

I nagle zdałem sobie sprawę, że tęsknię za domem.

Tak bardzo, że chciało mi się wyć.

– Wiesz, próbowałam o tobie zapomnieć. Przez chwilę nawet mi się udawało – wyznała Louisa, wodząc palcem po brzegu kieliszka. – Frederick był wspaniałym mężczyzną. Przywrócił mi wiarę w siebie. Zanim go poznałam, przez wiele lat uważałam się za kompletną nieudacznicę. Koniec końców sensem mojego życia był nasz ślub, a udało mi się jedynie cię odstraszyć.

– Lou – jęknąłem ze skrzępowaniem, bo znów to robiła. Próbowała mnie zdobyć.

– Pozwól mi dokończyć. – Pokręciła głową. – Gdy go poznałam, przez pierwszy rok próbował przebić się przez moje kompleksy, warstwa po warstwie... To był trudny, żmudny proces. Nie mógł zrozumieć, dlaczego taka jestem. Dlaczego moje rany nie chciały się zabiżnić. Ale był dobry i cierpliwy.

Ścisnąłem szczypcami homara, czując się jak ten usmażony skorupiak.

I jak biedny Frederick, który wyglądał na dobrego faceta zasługującego na więcej.

Nagle przyszło olśnienie: skoro on wytrwał przy niedostępnej, głęboko zranionej Lou, czemu ja zrezygnowałem z walki o Emmabelle?

– Na początku marzyłam, że wrócisz i zobaczysz mnie z innym. Lepszym. Ale z biegiem czasu zapomniałam o tobie. On mi wystarczył. Prawdę mówiąc... – Zawahała się. – Był dla mnie wszystkim. Jego strata prawie mnie zabiła. Myślałam, że jestem przeklęta. – Uśmiechnęła się, opierając brodę na kłykciach.

Zajrzałem w jej oczy i zobaczyłem smutek. Bezbrzeżny smutek. Tego wieczoru mieliśmy się zaręczyć, a oboje nadal tęskniliśmy za kimś innym.

Z tą różnicą, że moja wybranka nadal żyła.

A dla Louisy miałem być nagrodą pocieszenia.

– Nie ty jedna wyszłaś z tego pokieroszowana, kotku. Miałem okropne wyrzuty sumienia, że tak cię porzuciłem, i poprzysiągłem sobie, że nigdy się nie ożenię. Jak widzisz, dotrzymałem słowa – powiedziałem, odsuwając talerz. Straciłem apetyt. – Nigdy nie byłem nawet w poważnym związku. Wszystkie moje relacje miały datę ważności kartonu mleka i kończyły się najpóźniej po miesiącu. Stwierdziłem, że skoro odebrałem ci szczęście, sam na nie nie zasługuję.

Wyciągnęła ręce i ujęła moje dłonie.

– Dostaliśmy drugą szansę, Devvie. Nadróbmy stracony czas. Jeszcze nie jest za późno. Nic nie stoi nam na przeszkodzie.

Coś jednak stoi.

– Zostanę ojcem.

– Razem damy radę. Umówiliście się na wspólną opiekę, tak? Mogę się przenieść do Bostonu. Ursula wolałaby, żebyśmy zamieszkali w Anglii, ale jestem pewna, że nam pobłogosławi. Pomogę ci je wychować. I możemy mieć własne dzieci. Nie jestem wrogo nastawiona do Emmabelle. Po prostu uważam, że do siebie nie pasujecie. A ja zawsze będę taka, jak zechcesz, Devvie. Wiesz o tym.

Mówiła dokładnie to, co trzeba, do ostatniego słowa.

Jej argumenty były niepodważalne.

– Masz być dobra dla tego dziecka – zapowiedziałem surowo. – Pragnąłem go tak samo jak Emmabelle. Zawarliśmy umowę.

– Będę je traktować jak własne.

Podniosła do twarzy moją dłoń i oparła na niej policzek.

– Obiecuję. Wiesz, że nigdy nie łamię danego słowa.

Dźwignąłem się jak pijany i Louisa też wstała. Sekundę później przywarła do mnie, przykrywając moje usta swoimi.

Objąłem ją, wędrując dłońmi po jej plecach. Całowaliśmy się.

Belle mnie nie chciała, moja rodzina była na skraju bankructwa, a poza tym czy to takie strasznie mieć się z kim zestarzeć? Iść razem przez życie?

Ale w ostatecznym rozrachunku nie podobało mi się.

Ani pocałunki, ani dotyk jej ciała, które oplotło się wokół mnie jak bluszcz.

Mój penis też pozostał niewzruszony; jak widać, logika Louisy zupełnie doń nie przemawiała.

Zaczęła całować mnie z jeszcze większym zapamiętaniem, pieszcząc go przez spodnie z odrzuconą głową i bezskutecznie próbując doprowadzić do erekcji.

W gardle momentalnie stanęła mi gula.

Niedobrze.

Odsunąłem się o krok, by zyskać na czasie, jakoś ją przełknąć. Może wyjąć pierścionek zaręczynowy, z którym przyszedłem. Włożyć go jej na palec.

Ale nie mogłem się przemóc i sięgnąć do kieszeni. Nie mogłem wykonać ostatniego ruchu, zadać jej pytania, którego już nie cofnę.

Nie chcę idealnego życia z Louisą. Chcę chaosu z Belle.

Tymczasem Lou odczytała mój krok w tył jako prośbę, by zrzuciła ubranie. Zsunęła jedwabną sukienkę, pod którą ukazały się zgrabne nogi i zadbane ciało. Pilates pięć razy w tygodniu, jak nie więcej.

Jej ciemne oczy powędrowały do mojego krocza, a brwi ściągnęły się na widok zerowych efektów.

– Kurczę. No nic, to mały problem.

– Nazywasz go m a ł y m?

Zachichotała i znów się na mnie uwiesiła, obsypując mnie pocałunkami.

Przełykając z trudem kwaśną gulę, usiłowałem skupić się na bieżącym zadaniu.

Była piękną kobietą. Nie mniej od tych, z którymi zwykle sypiałem.

– Może spróbuję... – Wsunęła mi rękę w slipy i złapała go zimnymi, kościstymi palcami. W uszach zadźwięczał mi daleki, szyderczy śmiech ojca. – Tak dobrze?

– Wspaniale – syknąłem, nadal miękki jak cholerna wata. – Bosko.

Ale nie czułem nic oprócz frustracji, gdy rozgniatała ustami moje wargi. Tak zaciekle pocierała mi fiuta, że gdyby to była lampa Aladyna, dżin już dawno by z niej wyskoczył.

– Poczekaj – jęknąłem w jej usta, delikatnie ją odpychając. W odpowiedzi wczepiła się we mnie ze zdwojoną siłą.

– Zrobię ci loda – zaproponowała i kompletnie naga osunęła się na kolana, szarpiąc pierwszy guzik moich spodni.

Cofnąłem się z obawą, że pierścionek wypadnie mi z kieszeni.

– Przestań, kotku. – Pogłaskałem ją po twarzy, stopniowo odsuwając ją od rozporka.

Już wiedziałem, że nic z tego nie będzie, bez względu na to, jak bardzo tego chciałem.

Próbowałem zapomnieć o Emmabelle. Otworzyć nowy rozdział. Ale nie potrafiłem.

– Może to przez tego homara? Pewnie ci zaszkodził. – Wstała z kolan i pobiegła do łazienki, by po chwili wrócić w kremowym satynowym szlafrocisku. – Owoce morza tylko ze sprawdzonych restauracji.

To Four Seasons, na litość boską, a nie fastfoodowa buda w dzikiej głuszy.

Uśmiechnąłem się z powątpiewaniem.

– Lepiej już pójdę. Do domu.

Razem ze swoją miękką fają.

– Och. – Twarz momentalnie jej zwiotczała.

– Lou... – zacząłem łagodnie.

– Ale... o n a tam będzie.

– Tak to już jest, gdy się mieszka pod jednym dachem.

– Powiedziałaś coś nie tak? – dopytywała.

Przypomniałem sobie jej słowa o Fredericku.

– Uświadomiłem sobie, że nigdy nie będę mógł dać ci tego, co tamten.

Muszę sobie wszystko poukładać.

Objąłem ją w pasie i pocałowałem, przyciągając do siebie.

– Trzymaj się ciepło, Lou.

– Ty też, Devvie.

Gdy wróciłem do domu, wciąż kręciło mi się w głowie, przygniecionej świadomością, że jestem odporny na wdzięki wszystkich kobiet na świecie – oprócz tej jednej, która mnie nie chce.

Wszedłem ciężkim krokiem na górę, po raz milionowy przeklinając się w duchu, że nie potrafię korzystać z windy jak każdy normalny człowiek.

Skończywszy seans nienawiści do samego siebie i mojej klaustrofobii, wziąłem na celownik swoje zdradzieckie ciało. Co się w nim, do diabła, zepsuło? Kiedyś stawał na baczność na widok kawałka spódniczki, a teraz nagle postanowił wejść na ścieżkę cnoty i moralności? Nie wie, że jest tylko PENISEM? Najmniej skomplikowanym ze wszystkich części ciała?

Wtoczyłem się do tonącego w mroku salonu, kopiąc leżący przy drzwiach sprzęt do szermierki. Jeśli Emmabelle znów pracuje do późna albo jest na randce z jakimś fagasem, to przysięgam, że... że... Nic z tym nie zrobię. Nie miałem nad nią żadnej władzy.

Mam nadzieję, że ten miesiąc bzykanka był tego wart, stary, bo właśnie tak będzie wyglądała twoja przyszłość.

W drodze do sypialni zauważyłem, że jej drzwi są uchylone. Wstyd się przyznać, ale ulżyło mi, gdy zobaczyłem zapalone światło.

Nie mogąc się oprzeć, zajrzałem przez szparę do środka.

Stała przed wysokim, królewskim lustrem z podciągniętą bluzą, głaszcząc z zachwytem brzuszek.

Powędrowałem doń wzrokiem.

Nareszcie było widać, że Emmabelle Penrose jest w ciąży.

Tych krągłości nie dało się z niczym pomylić. Pod ciepłą, gładką skórą biło serce naszego dziecka.

Zamknąłem oczy, wciągając powietrze i przyciskając głowę do drewnianej futryny.

– Jesteś tak piękna, że czasami mam ochotę cię pożreć, by nikt nie mógł mi cię odebrać. – Słowa same popłynęły mi z ust.

Odwróciła się na dźwięk mojego głosu.

Rozmarzenie i zachwyty spłynęły jej z twarzy, a ich miejsce zajął podły uśmiezek.

– Dziwię się, że Louisa spuściła cię ze smyczy. Kłopoty w czyścicu?

Milutka wariacja na temat „kłopotów w raju”, nie ma co.

– Przestań – warknąłem.

– Co przestań? – zapytała z jadowitą słodyczą.

– Zachowywać się jak gówniara. Przestań mnie odpychać. Przestań psuć idealne chwile, bo tak bardzo boisz się mężczyzn, że po prostu musisz ich dręczyć, gdy tylko ośmielą się naruszyć ten wielki mur, którym się otoczyłaś.

– Dobra. – Obciągnęła bluzę.

– Nie. – Odkleiliśmy się od futryny i ruszyłem powoli w jej kierunku. – Chcę popatrzeć.

Otworzyła usta – pewnie, by mi powiedzieć, żebym zrobił dziecko Louisie, skoro tak uwielbiam oglądać ciążowe brzuszki – ale ubiegłem ją, przykładając jej palec do ust.

– To również moje dziecko.

Bez słowa podciągnęła bluzę do piersi.

Stałem przed nią, wpatrując się z zachwytem w jej idealny brzusek.

– Mogę dotknąć? – zapytałem, nie rozpoznając własnego głosu.

– Tak. – Jej też się trząśł. Powietrze w pokoju znieruchomiało, jakby przestrzeń wstrzymała oddech.

Objąłem go opuszkami palców. Był twardy jak kamień. Oboje wbiliśmy weń wzrok, jakbyśmy na coś czekali. Minęła minuta. Dwie. Pięć minut.

– Nie chcę odpuszczać – powiedziałem.

– Nie chcę, żebyś odpuścił – odparła cicho. Już nie rozmawialiśmy o brzuszku.

Podniosłem wzrok i napotkałem jej spojrzenie w lustrze.

– To dlaczego robisz wszystko, by mnie odepchnąć?

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się bezradnie.

– Tak jestem zaprogramowana.

– Bzdura.

– Ale prawdziwa.

– Powiedz, co takiego cię spotkało – poprosiłem po raz enty, myśląc o Fredericku zdzierającym z mozołem warstwę za warstwą z Louisy. Czy ja odarłem choć pierwszą z Emmabelle? Ile ich jeszcze pod nią leżało? I co, do diabła ciężkiego, spotkało tę dziewczynę?

Nawet moi kumple, którym, mówiąc łagodnie, daleko było do aniołów, nie niszczyli tak kobiet.

Pokonała ten jeden dzielący nas krok. Penis stanął mi na baczność i miałem ochotę zedrzeć z niej ciuchy.

– Przestań wtrącać się w moje życie, Devon. Liznąłeś już wszystkich moich sztuczek, nic nowego nie zobaczysz.

– Jesteś więcej niż kolorowym ptakiem i szaloną imprezowniczką, na którą tak usilnie starasz się pozować. Fałszywa reklama.

– Ha – prychnęła sucho. – Trzeba było przeczytać drobny druczek.

Na ustach zatańczył mi wredny uśmiezek.

– Jesteś fantastyczna, kolczasta i warta każdej udręki, którą mi serwujesz.

– Nie! – Odepchnęła mnie, uderzając otwartymi dłońmi w pierś. Było widać, że jest zła i przestraszona. Trafiłem w czuły punkt. – Wcale nie. Przestań tak mówić. Jestem zakałą. Ladacnicą, która nie nadaje się na żonę.

– Jesteś wspaniała – powiedziałem powoli, cicho śmiejąc się jej w twarz. – Fantastyczna. Jedyna w swoim rodzaju. Najinteligentniejsza kobieta, jaką znam.

Gdy znów mnie odepchnęła, penis zaczął mi jeszcze mocniej pulsować.

– Jestem do niczego.

– Nieprawda. Jesteś do wszystkiego.

– Będę beznadziejną matką! – rzuciła z bezradną złością.

Upadła przede mną na kolana, zwieszając głowę.

– Chryste, co ja sobie myślałam? Nie dam rady. Nie jestem Persy. Ani Sailor. To nie dla mnie.

Przyklęknąłem, zrównując się z nią wzrokiem i ujmując w dłonie jej twarz.

Ciśnienie mi skoczyło i lada chwila dostanę zawału. No cóż, było miło. Dosłownie.

– Spójrz na mnie, Sweven.

Zadarła głowę i mrugając, podniosła na mnie załzawione oczy.

– Zawsze brałem tylko to, co najlepsze. Garnitury, auta, nieruchomości, restauracje. Ja jestem tak zaprogramowany. Wierz mi, nie wybrałem cię na matkę swojego dziecka przypadkiem. Jesteś mądra, niezależna, bystra, kreatywna, zabawna i, niech mi Bóg dopomoże, odrobinę szalona. Ale również odpowiedzialna, zrównoważona, silna i opanowana. Będziesz świetną matką. Najlepszą na świecie.

Pierś jej falowała i wyglądała, jakby miała się rozplakać.

– Co znowu, kochanie?

– Zapomniałeś „ładna”. – Nadąsała się.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Nagle straciła równowagę i poleciała do tyłu. Ratując ją przed upadkiem na twardą podłogę, pociągnąłem ją za sobą i sam się przewróciłem, zamieniając się w żywą poduszkę.

Nasze nogi się splotły.

– Wybacz, kochanie, ale do „ładności” ci daleko.

Udała, że chce mnie dźgnąć w klatę. Złapałem ją za nadgarstek i delikatnie skubnąłem zębami.

– Choć olśniewająca uroda to już zupełnie...

Nie dała mi dokończyć, wpijając się ustami w moje wargi. Były takie gorące, wilgotne i wygłodzone. Zaczęła swoim językiem pieścić mój.

Zerwałem z niej bluzę, uważając na brzusek.

Jej spragnione dłonie były wszędzie, podobnie jak wargi. Bałem się nabrać powietrza, żeby w międzyczasie się nie rozmyśliła.

Rozebrała się w mgnieniu oka. Nie zdążyłem nawet rozpiąć kołnierzyka, gdy przycisnąłem ją do oparcia łóżka, wędrując językiem od jej kolana do wnętrza uda. Zadrżała, wstrząsana dreszczem rozkoszy.

Odnalazłem ustami słodki kwiat między jej nogami. Ssałem go, lizałem i skubałem zębami, aż doszła. Wsunąłem w nią język, by poczuć zaciskające się spazmatycznie mięśnie. Syknęła, otwierając szeroko oczy, jakby sobie coś przypomniała. Dziwna reakcja. Ale potrząsnęła tylko głową i znów je zamknęła.

– Nie przerywaj.

Powędrowałem ustami po jej brzuchu do piersi i dalej, do szyi, zatrzymując się na ustach.

– Błagam, Devonie. Zerznij mnie.

– Wszystko w swoim czasie, Sweven.

Sięgnęła do mojego rozporoka, gdzie kropelka preejakulatu przykleiła mojego wacka do bielizny.

– Powtórz – wymruczała mi w usta, uwalniając go.

– Co takiego? – zapytałem, wchodząc w nią na tej podłodze. Była mokra, gotowa na jego przyjęcie.

– Mój przydomek. Chcę go usłyszeć.

Dopasowała się do rytmu moich pchnięć.

– Sweven. – Pocałowałem ją w usta.

Pchnięcie.

– Jeszcze raz.

– Sweven.

Pchnięcie.

– Sweven. Sweven. Sweven.

Pchnięcie. Pchnięcie. Pchnięcie.

Przycisnąłem czoło do jej, wchodząc w nią coraz szybciej i mocniej.

– Dochodzę.

– Spuść się do środka. – Wbiła paznokcie w moją skórę, zostawiając swój ślad, by Louisa wiedziała. – Chcę poczuć cię do końca.

Zacisnąłem palce na jej ciele, a ona mięśnie na moim penisie, i trysnąłem, wypełniając ją gorącą spermą.

Przez chwilę leżeliśmy w bezruchu, spoceni i zdyszani, aż w końcu sturlałem się z niej, wlepiłem wzrok w sufit.

– Jako dziecko byłam molestowana – powiedziała, przerywając ciszę. – Do dziś nikt o tym nie wie.

Stężałem.

Instynktownie chwyciłem ją za rękę i wbiłem w nią wzrok, czekając na ciąg dalszy.

Nie odrywała oczu od sufitu, unikając mojego spojrzenia.

– Kto ci to zrobił? – zapytałem, nie doczekawszy się kontynuacji.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Klasyczny podejrzany.

– Jak długo to trwało?

– Nie pamiętam. Pranie mózgu zrobiło swoje.

– Czemu nikomu nie powiedziałaś? – Wsparłem się na łokciu. Nie musiałem zgadywać, że nie wiedziała nawet jej rodzina czy najbliżsi przyjaciele.

Przypomniałem sobie jej niezręczną rozmowę z ojcem, powtarzając sobie w duchu ze zgrozą „nie, nie, nie, to niemożliwe”. To nie mógł być on.

Bo jeśli to on, będę musiał go zabić, a nie jestem stworzony do więziennego życia.

– Cholera, nie wierzę, że ci to mówię. – Pociągnęła nosem i z policzka spłynęła jej do ucha pierwszy łza.

Wstrzymałem oddech i po raz pierwszy w życiu zacząłem się modlić. Błagałem Boga, żeby nie przerywała. Żeby wyszła zza tego wysokiego muru, którym się otoczyła, otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

– Zawsze byłem chłopczycą, łobuziarą. Nie chciałam znów robić wokół siebie zamęt. Wiem, to głupie, ale miałam dość przynoszenia złych wiadomości, bycia tą, która wiecznie sprowadza na kogoś problemy. A konfrontacja mogła się skończyć skandalem. Więc po prostu... dusiłam to w sobie. Aż do następnego trzęsienia ziemi w moim życiu... – Przerwała, zamykając oczy, bezskutecznie próbując przełknąć gulę w gardle.

Belle nie była jak inne kobiety. Typ, który zabiera swoje sekrety do grobu. Ale to mi wystarczyło. Wreszcie się przede mną otworzyła.

– Dwaj mężczyźni, których kochałam i którym bezgranicznie ufałam, odwrócili się ode mnie, każdy na swój sposób. Ten mój *vibe* nieufności, który wyczuwasz? To pokazanie środkowego palca twojej płci, Devonie. Gdybym ponownie odważyła się zaufać i znów się sparzyła, to byłby mój koniec. To dlatego na każdym kroku stawiam ci opór. Uczucia nie są warte ryzyka. Albo ja zabiję je, albo one zabiją mnie.

Musnąłem kciukiem jej płowe włosy, odgarniając je za jej ucho.

– Sweven, kochanie, czymże jest jedna mała śmierć wobec wieczności?

Ta nieznośna, wkurzająca kobieta prawdziwie mnie rozumiała. Moje dziwactwa, moją ekscentryczność. Owszem, w naszej relacji prym wiodła frustracja, ale teraz, gdy mury runęły, było mi z nią jak w niebie.

Wreszcie na mnie spojrzała.

– Ale dość o mnie. Skąd się wzięła twoja klaustrofobia, Dev? Prawda za prawdę. Obiecałeś mi opowiedzieć, gdy zdobędę twoje zaufanie, i ta chwila chyba nadeszła. Mów, co takiego się wydarzyło.

Więc jej opowiedziałem.

Przeszłość

Miałem cztery lata, gdy po raz pierwszy wepchnięto mnie do windy kuchennej wielkości regału na książki.

Niczym dziecko w łonie, miałem dość miejsca, by poruszać kończynami, lecz za mało, by się wyprostować.

Jako tyczkowaty dziesięciolatek ledwie się w niej mieściłem.

A w wieku piętnastu lat czułem się w niej jak sardynka w puszcze z piętnastoma innymi Devonami. Prawie nie mogłem oddychać.

Problem w tym, że ja wciąż rosłem, a rozmiary tej ciasnej, podłej windy się nie zmieniały.

Nie zawsze jej nienawidziłem.

Z początku nawet mi się tu podobało.

Miałem czas na przemyślenia. O tym, kim będę, jak dorosnę (strażak). W późniejszym latach – o dziewczynach, które mi się podobały, i trikach, których się nauczyłem na lekcjach szermierki. Albo jak by to było być robakiem, parasolem czy filizanką.

Wszystko to obróciło się w proch, kiedy miałem jedenaście lat.

Tamtego dnia zrobiłem coś wyjątkowo wrednego na złość ojcu. Zakradłem się do jego gabinetu, podwędziłem pogrzebacz i posłużyłem się nim jak szpadą w starciu z drzewem.

Pogrzebacz był antykiem więcej wartym niż moje życie, jak wyłożył mi ojciec, złapawszy mnie z nim złamanym na pół (nie muszę dodawać, że drzewo wygrało pojedynek).

Za karę na cały wieczór trafiłem do windy.

Mamy i Cecylii nie było, bo pojechały w odwiedzinach do naszych krewnych w Yorkshire. Chciałem jechać z nimi (nigdy nie uśmiechało mi się zostawać sam na sam z ojcem), ale mama powiedziała, że nie mogę opuścić tyłu lekcji szermierki.

„No i spędzasz mało czasu z papą. Będziecie mieć okazję do zacieśnienia więzów”.

I tak oto siedziałem w tej windzie, wyobrażając sobie, jak to jest być butelką z listem dryfującą w morzu, pękniętą płytą chodnikową czy kubkiem kawy w zatłoczonej londyńskiej kawiarence.

I na tym powinno się było skończyć.

Kolejny wieczór w windzie, a po nim cichy poranek i częste wizyty w toalecie po wielogodzinnym trzymaniu moczu.

Ale stało się inaczej.

Bo tamtego wieczoru przyszła burza tak gwałtowna, że pozrywała linie energetyczne.

Mój ojciec uciekł do jednej ze służbówek, gdzie wciąż był prąd i gdzie towarzystwa dotrzymywała mu pewna pokojówka, z którą się zadawał pod nieobecność mamy.

Zapomniał tylko o jednym.

O mnie.

Próbowałem zasnąć, ale obudziło mnie kapanie wody ze strużki w suficie.

Nie mogłem się ruszyć, wyprostować, wyciągnąć szyi.

Gdy znów się ocknąłem, woda sięgała mi już do pasa.

Zaczęłam walić pięściami w drzwiczki. Płakałem, krzyczałem, wbijałem palce w szczelinę, próbując je rozsunąć.

Udało mi się tylko połamać paznokcie.

A najgorsza była świadomość, że nie mam żadnych szans.

Nikogo nie było w domu.

Ojciec zostawił mnie na pewną śmierć. Celowo czy nie, w tamtym momencie to nie miało żadnego znaczenia.

Gdybym umarł, postaraliby się o nowego dziedzica. Ojciec wreszcie miałby syna, o jakim marzył. Silnego i twardego, który nigdy się nie boi.

Gdy woda sięgała mi po szyję, usłyszałem nagle dudnienie w głębi korytarza. Kroki.

Byłem już wycieńczony i pogodzony ze swoim losem. Chciałem tylko szybko umrzeć.

Ale na ten dźwięk wstąpiła we mnie nadzieja. Zaczęłam walić, krzyczeć i chlupać, krztusząc się wodą.

– Devon! Devon! – Głowę miałem już na wpół zanurzoną, ale usłyszałem czyjś stłumiony głos.

Drzwiczki windy wreszcie się rozsunęły, uwalniając galony wody – wraz ze mną.

Upadłem jak cegła u stóp swojego wybawiciela, kimkolwiek był. Wiłem się i łapałem powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Z ulgi aż posikałem się w gacie, ale chyba nie było nawet widać.

Podniosłem głowę i zobaczyłem Louise.

– Lou – wykrztusiłem głosem tak ochryłym, że ledwie go poznawałem.

– Och, Devvie. O Boże. Umówiliśmy się w stodole, pamiętasz? Nie przyszedłeś, więc po ciebie posłałam. Ale szofer nie chciał zostawiać auta,

więc kazałam mu się tu przywieźć. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale przypomniałam sobie, gdzie trzymacie zapasowe klucze...

Osunęła się na kolana, mocno mnie obejmując. Jej głos wisiał jak chmura nad moją rozgorączkowaną głową.

– Przynależam, że zawsze będę przy tobie – powiedziała. – Tak się cieszę, że dotarłam na czas!

Siedzieliśmy wtuleni w siebie na tej twardej podłodze. Osunęłam się na nią, ale nawet nie pisnęła. Nagle w korytarzu rozległy się ciężkie kroki i z mroku wyłoniła się groźna, władcza sylwetka ojca.

– Coś ty zrobiła, głupia dziewucho? – warknął z wściekłością. – On miał umrzeć.

Sweven płakała.

Tym razem nawet nie próbowała tego ukryć.

Łzy spływały jej po policzkach, niektóre do ust, inne na szyję.

– Nie do wiary, jakie piekło zgotował ci ten bydlak. Nic dziwnego, że się zbuntowałaś i uciekłaś. Chryste. Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro.

Trzęsła się jak osika.

– Zajrzałaś śmierci w oczy, Devonie.

– I nawet mi powieka nie drgnęła. – Przycisnąłam jej kłykcie do ust, rozkoszując się ich dotykiem. – Ty opowiedziałas mi o swojej wyrwie w sercu, a ja o mojej. To dlatego nigdy się nie ożeniłem. Nie założyłem rodziny. Coś w środku mówiło mi, że nie zasługuję na wszystko to, czego pozbawiłem Lou. Ocaliła mi życie.

– Zrobiła to, co każdy porządny człowiek zrobiłby na jej miejscu.

– Czyżby? – zapytałam od niechcienia. – W takim razie chyba nie znam wielu porządných ludzi.

– Ucieczka przed samotnością to nie grzech.

– To czemu sama ją sobie narzuciłaś? – wyszeptałem w jej dłoń.

Odsunęła się, robiąc orzełka na podłodze. Pochlipując i tłumiąc łzy, wyglądała jak pół kobieta, pół dziecko.

Cieżarna wizja uwięziona między dwoma światami.

Za mądra na swoje lata i zbyt przestraszona, by się zakochać.

– Patrz, co narobiłeś. Teraz nie mogę jej nawet porządnie znienawidzić. – Westchnęła. – Koniec końców uratowała ci życie – dodała ze sztucznym brytyjskim akcentem, którym lubiła przykrywać zranione uczucia.

Roześmiałem się, przewracając się na nią, obsypując pocałunkami jej twarz, zlizując słone łzy, rozwierając jej nogi kolanem i pieszcząc kciukiem jej sutek.

Zakochałem się w najbardziej szalonej kobiecie pod słońcem, typowe.

Belle

Lat czternaście

TRENER LOCKEN wraca do szkoły cztery dni po narodzinach swojego syna, Stephena Lockena juniora, uśmiechnięty od ucha do ucha i pękający z dumy. Nie mam pojęcia dlaczego, ale mogłabym przysiąc, że wygląda doroślej. Mam ochotę puścić pawia.

Przychodzę na trening. Nie ma powodu rezygnować z fajnego stypendium tylko dlatego, że facet okazał się dupkiem do kwadratu. Ale jeśli sądzi, że pozwolę się mu dotknąć, to czeka go niemiła niespodzianka – i kopniak w jaja.

Trening idzie gładko, biorąc pod uwagę, że za każdym razem, gdy czuję na nogach jego wzrok, mam ochotę zgiąć się wpół i zwymiotować. Od czasu do czasu próbuje złapać ze mną kontakt wzrokowy, ale twardo się odwracam.

Po ostatnim gwizdku wypuszcza chłopaków, kładąc mi rękę na ramieniu niczym dobry wujaszek.

– Penrose, proszę do mojego gabinetu.

– Za pięć minut mam matkę, trenerze. Możemy porozmawiać tutaj? – pytam bardzo głośno, wyciągając się jak struna.

Wszyscy się na nas gapią. Ross unosi brew. Nagle zdaję sobie sprawę, że podczas gdy ja chodziłam z głową w chmurach, cała drużyna zauważyła, że między nami coś jest. Robię się czerwona jak burak.

Pierwszy raz widzę trenera w takim szoku. Ale szybko się otrząsa.

– Jasne, siądźmy na ławeczce.

Siadamy daleko od siebie, ale i tak robi mi się niedobrze. Mam ochotę rozkwasić mu nos. Nienawidzę wychodzić na głupią i nigdy mu nie wybaczę, że mnie wykorzystał. Bawię się brzegiem szortów, by zająć czymś ręce.

– Gratuluję synka – wypalam. – I kii rio.

Nie potrafię ukryć złości i wiecie co? Walić. Nie muszę. To on mnie okłamał.

– A, więc o to chodzi. – Pociera się po nieogolonym podbródku. Wygląda, jakby przez tydzień nie zmrużył oka. – Wiedziałaś, że będę ojcem, Emmabelle.

– Ale nie wiedziałam, że wciąż jesteście razem. – Boże, co za żenada nawet o tym mówić. Czuję się jak dorosła uczestniczka programu Trudne sprawy. Dopiero co dostałam pierwszego okresu, na litość boską.

– Bo nie byliśmy – powiedział szybko. Widać, że ręce aż mu się do mnie rwą. – Przez trzy miesiące. Od początku planowaliśmy, że urodzi w Bostonie. Ale gdy wróciła na tydzień przed rozwiązaniem... od słowa do słowa i postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Dla Stephena.

– Spałeś z nią? – pytam. Nie wiem nawet, skąd wzięłam odwagę.

Ucieka wzrokiem, zaciskając szczękę.

Parskam posepnym śmiechem.

– Jasne, że tak.

– A co miałem zrobić? – pyta przez zaciśnięte zęby. – Przecież moja dziewczyna mi nie daje.

„Jego dziewczyna”. Tym teraz byłam. Choć można by pomyśleć, że się ucieszę, czułam tylko gorzki żal. Jak mogłam być taka głupia? Po co ja się

z nim zadałam?

– Nie jestem twoją dziewczyną. Ani pieskiem do tresury. Zmywam się stąd. – Wstaję.

– Penrose – warczy szeptem. – Siadaj na tyłku. Jeszcze nie skończyliśmy.

Robię, co każe, ale tym razem – i to jest w tym wszystkim najgorsze – nie dlatego, że mam ochotę wysłuchiwać jego koślawych tłumaczeń, ale dlatego, że muszę. Jest moim trenerem. I dopiero teraz zaczynam dostrzegać podobieństwa między Lockenem a tamtym obleśnym nauczycielem geografii z telewizji.

– Posłuchaj, ja i Brenda... to nie przetrwa. To ciebie pragnę. Chyba widać jak na dłoni.

– Nie chcę wchodzić między ciebie i matkę twojego dziecka.

Nagle uświadamiam sobie, że to nie tylko dlatego, że czuję się jak ostatnia szuja, kręcąc z żonatym facetem. Po prostu ten romans stracił cały swój blask tamtego dnia na stołówce, gdy podsłuchałam rozmowę nauczycielek i dotarło do mnie, że to był wielki błąd.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby sypiać z uczennicą?

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zdradzać ciężarną żonę?

Bezwartościowym śmieciem, ot co.

– Między nikogo nie wchodzisz. Pragnę cię. Kocham. Nie mogę przestać o tobie myśleć – dodaje żarliwie.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, ale i tak wstaję. Z daleka pewnie to wygląda super dziwnie – uczennica „porzucająca” na ławeczce nauczyciela.

Ale pozostaję głucha na jego wyznania.

– Przykro mi, ale ja cię nie kocham.

– Wiem, że kochasz.

– Nie. – *Prawdę mówiąc, sama nie wiem, co czuję. Wiem tylko, że wdepnęłam w niezłe bagno i muszę się z niego szybko wydostać.*

– *Wrócimy jeszcze do tej rozmowy – zapowiada i wstaje, rozglądając się jak rabuś w środku nocy.*

Odwracam się do niego plecami i odchodzę z jedną myślą: „nic z tego”.

Belle

TEN FACET doszczętnie mnie zniszczy, a ja mogę tylko patrzeć na to bezradnie z pierwszego rzędu.

Wiedziałam to od chwili, gdy położył mi dłonie na brzuszku i Książątko momentalnie się ożywiło. Zupełnie jakby motyl po raz pierwszy rozpostarł skrzydła.

Mała rozpoznała pierwszy dotyk ojca i nań zareagowała.

Potem wszystko stało się tak szybko.

Pocałunki. Malinki.

Skóra przy skórze.

S e k r e t y.

To było jak spadanie w przepaść.

Spadałam, spadałam, spadałam.

Nie próbując nawet czegoś się złapać.

Głęboka przepaść przestaje być tak głęboka, gdy nie chce się z niej wychodzić.

To dlatego zakochywanie się było tak niebezpieczną grą.

Dawało dziewczynie to, co najgorsze.

N a d z i e j ę.

Następnego dnia zostałam do późna w pracy, nie chcąc wracać do domu. Byłam jakaś taka podminowana, podenerwowana.

Bałam się, że nikogo nie zastanę, bo Devon będzie jeszcze na randce z Panną Snobką.

Alternatywa w postaci czekającej mnie w progu poważnej rozmowy była równie przerażająca.

Co miałabym mu powiedzieć? Wczorajszy dzień niczego nie zmienił. Ja wciąż byłam sobą, a on sobą. Nadal mieliśmy wyrwę w sercach.

Jego rodzina nigdy by mnie nie zaakceptowała i gdyby Devon nie ożenił się z Louisą, zawisłoby nad nią widmo bankructwa.

A ja? Wciąż byłam tamtą dziewczyną, która zamykając oczy, widziała trenera Lockena.

Zamiast iść do domu, spotkałam się z Aisling, Sailor i Persephone w rezydencji tej ostatniej. Tym razem zamówiliśmy smażone małże z frytkami, mniem.

Rezygnacja z napojów wysokokowych na rzecz „oranżady” była ciężka, acz konieczna. Cięża sprowadziła na mnie obrzydzenie do wielu artykułów spożywczych: kawy, czerwonego mięsa i większości rodzajów ryb. Ale nadal od czasu do czasu marzyłam o lampce wina.

– No więc jakie masz symptomy? – Sailor wychyliła drinka jak rasowy irlandzki marynarz. – Podczas pierwszej ciąży na ten przykład moja pipka zrobiła się fioletowa. To było straszne. – Przerwała. – Głównie dla Huntera, bo przecież nie jestem chińską gimnastyczką, żeby być w stanie się oglądać.

Persy zakryła dłonią usta.

– Dziękujemy za ten sugestywny opis.

Sailor wzruszyła ramionami, maczając frytkę w ketchupie.

– Żartowałam. Nawet mu się podobała. Podobno miał wrażenie, że kocha się z kosmitką.

– Ja moczyłam bieliznę. Bez przerwy – rzuciła od niechcienia Aisling, wkładając do ust smażonego małża. Parsknęłam colą, ochlapując przyjaciółki. No nieźle.

– Ambrose bardzo uciskał mi pęcherz. Z początku popuszcziałam tylko przy kichaniu czy kasłaniu. Ale w trzecim trymestrze wystarczyło, że się pochyliłam, by założyć skarpetkę, i ups! Wypadek. Chyba byłam jedyną ciężarną na planecie, która nadal regularnie używa podpasek. Za każdym razem, gdy uzupełniałam zapasy w Walmarcie, kasjerka posyłała mi spojrzenie pod tytułem „ale wiesz, że ich nie potrzebujesz, prawda?”. Miałam ochotę wrzasnąć, że jestem lekarzem.

– A ty? – zapytałam swojej idealnej siostry, która miała za sobą dwie idealne ciąży i urodziła piękne dzieci przesypiające całe noce. Moja kochana Persy nie wiedziała, co to niedoskonałość.

Zmarszczyła nos, czerwieniąc się.

– Co? – dopytywała Sailor z uśmiechem i frytką zwisającą z kącika ust. – No mów!

– Cóż. – Nerwowo odgarnęła kosmyk za ucho. – Nie wiem, czy można to nazwać symptomem...

Wszystkie nachyliłyśmy się nad stołem, robiąc wielkie oczy i umierając z ciekawości.

– Po prostu podczas obu ciąż byłam strasznie, ale to strasznie napalona.

– Chcesz powiedzieć, że cierpiałaś na chroniczny niedobór witaminy „S”? – Sailor uniosła brew.

Persy się roześmiała.

– No... miałam ochotę na ostrzejszy „S”. Biedny Cillian był rozdarty, bo z jednej strony chciał mnie zadowolić, a z drugiej musiał pilnować, żebyśmy nie zrobili czegoś głupiego.

Pokiwałyśmy w zamyśleniu głową.

– Twoja kolej – zachichotała Persy, rzucając we mnie frytką.

Zupełnie jakbyśmy znów były beztroskimi nastolatkami. Wiedziałam, że zawsze będziemy miały siebie. Nieoceniona pociecha w czasach tego uczuciowego zamętu.

– W moim przypadku głównym symptomem jest chyba obłąd – przyznałam. Wgryzając się w kolbę kukurydzy, wiedziałam, że szybko tego pożałuję, gdy będę się musiała gimnastykować z nią dentystyczną. – Bo Devon tak jakby... zaczyna mi się podobać. Nie zalewam.

Odpowiedział mi zbiorczy szcęk sztukców uderzających o talerze. Persy upuściła kawałek mała na podłogę i znieruchomiała, gapiąc się na mnie z niedowierzaniem, a Sailor i Aisling popatrzyły na siebie, jakby chciały zmierzyć mi gorączkę.

W końcu Persy odchrząknęła, przerywając ciszę.

– Rozwiń myśl – poprosiła ostrożnie.

Opowiedziałam im o wszystkim. O testamencie i komplikacjach ze spadkiem. O matce Devona, jego siostrze i wiszącym nad nimi widmie bankructwa. O jego późnowieczornych randkach z Louisą i o tym, jak wpychałam go w jej ramiona.

Gorzej już nie mogłam tego rozegrać.

Przemilczałam tylko sekrety, którymi się podzieliliśmy. Te, które stały za wyrwą w naszych sercach.

Gdy skończyłam, przy stole zapadła grobowa cisza.

Jako pierwsza doszła do siebie Sailor. Robiąc wielkie oczy, odchyliła się w krzesło i wypuściła powietrze.

– O cholera.

Ukryłam twarz w dłoniach. Żadna dobra rada nie zaczyna się od słów „o cholera”.

Służba Persy weszła, sprzątnęła ze stołu i się zmyła. Po raz enty zachodziłam w głowę, jak mojej pochodzącej ze skromnego domu siostrze udało się przywyknąć do takich luksusów.

– A inne konstruktywne opinie? – Uniosłam brew.

– Po prostu nigdy wcześniej nie wykazywałaś tego typu zainteresowania. – Sailor popatrzyła z nadzieją na Aisling i Persy, ale obie nadal były w szoku. – Mogłam mu ostatnio napomknąć, żeby dał sobie spokój i chajtnął się z Louisą. Przepraszam, Belle. Myślałam, że ci nie zależy, tak to wyglądało.

Miałam ochotę puścić pawia, ale uśmiechnęłam się słabo.

Musiałam natychmiast wstać i wyjść. Może jeszcze w drodze zadzwonię do Devona. Przyjechałby, nawet gdyby siedział jeszcze z Louisą. Oto jakim był człowiekiem.

Aisling potarła skroń, ściągając te swoje gęste czarne brwi.

– To nie tak. To wszystko nie tak. Wiesz, że musisz o niego zawalczyć, prawda?

Łatwo jej mówić. Przy całej swojej słodyczy w sprawach miłości Aisling nie brała jeńców. Do swojego męża wzdychała całym latami i walczyła o niego jak lwica.

– I zniszczyć życie jego rodzinie? – Położyłam głowę na stole.

– Jego matka i siostra to nie twój problem – odparła sucho Sailor.

– A poza tym skoro jest zakochany w tobie, to ślubem z Louisą sam zniszczyłby sobie życie. I jej przy okazji. – Persy wreszcie wtrąciła swoje trzy grosze.

W tym momencie zmaterializowały się służące z deserem i herbatą. Budyń w salaterkach, cytrynowa beza i pokrojony nugat, pychota. Zamilkłyśmy, czekając, aż wyjdą.

– Zwariowałaś? – warknęłam szeptem, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, wbijając łyżeczkę w budyń. – On nie jest we mnie zakochany.

– Niebo w gębie – mruknęła Aisling, oblizując swoją łyżeczkę. – Jako osoba z najwyższym IQ w tym pokoju mogę cię zapewnić, że jest.

– Cóż za skromność. – Sailor wrzuciła sobie do ust kawałek nugatu. – Ale generalnie jestem tego samego zdania. Musisz dać mu szansę się wykazać, Belle. Gdyby znał twoje uczucia, nie zawracałby sobie głowy żadną Louisą.

– Nie mam pojęcia, co ich tak naprawdę łączy. – Nałożyłam sobie bezy.

No dobra, może moim ciężowym symptomem było pożeranie wszystkiego, co nie jest przybite do podłogi.

– Pora zapytać – zawyrokowała Sailor.

– Faceci mają to do siebie... – Persy popijała herbatkę z nieobecną miną – ...że czasami trzeba im delikatnie uświadomić, że mają przed nosem zarówno to, czego pragną, jak i to, czego potrzebują. Pod jedną kobiecą postacią.

– Amen. – Aisling uniosła filiżankę w toaście.

– Nie jestem taka jak wy, dziewczyny. – Pokręciłam głową. – Nie umiem uszczęśliwiać. A gdy tylko się odsłonię, to mogła. Robię coś okropnego i próbuję go odepchnąć. Więc nie mogę mu obiecać tego wszystkiego, co wy dałyście swoim mężom. Rodziny, dzieci, tej całej bezwarunkowej miłości i tak dalej.

Ich miny mówiły, że taktem i delikatnością to ja nie grzeszę.

– Według ciebie tylko do tego się nadajemy? Do uszczęśliwiania naszych tak zwanych mężczyzn? – zapytała ze sztucznym uśmiechem Sailor. – No tak, bo ja na przykład jestem tylko byłą olimpijką i właścicielką jednego z najpopularniejszych blogów kucharskich w kraju. Co ja tam wiem o prowadzeniu biznesu czy rozwoju osobistym!

Nie da się ukryć, ale prawdą jest również, że wżeniła się w bogatą rodzinę i sama z takiej pochodzi, więc nie musiała nic nikomu udowadniać.

– A ja jestem tylko lekarką. – Aisling upiła kolejny łyk herbaty. – Gdzie mi tam do ciebie.

Odwróciłam się do milczącej Persephone, która jako jedyna z towarzystwa nie miała żadnego „etatu”.

– Wybacz, nie to miałam na myśli.

– A co miałaś na myśli? – Odchyliła się w krześle, totalnie wyluzowana. – Może i nie siedzę w biurze od dziewiątej do piątej, ale organizuję eventy dobroczynne, zbierając miliony dolarów na potrzebujące dzieciaki, domy samotnej matki i schroniska dla maltretowanych zwierząt. Czuję się jak najbardziej spełniona i nie potrzebuję niczyjej zgody, by nazywać się feministką.

No dobra, może i miały rację.

– Kobieta jest kobietą. – Persy położyła mi rękę na ramieniu. Kiedy role tak diametralnie się odwróciły? Teraz to ona była tą mądrą i doświadczoną, a ja zagubioną dziewczuszką potrzebującą porady.

– Kobieta to cud. Jesteśmy zaprogramowane, by być, kimkolwiek zechcemy. Nie doceniasz się. To, co Devon w tobie zobaczył, nigdzie nie wyparowało. Szukajcie, a znajdziecie – dodała.

Czy naprawdę istniała jeszcze szansa na uratowanie tej relacji?

Whitehallowie chcieli się mnie pozbyć. A Louisa też łatwo się nie podda.

Ale poza tym co stało między nami?

Nic. A raczej – nikt.

Oprócz jednej osoby.

Mnie samej.

Wyszędłszy od Persephone, pojechałam na autopilocie do usytuowanego nieopodal loftu Devona.

Bębniąc palcami w udo i rozmyślając o rozmowie z dziewczynami, skręciłam z Beacon Street w Commonwealth Avenue i podążałam bez zatrzymywania się aż do Arlington.

Ale gdy stałam na światłach, nagle znikąd wyskoczył jakiś motocykl, zajeżdżając mi drogę. Facet miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarny kask.

Wrzasnęłam z przerażeniem, szukając stopą pedału gazu, gotowa go rozjechać, zanim sięgnie po splotkę.

Ale z przedniej kieszeni dżinsów wyjął tylko jakąś kartkę z drukowanymi literami i trzasnął nią o przednią szybę.

Tekst był wydrukowany czcionką Times New Roman.

WYJEDŹ Z BOSTONU, ZANIM CIĘ ZABIJĘ.
TO OSTATNIE OSTRZEŻENIE.

Tego było już za wiele.

Za chwilę to ja się zamienię w maszynkę do zabijania.

Na środku pasa zaciągnęłam ręczny, wyciągnęłam broń z torebki i otworzyłam drzwi.

Motocyklista pokręcił głową, dodał gazu i odjechał z piskiem opon, zanim zdążyłam złapać go za rękaw.

Ściągając świstek z szyby i chowając go do torebki, obiecałam sobie, że gorzko tego pożałuje – kimkolwiek był.

Gdy wróciłam, Devon był już w domu. Zdążył się nawet ogolić, wziąć prysznic i przebrać w designerskie dresy i biały T-shirt w serek. Na mój widok szczerze się ucieszył.

Nie od razu powiedziałam mu o zajściu na światłach, żeby nie psuć mu dobrego humoru.

A poza tym zamierzałam sama się z tym uporać. Policję skreśliłam – była bezużyteczna i po owej nieszczęsnej przygodzie na komisariacie musieliby mnie tam siłą zaciągnąć. Zamiast tego postanowiłam złożyć wizytę Samowi Brennanowi i zakomunikować mu, że jeśli nie chce, bym podkablowała go żonie, to zaoferuje mi swoje usługi. Nawet ten dzisiejszy motocyklista nie był w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Zwykle po takiej akcji mój prześladowca zapadał się pod ziemię i miałam parę tygodni względnego spokoju.

– Witam moją ulubienicę! – zawołał ciepło Devon.

Rozpłynęłam się w kałuży hormonów, opierając się o niego, gdy klęknął, by pocałować mnie w obleczony różową bluzeczką brzusek.

– A, miałeś na myśli ją – mruknęłam.

Wyprostował się i puścił mi oko.

– Oraz kobietę, która nosi ją pod sercem.

– Czyli zgadzasz się ze mną, że to dziewczynka. – Ściągnęłam szpilki. Cięża była super, ale to jeszcze nie znaczy, że mam się zaprzyjaźnić z legginsami albo, co gorsza, crocsami.

– Ja zawsze się z tobą zgadzam – odparł swobodnie.

Poszłam do kuchni, nalałam sobie szklanę kranówki i wypiałam duszkiem, spychając motocyklistę w czeluści umysłu, nie zamierzając pozwolić, by zepsuł mi resztę wieczoru.

– Fajnie, że nie poleciałeś do swojej dziewczyny – wypaliłam.

Cofam to: niniejszym sama go sobie zepsułam.

Czemu nie mogłam powiedzieć: „Fajnie, że nie siedzisz z Louisą”, jak każdy normalny człowiek? Biedny Devon. Nawet gdybyśmy wylądowali w związku, błyskawicznie by mnie znienawidził.

– Chyba właśnie na nią patrzę – odparł.

Eee... że co?

Niezrażony podszedł do mnie. Serce zabiło mi szybciej, tym razem z zupełnie innego powodu. Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś nazwie mnie swoją „dziewczyną”.

I muszę przyznać, że to mi się nawet podobało.

Wyjął mi szklankę z ręki i odstawił na marmurowy blat za moimi plecami, ujmując moje dłonie w swoje. Przebiegł mnie przyjemny dreszcz. Było mi tak dobrze, że miałam ochotę uciec i zaszyć się gdzieś, gdzie mnie nigdy nie znajdzie.

– Powiedz, że wczorajszy dzień był błędem – nakazał. – Powtórz milion razy, że to nigdy nie powinno się było wydarzyć, a i tak ci nie uwierzę.

Przełknęłam z trudem, wbijając wzrok w podłogę. Opuszczenie gardy przychodziło mi cholernie ciężko, ale musiałam to zrobić.

– Nie.

– I co, to aż takie trudne? – zapytał cicho.

– Owszem – skwitowałam.

Parsknął niskim, seksownym śmiechem.

– Zwierzęca anegdota na ukojenie nerwów? – rzucił, nie puszcżając mojej ręki.

– Poproszę.

– Dziobaki wyglądają, jakby miały termofor przyklejony do pyszczka. Wiesz, takie coś z gorącą wodą, co babcie zimą wkładają sobie pod kołdrę.

Tego było już za wiele na moje biedne, skołatane nerwy i zaczęłam trząść się ze śmiechu.

– À propos krzywych ryjów, suhak stepowy wygląda, jakby na pyszczku wyrósł mu nieobrzezany penis.

– Ma pani coś przeciwko nieobrzezonym penisom, panno Penrose? Bo tak się składa, że jestem jego dumnym posiadaczem. – Przyciągnął mnie do swojego twardego ciała i zachichotałam.

– Ależ nie, panie Whitehall, absolutnie nic.

Przycisnął mnie do siebie i nasze usta się spotkały.

Przywarłam do niego. Jego oddech pachniał miętą i lodem. Mój – cytrynową bezą, budyniem i frytkami.

Zerwał ze mnie ciuchy, a ja z niego, i po raz pierwszy od lat stanął przede mną kompletnie nagi.

– Od tak dawna marzyłam, by znów cię takiego zobaczyć. – Nie mam pojęcia, jak to wyznanie przeszło mi przez usta.

– A ja wyobrażałem sobie cię nagą, odkąd cię tylko ujrzałem, Sweven.

Cofnęłam się o krok, podziwiając jego ciało.

– Jesteś piękny – powiedziałam.

– Twoja uroda aż boli – odparł.

Osunęliśmy się na podłogę i uprawialiśmy miłość.

Gdy skończyliśmy, zdyszani i wycieńczeni, wziął mnie w objęcia i zaciągnął na sofę. Oplotłam się wokół niego jak bluszcz.

Fajnie.

– Masz ochotę coś obejrzeć? – wymruczał mi we włosy, włączając telewizor.

– Na przykład?

– A co lubisz?

– Szczerze? Widok banknotów przechodzących do rąk moich barmanów.

– Ściągnij tę nóżkę z gazu, kochanie. Już osiągnęłaś sukces.

– Hmm. – Zamyśliłam się. – W wolnych chwilach zwykle oglądam największą chałę w ofercie programowej. Na przykład *Too Hot To Handle*, *The Circle*, *Toddlers and Tiaras*. Gdy istnieje choćby cień szansy, że się czegoś nauczę albo wyrobię sobie opinię na jakiś temat, to od razu pasuję. A ty?

Jego pierś pod moimi plecami zatrzęsa się od stłumionego śmiechu.

Mmm, cudowne ciepło.

– Najczęściej włączam BBC News, kanał sportowy albo *Top Gear*.

– Typowy Brytol.

– Tak jest, psze pani.

– Co tu jeszcze robisz, skoro tak tęsknisz za domem?

Odwróciłam głowę, by na niego spojrzeć. Świeącymi oczkami patrzył na mnie, bawiąc się moimi włosami.

– Nie wiem – odparł szczerze i poczułam ukłucie w sercu. – Teraz, gdy mój ojciec zszedł z tego świata, pewnie mógłbym wrócić, gdyby nie to, że w Stanach zostanie moje dziecko.

– Czyli zamierzałeś wrócić?

– Nie.

Sama zbyt często mówiłam „nie”, myśląc „tak”, by w to uwierzyć.

– Dev...

– Nie chcę być nigdzie indziej. A teraz obejrzyjmy dla odmiany coś, co daje do myślenia. Może być?

– Masakra – stwierdziłam.

Znów się zaśmiał.

– Znakomicie. Małe poświęcenie ogromnym dowodem miłości.

Ostatecznie stanęło na teleturnieju, będącym kompromisem między BBC News a moją chałą, noszącym wdzięczny tytuł *Have I Got News For*

You. Podobno zabawnym, bo widowia i Devon pękali ze śmiechu.

Ale dla mnie był tylko kolejnym dowodem, że ja i Ameryka tak naprawdę do niego nie pasowałyśmy i wyświadczyłabym mu wielką przysługę, gdybym go od siebie uwolniła i oddała Louisie.

No i raz jeszcze powtórzę: nie było najmniejszych szans, żebym tego w końcu nie spartoliła.

– Ciągłe mnie śledzą – wypaliłam nagle.

Poczułam, jak Devon wstrzymuje oddech, a puls mu przyspiesza.

Przymknęłam oczy i mówiłam dalej.

– Dziś jakiś motocyklista zajechał mi drogę i przyczepił do szyby kartkę. Że to ostatnie ostrzeżenie i jeżeli nie wyjadę z Bostonu, to... – Wzięłam głęboki oddech. – Ale najdziwniejsze jest to, że dostaję tak jakby dwa rodzaje grózb. Z jednej strony mam wyjechać, a z drugiej obiecują, że mnie zabiją. Zupełnie jakby istniały dwie siły, które chcą się mnie pozbyć, ale z zupełnie innego powodu. Oni nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Oni? – powtórzył zimnym, zamyślonym głosem.

– Oni.

– K u r w a.

Devon coś wiedział. Czułam to. Ale jak to możliwe? Skąd mógł znać moich prześladowców?

Skoczył na równe nogi i z wściekłością wbił się w bokserki.

– W tej chwili dzwoniemy na policję.

Z gardła wyrwał mi się gorzki śmiech. Miałam ochotę mu powiedzieć, że już to przerabiałam i wyszła bryndza.

Ale ten jego wyniosły, protekcyjny ton przypominał mi, dlaczego mężczyźni, podobnie jak dzieci i ryby, głosu nie mają.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić. – Zerwałam się z sofy, przechadzając się w tę i w tę.

Książątko zaczęło kopać i wierzgać, przyłączając się do ogólnej hysterii.

Devon zaśmiał się złowieszczo.

– Mogę i będę, do cholery. Jedziemy na komendę i złożysz zawiadomienie, a poza tym to od dziś jesteś oficjalnie na macierzyńskim.

Jego słowa nie wróżyły dobrze mojej żelaznej zasadzie „zero tolerancji dla kontrolujących typów”.

Wybuchnęłam piskliwym śmiechem, wracając do starych przyzwyczajzeń, starych tekstów, starej, starej śpiewki kobiety, która wciąż tkwi w przeszłości.

– Och, Devon, to takie urocze, że myślisz, że masz nade mną jakąkolwiek władzę.

– Tu nie chodzi o mnie i moją władzę, tylko o twoje bezpieczeństwo. Idziesz na policję i basta.

Jego spojrzenie rozwalilo mnie na kawałeczki. Mogłabym przysiąc, że zaraz się rozplacze. Z frustracji, że nie potrafi do mnie dotrzeć.

Weź głęboki oddech i powiedz mu, że już byłeś na policji i to nic nie dało.

Może razem znajdziecie jakieś rozwiązanie.

Ale wtedy przypomniałam sobie pana Lockena i jego obietnice, że załatwi mi stypendium na UCLA. Bo tak baaaardzo mu na mnie zależy.

I tatę. O nim też pomyślałam.

I zabolalo jeszcze bardziej.

– Czyżby? – Wyjęłam z szafki pudełko płatków i przesyłam sobie połowę do miseczki. – To się okaże.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego domowego gabinetu.
Po chwili moich uszu dobiegło trzaśnięcie.

– Nie wytrzymam z nią dłużej! – ryknął zza drzwi.

Pudełko wyslizgnęło mi się z rąk i uderzyło o podłogę.

Przycisnęłam czoło do chłodnego blatu i zamknęłam oczy.

Prawie.

Prawie ci się udało.

Belle

Lat czternaście

TATA KUPUJE KIJ BEJSBOLOWY do odstraszenia chłopców.

– To dobra strategia. – Trąca mnie łokciem przy kolacji złożonej z zapiekanki i coli, mrugając okiem. – Rośniecie jak na drożdżach. Już nie jesteście dziećmi. Potrzebuję groźnej broni do przeganiania chłopców. Jak myślisz, Persy, dam radę wszystkim?

Persy chichocze, zbierając opuszką palca okruszki i oblizując go.

– Dałbyś radę każdemu, tato.

– A ty, Belly-Belle? Sądziś, że staruszek wciąż ma krzepę?

Dźgam widelcem zapiekanke, zmuszając się do uśmiechu.

Zbliżają się moje piętnaste urodziny i nie mam pojęcia, jak powiedzieć tacie, że jedyny tak zwany chłopak, z jakim się zadaję, to trzydziestoparoletni żonaty ojciec, który nie rozumie, że z nami koniec.

Od powrotu trenera minęły już trzy tygodnie i nie było dnia, by nie próbował mnie osaczyć. Na razie jakoś mu się wyślizguję, ale to coraz trudniejsze. Problem w tym, że nie mogę nikomu powiedzieć. Może gdyby nie był żonaty... albo gdyby wszyscy nie piali z zachwytem nad jego dzieckiem, które Brenda ostatnio przywiozła do szkoły swoją nową błękitną strzałką.

Przespacerowała się z wózkiem, zatrzymując się co parę kroków, by każdy mógł zobaczyć małego. Na jej widok trener się zaczerwienił, ale i tak

pocałował ją w usta, zaciągając do pokoju nauczycielskiego.

Już romans z nauczycielem to wystarczający powód do wstydu i nie zamierzam pozwolić, by wytykano mnie palcami za rozbijanie rodzin.

– Weź na wstrzymanie, tato – mówię w końcu. – Jeszcze nie randkuję.

– Ale kiedyś zaczniesz. – Tata wzdycha ciężko.

Śmiejąc się, mama nakłada mu kolejną porcję zapiekanki.

– Daj jej spokój, kochanie. Może nie jest jeszcze gotowa.

Zaczynam myśleć, że nigdy nie będę.

Nazajutrz Locken jest wybitnie skwaszony. Popełnia błędy, wrzeszczy na nas na treningu, za karę za spóźnienie, które sobie wymyślił, każe nam zrobić sto pompek.

Funduje nam morderczy trening i moje kolano znów się odzywa, ale nie narzekam, bo nie chcę, żeby mnie dotykał. Zaciskam więc zęby, choć ból jest tak straszny, że ledwie jestem w stanie chodzić.

– Penrose, za pięć minut w moim gabinecie – warczy, gdy kończymy.

Wpijam się w butelkę wody, obrzucając go jawnie nienawistnym spojrzeniem.

– Nie mogę, trenerze. Muszę odebrać młodszą siostrę z biblioteki.

To nie do końca kłamstwo, choć Persy przywykła, że zawsze musi na mnie czekać.

– Zaczeka. – Prawie biegnie do kanciapy.

Wlokę się z jękiem za nim. Muszę zacisnąć szczękę, żeby nie wyć z bólu. Od tygodni nie miałam masażu i moje mięśnie są napięte jak postronki.

Gdy wchodzimy do środka, zamyka drzwi na klucz.

Zapala mi się czerwona lampka i tym razem nie czuję nic prócz strachu.

– Siadaj – nakazuje.

Robię, co mówi. Opiera się o biurko, krzyżując ręce na piersi. Odwracam wzrok. Nie rozplączę się, za żadne skarby.

Kładzie mi dłoń na udzie. Błyskawicznie podnoszę wzrok i nasze spojrzenia się spotykają.

– Nie – syczę.

– Bo co? – Unosi brew. – Oboje wiemy, że nikomu nie powiesz, co zrobiliśmy. Jestem żonaty, więc, po pierwsze, wyszłabyś na małą dziwkę. A poza tym nikt ci nie uwierzy, Emmabelle. Słowo przeciwko słowu, a ja pracuję w tej szkole od skończenia studiów i cieszę się ogromnym szacunkiem i sympatią. Pogódź się z tym, że nie odejdę od Brendy, przynajmniej na razie.

– A zostawaj z nią sobie do usranej śmierci. – Skaczę na równe nogi, próbując się nie skrzywić, gdy kolano znów przeszywa mi ostry ból. – To nie ma ze mną nic wspólnego. Umywam ręce.

– I tu się mylisz. – Jego palce zaciskają się na mojej ręce.

Próbuję ją wyszarpać, ale brutalnie przyciąga mnie z powrotem. Będę miała siniaka... Ale jego to nie obchodzi.

Panikuję i w gardle staje mi gula przerażenia. To się zaczyna wymykać spod kontroli. Muszę się jakoś wyplątać. Szukam gorączkowo jakiegoś pretekstu, żeby zostawił mnie w spokoju.

– Mam chłopaka – wypalam.

Przekrzywia głowę, patrząc na mnie z politowaniem.

– Nie obrażaj mojej inteligencji. Oboje wiemy, że Ross Kendrick jest gejem.

– To nie Ross! – Nie odpuszczam. – Tylko ktoś inny. Jest na studiach. Jeśli się do mnie zbliżysz, to skopie ci tyłek.

– Tak?

– Tak!

– Jak mu na imię?

Przeczesałem dzikim wzrokiem półki za jego plecami i w oko wpada mi Biegnij jak wiatr Jeffa Parkera.

– Jeff – odzyskuję mowę. – Ma na imię Jeff i bardzo się kochamy. I wiesz co? Jest wielkim jak dąb futbolistą. Tylko mnie tknij, a mokra plama z ciebie nie zostanie!

Odwracam się na pięcie i biegnę do drzwi, ale łapie mnie za kaptur i zakłada mi blokadę na szyję, odnajdując ustami moje ucho.

– *To powiedz Jeffowi, żeby się odwalił, bo już masz chłopaka.*

Nie wybucham płaczem, nie próbuję się uwolnić z jego uścisku. Za bardzo się boję, że zabije mnie na miejscu.

– *A teraz mów: wyruchał cię?*

Wiem, że powinnam zaprzeczyć. Lepiej nie drażnić niedźwiedzia. Ale nie mogę się oprzeć. Walkę mam we krwi.

– *Tak – wypalam. – I to nie raz. Było super.*

Nagle mnie puszcza, więc rzucam się do drzwi, otwieram je trzęsącymi się dłońmi i wypadam na korytarz.

Było blisko, myślę, ale jeszcze przez wiele godzin nie jestem w stanie złapać tchu.

Bo wiem, że to nie koniec.

Devon

NIE PÓJDZIE NA POLICJĘ.

To było jasne jak słońce. Co prawda są na niebie i ziemi rzeczy, o jakich nie śniło się waszym filozofom, ale Sweven była przewidywalna jak szwajcarski zegarek.

Nawet gdyby dziś była skłonna udać się na komisariat, rano obudzi się w buntowniczym, zadziornym nastroju.

Nie miałem więc najmniejszych wyrzutów sumienia, że zadzwoniłem do Sama, gdy tylko zasnęła, zapalając upragnionego papierosa na balkonie sypialni wychodzącym na Boston. Przycisnąłem łokcie do balustrady, zwieszając z ciężkim westchnieniem głowę.

– Jest jedenasta w nocy – poinformował mnie z typowym dla siebie bezbarwnym tonem.

– Jeszcze nie spałeś – zauważyłem sucho.

– Tego nie wiesz.

– Ja wiem wszystko.

– Co racja, to racja – przyznał z powagą. – Czego dusza jęczy?

– Musze skorzystać z twoich usług.

To go momentalnie zainteresowało. Byłem jedynym osobnikiem w moich kręgach towarzyskich, który nie miał go na liście płac. Dla dobra nieposzlakowanej reputacji musiałem mieć czyściutkie ręce.

Ale Emmabelle zaraz to zmieni.

I nie tylko to.

Usłyszałem, jak Sam zaciąga się elektronicznym papierosem.

– Tak upadają bogowie.

– Wszyscy upadamy tak samo.

Rześki wietrzyk owionął mi twarz i potargał moją blond czuprynę. Chłodny powiew na policzkach przypomniiał mi to, o czym chciałbym jak najszybciej zapomnieć: że przed chwilą płakałem. A raczej: uroniłem całe trzy łyzy.

– A upadkowi zawsze winna jest kobieta – zakończył Sam.

– Choć muszę przyznać, że przez pewien czas wszystko szło jak z płatka. A przynajmniej tak myślałem.

Parsknął cichym śmiechem i oczami wyobraźni widziałem, jak kręci głową, zaciągając się swoim fejkowym szlugiem.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał wreszcie.

– Emmabelle jest śledzona.

– Ash coś wspominała – rzucił nonszalancko. – Masz jakieś typy?

– Rozgoryczony były pracownik. Dama, która zagięła na mnie parol... – Wzięłem głęboki oddech i szczeka mi zadygotała. – ...oraz moja matka.

Na szczęście Sam darował sobie wbijanie szpili.

– Dobijała się do mnie – oznajmił. – To znaczy Emmabelle. Nie odbierałem.

– Dlaczego? – Krew się we mnie zagotowała.

– Nauka pokory. – Usłyszałem, jak rzuca papierosa na biurko, zmęczony i sfrustrowany nędznym zamiennikiem. – Chciałem zobaczyć, czy zwróci się po pomoc do Ash albo do ciebie. Schowanie dumy do kieszeni dobrze by jej zrobiło.

– Nie dzwonię na jej prośbę. Działam na własną rękę. I tak się składa, że nie chcę, żebyś się z nią kontaktował.

– Dobra. Podeślę ci kwestionariusz. Musisz wypełnić w całości.

– I potrzebuję na wczoraj adresu tego byłego pracownika, Franka – dodałem.

– Załatwione – zapewnił konspiracyjnym tonem. – Ale, Devon?

– No?

– Nie jestem tani.

– A ja biedny – odparowałem.

– Po miesiącu czy dwóch opłacania moich usług to się może zmienić.

– Nie potrzebujesz aż dwóch miesięcy do rozwiązania tej zagadki. A poza tym pomożesz mi ochronić matkę mojego nienarodzonego dziecka. To nie ma ceny.

Rozłączyłem się, wypuszczając ze złością powietrze.

Mój wielki świat zaczął się nagle kurczyć ze wszystkich stron.

Klaustrofobia ma to do siebie, że nawet otwarte przestrzenie potrafi przemienić w zamknięte. A czasami by uratować anioła, trzeba zawrzeć pakt z diabłem.

Dochodziło południe, gdy już następnego dnia stałem pod drzwiami Franka.

Mieszkał w Dorchester, w domu z koślawym gankiem, wałącym się dachem i drzwiami podziurawionymi kulami.

Zapukałem, wycierając sobie kłykcie o tweedową marynarkę.

Sweven jeszcze o tym nie wiedziała, ale wyszła z domu w asyście dwóch ludzi Sama.

Ponieważ ten ostatni znalazł adres Franka w parę godzin, musiałem niechętnie przyznać (ale tylko w duchu), że nawet zna się na swojej

roboty. Niemniej zachowałem sobie prawo, by żywić doń antypatię, gdyż jakkolwiek na to nie patrzeć, wciąż był pizdą.

Choć nie miałem bogatego doświadczenia w konfrontacjach z fagasami, którzy próbowali zabić swoich byłych pracodawców, nie wiedzieć czemu już byłem z siebie dumny.

Oto wziąłem sprawy w swoje ręce. Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie jako czyjegoś rycerza na białym koniu – czy raczej w garniturze od Prady – a tu proszę.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, za nimi trzasnęła siatka.

Moim oczom ukazała się bosa myszowata nastolatka w czarnych dziurawych legginsach i wojskowej tunice, spod której wystawał wielki ciężowy brzuch. Na mój widok wzdrygnęła się, odskakując.

– Franka nie ma. – Zaczęła zamykać mi drzwi przed nosem.

Wyciągnąłem rękę i zablokowałem je z uśmiechem.

– Skąd wiesz, że szukam Franka?

Przytuliła się do futryny, patrząc na mnie dzikim wzrokiem.

– Wzięłam pana za tajniaka czy inną policyjną szychę. Frank miewa tylko dwa rodzaje gości: kryminalistów i policjantów. A pan mi na przestępcę nie wygląda.

Cóż za pochlebstwo.

Nie pomyliła się, czyli miała do dyspozycji co najmniej dwie działające szare komórki. Miejmy nadzieję, że była też na tyle mądra, by rozpoznać pukającą do drzwi szansę.

Jak na potwierdzenie zaburczało jej głośno w brzuchu. Skrzywiła się, przeczesując palcami tłuste odrosty.

– To wszystko? – Znów próbowała zamknąć drzwi.

– Jesteś głodna? – Schyliłem się, by złapać z nią kontakt wzrokowy, ale nic z tego. Kimkolwiek był ten cały Frank, dobrze ją wytresował.

Pokręciła głową.

– Bo mógłbym coś z tym zrobić – dodałem ciepło.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– Moja dziewczyna też jest w ciąży. Nosi w brzuchu nasze dziecko. I bardzo bym nie chciał, żeby chodziła głodna. Jak dla mnie to żadna jałmużna, tylko wyższa konieczność.

Jej usta ułożyły się w podkówkę. Było widać, że jest na granicy załamania.

Była wygłodzona. Tak bardzo wygłodzona. Nogi miała jak dwa patyki.

Salon za jej plecami wyglądał tak, jakby przeszedł przezeń każdy squatter Wschodniego Wybrzeża z ostatniej dekady.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – zapytała w końcu.

Nie zatrasnęła mi drzwi przed nosem, to dobry znak.

Czuła, że mogę udzielić jej doraźnej pomocy w nieszczęściu, w jakim się znalazła.

Miałem jej uwagę i to na razie wystarczyło.

– Szukam twojego chłopaka. Podejrzewam, że planuje zrobić coś bardzo złego.

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Tydzień temu przepadł jak kamień w wodę. Nie odbiera moich telefonów. Ale można się było tego spodziewać. – Pociągnęła nosem.

– Tak? – Uniosłem brew. Zasada numer jeden: jeśli chcesz wyciągnąć z kogoś informacje, powstrzymaj się od osądów. – Często sprawia ci kłopoty?

– Nie ma takich kłopotów, których Frank by nie sprawiał. A w ogóle to kim jesteś? Masz zbyt eleganckie wdzianko jak na tajniaka.

– Jestem prawnikiem. – Zrobiłem krok do środka. Od progu owionęła mnie charakterystyczna woń trawki, pleśni, zepsutego jedzenia i apatii. – Nazwałabyś go zdolnym do przemocy?

– No. – Wzruszyła ramionami i znów zaburczało jej w brzuchu. – Nieraz wdawał się w bójki.

– A do zabójstwa?

– Mówiłeś, że kim jesteś? – Cofnęła się, mrużąc podejrzliwie oczy.

Pora przestać owijać w bawełnę. Sama z siebie nic nie powie.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

Wielu ludzi uważa prawników za agresywne, napastliwe plemię. I niektórzy, ci niezbyt profesjonalni, rzeczywiście tacy są. Ale większość to łagodne owieczki. Ja na przykład, gdy tylko miałem okazję, dusiłem dobrocią. Nie musiałem udowadniać swojego autorytetu i władzy. Same ode mnie biły.

– Ja... eee... – Rozejrzała się ze strachem, jakby coś, a raczej ktoś nie pozwalał jej przyjąć mojej pomocy.

Gdzieś nieopodal czekały psy, próbując przeskoczyć płot. W oddali płakało dziecko.

– D-donna – wyjąkała. – Mam na imię Donna.

– Masz jakieś nazwisko, Donno? – Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem książeczkę czekową i pióro Montblanc.

– Co takiego? – Kołysała się z nogi na nogę, wlepiając we mnie wzrok. Zupełnie jakby coś w niej pękło i teraz nie mogła go oderwać.

– Nazwisko. Twoje. – Uśmiechnąłem się.

– A, tak. Hammond. Donna Hammond.

– Wypiszę ci czek na dwa tysiące dolarów z nadzieją, że przeznacysz je na jedzenie, Donno – powiedziałem, przytrzymując jej wzrok.

Wpatrywała się we mnie jak zaczarowana. Pomyślałem ze smutkiem, że jej dziecko i nasze czeka zupełnie inne życie.

Moje nigdy nie będzie się musiało martwić o następny posiłek czy brak opieki lekarskiej, bo jego rodziców na nią stać.

Oderwałem czek i go jej podałem. Ale gdy wyciągnęła doń rękę, podniosłem go wyżej.

– Jest jeden haczyk.

– Wiedziałaś – prychnęła, obnażając zęby. – Jaki?

– Dam ci ten czek, bez żadnych pytań. Ale – dodałem powoli – dostaniesz drugi na dziesięć tysięcy plus miejsce w schronisku dla kobiet, jeśli zrobisz dla mnie dwie rzeczy.

Spojrzała zalękniona przez moje ramię, oblizując usta.

– Okej, ale z gumką. Nie chcę niczego złapać.

Naprawdę myślała, że o to mi chodzi? Mam mokasyny starsze od niej, na litość boską.

– Nie chcę seksu, Donno, chcę tylko, żebyś do mnie zadzwoniła, gdy się dowiesz, gdzie jest twój chłopak. Jak tylko się odezwie. – Wyjąłem wizytówkę i jej dałem. – I obiecaj mi, że w tej chwili się spakujesz i opuścisz to miejsce. Przyślę po ciebie kogoś, kto odwiezie cię do schroniska.

– Umowa stoi – odparła.

Dałem jej czek. Sięgnęła po niego drżącymi rękoma, znów wlepiając we mnie wzrok.

– A jeśli już się nie odezwie? Nie odbiera moich telefonów. Anulujesz czek?

Pokręciłem głową.

– Nie jeśli dotrzymasz umowy i zostawisz go na dobre.

– Zostawię. Zostawiam – poprawiła się. – Tak jak on zostawił mnie na lodzie. Nie wybaczę mu tego, co zrobił mnie i dziecku.

Schowałem książeczkę z powrotem do kieszeni, uśmiechając się smutno. Nawet jeśli jeszcze nie uwolniłem Belle od Franka, jego eks była ocalona, a to już coś.

W drodze do kancelarii zadzwoniłem do Sama. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Jeśli chodzi o Franka, to wciąż próbuję go namierzyć. Facet zniknął z radaru.

Zacisnąłem ręce na kółku. Kicha, nie znośnię być do tyłu.

– Sprawdzasz Louise i moją matkę?

– Tak. – Usłyszałem stukanie w klawiaturę laptopa. – I na razie nie mogę ich wykluczyć. W tamtym testamencie, na którym położyłeś łaskę, jest kupa kasy w ruchomościach i nieruchomościach. Czyli u twojej matki motyw jest.

– A Louisa?

– Nasza angielska herbatka – rzucił z przekąsem. – No, ta opcja też jest otwarta. Wygląda na to, że jej rodzinka nie jest taka nadziana, jak twierdzi. Mam tu wyciągi z ich szwajcarskiego konta i dwóch krajowych. Przy takim stylu życia źródło wyschnie za góra pięć lat. Więc teraz już wiemy, skąd to jej parcie na ślub. Musi ratować siebie i swoich braciszków.

– Ale bagno.

– Wyrażaj się, Nancy Drew.

– Jak mogło do tego dojść? – zastanawiałem się głośno.

Przez dwadzieścia lat starannie unikałem wszelkich kłopotów, a teraz wpadałem w nie dosłownie na każdym kroku.

– Pomyślmy. Masz niedokończone sprawy za wielką wodą, jak wy, Brytole, mawiacie, i kobietę zmoreę, którą należałoby ubezwłasnowolnić, a jakby tego było mało, twój mały chyba obrósł złotem, bo wszystkie się za nim uganiają.

– Mój mały ugania się tylko za Emmabelle – odburknąłem. – Czy to nie smutne?

– Tragiczne, kurwa.

– Obiecuj mi jedno – zacząłem.

– Nie – odparł sucho, ale się tym nie zraziłem.

– Że nic się jej nie stanie.

W słuchawce zaległa cisza. Zwolniłem, zatrzymując się na światłach.

– Nic się jej nie stanie – powiedział wreszcie. – Masz moje słowo.

Belle

Lat piętnaście

W TE WAKACJE postanowiłam nie ruszyć się na krok z Southie.

Rodzice są źli, że nie pojechałam na obóz treningowy. A jeszcze bardziej, że od nowego roku szkolnego rzucam bieganie. Trudno, jakoś to przeżyją.

Persephone i Sailor przemieniają się w małe kobietki. Miło na to patrzeć, choć mi pokwitanie niezłe daje w kość. Ross, obecnie piętnastolatek, ma już za sobą pierwszy pocałunek z jęczyczkiem. Z niejakim Rainem, który wczasował się z rodziną na Cape Cod w tym samym czasie, co Ross ze swoją. Wymienili się namiarami, ale gdy po powrocie Ross próbował do niego zadzwonić, okazało się, że „nie ma takiego numeru”. Biedak nie wiedział, czy się z tego śmiać, czy płakać.

A ja jestem w fazie eksperymentowania z make-upem, włosami i ciuchami. Wszystko, byle poczuć się lepiej we własnej skórze. Z dobrych wiadomości: moje kolano czuje się o niebo lepiej. Nadal pobolewa, ale to już nie tamte tortury.

Wracam od Rossa. Prawdę mówiąc, jest dość przygnębiony tą sprawą z Rainem. Szkoda, że nie mogę go pocieszyć, iż pierwszy pocałunek może się skończyć dużo gorzej. Ale wiem, że wpadłby w histerię, gdybym mu powiedziała o trenerze, a poza tym to już skończone. Gruba krecha.

Kiwam głową w rytm Hate To Tell You I Told You So The Hives, próbując podnieść się na duchu. Może zapytam Persy albo Sailor, czy mają ochotę na seans filmowy, czy coś. Przydałby się zastrzyk cukru w postaci coli i maślanego popcornu.

Skrećam właśnie w boczną uliczkę „na skróty”, gdy nagle drogę zajeżdża mi niebieskie auto. Tak niebieskie, że aż daje po oczach.

Brenda?

Zrywam słuchawki z uszu, odwracam się na pięcie i zaczynam biec, nie oglądając się za siebie. Za plecami słyszę, jak drzwi się otwierają i trzaskają. Kolano mnie spowalnia, ale i tak jestem szybka jak wiatr. Muszę tylko dobiec do głównej i będę bezpieczna. Nic mi nie zrobi.

Ale nagle czyjaś ręka łapie mnie od tyłu za gardło i zaciąga wierzgającą z powrotem w uliczkę. To jednak nie Brenda. Ona by mnie nie dogoniła. I nie miałaby takich szorstkich dłoni.

– Witaj, mała kłamczucho. Gdzie Jeff? Mam cię na oku od początku wakacji i nie kręci się wokół ciebie żaden chłopak. Twój nowy zdzirowaty look nie przyciągnął ani jednej muszki.

Na dźwięk głosu Lockena zbiera mi się na wymioty. Wydaję z siebie dziki ryk, młóćąc pięściami na oślep.

Zasłania mi usta dłońią i ucisza. Przytrzymuje mnie za biodra i podciąga spódniczkę, rozpinając rozporek.

Nie, nie, nie.

– Tylko spokojnie. Gdy już z tobą skończę, będziesz się mogła ruchać z kim popadnie. Ale to ja cię rozdziewiczę. Gdzie ta gumka?...

Na dźwięk tego słowa wstępuje we mnie wściekła energia. Udaje mi się odwrócić i wbić mu paznokcie w oczy. Uwolniwszy się na chwilę z jego uścisku, wołam o pomoc. Mrużąc załzawione oczy, znów się na mnie rzuca i zwala na ziemię.

Pierwszy cios wymierza w moją szczękę, uciszając mnie, ale nie przestaję wierzgać.

– Niech ci będzie, bez gumki. Suka. – Pluje mi w twarz.

Walczę, choć wiem, że tę bitwę przegrałam.

Moja armia została zmieciona, konie się rozpierzchły, a królestwo spływa krwią.

Ale nie przestaję walczyć, nawet gdy we mnie wchodzi.

Gdy mnie bierze.

Gdy już nie ma o co walczyć.

Walczę, bo tylko tak mogę przetrwać.

Belle

Nazajutrz po naszej kłótni zakradłam się na bosaka do jego łóżka, żeby przeprosić, ale było puste. O wpół do siódmej rano.

Umyłam zęby, wbiłam się w białą minisukienkę podkreślając łydki i połknęłam kawałek tostu z awokado. A następnie jako grzeczna dziewczynka, którą byłam, udałam się na inny posterunek policji, by złożyć zawiadomienie numer dwa. Tym razem przyjmująca je policjantka bardziej się przejęła, co mnie trochę podbudowało.

Tym samym do południa odhaczyłam wszystkie sprawy do załatwienia i nudziłam się jak mops. Wiedziałam, że Sam Brennan, którego zamierzałam przycisnąć, będzie w Badlands dopiero po ósmej, więc miałam mnóstwo czasu do zabicia.

Wstąpiłam do Madame Mayhem przejrzeć parę papierków i zamienić słowo z zespołem. Devon mi zabronił, ale miałam swoją spluwę, krav magę i Simona.

Wstyd się przyznać, ale ochroniarz o gabarytach ego pierwszego z brzegu polityka to jednak nie taki zły pomysł.

Stałam w tylnych drzwiach klubu, uzbrojona w laptopa i uśmiech.

– Kochanie, wróciłam! – zawołałam do Rossa, któremu oczy wyszły z orbit.

Podbiegł do mnie, kręcąc głową i wymachując pięścią.

– Na sześciopak Cody’ego Simpsona, co ty tu robisz?!

– Pracuję...?

– Z tym? – Objął mój brzusek, którego mieszkaniec zaczął ćwiczyć fikołki i inne niestworzone wygibasy, zwłaszcza w nocy, i wstrzymał oddech.

– Owszem. A co, myślałeś, że położę na wszystkim laskę i dam nogę do ciepłych krajów?

– Myślałem, że będziesz oszczędzać siebie i dziecko!

– Chciałam tylko przejrzeć parę arkuszy kalkulacyjnych.

– Stara, nie jesteś księgową. Świat się nie zawali, jeśli nie sprawdzisz dzisiejszej dostawy belgijskiego piwa. I przykro mi to mówić, ale świetnie sobie bez ciebie radzimy.

Po chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w drzwiach zmaterializował się Simon.

Powiedzieć, że nie ucieszył się na mój widok, to jak nic nie powiedzieć.

– Pani tutaj – jęknął, nawet nie kryjąc rozczarowania.

– Też się cieszę, że cię widzę, Si! – Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Mogę popracować w pani gabinecie? – zapytał, ale spojrzał na Rossa, jakby mówił: „jeśli odmówi, to wyważę drzwi”.

Machnęłam ręką z uśmiechem.

– Nie krępuj się. Ani ty, ani twój szef, który połknął kij od szczotki.

– Stanowisz dla siebie największe zagrożenie. Jestem o krok od złożenia wymówienia. – Ross walnął się otwartą dłonią w czoło i odmaszerował do baru, by przypilnować rozładunku alko. – Aha, i powiem wszystko twojemu kochasiowi!

Usiadłam przy biurku i otworzyłam laptopa.

– Proszę bardzo, zdrajco!

Ross wetknął głowę do środka, uśmiechając się jak głupi do sera.

– Czyli jednak jest twoim kochasiem. Zazdro!

Odwaliałam kawał dobrej roboty, zaklepując nam wakacyjne występy objazdowej trupy z Louisiany i negocjując kontrakt z nowym dostawcą alkoholu. Nagle rozległo się pukanie.

Przeciągnęłam się w fotelu.

– Dzięki Bogu. Przyda mi się przerwa. Może to żarełko. Jak obstawiasz, Si?

Siedzący nieopodal Simon, który udawał pochłoniętego segregowaniem posegregowanych papierków, wstał z podłogi, otrzepując dżinsy. Nakazał mi gestem, bym została na miejscu, i poszedł otworzyć.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś osobowością analną, Si? Musisz trochę wyluzować.

Książątko zrobiło potwierdzającego fikołka i je pogłaskałam.

– Wiem, wiem, maleństwo. Mamusia też nie jest ideałem. Ale przyznasz, że mi do niego blisko.

– Jakaś kobieta do pani – rzucił lakonicznie Simon, blokując mi widok swoimi barami Robocopa.

– Proszę, proszę, gość. – Splotłam palce. – Pers czy Sailor? Ash jest w pracy, więc to na pewno nie ona. Ale ktokolwiek to jest, mam nadzieję, że przychodzi z jadalnymi darami.

– Chyba powinna pani darować sobie to spotkanie. To raczej nie wizyta towarzyska. – Twarz Simona była tak spięta, że miałam wrażenie, że zaraz wybuchnie.

– Kto to?

– Panno Penrose...

Czemu się upierał, by nazywać mnie „panną Penrose”, skoro ja skróciłam go do „Si”? Niech wreszcie wyciągnie sobie ten kij z tyłka. A w ogóle to skąd Devon go wytrzasnął?

– Kto. To? – powtórzyłam. Miałam po dziurki w nosie facetów mówiących mi, co mam robić.

Simon wziął głęboki wdech, odrzucając głowę i załamując ręce.

– Louisa Butchart.

– Wpuść ją i wyjdź – rzuciłam lodowato.

– Ale...

– Ale już, Si. Zanim cię wyrzucę z mojego lokalu. A dobrze wiesz, że jestem do tego zdolna.

Co więcej, wiedział, że się nie zawaham.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. W końcu westchnął ciężko i się zmył, ale nie odszedł daleko. Słyszałam, jak kręci się pod drzwiami.

Louisa weszła tanecznym krokiem, ubrana w stylowy plisowany sukienko-płaszcz od Alexandra McQueena.

Wcale nie czułam się onieśmielona, raczej byłam wkurzona, że nie może przestać wyskakiwać jak diabełek z pudełka.

– Louisa! Cóż za miła niespodzianka. Zgubiłaś drogę do Chanel? – Posłałam jej swój najstaranniejszy uśmiech z gatunku „odwal się, babo”.

– Och, jaka piękna sukienka, Emmabelle. Z najnowszej kolekcji „przeleć mnie po ciemku” Victoria’s Secret? – odparła śpiewnie, przysiadając kościstym tyłkiem na skraju fotela.

Jej vintage’owa torebka od Hermesa mówiła, że jej właścicielka ma propozycję. Nikt nie chodzi z sakwą za dwieście pięćdziesiąt tysięcy, jeśli to, co jest w jej środku, nie ma przynajmniej takiej samej wartości.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zagruchałam, przechodząc od razu do rzeczy.

– Obie chyba znamy odpowiedź na to pytanie, więc może darujmy sobie część, w której ja obrażam twoją inteligencję, a ty marnujesz mój

czas.

– Brzmi dobrze. – Zakręciłam sobie uroczo kosmyk wokół palca. – A więc nadal liczysz, że odbijesz mi chłopaka?

Nie mam pojęcia, czemu postanowiłam nazwać go przy niej swoim chłopakiem, ale tak podpowiadała mi intuicja. Związek to związek. A poza tym Devon też ostatnio wypalił, że jestem jego dziewczyną, więc w żaden sposób nie można mnie oskarżać o przesadzanie. I nieważne, że ostatnimi czasy miał ochotę mnie udusić.

– Ty, dziewczyną Devviego? – Prychnęła. – Jego rodzina nigdy cię nie zaakceptuje. Zresztą, o czym w ogóle mowa. Devon może i pozuje na nieugiętego, ale wierz mi, spełnia każdy kaprys matki. Rodzina jest dla niego wszystkim. Jeśli ci na nim zależy, nie pozbawisz go jej. Jedno dziecko nie wystarczy, by zastąpić to wszystko, co straci.

Ta kobieta miała niezłe jajniki – „jaja” sugerowały, że kobietom brak odwagi, co z gruntu odrzucałam. W końcu to nie faceci wypychali z dziurki do siusiania małego człowieka wielkości arbuza.

Złapałam się za serce, udając szok.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że niszczę mu życie. Niezwłocznie naprawię swój błąd, osiadając w ciepłych krajach pod zmienionym nazwiskiem, żeby mnie nie znalazł – odparowałam, a jakże, ze sztucznym brytyjskim akcentem.

– Nie zgrywaj głupa. Obie wiemy, że na przeszkodzie naszemu małżeństwu stoi tylko jego relacja z tobą – warknęła niecierpliwie.

– No i? – Ziewnęłam. – Jesteśmy dorośli. I nie wiem, czy zauważyłaś, ale właśnie przechodzimy na nowy poziom.

– Ten poziom nic nie znaczy. Nie bierzecie ślubu. Ty go nie kochasz, ja tak. Ani trochę ci na nim nie zależy.

Tym razem każde jej słowo było jak nóż w serce, bo zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

Mimo to wciąż nie potrafiłam przyznać się do swoich uczuć przed Devonem, a co dopiero przed tą diabolicą.

– Do czego zmierzasz? – Zabębniłam w zamkniętego laptopa, przewracając oczami.

– Pozwól mu odejść. Powiedz, że nie chcesz mieć z nim nic wspólnego. Otwórz mu drogę powrotu na łono rodziny, do mnie. To jego przeznaczenie. Do tego się urodził.

– Urodził się do podejmowania własnych decyzji.

– Może ty, plebejuszka bez dziedzictwa i brzemienia obowiązku. Devon został stworzony do większych rzeczy.

Zerwałam się ze złością z fotela, rozrzucając dla lepszego efektu ręce.

– Mam kazać mu się gonić, żebyś ty się mogła z nim chajtnąć? Daj mi choć jeden dobry powód, by to w ogóle rozważyć.

– Proszę bardzo. Dam ci ich nawet okrągły milion.

Walnęła torebką o biurko między nami i wyjęła gotowy czek.

Musiałam zamrunąć, bo w pierwszej chwili myślałam, że mnie oczy mylą. A jednak nie. Czek na milion dolarów amerykańskich wypisany na pannę Emmabelle Petrę Penrose.

Zaczęłam kręcić pierścionkiem na kciuku, wpatrując się w leżący na biurku świstek i przygryzając dolną wargę.

Złość wyparowała, a jej miejsce zajęły niepokój i lęk.

Skąd znała moje drugie imię?

Od jak dawna chce mnie dorwać i zmusić do wyjazdu?

To naprawdę było jak jakieś *déjà vu*. Może nie tylko Frank się na mnie uwziął.

Próbowałam podejść do tego pragmatycznie. Muszę zrobić to, co najlepsze dla mnie i dla dziecka.

Devon to ryzyko. Budził we mnie cały wachlarz uczuć, przed którymi całe życie uciekałam. Gdyby ożenił się z Louisa, miałabym go z głowy. Poprzysięgałam sobie nigdy więcej nie zadawać się z żonatym. Problem rozwiązałby się sam.

A ten czek ustawiłby mnie do końca życia. Mogłabym zatrzymać Madame Mayhem i równocześnie przystopować z pracą. Zapewniłabym sobie bezpieczeństwo bez zabawy z bronią, stawania na głowie i błagania o pomoc Sama Brennana.

Klub oddałabym Rossowi – i tak byłam już zmęczona zgrywaniem wampa i skandalistki na cały etat – i rozejrzałam się za czymś nowym.

Może luksusowy butik albo pracownia projektowania wnętrz.

A teraz przyjrzyjmy się minusom.

Też było ich niemało.

Po pierwsze i najważniejsze, nie chciałam, by Louisa wygrała.

Próbowała wymusić na mnie współpracę, a ja miałam alergię na tyranizowanie.

Po drugie, to nie było fair wobec Devona.

Nie mnie decydować, z kim ma się żenić.

Ale ostatecznym argumentem i tak było nasze bezpieczeństwo. Ona i Ursula mogły stać za pogrózkami, więc idąc na ten układ, ochroniłabym maleństwo.

Musiałam tylko dobrze to rozegrać i dopilnować, by ani ono, ani Devon nie byli na tym „stratni”.

Podniosłam czek i rzuciłam nim jej w twarz z uśmiechem.

Pora zagrać ostro.

– Nic z tego, księżniczko. Już mam umowę z Devem. Zgodziłam się nawet na wspólną opiekę. I zamierzam dotrzymać słowa.

– Och, Devvie – westchnęła Louisa, masując sobie skronie. – Że też ze wszystkich dziwek musiałeś trafić na tę ze złotym sercem...

– Nie jestem dziwką – syknęłam. – Ale umiem rozpoznać sukę, gdy ją widzę.

– Będzie obecny w życiu dziecka. – Znów przesunęła czek w moją stronę. – Daję ci moje słowo. Obie wiemy, że i tak nie mogłabym mu tego zabronić. Ale mężem będzie moim.

– Super. To czego właściwie ode mnie chcesz? – zapytałam.

– Rzuć go – odparła cicho. – Ja zajmę się resztą. Tylko błagam... spal za sobą mosty. Znam takie jak ty. Nie czekałabyś was żadna przyszłość. Nie bierzesz go na poważnie. Nie masz czystych intencji...

– A ty masz? – weszłam jej w słowo.

Skrzywiła się z odrazą.

– Lada chwila straci wszystko, na co jego rodzina pracowała od pokoleń.

Wyklócanie się z nią na ten temat nie miało sensu. Nawet Devon to przyznał.

Koniec końców nie byliśmy dobraną parą. Ja do nikogo nie pasuję.

– Wezmę pieniądze i go zostawię, ale nie pozbawię go kontaktów z dzieckiem. I nie wyprowadzę się z Bostonu.

W tamtej chwili chyba nikt nie gardził mną bardziej niż ja sama.

Okazałam się równie zepsuta, co ci, którzy mnie skrzywdzili.

Lockenowie tego świata. Pozbawieni zasad, moralności, sumienia.

– W porządku. To mi wystarczy. Kiedy to zrobisz? – zapytała.

Jak otępiała schowałam czek do torebki pod biurkiem. Miałam wrażenie, że patrzę na tę scenę z góry. Że to nie ja siedzę na wprost tej kobiety.

Tak będzie najlepiej.

Tylko by cię skrzywdził.

Jak każdy mężczyzna, któremu ufałaś.

– Dziś.

– Dobrze. W takim razie będę na posterunku jako pocieszycielka.

Wstała i klasnęła w dłonie.

– Ursula się ucieszy.

– O, nie wątpię. – Zaraz zegnę się wpół i puszcze pawia.

– Postępujesz słusznie – zapewniła mnie.

Kiwając słabo głową, pokazałam jej drzwi. Zabrakło mi powietrza i nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

Louisa wyszła, zamykając za sobą drzwi i zostawiając mnie sam na sam z ciężarem mojej decyzji. Dobrze wiedziała, że mnie przygniecie i doszczętnie zmiażdży.

Belle

NIE POZWOLI MI OT TAK ODEJŚĆ.

Tego byłam pewna.

Przy całej swojej kulturce i ugrzecznieniu – Devon Whitehall był wszakże prawdziwym, rasowym dżentelmenem – niezbyt dobrze reagował na wciskanie kitu. Poza tym oboje wiedzieliśmy, że zaserwowałam mu już taką dawkę problemów, na jaką żadne z nas nie zasługiwało.

Więc wybrałam najchórzliwszą drogę z możliwych: list.

Wmawiałam sobie, że to tylko wstęp. Że usiądę z nim i porozmawiamy twarzą w twarz. Po prostu potrzebowałam czasu, by to wszystko przetrawić. Poza tym byłoby lepiej, gdybym jednak wyjechała, skoro polują na mnie dwie siły. Devonowi nic nie będzie. Jak zawsze. Ze swoim tytułem, bystrością umysłu i arystokratyczną nonszalancją, jak zwykle spadnie na cztery łapy.

Cholera, popełniałam właśnie największy błąd w swoim życiu, ale robiłam to dla córki. Najważniejsze było jej bezpieczeństwo.

A więc tak to jest kogoś kochać. Pokochałam ją jeszcze, zanim się poznałyśmy. Zanim pojawiła się na świecie.

Postanowiłam napisać do Devona odręczny list. Nie chciałam zamknąć tego w paru nędznych zdaniach na kompie.

W końcu zawsze był dla mnie dobry.

Po czterech godzinach męczarni ułożyłam wreszcie znośną wersję.

*Drogi Devonie,
dziękuję za Twoją gościnność i wytrzymywanie ze mną pod jednym dachem, co, powiedzmy to sobie szczerze, byłoby ponad siły 99,99% ludzkości.*

Sęk w tym, że to mieszkanie razem nie służy żadnemu z nas.

Ja wchodzę Ci na głowę, a Ty sprawiasz, że czuję się nieswojo.

Uczucia, które we mnie budzisz, sprawiają, że odżywają moje stare lęki.

A Ty na przykład prawie wybiłeś wczoraj dziurę w ścianie. Pięścią.

Wiem, że ostatnio było trochę niespokojnie, ale chcę, żebyś wiedział, że złożyłam dziś to zawiadomienie i policja już bada sprawę.

Obiecuję, że zawsze będę miała przy sobie broń i zachowywała ostrożność, ale już nie daję rady.

Boję się, że jeśli będziemy to ciągnąć, stres odbije się na dziecku, a jego dobro jest dla mnie najważniejsze. Ważniejsze niż Ty czy ja.

Cieszę się, że właśnie z Tobą odbyłam tę podróż, i chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. To powiedziawszy, usuwam się na bok, by znaleźć w sobie wdzięczność i zaufanie, na które zasługujesz.

Z wyrazami miłości,

Belle

PS Powinieneś ożenić się z Louisą. Ona Cię kocha.

Belle

Lat piętnaście

DZIESIĄTA KLASA zaczyna się od grzywki.

A nawet od „grzyweczki”.

To oczywiście pomysł Rossa.

– Grzyweczka super ci pasuje. Masz rewelacyjne włosy. Ja moją muszę codziennie prostować – narzeka.

Zawarliśmy umowę: grzywki w zamian za wspólne zajęcia krav magi. Latamy na nie trzy razy w tygodniu. Instruktorzy mają już nas dość. Ale nigdy więcej nie oddam swojego losu w ręce facetów, których nie znam.

Oglądam się za siebie na szkolnych korytarzach, w klasach, na stołówce. Nigdy więcej nie pozwolę mu się skrzywdzić i jeszcze się zemszczę.

Naoglądałam się dość filmów dokumentalnych i wiadomości, by wiedzieć, że oddanie go w ręce władz nic nie da. Sama muszę wymierzyć sprawiedliwość. Bo bez względu na to, czy się wywinie, czy nie, ja mam spaprane życie.

Nie chcę łatki młodocianej kochanki trenera. Która pozwoliła mu robić sobie minetę, a gdy pozbawił ją dziewictwa, to się nagle przestraszyła i pobiegła z płaczem do mamusi i tatusia. O nie. Nic z tego. Mam plan.

Trener Locken trzyma się ode mnie z daleka.

Mija miesiąc, już prawie odetchnęłam.

Aż tu nagle pewnego słonecznego sobotniego poranka, gdy mama krząta się w kuchni przy naleśnikach, tata czyta gazetę, a Persephone wisi na telefonie z Sailor, coś się dzieje.

To dziwne, bo ta sobota w niczym nie różni się od innych sobót. Leniwy poranek. Roznoszący się po domu zapach naleśników. I śmiech Persephone utyskującej wespół z Sailor na doszczętny romantyzm naszych rodziców (Sailor ma to nieszczęście, że jest dzieckiem ludzi, którzy naprawdę powinni się przestać publicznie obściskiwać).

Dostaję esemesa od Lockena.

Jeśli komuś powiesz, zrobię to znowu.

Ostrzegam.

Dotarło.

Zaraz się porzygam.

Ale podejrzewam, dlaczego czuje się taki bezkarny – dobrze wie, że władze nie kiwną palcem. W kuratorium nigdy by mi nie uwierzyli. W miejscowym komisariacie roi się od jego kumpli ze szkoły, z którymi chodzi na piwo, a poza tym w Southie nie chodzi się na policję, tylko samemu załatwia się swoje sprawy.

Siedzę na kibelku i nie mogę przestać siusiać. Najdziwniejsze jest to, że mam pusty pęcherz – a mimo to wciąż ze mnie cieknie. I dostaję skurczy brzucha. Zupełnie jakby moje wnętrzości skręcały się, próbując coś wypchnąć.

Spoglądam między nogi i marszczę brwi. Strużka krwi wypływa ze mnie. Rozkraczam się, mrugając z niedowierzaniem. Coś... wpadło do muszli. Jakby grudka.

O Boże.

O Boże.

O Boże.

Zginam się wpół i wymiotuję na kafelki. Cała się trzęsę. Nie. To niemożliwe. Sięgam nad głowę po ręcznik i wpycham go sobie do ust, by się zakneblować. Zwijam się w kłębek na podłodze, wyjąc w tę ścierkę.

Wyję, wyję, wyję.

Byłam w ciąży.

Ten skurwiel mnie zapłodnił.

No jasne.

Ale... czemu straciłam dziecko?

Robię szybkie obliczenia; ciąża miała pięć tygodni. Ostatniego tygodnia wakacji zaliczyłam upadek. Ale czy naprawdę to mogła być przyczyna? Jak?

I wtedy dociera do mnie, że nie jestem już sobą.

Że być może nigdy nie będzie mi to dane, a moje ja nie zdążyło się nawet ukształtować.

I nic nie przywróci mi wiary w ludzi.

Gorzej być nie może.

A potem okazuje się, że jednak może.

Devon

ZARAZ KOGOŚ UDUSZĘ, choć tym kimś nie będzie Emmabelle Penrose, która zresztą jak najbardziej zasługuje na mój gniew.

Zgniotłem ze złością liścik, cisnąłem go do kosza, zgarnąłem z blatu kluczyki i popędziłem do drzwi.

Zbiegając po dwa stopnie naraz, prawie spadłem ze schodów w drodze do bentleya.

Moim pierwszym przystankiem była kawalerka Sweven, którą wciąż opłacała. Klitka wielkości pudełka zapalek, z której uratowałem ją jak zapchlonego szczeniaka.

Waliłem pięściami w drzwi, aż zdarła mi się skóra. Zero odpowiedzi.

– Otwieraj, Emmabelle! Wiem, że tam jesteś!

W sąsiednich drzwiach stanął facio w szlafroku à la Big Lebowski i z jointem zwisającym z kącika ust.

– Tracisz tylko czas, stary. Nie mieszka tu już od paru miesięcy. Wprowadziła się do swojego chłopaka bogacza. – Zaciągnął się, przekrzywiając głowę. – W sumie nawet go trochę przypominasz.

Nie wróciła do domu.

Następny przystanek: rezydencja Cilliana i Persephone.

Przez całą drogę próbowałem się dodzwonić do Belle. Nadal nie odbierała. Niezrażony jej unikami, zasypałem jej pocztę głosową lawiną

wiadomości, przedzierając się w ślimaczym tempie przez zakorkowane bostońskie ulice godzin szczytu.

„Cześć, kochanie, tu twój chłopak. Wiesz, ten, którego właśnie rzuciłaś cholernym liścikiem. Oraz ojciec twojego nienarodzonego dziecka. Jeśli sądzisz, że sobie o tym nie porozmawiamy, to się grubo mylisz. Aha, i co się nagle stało z faktem, że ktoś chce cię zabić? Już nieaktualne? Oddzwoń. Buziaki. Dev”.

I jeszcze:

„Sweven. Mam nadzieję, że masz przyjemniejszy wieczór niż ja. Gdzie jesteś? Jeśli chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że obecność Louisy ci przeszkadza, sugeruję skorzystać z pomocy specja od komunikacji, bo twoja kuleje. Oddzwoń”.

I ostatnia:

„Emmabelle, do diabła, Penrose. Odbierz ten cholerny telefon!”.

Potem było już tylko gorzej.

Dotarłszy do domu Persy i Cilliana, zacząłem tak mocno walić mosięzną kołatką w kształcie lwiej głowy, że aż odpadła i uderzyła z hukiem o posadzkę. Siostra mojej dziewczyny (tak, nadal była moją dziewczyną) poinformowała mnie z żalem, że tu też jej nie ma.

– Mówisz prawdę czy ją ukrywasz? – wysapałem w progę.

– Moja żona powiedziała, że jej siostry tu nie ma. – Za plecami Persephone pojawił się Cillian, obejmując ją opiekuńczo. – Nazywasz ją kłamczuchą?

– Nie, ale ciebie nazywam nieznośną pizdą. – Maskę kultury całkowicie opadła i uderzyłem w ton otwartej wrogości. – Więc mam powody do podejrzeń, że ktoś coś ukrywa. Są ze sobą zżyte, więc się nawzajem kryją.

– Tak się składa... – Persy ściągnęła łopatki, spoglądając na mnie z wyższością. – Że też chętnie się dowiem, gdzie się zadekowała. Martwię

się o nią. Ona może nie bierze sobie tych pogroźek do serca, ale ja tak.

– Zapytaj Sailor i Aisling – rzuciłem przez ramię, biegnąc do auta z zamiarem złożenia wizyty tej pierwszej. – I daj znać, jeśli się czegoś dowiesz.

– Dobrze – zawołała od drzwi.

U Sailor Fitzpatrick też jej nie było. Ani u Aisling Brennan. Ani w Madame Mayhem. N i g d z i e jej nie było.

Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

Zadzwoiłem do Brennana. W końcu jako chłopak roku zapłaciłem mu, żeby przyczepił jej ogon. Nie odbierał, więc postanowiłem i jemu złożyć wizytę. Za taką kasę Emmabelle powinna mieć zapewnione nie tylko bezpieczeństwo, ale i manicure, pedicure oraz trzy ciepłe posiłki dziennie.

Wpadłem jak burza do szulerni w Badlands, przewracając z hukiem stół do pokera. Sam siedział przy nim w towarzystwie dwóch senatorów i jednego rekina biznesu. Żetony rozsypały się z brzękiem po podłodze.

Podniósł wzrok.

– Co, do kurwy...?

– To, że zrobiłeś mnie w wała. Płacę ci za niespuszczanie oka z mojej dziewczyny. Nie minęła minuta, a ja już nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona jest.

Sam zaprowadził mnie wąskim, zatłoczonym korytarzem na zaplecze, nie zwracając uwagi na zaczepiających nas na każdym kroku desperatów.

– Zamkniesz jadaczkę? Tu chodzi o moją reputację.

– Gdzie Emmabelle? – warknąłem.

Dotarłszy do jego gabinetu, zatrzasnąłem za nami drzwi i przystąpiłem do dewastowania. Przewróciłem sofę, zerwałem roletę oraz wybiłem

pięścią dziurę w portrecie Troya Brennana – karą za tę ostatnią zbrodnię było zapewne ukamienowanie.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale włącza się cholerna poczta.

– Byłem zajęty rozmiękczeniem Głupiego i Głupszego – rzucił lakonicznie, wyjmując telefon z tylnej kieszeni i wystukując jakiś numer. – Przekreślę do swoich ludzi i zapytam.

Dobra wiadomość była taka, że odebrali od razu.

A zła, że – jak by to powiedzieć – ZGUBILI JĄ.

– Jak to ją z g u b i l i?! – zapytałem podniesionym głosem, chwytając z biurka tablet i roztrzaskując go o ścianę. – To nie cholerny wątek poboczny czy okulary przeciwsłoneczne! Jak można zgubić trzydziestoletnią kobietę?!

– Przechytrzyła ich – odparł Sam, lekko zaskoczony zaistniałą sytuacją. Oczy miał jak spodki, a usta otwarte. To mu się chyba nieczęsto zdarzało. – Pewnie zauważyła, że ją śledzą, i się im wymknęła.

– Głupia nie jest. – Kipiałem ze złości. Boże, czemu musiała być aż tak spostrzegawcza?

Sam ściągnął brwi.

– To ty nie chciałeś, żeby wiedziała o moim ogonie, geniuszu. To pierwszy taki przypadek w całej mojej karierze.

– Dzięki za cholerną ciekawostkę. – Złapałem go za kołnierz i przyciągnąłem, tak że nasze nosy się zetknęły. – Masz znaleźć moją dziewczynę albo osobiście dopilnuję, żebyście ty i ten sprzedajny prokurator, który kryje twoją dupę, resztę swojego nędznego życia spędzili za kratkami.

Wyparowałem z jego klubu i pojechałem do jedynej osoby, która mogła coś wiedzieć – Louisy.

Otworzyła mi w skąym kremowo-czarnym koronkowym body z gorsetem wyszczuplającym talię do zera, czyli poziomemu mojemu podniecenia na jej widok.

– Witaj, skarbie. Miło cię widzieć.

Odsunęła się, wpuszczając mnie do środka. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, wbiłem w nią spojrzenie bynajmniej niezwiastujące upojnej nocy.

Ocknij się, dziewczyno.

– Włóż coś na siebie.

– Niby co? – zapytała, mrugając w zwolnionym tempie.

– Choćby płaszcz przeciwdeszczowy, do cholery. Wyglądam na kurewskiego stylistę? – Złapałem wiszącą na krześle szmatę przypominającą szlafrok i jej rzuciłem. Wciągając powietrze, pospiesznie go na siebie zarzuciła.

– Co się stało? – Podeszła do barku, by przygotować nam drinki.

– Coś ty zrobiła? – zapytałem zdumiewająco suchym, rzeczowym tonem zupełnie niezdradzającym morderczych zamiarów.

– Nie rozumiem. – Podeszła z dwiema szklaneczkami whiskey i podała mi jedną. Nawet nie drgnąłem.

– Coś ty zrobiła? – powtórzyłem.

– Devvie, zachowujesz się dziwnie, przerażasz mnie.

Zrobiła krok w tył.

Ja – w przód.

Nie wiedziałem, co robię, i szczerze mówiąc, nie chciałem wiedzieć.

Sweven obudziła we mnie całą paletę emocji i nie miałem ochoty ich tłumić.

Zawsze byłem taki wyrachowany. Opanowany. Pewny siebie.

Teraz to wszystko wyparowało.

– Coś. Ty. Zrobiła? – Wyjąłem jej z rąk szklaneczki i odstawiłem na kredens, równocześnie zapędzając ją pod ścianę. Teraz dopiero poczuje, co to strach.

– Ile wiesz? – zapytała w końcu, skulona.

– Dość, by wyczuć smrodek twojego udziału.

Zadarła brodę.

– To, co zrobiłam, może i było nieetyczne, ale z pewnością nie łamało prawa.

– Nie łamało prawa?! – Zgadza się. Wrzasnąłem jej w twarz. Podmuchałem aż rozwiął jej włosy. – Ktoś na nią poluje, nie rozumiesz tego?!

– Jak to p o l u j e? – Na jej twarzy odmalował się szok. – Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. Nigdy nie posunęłabym się do nasłania kogoś na ciężarną kobietę. To wbrew wszelkim moim zasadom.

Rzuciłem jej pełne politowania spojrzenie. Święta się znalazła.

Uniosła brwi pod tytułem „żebyś wiedział, skurwielu”.

Postanowiłem wykreślić ją z listy podejrzanych. T y m c z a s o w o. Już i tak miałem na głowie matkę i tego całego Franka.

– Wmieszalaś się. – Nie ustępowałem.

– Odrobinę – odparowała. – Prawie w ogóle.

– Co zrobiłaś?

– Devvie...

– M ó w.

– To był pomysł twojej matki. – Wpiła paznokcie w pięści, czerwona jak burak. Nie mogła mi nawet w oczy spojrzeć.

– Co zrobiłaś? – zapytałem po raz tysięczny.

– Nie powiem, bo mnie znienawidzisz.

– Za późno. Już cię znienawidziłem. A teraz proszę po raz ostatni, zanim sprawię, że pożałujesz dnia, w którym się urodziłaś: mów, co takiego zaszło między dzisiejszym porankiem a wieczorem, że dziewczyna postanowiła mnie rzucić.

Na sekundę przed jej wyznaniem grzechów z pokoju wyszło całe powietrze.

– Zapłaciłam jej.

Stało się, powiedziała to. I momentalnie rozwiązał się jej język.

– To sprawka Ursuli, Devvie. Uparła się. Zegar tykał i... kompletnie puściły jej hamulce. – Gorączkowo kręcąc głową, wyciągnęła do mnie rękę. Odepchnąłem je.

– I?

– I wypisała jej czek na milion dolarów.

– Ja pierdołę.

– A Emmabelle go p r z y j ę ł a – dodała desperacko, zaciskając pięści na materiale mojej koszuli. – Wzięła czek, Devonie. Jak to o niej świadczy? Ona cię nie kocha. Nie potrzebuje. Nie dostrzega. A ja, ja codziennie usycham z miłości do ciebie – powiedziała w moją koszulę, nie mogąc spojrzeć mi w oczy. – Myślę o tobie, gdy się budzę i zasypiam. Wszędzie mi towarzyszysz. Kochanie cię jest dla mnie jak oddychanie. To odruch bezwarunkowy. Pozwól mi się kochać. Błagam. Daj mi szansę, a będę tym wszystkim, czego potrzebujesz.

– To niemożliwe. – Odsunąłem się. Zachwiała się lekko, tracąc oparcie. – Bo nie jesteś kobietą, którą kocham.

W jej okrągłych oczach stanęły łzy. Podeszedłem do stolika, podniosłem telefon i go jej podałem.

– A teraz zadzwonisz do swojego dyżurnego pilota i każesz mu grać maszynę, bo jeszcze dziś wracacie do Anglii. I nigdy więcej nie waż się

pokazywać w Bostonie. Dopóki ja żyję. Jeśli kiedykolwiek tu wrócisz...

Przerwałem, zastanawiając się nad tym. Makijaż spływał jej teraz po twarzy, przemieszany ze łzami. Wyglądała niemal komicznie, jak odnaleziony po latach członek Cradle of Filth.

Nie chciałem jej tak dowalać, ale nie miałem wyboru.

– Skarbie – szepnąłem, ujmując jej dłonie w swoje. – Nigdy się z tobą nie ożenię. Ani w tym życiu, ani w przysłym. Nawet gdyby nie było Emmabelle. Bo u mnie jest wszystko albo nic. Z nią chcę wszystkiego, z tobą... – Resztę mogła sobie dopowiedzieć. – A jeśli jeszcze raz spróbujesz poróżnić mnie z moją dziewczyną, a wierz mi, jest moją dziewczyną, choć jeszcze o tym nie wie, zniszczę twoją rodzinę i jej spuściznę. Dopilnuję, by wszyscy się dowiedzieli, że Byron zniszczył zabytkowy kościół, by zainstalować swoją kochankę o rzut beretem od siedziby rodowej. Ujawnię, że dał w łapę deputowanemu Donowi Dainty’emu za przepchnięcie ulgi podatkowej, no i nie zapominajmy o tym, że twój drugi braciszek gustuje w nieletnich. Twoja rodzina to jedna wielka degrengolada i nie zawaham się zdemaskować jej wszystkich grzechów, jeśli tu i teraz nie dasz mi słowa, że skończysz z tymi intrygami.

Tu należy zaznaczyć, że wyżej wspomniane brudy odkopał Sam Brennan z ekipą. Może jednak był wart swojej ceny.

Tym razem chyba dotarło. I to tak samo dobitnie jak przed laty do mnie, że nie obchodzę ojca. Wygląda na to, że teraz mógłbym powiedzieć to samo o całej swojej rodzinie.

Mama też mnie zdradziła.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Louisa wciąż była tą samą Louisa. Delikatnym, śnieżnobiałym piórkiem na wietrze. Ale z jej błyszczących dotąd oczu zniknęły iskierki, a usta się zacisnęły.

– Odpowiedz mi słowami – poprosiłem cicho, delikatnie rozwierając jej szczękę.

Słowa popłynęły jej z ust, jakby je miała na końcu języka.

– Rozumiem, że nie chcesz mnie więcej widzieć, Devonie.

I w tamtej chwili ujrzałem w jej oczach dogasający popiół, z którego, miałem nadzieję, odrodzi się jak Feniks, odnajdując inną miłość.

Odwrociłem się na pięcie, bo spieszyłem się na... samolot.

W drodze na lotnisko zostawiłem Emmabelle jeszcze parę wiadomości głosowych, od których włos się jeżył na głowie.

„Chyba straciłaś rozum, jeśli myślisz, że z ciebie zrezygnuję. Byłaś moja, odkąd cię ujrzałem. Nie wiedziałaś nawet o moim istnieniu. Przyszedłem wtedy do twojej siostry z do bólu rygorystyczną umową, której nie powinna była podpisywać”.

Oraz:

„Podczas naszej pierwszej wspólnej nocy w domku myśliwskim Cilliana już się zastanawiałem nad złamaniem danego sobie słowa, że nigdy się nie ożenię. Nie stracę kobiety, dla której byłem gotów to zrobić”.

Jak również:

„Kocham cię, do cholery”.

Mijając osiedla, wieżowce i spokojne ogniska domowe, których ciepła nigdy nie było mi dane zaznać, rozmyślałem nad słowami Louisy.

To prawda, Belle mnie nie kochała.

Bądź co bądź wzięła ten czek.

Ale ja kochałem ją i może to wystarczy.

Belle

Lat piętnaście

ZA CHWILĘ KOŃCZĘ SZESNAŚCIE LAT.

A moje życie jest nudne do porzygu. I niemal mi z tym dobrze.

Nie umawiam się z chłopcami. Nie wychodzę z nikim z wyjątkiem mojej siostry, Sailor i Rossa, ale aktorką jestem niezłą, więc cały świat myśli, że u beztroskiej i twardej Emmabelle Penrose wszystko gra.

W lepsze dni sama prawie w to wierzę.

Z kolei u trenera Lockena nie jest już tak różowo.

Po pierwsze, jego żona, Brenda, znów jest w ciąży, mimo że Stephen junior ma dopiero, ile tam, roczek z okładem. To samo w sobie dla dorosłych może i nie stanowi tragedii.

Ale fakt, że ma romans z jedną z nauczycielek, już nią jest.

Panna Parnell ma dwadzieścia dwa lata i jest u nas na zastępstwo – jak się okazuje, nie tylko w szkole, ale i w jego łóżku.

Zeszłotygodniowa scena pod bramą przejdzie do legendy. Nawet ja nie mogłam oderwać oczu od tego przedstawienia.

Brenda zajechała z piskiem opon i juniorem śpiącym na tylnym siedzeniu. Dorwała małą pannę Parnell i na oczach całej szkoły zdzieliła ją z liścia. Biedna panna Parnell nie miała żadnych szans i po prostu się rozplakała i wyła coraz głośniej. „Wiedziałaś, że zrobił mi drugie dziecko?!” – wrzeszczała Brenda. „Wiedziałaś o tym?! A wiedziałaś, że

rozstaliśmy się, kiedy byłam w ciąży ze Steviem? Bo ten drań wysłał mnie do matki pod pozorem dezynfekcji i deratyzacji domu przed narodzinami dziecka. Ale co weekend przyjeżdżał do Jersey dla tej cipki”.

Wow. Brenda wcale nie była słodką kobietką z tamtego zdjęcia zaręczynowego. Z drugiej strony pozbyłam się resztki skrupułów wobec trenera Lockena. Bo nie wybaczyłam i nie zapomniałam. Czekałam tylko na odpowiednią chwilę, by zniknąć z listy potencjalnych podejrzanych. I wtedy zaatakuję.

Teraz wracam ze szkoły i jest mi trochę lżej na duszy. Po pierwsze, po tej aferze Lockena wykopali ze szkoły, więc nie muszę już oglądać jego gęby. Po drugie, dwie ostatnie lekcje zostały odwołane, więc spędzę je na maratonie *The Ricki Lake Show* przy ravioli z mikrofali, czytaj: w rajcu.

Przed Persy jeszcze dwie lekcje, tata jak zawsze w pracy, a mama wreszcie zgodziła się na terapię, więc jest na drugim końcu miasta i nie wróci przed wieczorem.

Otwieram drzwi naszego mieszkania, wciąż napawając się trenerskim nieszczęściem. Ściągam plecak i trampki i przechodzę na bosaka przez salon. Ravioli może poczekać, najpierw siku. Wspomnienie poronienia jest świeże i nadal mam traumę przed każdą wizytą w toalecie, ale co robić.

Nieważne, ile czasu upłynie... Nieważne, jak potoczy się moje życie... Nigdy nie przestanę nienawidzić Lockena za to, co mi zrobił. Za to, co zrobił mojemu ciału. Jestem przekonana, że swoją brutalnością wyrządził mu jakąś permanentną krzywdę.

Mijam uchylone drzwi sypialni rodziców. Żadne zaskoczenie w domu, w którym żadne nigdy się nie zamykają.

Nagle moich uszu dobiega cichy jęk i przystaję w pół kroku.

O cholera. Rodzice są w domu.

I uprawiają seks.

Jest gorzej, niż myślałam. Ich miłość naprawdę nie zna granic. Niech mnie ktoś dobije.

Odwracam się na pięcie, by wrócić na palcach do kuchni i nasikać nawet do zlewu, byle tylko tego nie słyszeć i zafundować sobie kolejną traumę, gdy nagle słyszę głos ojca.

„Och, Sophio”.

„Sophio”? Kim, do diabła, jest Sophia?

Przecież mama ma na imię Caroline.

Co, do...?

Podkradam się pod drzwi i zaglądam przez szparę, mrugając.

Ojciec leży na łóżku, a na nim siedzi jakaś obca baba. Długie rude włosy. Szczupła sylwetka. Piegi na ramionach. Dosiada go jak ogiera.

Tata zdradza mamę.

Piękna bajka, w którą całe życie wierzyłam, okazuje się kłamstwem.

Wszyscy faceci to zdrajcy.

Wszyscy faceci to dranie.

Żadnemu nie można ufać.

Wymykam się z mieszkania i biegnę na dach, pokonując po trzy stopnie.

Nie skaczę, ale nie dlatego, że nie chcę.

Zostały mi rachunki do wyrównania.

A tata? Nigdy mu nie wybaczę.

Belle

KTOŚ MNIE ŚLEDZIŁ.

Zorientowałam się, gdy wyjechawszy na autostradę, zerknęłam w lusterko wsteczne i cztery auta za sobą zobaczyłam tego samego niepozornego czarnego sedana, co ileś kilometrów wcześniej.

Nie miałam pojęcia, kto to mógł być – Frank? Louisa? Matka Devona? Sam diabeł? – więc postanowiłam go zgubić.

To nie był najlepszy dzień, by umrzeć i zostać zakopaną w lesie.

Zlana potem przeskakiwałam z pasa na pas, próbując obmyślić jakiś plan. Jak pozbyć się tego ogona?

Nagle mnie olśniło.

Włączyłam prawy migacz, sygnalizując zamiar zjazdu na jedno z podbostońskich miasteczek, i ustawiłam się grzecznie w ogonku aut. Mój stalker zrobił to samo. Gdy zaświeciło się zielone światło, popełniłam wykroczenie i zamiast skręcić, dodałam gazu, przejeżdżając przez skrzyżowanie przy wtórze pisku hamujących opon i wyciu klaksonów.

Ale gdy się obejrzałam, czarny sedan szczęśliwie utknął w korku z piekła rodem, zakleszczony między autami.

Jechałam, jechałam i jechałam, nie zatrzymując się i nie wiedząc, dokąd zmierzam.

I jednocześnie dobrze to wiedząc.

Po raz pierwszy, odkąd skończyłam osiemnaście lat, znów mieszkałam z rodzicami.

Żarty się skończyły, a zostając w Bostonie, podpisywałam na siebie wyrok śmierci. Równie dobrze mogłabym sobie przyczepić na czole plaketkę „Idiotka”.

Niejedna osoba chciała mojej śmierci, a ja właśnie sygnowałam cyrograf z diabolicą na szpilkach.

Pora się zadekować i obmyślić plan działania.

Moi rodzice mieszkali w miejscu, gdzie seksapil wymarł, znanym też jako Wellesley w stanie Massachusetts.

Przed kilku laty rodzice ogłosili radosną nowinę, że wreszcie udało im się odłożyć pieniądze, by spełnić marzenie swojego życia i przejść na nudną emeryturę. Wyprowadzili się z Southie i kupili kolonialny dom w kolorze szafiowej zieleni z czerwonymi okiennicami i huśtawką na werandzie.

Nazywałyśmy go z Persy Domkiem z Piernika, ale tylko jedna z nas cieszyła się na myśl o spędzaniu w nim świąt i udawaniu szczęśliwej rodzinki.

– Och, Belly-Belle, jak wspaniale, że przyjechałaś! Szkoda tylko, że w takich okolicznościach. – Mama wyjrzała przez podwójne drzwi na podwórko za domem, posyłając mi przepraszający uśmiech.

Siedząc na brzegu basenu, który był ich oczkiem w głowie, zanurzyłam stopy w wodzie.

– Mamo, już ci mówiłam, że wszystko gra.

– Nic nie gra, skoro nie stać cię na czynsz.

Wyszła na patio z salaterką sałatki arbużowo-fetowo-miętowej.

Postawiwszy ją obok mnie, pogładziła mnie po zaokrąglonym brzuszku obleczonym żółtym lycrowym kostiumem.

– Przyjechałam, bo potrzebowałam zmiany otoczenia, nie dlatego, że nie stać mnie na czynsz. – Wybrałam sobie idealny kawałek arbuza, kwadratowy i kanciasty, i wrzuciłam sobie do ust. Był zimny jak lód. – Wszyscy błagali mnie, żebym zrobiła sobie przerwę w pracy. Ponoć całe dnie na nogach nie służą dziecku.

Mama nie wiedziała, że mam stalkera na karku.

Nie wiedziała o listach.

Nie wiedziała, że zamieszkałam z Devonem.

O n i c z y m nie wiedziała.

Nie powiedziałam jej, by ją chronić.

Fundowanie jej kolejnych powodów do zmartwień było bezsensowne, niemal okrutne.

Nie chciałam się z nią dzielić wszystkimi szczegółami mojej sytuacji z ciążą, boby nie rozumiała.

Szczerze, sama nie końca rozumiałam to, co mi się ostatnio przydarzyło.

– Na pewno wszystko w porządku? – Zaczęła rozplątywać kosmyki, które wkręciły mi się w kolczyk, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. – Jesteś tu już od paru dni i nadal nam nic nie wyjaśniłaś.

– Nie można po prostu przyjechać do rodziców odpocząć?

– Odkąd skończyłaś szesnaście lat, nie pamiętam wieczoru, żebyś nie wyszła się pobawić.

Jak by to powiedzieć, mamó: w tym wieku robiłam wiele rzeczy, byle tylko uciec od rzeczywistości.

Ale z drugiej strony imprezowałam na całego jeszcze pół roku temu, zanim w moim życiu pojawił się Devon, zmuszając mnie, żebym przystopowała i przyjrzała się sobie.

Włożyłam do ust kolejny kawałek arbuza, przyglądając się zza okularów jej połyskliwym czarnookim zuzannom wyciągającym łodyżki ku słońcu jak szyje.

– Wskocz ze mną na targ. Poznasz moich przyjaciół od brydza – kusiła.

– Co za reklama, mamó – wypaliłam, chowając dłonie pod pupę.

– Daj spokój, Belly-Belle. Przecież widzę, że coś cię dręczy.

– Widzisz? – Wbiłam wzrok w palce pod wodą, ściągając brwi. – Jakim cudem?

– Matka zawsze wyczuwa takie rzeczy.

Czy ja też będę czuła, że mojemu dziecku coś jest, nawet po jego urodzeniu? Zapali mi się jakaś czerwona lampka w mózgu? Wyłapię wibracje ziemi, zanim osunie się jej spod nóg?

– Tak – odparła, jakby czytała mi w myślach, i położyła mi rękę na plecach.

Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i wypłakać na jej kolanach. Stres i zmęczenie ostatnich miesięcy wreszcie dały mi w kość. Niezły poślizg, nie ma co.

Byłam na siebie zła za to, że przyjąłam ofertę Louisy i oczywiście bałam się swoich prześladowców, ale jeszcze bardziej tęskniłam za Devonem.

Tak strasznie, że nie byłam w stanie włączyć telefonu i sprawdzić, czy dzwonił.

Tęskniłam za jego chrapliwym, wytwornym śmiechem i skakaniem jego ciemnoblond brwi, gdy mówił.

Tęskniłam za jego pocałunkami i zmarszczkami w kącikach oczu, gdy się szelmowsko uśmiechał, i tym, że chłopaka ze spożywcza za rogiem

nazywał ekspedientem, jakby był on prezenterem BBC, a nie sprzedawcą mleka po zawyżonej cenie.

Jednym słowem, tęskniłam za nim całym.

Tak bardzo, że bałam się wracać do Bostonu.

Tak bardzo, że nie mogłam o d d y c h a ć.

Mama przytuliła mnie do piersi, całując w czoło.

– Ty też wyczujesz, kiedy twoje dziecko będzie coś gryzło, i wtedy mam nadzieję, że ci zawierzy i pozwoli sobie pomóc. Tak się składa, że ja wychowałam dwie silne i niezależne młode kobiety. Zwłaszcza ciebie. Zawsze byłaś wulkanem energii. Pomagałaś Persephone we wszystkim: w szkole, w odrabianiu lekcji, w życiu towarzyskim, zanim ja do niej docierałam. Można powiedzieć, że masz już doświadczenie rodzicielskie. Będiesz cudowną matką, Belly-Belle, i odkryjesz najsmutniejszą tajemnicę świata.

– Hmm? – wymruczałam pytająco w jej bluzkę.

– Że jesteś tylko tak szczęśliwa jak twoje najnieszczęśliwsze dziecko.

Pocałowała mnie jeszcze raz w głowę.

– Zawierz mi, Belle.

– Poradzę sobie z tym, mamo.

Odsunęła się i trzymając mnie za ramiona, zajrzała mi głęboko w oczy.

– Więc weź byka za rogi. Nie uciekaj przed tym, cokolwiek to jest. Bo teraz musisz pamiętać o kimś jeszcze.

Przycisnęłam rękę do brzuszka.

Książątko odpowiedziało kopnięciem.

Nie dam ci zrobić krzywdy, maleńka.

Dwadzieścia minut po wyjściu mamy na brydża (na samą myśl o tym za każdym razem przybywało mi lat) zgarnęłam pustą salaterkę i wróciłam do

środku. Przed paroma dniami siadła klima i jeszcze jej nie naprawili, więc w domu można się było ugotować. Nie wspominając o ziejącej dziurze wielkości kanału ściekowego na tyłach.

Nie mogłam się przyzwyczaić do tego miejsca. Ten dom, choć stary, mnie nadal wydawał się nowy, bo niewypełniony wspomnieniami, nostalgią, zapachami dzieciństwa. Umyłam salaterkę, rozmyślając o słowach mamy i braniu byka za rogi.

Ostatnie dni dużo mi rozjaśniły.

Nie chciałam tego miliona dolarów. Chciałam Devona.

I zmęczyło mnie uciekanie przed moim prześladowcą, kimkolwiek był. No i potrzebowałam pomocy Devona.

Tak, wreszcie to do mnie dotarło: potrzebowałam pomocy. Sama nie dam rady. I ze zdumieniem odkryłam, że wcale się tego nie wstydzę. Może rzeczywiście nareszcie wyrosłam z tamtej dziewczynki, którą trener Locken tak bardzo skrzywdził przed laty.

Drzwi frontowe się otworzyły i trzasnęły i dom wypełnił się pogwizdywaniem ojca.

John Penrose umiał zagwizdać od początku do końca każdą piosenkę, która wyszła w okresie od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego do dwutysięcznego roku, i to jak wirtuoz. W dzieciństwie nieraz grałyśmy z Persy w domową edycję *Jaka to melodia*. Czasami pozwalałam jej wygrać. Ale nie za często.

– Kochane, wróciłem!

Wkroczył do kuchni, wysoki, dobrze zbudowany i nadal na swój sposób przystojny – taka mniej pomarszczona wersja Harrisona Forda. Położył płócienną torbę cytryn na blacie obok mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Cześć, słoneczko. – Pocałował mnie w czoło, podciągnął pas na rosnącym piwnym brzuszku i otworzył z rozmachem lodówkę, wyławiając swoje wieczorne piwko. – Gdzie mama?

– Wyszła. – Oparłam się o blat, wycierając ręce ściereczką. Więcej mu nie powiedziałam. Do dziś wszystkiego mu o niej nie mówię, żeby wyglądała na bardziej tajemniczą i intrygującą. Ale to na nic. Mama zawsze była dla ojca jak otwarta księga – czytelna, nieskomplikowana i dostępna.

Słowem, kobietą, którą ja nie chciałam być. Zawsze brał jej miłość za pewnik.

Zamknął lodówkę i otworzył sobie jasne lekkie, opierając się o przeciwległy kraniec blatu.

– Co dobrego powiesz, córeczko? Jak tam maleństwo? – Pociągnął z butelki.

„Weź byka za rogi” – usłyszałam w głowie głos mamy.

No i poszło.

– Zdradzałeś mamę.

To zabrzmiało tak prozaicznie, te dwa słowa tak łatwo przeszły mi przez gardło. Ale uśmiech na twarzy ojca nawet nie drgnął.

– Słucham?

– Zdradzałeś mamę – powtórzyłam, nagle czując puls w każdym zakątku ciała: w szyi, nadgarstkach, za oczami, w palcach stóp. – Nie próbuj zaprzeczać. Widziałam was.

– Widziałaś? – Odstawił piwo na blat, krzyżując nogi i zakładając ręce na piersi. – Kiedy i gdzie, jeśli mogę zapytać? Bo jakoś nie zauważyłem, żebyśmy się obracali w tych samych kręgach.

Sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż przestraszonego, ale w jego głosie nie było śladu agresji.

– W waszym łóżku. Ta dama miała ciemnorude włosy. I przez tę damę mam oczywiście na myśli szmatę. To było jeszcze w Southie.

Na te słowa cała krew odpłynęła mu z twarzy. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Emmabelle – wyszeptał. – To było...

– Piętnaście lat temu – dokończyłam. – No.

– Jak...?

– Wróciłam wcześniej ze szkoły i was nakryłam. Nie powiedziałam ci, bo się bałam. Ale widziałam, jak cię ujeżdża. Słyszałam, jak szepczesz jej imię. I nigdy nie zapomniałam. To co tam słyszeć u S o p h i i?

S o p h i a.

Kobieta, którą widywałam w supermarketach i na ruchomych schodach w Targecie. Zdzira, która de facto zniszczyła małżeństwo mojej niczego nieświadomej mamie. Spędziłam wiele bezsennych nocy, pałając żądzą mordy. Kiedy indziej zastanawiałam się, czemu taka jest. Czemu uwodzi zajętych mężczyzn.

– Ja... – Rozejrzył się wokół siebie, totalnie zagubiony, jakbyśmy się nagle teleportowali z powrotem do tamtego pokoju. – Nie wiem. Od lat się z nią nie kontaktuję. O d l a t.

Sięgnął za plecy, by złapać się blatu, i strącił butelkę na podłogę. Rozbiła się, a strużka złocistego płynu rozdzieliła nas jak rzeka.

– Od ilu? – zapytałam.

– Piętnastu!

– Nie kłam mi tu, John.

– Od dziesięciu. – Zamknął oczy, przełykając z trudem. – Nie widuję się z nią od dziesięciu lat.

Był z nią do dwudziestego pierwszego roku mojego życia.

To nie była jednorazowa przygoda, tylko romans. No jasne. Przypadkowej baby nie sprowadziłby do domu.

– Dlaczego? – zapytałam.

Chciałam się dowiedzieć, czego mu tak w życiu brakowało. Mama była piękna, lojalna, dobra. Urodziła mu dwie udane córki. Pewnie, mieliśmy swoje problemy jak każdy – z kasą, nowotworem ciotki i tak dalej. Życie. Ale zawsze je razem przewyciężaliśmy.

– Dlaczego zdradzałem mamę? – zapytał zmieszany.

– Tak. Chcę wiedzieć.

Żadne z nas się nie ruszyło, by posprzątać podłogę.

Pocierając kark, oderwał się od blatu i zaczął nerwowo się przechadzać pod obstrzałem moich spojrzeń.

– Posłuchaj, przechodziliśmy wtedy trudny okres, okej? Gdy twoja mama zrezygnowała z pracy, by zająć się najpierw wami, a potem ciotką Tildą, niech spoczywa w pokoju, stałem się jedynym żywicielem rodziny. Rachunki, dzieci do wykarmienia, raty kredytu i ubezpieczenia spoczywały na moich barkach. Persy chodziła na balet, ty trenowałaś biegi. To wszystko się nawarstwiło i po prostu... – Przerwał, rozrzucając bezradnie ręce. – Zacząłem tonąć. Twoja mama nie chciała mnie dotknąć. Miałem takie wyrzuty sumienia, że bałem się ją nawet o to prosić. Codziennie patrzyła, jak jej siostra niknie w oczach. Czułem się bardziej jak pracownik tego domu niż jego pan. I wtedy poznałem Sopię.

– Rozumiem, że w tej bajce jest jakiś morał – mruknęłam sarkastycznie. Zignorował szpilę.

– Pracowaliśmy w jednym biurowcu. Zaczęło się niewinnie, od wspólnych przerw na lunch.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się z goryczą, jakby chodziło o mnie. Jakby to Devon mnie zdradził.

Devon nie jest twój. Żeni się z inną i to już wkrótce. Podrzyj czek i błagaj o przebaczenie albo zapomnij o nim.

– Przechodziła przez ciężki rozwód – tłumaczył się tata.

– Rozwody z reguły nie są radosnymi wydarzeniami – odparowałam. – No i musieliście to robić w łóżku mamy. Masz jaja. Dosłownie i w przenośni.

– Emmabelle – zrugął mnie cicho. – Możesz wierzyć lub nie, ale w głębi ducha chciałem zostać przyłapany. Pozwól mi dokończyć.

Niechętnie, ale zacisnęłam usta.

– Byliśmy dla siebie wsparciem. Jej życie waliło się w gruzy, ja też goniłem resztką sił. Przez te wszystkie lata małżeństwa twoja matka i ja powoli się od siebie oddalaliśmy i w końcu zapomniałem, co to partnerstwo i namiętność. Ale wszystko było skomplikowane. Nadal ją kochałem i chciałem wierzyć, że jeszcze ją odzyskam. Że to tylko przejściowy stan zawieszenia w naszej miłości.

O czym ten człowiek, do diabła ciężkiego, mówił? Miłość nie jest czymś, co można „zawieszać” i „odwieszać”, kiedy nam wygodnie. To nie cholerny płaszcz.

– Chronologia ci się nie zgadza. – Wysiliłam się na sardoniczny uśmiech. Ciocia Tilda umarła, kiedy byłam jeszcze nastolatką, a ojciec zerwał z Sophią, jak miałam dwadzieścia lat.

– Życie dyktuje swoje tempo – przyznał. Schylając się, by pozbierać co większe odłamki szkła, popatrzył na nie, jakby miał ochotę poderznąć sobie gardło.

– Chciałabym być tak wyrozumiała dla siebie jak ty – mruknęłam.

– Nie jestem dla siebie wyrozumiała. Od dawna się za to nienawidzę. Po śmierci twojej ciotki wiele razy próbowałam zerwać z Sophią. Czasami

mi się nawet udawało. Ale zawsze wracała. I w trudniejszych momentach czasami przyjmowałem ją z powrotem.

– Jesteś śmieciem. – Nie przypuszczałam, że takie słowa kiedyś popłyną z moich ust. Nie dlatego, że dosadne słownictwo było mi obce (bo absolutnie nie było), ale dlatego, że po raz pierwszy kierowałam je do kogoś z rodziny. Rodzina była dla mnie świętością. Do teraz.

– Byłem nim – przyznał. – Ale po dziewięciu latach wreszcie udało mi się od niej uwolnić. Rzuciłem pracę. Zmieniłem zamki w drzwiach. Zagroziłem jej, że jeśli zbliży się do twojej matki albo piśnie jej choć słowo, to zamienię jej życie w piekło.

– Milutko.

Wyrzucił szkło do kosza pod zlewem, trącając butem resztę odłamków.

– Skoro od początku wiedziałaś, czemu nie powiedziałaś matce?

– A skąd wiesz, że tego nie zrobiłam?

– Bo już dawno by mnie zabiła. – Nie spuszczać ze mnie oczu, sięgnął do schowka po mopa, by zetrzeć rozlane piwo. – I odeszła. W odwrotnej kolejności.

Prychnęłam.

– Akurat.

– Jak to? – Zaczął sprzątać.

– Mama nigdy by od ciebie nie odeszła. Dlatego jej nie powiedziałam – warknęłam, tracąc w końcu panowanie nad emocjami.

Nie powstrzymał mnie przed tym żaden altruizm. Wcale nie powiedziałam jej dlatego, że chciałam ją chronić.

Bałam się, że z nim zostanie i nie będę mogła jej spojrzeć w oczy.

Że będę tak nią rozczarowana, tak zła na jej decyzję, że to się odbije na naszej relacji.

Nie ufając jej osądowi, pozbawiałam ją prawa do decydowania o własnym życiu.

– Odeszłaby. – Tata przestał ścierać i przymknął oczy, opierając czoło o kij mopa. – Na pewno. Już wcześniej o tym myślała.

Zgarbiony, zwiesił głowę i... się rozpłakał.

Osuwając się przede mną na podłogę.

Upadając kolanami w złocistą kałużę piwa.

Mój ojciec nigdy nie płakał.

Ani po śmierci ciotki, ani po śmierci dziadków, ani nawet na ślubie Persephone.

To nie było w jego stylu. To nie było w naszym stylu. A teraz szlochał jak dziecko.

– Przepraszam, Belly-Belle. Niczego nigdy tak nie żałowałem jak tego. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak musiałaś się wtedy czuć.

– To było straszne.

Ale chyba nie tak straszne jak oglądanie go w tym stanie.

Po części wciąż go nienawidziłam za zaszczepienie mi spalonego obrazu związku, jednak to on był osobą, która się o nas troszczyła.

Która kupowała mi wszystko, co tylko chciałam – oczywiście w miarę możliwości – i która pomogła mi spłacić kredyt studencki.

Był jednym z pierwszych inwestorów Madame Mayhem, a raz nawet dał w dziób jakiemuś oblechowi, który się do mnie przystawiał na rodzinnych wakacjach na Cape Cod.

Nie zamykał mnie w windach kuchennych, nie bił i nie zaniedbywał.

Dał plamę, ale nigdy mnie świadomie nie zwichrował.

– Jeśli to jakaś pociecha, to jeszcze długo po rozstaniu z Sophią nie mogłem jeść, nie mogłem spać ani nawet normalnie funkcjonować. Po paru

latach wreszcie powiedziałem o wszystkim twojej matce.

– Jak to, ona wie?! – Złapałam go za kraciatą koszulę i niemal uniosłam. Miał napuchnięte, przekrwione oczy. – Przecież powiedziałaś, że zostawiłaby cię, gdyby się dowiedziała.

– Bo mnie zostawiła.

– Nigdy mi o tym nie mówiła.

– A ty jej o wszystkim mówisz? – Posłał mi znaczące spojrzenie spod uniesionej brwi.

Słuszna uwaga.

Potał się kłykciami po policzku.

– Wyrzuciła mnie z domu tuż po twoim dyplomie. Obie z Persy już dawno wyfrunęłyście z gniazda. Myślę, że czekała z tym, żeby nie fundować wam traumy. Przez osiem miesięcy wynajmowałem mieszkanie dwie przecznice dalej, próbując ją odzyskać.

– Brawo mama – mruknełam. – Mam nadzieję, że odpłaciła ci pięknym za nadobne.

– Miała dwumiesięczny romans z instruktorem jogi z miejscowego YMCA. Kiedy do siebie wróciliśmy, na sam widok tego miejsca robiłem się czerwony ze złości i poprzysiągłem sobie, że wyprowadzimy się stamtąd najdalej, jak się da.

– A więc to dlatego padło na przedmieścia?

Skinął głową.

– Dlaczego przyjęła cię z powrotem? – Zdałam sobie sprawę, że wciąż trzymam go za koszulę, ale to mi nie przeszkodziło ścisnąć jeszcze mocniej.

– Napotkała pewną niedogodność.

– Jaką?

– Przypomniała sobie, że mnie kocha i tym rozstaniem karała nie tylko mnie, ale i siebie.

Puściłam go, zataczając się do tyłu.

Na te słowa wezbrała we mnie nowa fala tęsknoty za Devonem. Czyż nie to właśnie robiłam? Karałam nas oboje, bo tak bardzo bałam się miłości? Obdarzenia kogoś zaufaniem?

Związek moich rodziców był daleki od doskonałości, zaśmiecony kiepskimi latami, nielojalnością i „tymi innymi”.

A. Mimo. To. Byli. Razem.

– Mam nadzieję, że z czasem mi wybaczysz – powiedział. – Ale gdyby tak się jednak nie stało, to pamiętaj, Belly-Belle, że sam sobie nigdy nie wybaczę.

Mój mózg potrzebował dłuższej chwili, żeby to wszystko ogarnąć.

– Dzięki za rozmowę. To ja sobie teraz pójdę pokrzyczeć w poduszkę – oznajmiłam, biorąc pod pachę torebkę precli z polewą czekoladową i udając się do swojej prowizorycznej sypialni w pokoju gościnnym.

W tym samym kanarkowym kostiumie.

Zatrzymałam się na schodach i uczepiona poręczy, odwróciłam głowę, obrzucając go ostatnim spojrzeniem.

Stał na środku otwartej kuchni z mopem w ręku.

– Jeszcze jedno pytanie. – Odchrząknęłam.

– Tak?

– Czemu Sophia była tak... tak skrzywiona, żeby zabierać się za cudzych facetów? – wycodziłam.

– Nie mogła mieć dzieci – odparł posepnie. – To dlatego mąż od niej odszedł. Trzy miesiące po rozwodzie ożenił się z inną, z którą dochował się trzech synów.

Biedna Sophia też przestała wierzyć w miłość.

I ostatecznie przegrała.

Może właśnie na tym polega porażka: na braku wiary w miłość.

Belle

Lat osiemnaście

DZIWNA SPRAWA, TA OBSESJA.

Czasami czujesz się jak w niebie.

A czasami jak na samym dnie piekła.

Artyści na przykład. Mają obsesję na punkcie swojej twórczości, co nie? Stonesi, Beatlesi, Spielberg.

Urabiają się po łokcie, dopracowując swoje dzieło do ostatniej nuty, słowa w scenariuszu, ujęcia. Bez obsesji ani rusz.

Ale są też inne jej rodzaje.

Weźmy na przykład mnie. Przez całe lata żyłam ze strasznym, mrocznym sekretem. Mój trener biegów przełajowych molestował mnie seksualnie, a na koniec zgwałcił. I przez cały ten stres i traumę poroniłam.

Tego rodzaju obsesja już nie jest taka fajna.

Ostatnie trzy lata spędziłam na planowaniu zemsty i ten dzień wreszcie nadszedł.

Przez cały ten czas miałam Lockena na oku.

Przeprowadził się z Bostonu na Rhode Island, by zacząć od nowa. Brenda zostawiła go tuż przed narodzinami ich drugiego syna, Marshalla. Wróciła do New Jersey i wyszła za niejakiego Pete'a. Dochowali się córeczki. Chyba jest szczęśliwa. A przynajmniej na tyle, na ile można być szczęśliwym po tylu przejściach z byłym mężem.

Wiem, że Locken rzadko odwiedza synów. Że znalazł pracę w szkole na Rhode Island i ma nową dziewczynę o imieniu Yamima.

Oraz to, że nadal molestuje seksualnie młode dziewczęta.

Typowe zachowanie obsesjonatów. Kopia, kopia i kopia, dopóki nie zedrą sobie paznokci do krwi.

Zaczynam węszyć. Wchodzę na profile jego zawodniczek.

Piszę o nim posty. Wrzucają fotki.

Mają zamknięte grupy na jego temat.

Jedna chwaliła się nawet koleżankom, że zrobiła mu laskę w biały dzień po jakimś apelu, tacy byli na siebie napaleni.

Innymi słowy: mam czyste sumienie. Steve Locken nie zasługuje na to, by żyć.

I tu zaczynają się schody. Nigdy nikogo nie zabiłam. Ale przez ostatnie trzy lata parę razy w tygodniu chodziłam na krav magę i podkradam ojcu jego glocka dwadzieścia dwa, z którego strzelam w lesie do ustawionych na pieńkach puszek. W Massachusetts obowiązują surowe prawa dotyczące posiadania broni palnej, ale tato pracował dawniej w organach ochrony porządku publicznego, więc ma przywileje.

Ten sam glock jedzie teraz ze mną w torebce na Rhode Island.

Jest piękny letni dzień. Za parę dni wyjeżdżam na studia. Wiem, że Yamima, dziewczyna Steve'a, jest na jakiejś konferencji agentów nieruchomości. Pokój hotelowy dzieli ze swoim kolegą po fachu, niejakim Bradem, który jest na tyle głupi, by chwalić się tym na Facebooku.

Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Steve będzie sam w swoim pięknie odnowionym bungalowie. Co wieczór ogląda kanał sportowy w towarzystwie dwóch puszek piwa. Obserwowałam go przez całe lato, ukryta w pobliskich krzakach. Rodzicom powiedziałam, że pracuję na dwie zmiany w burgerowni, żeby zarobić na college.

Steve nie ma w domu ani jednej kamery. Pewnego dnia podsłuchałam, jak tłumaczy Yamimie, że wszystkie są podłączone do internetu, a on nie chce, żeby transmisja trafiła w niepowołane ręce.

Wstaje codziennie o piątej czterdzieści pięć i punkt szósta robi sobie dwunastokilometrową przebieżkę.

Więc dziś, gdy drzwi garażowe się podnoszą i wyjeżdża autem na szlak, zakradam się do środka. Otwieram wszystkie butelki corony premium z garażowej lodówki i zaprawiam piwo sproszkowanym środkiem nasennym i trutką na szczury, a następnie wyjmuję nowe zakrętki, które ze sobą przyniosłam, zakręcam butelki i odstawiam je do lodówki.

Gdy wracam na miejsce zbrodni, dochodzi północ.

Obchodzę bungalow, przedzierając się przez gęste krzaki otaczające jego basen. Przez podwójne drzwi tarasowe widzę go śpiącego przed telewizorem, czyli prochy i gorzała zrobiły swoje. W rękawiczkach i kominiarce ostrożnie forsuję zamek wytrychem, nie spuszczając oka z nieprzytomnego Steve'a.

Otwieram drzwi i podchodzę do niego. Leży rozwalony na kasztanowej sofie przed włączonym telewizorem. Ściągam rękawiczkę i podkładam mu pod nos palec wskazujący, sprawdzając, czy oddycha.

Jeszcze żyje. Szkoda.

Nie użyję broni, jeśli nie będę musiała. Za dużo krwi, a poza tym to ryzykowne. Lepiej sfingować wypadek.

Steve zawsze powtarzał, że złe podejście jest jak przebita opona. Jeśli jej nie zmienisz, daleko nie zajedziesz. Ogarniam się zatem i wymyślam plan.

Kucam, podnosząc mu głowę. Jest ciężka i twarda. Jasne, że mam wielką ochotę zrobić jak na filmach. Przywiązać go do krzesła i wszystko mu wygarnąć. Splunąć mu w twarz i obić mordę, krążąc wokół niego

w trzynastocentymetrowych szpilkach. Żeby płakał, błagał o litość i zeszczał się w spodnie.

Ale nie mogę ryzykować, że mnie złapią, nie teraz, gdy wreszcie zaczynam układać sobie życie. Może i nigdy nie wybaczę mężczyznom tego, jacy są – ten statek chyba odpłynął – nigdy nie wyjdę za mąż, nie zakocham się, nie dam szansy nikomu z penisem, ale przecież trzeba żyć.

Podtrzymując mu głowę, sadzam go w zgarbionej pozycji, zastanawiając się, co by było, gdyby wpadł przypadkiem na szklaną ławę przed sofą. Następne minuty upływają mi na przesuwaniu jego bezwładnego ciała tak, by głowa znalazła się na wysokości ostrej szklanej krawędzi.

Następnie staję za sofą, chwytam go za ramiona i z całej siły ciskam nim o ławę. Zgodnie z obliczeniami jego głowa rozbija się o jej brzeg. Wszędzie leżą odłamki szkła, a Steve leży w kałuży krwi, twarzą do dołu.

Podczas całej tej operacji nawet nie drgnął, więc pewnie nie był nawet świadom, że umiera. Wielka szkoda, ale pocieszam się, że nawet jeśli nie wiedział, za co płaci życiem, przynajmniej nikogo już nie skrzywdzi.

– Żegnaj, skurwielu. Mam nadzieję, że będziesz się smażyć w piekle.

Wyślizguję się niezauważona i wracam do Bostonu.

Do nowego życia.

Do nowej siebie.

Devon

– PANIE WHITEHALL, PAŃSKI WÓZ CZEKA.

Rozsiadłem się na tylnym fotelu efektownego wozu, nie przestając warczeć na Sama przez telefon po drugiej stronie wielkiej wody.

– Zapewniałeś, że Simon ma superreferencje. – Wiedziałem, że zachowuję się jak a) oskarżyciel w sądzie, b) wkurwiony panicz i c) skończony wariat. – Facet gówno umie, kropka. Gdzie się podziewał, kiedy Belle została zaatakowana? I była śledzona?

Czułem się jak nadopiekuńcza matka próbująca przekonać komisję kwalifikacyjną, że jej Mary-Sue zasługuje na stypendium. Nie wiedzieć kiedy z pragmatycznego bon vivanta zamieniłem się w rozhisteryzowaną, tępą babę.

Młody szofer usiadł za kółkiem rolls royce'a phantoma. Mama uwielbiała się nim wozić przed paparazzi i założyłem się, że teraz też bardzo na nich liczyła. Nie miała pojęcia, że przyjechałem przeczołgać ją po podłodze w stylu Hulka i zamiast radosnej nowiny o zaręczynach przekazać bardzo złe wieści.

– Był dokładnie tam, gdzie miał być – odparował rzeczowo Sam. – W Madame Mayhem, którą sam mu wyznaczyłeś na teren działania. A co, chciałeś, żeby się za nią włóczył?

Tak.

– Nie – prychnąłem, wydłubując sobie nieistniejący brud spod nieskazitelnie czystego paznokcia. Szofer wyjechał z Heathrow, od razu

ładując się w legendarne londyńskie korki. Kochałem naszą stolicę, ale trzeba przyznać, że wszystkie dzielnice na zachód od Hammersmith powinny zostać odcięte grubą krechą i oddane w prezencie Slough. – Ale za każdym razem, gdy pakowała się w kłopoty, jakimś dziwnym trafem nie było go w pobliżu.

– Bo musiał porządkować pieprzone papiery, żeby mieć pretekst do przesiadywania z nią w biurze! To wysoce wykwalifikowany agent CIA, a nie jakaś archiwistka. – W słuchawce rozległ się łomot, jakby Sam walnął pięścią w jakiś niezidentyfikowany obiekt, roznosząc go w pył.

Oderwałem telefon od ucha, gapiąc się nań ze zmarszczonymi brwiami. Niedawno (czytaj: dziesięć minut temu) postanowiłem rzucić palenie, gdyż zdrowie mojego dziecka było dla mnie milion razy ważniejsze niż jakikolwiek zgubny nałóg. No i najwyższa pora, żeby w moim domu przestało śmierdzieć jak w pieprzonym klubie ze striptizem.

– Tak czy siak – rzuciłem chłodno – chcę wiedzieć, gdzie ona jest. Co dla mnie masz? Oby coś.

– Jest u rodziców.

– I...?

– I jest bezpieczna.

– Nie cierpi swojego ojca – mruknąłem bardziej do siebie niż do niego. Ta mała diablica może i zasługiwała, by trochę pocierpieć z nim pod jednym dachem, ale zaczynałem się o niego bać.

– Kompleks tatusia, co? – Sam zarechotał ponuro. – Cóż za niespodzianka.

– Odwal się.

– I vice versa, s t a r y – odparował z niezbyt pasującym do sytuacji, acz osobliwie płynnym australijskim akcentem.

– Pudło, nie ten kontynent, debilu. Dopilnuj, by tym razem jej nie spuszczała jej z oka – ostrzegłem. – Bo jeśli znów ją zgubią, to polecą głowy.

– Czyje?

– Na pierwszy ogień pójdzie twoja.

– To groźba? – zapytał.

– Nie – odparłem spokojnie. – Obietnica. Boston może i przed tobą drży, Brennan, ale ja na pewno nie. Moja dama ma być bezpieczna albo poznasz, co to mój gniew.

W słuchawce zapadła cisza, jakby się zastanawiał, czy iść ze mną na wojnę, czy po prostu machnąć ręką.

– Posłuchaj, ona prawie nie wychodzi z domu – powiedział w końcu. – I sądzę, że nie ma sensu go obstawiać. Sytuacja wygląda tak, że tylko garstka ludzi wie, gdzie ona jest, a tłumy w ogródku tylko ściągęłyby niepotrzebną uwagę.

A to mnie zaskoczyła. Belle była taką imprezowiczką, że bez problemu urządziłaby publiczną orgię w Watykanie, a nie wyobrażałem sobie domu jej rodziców jako jaskini rozpusty. Niemniej to była dobra wiadomość. Porozmawiam sobie z nią, gdy wrócę, czyli za jakieś dwadzieścia cztery godziny.

– Niech ci będzie, żadnej obstawy.

– Alleluja.

– Robienie z tobą interesów to czysta nieprzyjemność.

Rozłączył się bez słowa, debil.

Rozsiadłem się na skórzanym fotelu, bębniąc palcami w kolano ze wzrokiem wbitym w szybę. To stare, bure miasto przeżyło wojny, zarazy, pożary, ataki terrorystyczne oraz kadencję Borisa Johnsona jako burmistrza

(to nie deklaracja polityczna; gość jest po prostu zbyt ekscentryczny, by nadawać się na więcej niż klauna do wynajęcia).

Przypomniałem sobie swoje bostońskie pożegnanie z Louisa, jej czerwone oczy, zdławiony głos, przygarbioną sylwetkę. Pomyślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę, nie przeproszę, nie będę się z niczego tłumaczył – i zrobiło mi się lżej na sercu. Skończyłem z wyrzutami sumienia za decyzję, którą podjąłem jako osiemnastolatek.

Tak, to nie było fair.

Ale mój ojciec nie był fair względem m n i e.

Przez całe dorosłe życie karałem się za to, co jej zrobiłem, odmawiając sobie szczęścia u boku kobiety. Najwyższa pora sobie wybaczyć.

Pokaż mi człowieka, który nigdy nie zgrzeszył, a pokażę ci kłamcę.

– Sir... – Młodzieniec za kółkiem spojrzał na mnie we wstecznym lusterku.

Odwróciłem się od szyby, unosząc brew.

– Czy mogę pana o coś zapytać?

Mówił gwarą londyńską, którą słyszy się już tylko w filmach.

– Słucham?

– Jak wypada Boston w porównaniu z domem?

Zastanówmy się.

Pogoda – lepsza.

Metro – duuuużo gorsze.

Ludzie – takie same aroganckie snoby.

Kulturalnie Londyn przewyższał Boston.

Kulinarnie Boston wygrywał z Londynem.

Ale w ostatecznym rozrachunku to wszystko się nie liczyło.

– Boston to mój dom – usłyszałem swój głos. – Ale Londyn zawsze będzie moją kochanką.

I właśnie w tej chwili uzmysłowiłem sobie, że dom był tam, gdzie była Emmabelle Penrose, i że kochałem tę nieprzewidywalną, wnerwiającą, irytującą kobietę. Że Sweven była kimś więcej niż tylko kolejnym podbojem, zabawką czy króliczkiem, za którym goniłem dla samej przyjemności gonienia. Była szczytem marzeń. Kobieta mojego życia. T a j e d y n ą.

Nawet jeśli nie była tego świadoma.

Musiała się dowiedzieć.

Musiałem wyznaczyć jej miłość.

Można powiedzieć, że złożyłem matce niezapowiedzianą wizytę. Nie dlatego, że na mnie nie czekała – bo czekała – ale dlatego, że niezgodnie z prawdą napomknąłem jej, że zanim do niej dotrę, wpadnę jeszcze do starego kumpla w Surrey.

Każdy, kto mnie znał, wiedział, że nie utrzymuję kontaktów z nikim z dawnych lat. Ale mama tak naprawdę mnie nie znała, więc to łyknęła.

Co gorsza, ja też już jej nie poznawałem.

Ale za chwilę zobaczę jej prawdziwą twarz.

Pojawię się bez zapowiedzi w drzwiach Whitehall Court Castle i przekonam się, jak wygląda prawda.

Pchnąłem imponujące podwójne drzwi. Drogę momentalnie zastąpiło mi dwóch spanikowanych służących.

– Sir, milady nie jest gotowa na pańskie przyjęcie!

– Panie Whitehall, błagam!

– Mój zamek, moja sprawa. – Wparowałem do salonu, stukając mokasynami w złotą marmurową podłogę. Belki nad moją głową zaczęły

mnie osaczać jak drzewa w lesie.

– Devon! – zawołała mama, zrywając się z dziewiętnastowiecznej wiktoriańskiej francuskiej kanapy z kieliszkiem szampana w dłoni.

Znieruchomiałem, przyglądając się z niedowierzaniem scenie przed moimi oczami.

W salonie kłębili się służący, wynosząc bezcennego Rembrandta i drogie meble, by wewnątrz wydawało się skromne i biedne. Przy fortepianie siedziała Cecilia, która bynajmniej nie wyglądała na biedaczkę na granicy samobójstwa, lecz kogoś, kto jest gotów zabić, gdyby ośmielono się zakłócić mu wypoczynek. Miała na sobie najmodniejszą sukienkę od Prady, a tuż obok przycupnęła rzekoma zmora jej życia, czyli Drew, i bawił się jej blond włosami.

– Devon? – powtórzyłem szyderczo, podchodząc do matki. Odstawiła kieliszek i przegoniła służbę, próbując zatrzeć swoje grzeszki. Chciała, bym myślał, że dom jest ogołocoony i zaniedbany, a jej samej głód zagląda w oczy. – A co się stało z „Devviem”?

Gdy za ostatnim służącym zamknęły się drzwi, rzuciła mi się w objęcia, szlochając teatralnie.

– Jak dobrze cię widzieć! Spodziewaliśmy się ciebie dopiero pod wieczór. Jak się miewa twój przyjaciel z Surrey?

– Mój przyjaciel z Surrey nie istnieje, więc ciężko orzec – odparłem śpiewnie. Uwalniając się z jej objęć, podszedłem niespiesznie do barku na kółkach w stylu regencji i nalałem sobie porządną szklaneczkę brandy.

– To nie tak, jak myślisz. – Teraz to Cece zerwała się od fortepianu i podbiegła do mnie, nerwowo wykręcając w rękach sukienkę, czerwona jak burak. – To znaczy może trochę, ale po prostu chcieliśmy, żebyś zobaczył, jak nam ciężko. Bo j e s t nam ciężko.

Wychyliłem brandy i wymierzyłem w nią pustą szklaneczką.

– Chcesz się zabić? – zapytałem bez ogródek.

Aż się skrzywiła.

– Ja... eee... nie.

– A chciałaś?

– Miewałam gorsze chwile... – wydukała, przestępując z nogi na nogę.

– Takie jest życie. Ale nie o to pytałem.

– Nie – przyznała wreszcie.

Przeniosłem wzrok na jej męża, który dźwignął się z trudem i przyczłapał do nas w swojej różowej jedwabnej piżamie, która tylko podkreślała jego tłuste udka. I o tych ludzi martwiłem się przez dwadzieścia lat. Im wysyłałem czeki i listy.

– Drew... Mogę ci mówić Drew? – zapytałem z promiennym uśmiechem.

– Cóż, ja...

– Nieważne. Zapytałem z grzeczności. Będę cię nazywał, jak mi się podoba. Jesteś dobry dla mojej siostry, dupku?

– T-tak mi się zdaje. – On też przestępował nerwowo z nogi na nogę, rozglądając się bezradnie, jakby to był egzamin, na który przyszedł nieprzygotowany.

– Miałaś kiedyś pracę?

– Zaraz po studiach byłem konsultantem biznesowym w jednej organizacji non profit.

– Miałaś znajomości w radzie nadzorczej?

– Ojciec się liczy? – Skrzywił się.

No nie wiem, a królowa jest Brytyjką?

– Masz jakąś grupę inwalidzką, że nie możesz pracować?

– Dostaję rozstroju żołądka, kiedy się zdenerwuję.

– Znakomicie. Zapracuj uczciwie na chleb, to nie będziesz miał powodów do zdenerwowania.

Następnie odwróciłem się do matki. Jej posępna mina mówiła, że zdała sobie sprawę, iż może zapomnieć o radosnych nowinach i confetti.

– Wcale nie przymieracie głodem – oznajmiłem.

– Ale będziemy, jeżeli nie ożenisz się z Louisą.

– Sprzedajcie kosztowności.

– Rodowe skarby? – Oczy wyszły jej z orbit.

– Rodzinnymi skarbami powinny być więzi, śmiech, wzajemne wsparcie, a nie obrazy czy rzeźby. Proponuję zacząć szukać pracy albo chociaż sprawdzić, czy kwalifikujecie się do zasiłku, bo nie ma mowy, żebym ożenił się z kobietą, która nie jest Emmabelle Penrose.

Byłem wściekły, gotowy na nią nawrzeszczyć za te akcje z pogroźkami. Było tego tyle, że na pewno choć część to sprawka mojej drogiej mamusi.

– Nie chcę nawet słyszeć tego nazwiska! – Matka zakryła uszy, kręcąc głową. – Ta dziewczucha wszystko zepsuła. Wszystko.

– To dlatego nasłałaś na nią zbirów? – Oparłem się o ścianę z ręką w kieszeni.

– Słucham? – Uderzyła się otwartą dłonią w pierś.

– Owszem, słyszałaś.

Mierzyliśmy się wzrokiem. Żadne nawet nie mrugnęło.

– Cece, Drew, wyjdźcie – poleciła, nie odrywając ode mnie oczu.

Wybiegli jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Przekrzywiłem głowę, przyglądając się kobiecie, która mnie urodziła i którą przestałem obchodzić, gdy tylko stało się jasne, że nie spełnię jej oczekiwań.

Ciekawe, w którym momencie stałem się dla niej tylko środkiem do celu. Już jako nastolatek? Na studiach? A może jeszcze później?

– Kogo wynajęłaś? – zapytałem lodowatym tonem.

– Przestań dramatyzować, Devvie. – Próbowała zbyć to śmiechem, sięgając po kieliszek szampana. – To zupełnie nie tak.

– A jak?

– No dobrze, wynajęłam pewnego człowieka, takiego Ricka. Mówił, że zajmuje się ściąganiem długów i tego typu rzeczami. Ma w Bostonie swoich ludzi. Chciałam tylko, żeby ją przestraszył, broń Boże żadnego wyrządzenia krzywdy. W końcu nosi w sobie mojego wnuka. A rodzina jest dla mnie ważna!

Wnuk był dla niej równie ważny jak turkmeński kolconóg bizoniak.

– Dzwon do gościa. Chcę z nim zamienić słowo.

– Nie chce ze mną rozmawiać. – Rozłożyła ręce, wracając na swoją kozetkę. Wyjęła z torebki cienkiego papierosa i zapaliła. – Przestał odbierać moje telefony. Próbowałam wszystkiego. Podczas ostatniej rozmowy powiedział, że ktoś się wmieszał w sprawę. Jakieś takie pospolite irlandzkie nazwisko. I że nie chce się mu narażać. Od tamtej pory się nie odzywa.

Sam Brennan.

– Nadal działa? – zapytałem.

– Nie.

– Na wszelki wypadek daj mi jego namiary.

Zamierzałem wręczyć je Samowi, by ten cały Rick miał pełną jasność, że jeżeli jeszcze raz zbliży się do Emmabelle, to wyniosą go w plastikowym worku.

Mama przewróciła oczami, wtykając sobie papierosa w usta i zapisując coś w notesie. Wyrwała kartkę i mi ją podała.

– Proszę. Zadowolony?

– Nie. Czyli ją śledził?

– Nasłał na nią paru swoich ludzi. Dodam, że raz skończyło się konfrontacją w stylu niegodnym damy.

– A pogróżki były?

Mama zmarszczyła brwi, zaciągając się papierosem i krzyżując ręce na piersi.

– Nie. Tego mu nie zleciłam, a wątpię, by zadziałał na własną rękę.

Czyli na Sweven polował ktoś jeszcze, tak jak przypuszczałem.

Ktoś inny.

F r a n k.

Pora tu kończyć i w te pędy wracać do domu.

– Kiedy Rick zaczął ją śledzić?

Musiałem ustalić początek. Mama posłała mi skruszone spojrzenie.

– No...

– No?

– Zanim zaszła w ciążę – przyznała, kuląc się w sobie i wypuszczając dym. – Po śmierci twojego ojca wysłałam Ricka, żeby sprawdził, czy coś stoi na przeszkodzie twojemu małżeństwu z Louisą. Powiedział, że kręcisz się wokół tej Penrose, więc postanowiliśmy ją usunąć.

– Zagranie z klasą, nie ma co.

– Czy porozmawiamy wreszcie o tym, co teraz będzie ze mną i z twoją siostrą, skoro postanowiłeś nas zawieść? – Fuknęła. – Bo to „zagranie”, jak je nazywasz, nie było niesprovokowane. Postaw się na moim miejscu. Chcesz zaprzepaścić rodzinną fortunę, żeby zrobić na złość ojcu.

– Nie. Zaprzepaszczę rodzinną fortunę, bo jest obwarowana warunkiem, na który nikt nie powinien się zgadzać. I dlatego, że kocham inną i nie zamierzam poświęcać własnego szczęścia, żebyś ty i Cece mogły się rozbijać drogimi autami i co miesiąc latać na Malediwy.

– Devonie, bądź rozsądny! – Zgasiła papierosa i rzuciła się na mnie, zostawiając za sobą strużkę dymu. Jej wersja zabawy w dobrego i złego policjanta bynajmniej nie przysługiwała się tej rozmowie. – Co z twoim dziedzictwem?! Zostanie ci tylko tytuł!

– Na tytule też mało mi zależy – odparłem śpiewnie.

– Jak śmiesz! – Uderzyła pięściami w moją pierś. – Jesteś irracjonalny i mściwy.

– Próbowałem racjonalności. Ale z wami nie ma rozmowy. Radź sobie sama, Ursulo. Jeżeli chcesz pieniędzy, to je zarób albo lepiej: znajdź sobie jelenia, który zechce cię za żonę. I ostrzegam: jeśli jeszcze raz spróbujesz skrzywdzić matkę mojego dziecka, to cię wykończę. Dosłownie. Twoje dotychczasowe życie spotka gwałtowny koniec. Przekaż to też Cece i Drew. Razem z wyrazami miłości, naturalnie. – Maniery nade wszystko.

– Nie możesz nam tego zrobić. – Upadła na kolana, objęła moje kostki i uderzyła w płacz. Patrzyłem na czubek jej głowy z mieszaniną irytacji i pogardy. – Błagam, Devonie, błagam. Ożeń się z Louisą i weź szybki rozwód. To tylko na chwilę. Bo ja... ja... ja tego nie przeżyję! Zwyczajnie nie przeżyję!

Uwolniłem się z jej uścisku, odsuwając się na bok.

– To już nie moja sprawa.

– Ja... – Podniosła oczy pełne wściekłości i bezradnej rozpacz. Były tak okrągłe i rozpalone, że myślałem, że lada moment wyskoczą jej z orbit. – O wszystkim wiedziałam. Tamtej nocy, gdy zamknął cię w windzie i wyłączył prąd, żeby pompy nie działały... Oboje to uknuliśmy.

Powiedzieć, że ogarnęła mnie odraza, to jak nic nie powiedzieć. Moja matka wiedziała, że ojciec próbował mnie zabić, i była we wszystko wtajemniczona.

Cała nasza relacja była jednym wielkim kłamstwem. Nigdy jej nie obchodziłem. Po prostu cierpliwie czekała, bo wiedziała, że ojciec kiedyś umrze, i chciała być w moich łaskach, gdy mnie poprosi, żebym ożenił się z Louisą.

Uśmiechnąłem się chłodno, odsuwając się od niej.

– Warunek ojca nie zostanie spełniony. Jesteś teraz nędzarką, mamó. Ale mówiąc szczerze, byłaś nią przez całe życie. Żadne pieniądze świata nie są w stanie zastąpić kręgosłupa. Oszczędź nam obojgu wstydu i fatygi i nie dzwoń więcej. Bo i tak nie odbiorę.

Belle

CZUŁAM SIĘ JAK RZADKI EGZOTYCZNY PTAK. Feeria kolorów, oślepiające błyskotki i szpilki, a do tego waliza ze sztucznej krokodylej skóry, którą ciągnęłam do podmiejskiego domu rodziców. Niemal czułam na sobie piekący wzrok wyglądających zza zasłon sąsiadów.

Bostońskie przedmieścia z pewnością obfitują w rozrywki dla trzydziestoletnich byłych imprezowiczek.

Niestety, nie miałam zielonego pojęcia jakie.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Trudno, abym poleciała zapisać smutki na „dachowej” imprezie (wielkie dzięki, Książątko) albo rzuciła się w szal zakupów z jedynym słusznym zakończeniem, jakim jest wtranżalanie serowych wetzel’s pretzels z naręczem toreb i torebeczek o łącznej wadze połowy wieloryba.

Nie można powiedzieć, by Wellesley słynęło z galerii handlowych czy zabytków kultury. Ani, szczerze mówiąc, z niczego innego poza swoją bliskością z Bostonem.

Ale najbardziej przygnębiające było to, że nawet nie miałam ochoty wciągać kresiek z gwiazdami rocka w publicznej toalecie czy śpiewać *Like a Virgin* w barze z karaoke ku uciechu przyjaciół. Miałam ochotę na same dziwaczne, lamerskie rzeczy. Na przykład przytulanki z Devonem na jego sofie za osiem tysięcy dolarów (jasne, że sprawdziłam w Google; co ja jestem, amatorka?).

Miałam ochotę na wspólne oglądanie jego nudnych, czterogodzinnych dokumentów o rozkładalnych foliówkach i ślinikach luzytańskich.

Położyłam się na łóżku, by zwinąć się w kłębek, gdy do drzwi zapukał tata. Mama wyszła – ostatnio zapisała się do Klubu Obiadkowego. Ironia polegała na tym, że panie nie jadały prawdziwych obiadów, tylko lekkie sałatki, rozmawiając na poważne tematy, takie jak dieta Dukana czy strefowa.

Pewnie chciał sprawdzić, czy jeszcze z nim rozmawiam.

No właśnie.

– Belly-Belle – zaśpiewał. – Jadę na ryby. Masz ochotę przyłączyć się do staruszka? Świeże powietrze i mrożona herbata zawsze w cenie!

– Pas – wymruczałam w poduszkę.

– Nie daj się prosić, mała. – Podziwiałam jego zdolność udawania, że wczoraj nic nie zaszło, przy jednoczesnym podlizywaniu mi się w ł a ś n i e z tego powodu.

– Dziś jestem zajęta.

– Nie wyglądasz na zajętą.

– Nic nie wiesz o moim życiu, tato.

– Wiem o nim wszystko, Belly-Belle. O twoim klubie, chłopakach, przyjaciółkach, lękach. Wiem na przykład, że jesteś teraz nieszczęśliwa, i nie tylko przeze mnie. Całymi latami udawałaś, że tego nie było. Coś cię gryzie. Pozwól sobie pomóc.

Szkopuł w tym, że nie mógł mi pomóc.

Nikt nie był już w stanie pomóc temu beznadziejnemu przypadkowi pod tytułem Emmabelle Penrose.

Małej lisicy, która, jak się okazuje, była bardziej spragniona bliskości niż seksu. Chciałam wiedzieć, jak to jest do kogoś należeć. I nie do byle

kogo, tylko do błękitnookiego angielskiego diabła.

– Wrr, zejdz już ze mnie – jęknęłam, dźwigając się z łóżka i schylając się po dzinsowe spodenki.

Nie zapinając guziczków (bo Książątko), dobrałam do nich workowaty marszczony top. Strój nie za bardzo na ryby, ale cóż.

Jazda nad jezioro Waban upłynęła nam w ciszy przerywanej sporadycznymi pytaniami taty o Devona, pracę i Persy. Odpowiadałam z entuzjazmem i zapalem skazańca stojącego przed plutonem egzekucyjnym. Na miejscu tata wynajął łódkę, wrzucił do niej sprzęt wędkarski i wypłynęliśmy na środek jeziora.

Narzekałam na swój przedwczesny urlop macierzyński, na co odpowiedział, że to praca odrywa człowieka od życia, a nie na odwrót, i że powinnam przemyśleć swoje priorytety. To zabrzmiało jak przekreślony cytat z Johna Lennona, ale tak bardzo się starał, że darowałam sobie szpilę.

– A poza tym musimy w końcu poznać tego Devona. – Przekręcił daszek czapki do tyłu, próbując mnie rozśmieszyć, ale na próżno.

– Po co? – Zmarszczyłam nos. – Przecież nie jesteśmy razem.

– Ale będziecie. – Zaczął zwijać wędkę, aż linka się napięła i coś zaczęło się szamotać w wodzie.

Prychnęłam, patrząc, jak wyciąga bezradną srebrzystą rybę. Trzymając ją nad wodą, sięgnął po nóż do filetowania i poderżnął jej gardło. Przestała się rzucać, poddając się swemu losowi. Zawinał ją w foliowy woreczek i wrzucił do skrzyneczki z lodem.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

Uniósł brew.

– Jak łowić?

– Nie, że będę z Devonem. – Poruszyłam się nerwowo na drugim końcu łódki.

– A. Po prostu wiem.

– To nie odpowiedź.

– Przeciwnie, skarbie. – Uśmiechnął się do mnie czule, podając mi nóż i torebkę nasączonych alkoholem chusteczek do jego wytarcia. – To najlepsza odpowiedź.

Jakąś godzinę później wpadliśmy na jednego z nowych kumpli taty. D o s ł o w n i e. Zderzyliśmy się łódkami, gdy zniósł go prąd. Tata momentalnie mnie przytrzymał, bojąc się, że wypadnę albo coś. Po wszystkim oczy mu się zaświeciły i się roześmiał.

– Cześć, Bryan.

– John! Tak myślałem, że to ty.

– Szkoda mi było takiej pogody. Znasz moją córkę? – zapytał z nieskrywaną dumą i zrobiło mi się ciepło na sercu.

– Nie miałem tej przyjemności. Dzień dobry pani. – Dotknął słomkowego kapelusza.

Gadka szmatka, a potem ucieli sobie półgodzinną pogawędkę o wędkowaniu. Ziewnęłam, rozglądając się wokół. Niektórzy ludzie kochają łono natury, ale ja nie mogłabym żyć tam, gdzie powietrze nie jest zanieczyszczone i nie ma choćby najmniejszej fali zbrodni.

Postanowiłam w końcu włączyć telefon i sprawdzić skrzynkę. Zupełnie odstawiłam komórkę, ale parę razy przekreśliłam do Persy, Ash i Sailor ze stacjonarnego rodziców.

Ledwie ją teraz włączyłam, na ekranie wyskoczyła nowa wiadomość sprzed dwudziestu minut.

Devon: Gdzie jesteś?

Pora wypić piwo, którego nawarzyłam. A raczej piwsko.

Belle: Na rybach.

Devon: NA RYBACH?!

Belle: Tak.

Devon: To jakiś szyfr?

Belle: Ty to zawsze musisz mieć brudne myśli.

Devon: Sama mi je zaszczepiłaś.

Devon: Musisz się z paru rzeczy wytłumaczyć, młoda damo.

Belle: Błagam, powtórz ostatnie dwa słowa, bo ktoś właśnie nazwał mnie „panią”.

Devon: Daj mi namiary, to się z nim policzę.

Devon: Gdzie jesteś na tych rybach?

Oderwałam oczy od ekranu i się rozejrzałam. Odpowiedź brzmiała mniej więcej „w dzikiej głuszy”.

Belle: Nieważne. Przyjadę, musimy pogadać.

Chciałam mu powiedzieć, że popełniłam straszny błąd i przepraszam, że byłam głupia (tę część nawet powtórzę dla podkreślenia), że spaliłam czek od Louisy i będę go błagać na kolanach, żeby przyjął mnie z powrotem.

Dostałam nauczkę. Tata mnie pokieroszował, Locken wypatroszył, ale okazuje się, że pod tą twardą powłoką nadal bije serce. I należy do niego.

Devon: Nie przyjeżdżaj.

Belle: ...?

Już nie odpisał.

„Nie przyjeżdżaj”.

Zero wyjaśnień, nic.

J a s n e, że przyjadę.

Jemu na złość. A to drań! W tej chwili tam jadę. No, może tylko narzucę na siebie coś bardziej dystyngowanego od króciutkich szortów, które się nie dopinały, i bluzeczki oznajmiającej, że ostatnie dni spędziłam w towarzystwie swoich najlepszych przyjaciół, easy cheese i *Tańca z gwiazdami*.

– Tato, muszę lecieć.

Wymienili się z Bryanem zdziwionymi spojrzeniami, jakby nie mieściło im się w głowie, że ktoś mógłby chcieć spędzać czas inaczej niż na beczynnym czekaniu na środku jeziora, aż ryba chwyci przynętę.

– Okej, skarbie, już się zwijamy.

– Nie, pojadę sama.

– Na pewno? – zapytał.

Nie było sensu ciągnąć go ze sobą. Przebiorę się i pognam prosto do Bostonu, by błagać Devona Whitehalla, żeby mnie kochał i przyjął z powrotem.

– Na pewno.

– No dobrze, to weź auto. Bryan mnie odwiezie.

– Superkolega. – Może nie super-super, bo jakkolwiek by patrzeć, nazwał mnie „panią”, ale najgorszy też nie był.

Tata powiosłował do brzegu, zapakował mnie do auta i pocałował w głowę.

– Bezpiecznej drogi, mała.

W drodze do domu rodziców powtarzałam sobie, że wszystko będzie dobrze. Pojadę prosto do Devona i nie rozstanę się z bronią. Będę zachowywała ostrożność i może zaproponuję przeprowadzkę gdzieś, gdzie nie poluje na mnie połowa populacji.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po powrocie do domu rodziców, było zamknięcie się na cztery spusty i rzucenie torby na stolik. Mój wybór padł na szmaragdową minisukienkę podkreślającą oczy – i przy okazji biust – z którą ruszyłam na bosaka do sypialni.

Ale nawet nie weszłam do środka. Znieruchomiałam w progu.

Na skraju mojego łóżka ktoś siedział.

Odskoczyłam w tył, dławiąc krzyk, by pozostać niezauważoną.

Frank.

Odwróciłam się na pięcie i rzuciłam do schodów, ale złapał mnie od tyłu za ramiona i dźwignął, ciągnąc z powrotem. Objął mnie ręką za szyję i ścisnął, odcinając dopływ powietrza. Wpiłam palce w jego skórę, próbując się wyrwać. Chciałam krzyknąć, ale z mojego gardła wydobyło się tylko bolesne syknięcie.

Książątko, pomyślałam z rozpaczą. Muszę ratować swoje dziecko.

Przypominając sobie o krav madze, sięgnęłam za siebie, usiłując chwycić go za drugą rękę, ale był szybszy i to on złapał mnie za obie dłonie i przytrzymał je z tyłu.

– Nic z tego. Zniszczyłaś mi życie, a teraz ja zniszczę twoje – syknął, owiewając oddechem moją szyję. Cuchnął tytoniem i słodzonymi napojami. Próbowałam wbić zęby w jego rękę, ale ścisnął mnie mocniej, drugą ręką obejmując mój ciężarny brzuch.

– Ciii... – Jego zęby skubnęły mi ucho. – Nie zmuszaj mnie do czegoś, czego bym żałował.

I wtedy poczułam.

Zimne stalowe ostrze przy brzuchu.

Znieruchomiałam jak posąg. Przymknęłam oczy, czując, jak powietrze świszczy mi w płucach.

Jeśli nie będę robić, co mi każe, skurwiel zafunduje mi przedwczesną cesarkę.

Książątko się nagle ożywiło, wyczuwając zamieszanie na zewnątrz.

Przepraszam, maleństwo. Tak bardzo mi przykro.

– Będiesz grzeczna? – Oddech Franka znów owionął moją szyję.

Skinęłam głową, przełykając gorzką gulę w gardle. Mama wróci dopiero za dwie godziny, tata potrafi spędzić na jeziorze cały dzień, a Persy zawsze się zapowiada.

To oficjalne: miałam dokumentnie przesrane.

– Znakomicie. – Pchnął mnie na pierwszy stopień i zeszedliśmy po cichu na dół. Kolana trzęsły mi się ze strachu. Posadził mnie na sofie przed kominkiem i z tylnej kieszeni dżinsów wyjął rolkę taśmy, obwiązał nią moje nadgarstki i kostki. Rozdarł mi bluzkę. Szarpnął tak mocno, że materiał werznął się w moją skórę, zostawiając czerwone ślady. Zostałam w samej bieliźnie.

– Siedź tu. – Pogroził mi palcem i przeszedł się po domu, barykadując wszystkie drzwi; wystarczyło przystawić parę krzeseł, bo ojciec odmierzał czas do wybuchu trzeciej wojny światowej i zamienił dom w prawdziwą fortecę.

Wiedziałam, że nie mam szans uciec, chyba że po trupie Franka.

Włożył do kieszenie klucze, którymi zamknęłam się w domu, podszedł do okna i popukał w szybę.

– Potrójna. – Gwizdnął, unosząc brwi i kiwając z uznaniem głową. – Dobra robota, panie John Penrose. I drogi zakup.

Znał imię taty. Drań pewnie starannie odrobił pracę domową, skoro mnie znalazł.

Rozejrzałam się. Myśl, Emmabelle, myśl! Jediną drogą ucieczki była dziura po klimie. Zmieszczę się, ale najpierw musiałabym wyciągnąć rurę,

a przecież miałam skrępowane ręce i nogi.

Frank powędrował za moim wzrokiem i parsknął śmiechem.

– Nawet o tym nie myśl. A teraz sobie porozmawiamy.

Usiadł w fotelu na wprost sofy, na którą mnie rzucił. Otwarte puszki fanty i torebki dorito na ławie mówiły, że rozgościł się, czekając na mnie.

No cóż, teraz przynajmniej wiedziałam, kto zamienił moje życie w piekło na ziemi.

Modliłam się, by objawił mi się Jezus ze słowami „jeszcze nie czas na ciebie, moje dziecko”, bo wszystkie inne znaki na niebie i ziemi zwiastowały mój rychły i tragiczny koniec.

Wrr. Śmierć z ręki mściwego byłego pracownika, co za wstyd!

– W czym ci mogę pomóc, Frank? – zapytałam rzeczowym tonem, który, zważywszy na okoliczności, był nie lada osiągnięciem.

Książątko fikało w brzuchu i tak bardzo chciałam, by nie przestawało. By kopało, żyło, przyszło na świat. Po raz pierwszy w życiu miałam dla kogo walczyć.

Dla maleństwa, a także dla Devona.

Choć ta świadomość mnie przerażała, Devon nie był jak inni, którzy mnie zawiedli. Tamtego dnia mszcząc się na Lockenie, zaprzedałam duszę diabłu. Za przyjemność odebrania życia zapłaciłam młodością, radością i niewinnością. A bez nich nie potrafiłam związać się z facetem. Ale Devon Whitehall nie był zwykłym facetem. Był kimś o wiele więcej.

– Zaczynaj od łaskawego wyjaśnienia mi, co takiego ci zrobiłem! – warknął Frank, wymierzając we mnie swój nóż. – Dlaczego mnie wylałaś, gdy miałem w domu ciężarną dziewczynę? Rachunki ze szpitala matki... Wiesz, że zmarła dwa tygodnie przed tym, jak mnie zwolniłaś? Wziąłem tydzień wolnego. A ty nawet nie złożyłaś mi kondolencji.

Zacisnęłam usta i przymknęłam oczy, próbując wrócić pamięcią do tamtego okresu. Gdy nie pracowałam, to imprezowałam. Ostro. Domówki, gale dobroczynne, weekendowy wypad do Cabo z dziewczynami. Stery Madame Mayhem oddałam Rossowi i nie interesowałam się zbytnio życiem innych, rzucając się w wir zabawy za każdym razem, gdy wracały wspomnienia o Lockenie. Jediną osobą, która mnie obchodziła, byłam ja sama.

Co gorsza, nie mogłam sobie przypomnieć wieści o śmierci jego matki.

– Współczuję straty. – Próbowałam zachować spokój, ale słowa potykały się o siebie. – Szczerze. Ale wierz mi, nie wiedziałam ani o twojej matce, ani o dziewczynie. Czy o twoich długach. Zatrudniam trzydzieści osób. Jedyne, co wiem, to to, że napastowałeś jedną z tancerek.

– To jej wersja. – Rzucił nóż na ławę między nami, tłukąc szkło. – A ty nagadałaś prasie, że próbowałam ją zgwałcić! Nigdzie nie mogłem znaleźć pracy, nawet tymczasowej. Nawet na zmywaku! Upokorzyłaś mnie!

Zdusiłam jęk.

Książątko chyba postanowiło zostać nawiedzonym pianistą, tak się rzucało i wierzgało.

– Frank, widziałam to na własne oczy. – Nie ustępowałam. – Trzymałeś ją za tyłek i włożyłeś jej rękę między nogi.

Przypomniałam sobie reakcję obojga, gdy ich nakryłam. Ona we łzach, on w szoku.

– Nie napastowałam jej! – Zerwał się z beżowego szezlonga, złapał puszkę fanty i rzucił nią w ścianę. Pomarańczowy napój rozbryzgnął się niczym abstrakcyjny obrazek i spływał strużkami na podłogę. Może któryś z sąsiadów usłyszy hałasy i zaniepokojony wezwie policję? Ale nie, domy były zbyt oddalone od siebie. Cholerne burżujskie przedmieścia.

– Mieliśmy romans. Ja i Christine mieliśmy romans. Gdy weszłaś, robiłem jej palcówkę i się przestraszyła, bo słyniesz z bezkompromisowości, a cały klub wiedział, że moja dziewczyna jest w ciąży. Nie chciała wyjść na puszczałką, co rozbija rodziny, więc wymyśliła tę bajeczkę!

Christine może i do świętych nie należała, ale do tanga trzeba dwojga i nikt tego dupka do niczego nie zmuszał. Ale oczywiście to nie była najlepsza pora, żeby mu to wypominać.

– O niczym nie wiedziałam – pisnęłam jak ostatni słabeusz.

– Bo gównu cię obchodziło wszystko poza twoim drogocennym klubem, imprezami, ciuchami i podrywkami. To Christine się za mną uganiała. Wiedziała, że mam dostęp do grafiku Rossa. Gdy nie patrzył, zmieniałem jej zmiany i godziny na lepsze. – Wyciągnął nóż z morza szklanych odłamków i wytarł go o dzinsy.

Poruszyłam się niespokojnie. Taśma wrzynała mi się w nadgarstki i musiałam wyprostować nogi.

– Posłuchaj, Frank, przykro mi, jeśli...

– Teraz ja mówię! – ryknął mi w twarz. Policzki miał czerwone, a w oczach błysk szaleństwa. – Straciłem wszystko. Moja dziewczyna oczywiście się dowiedziała. W końcu wyleciałem z hukiem i nikt nie chciał mnie zatrudnić. Za każdym razem, gdy wychodziliśmy z domu, obsiadała nas chmara fotoreporterów, bo kogo nie podnieca historia upadku gościa z ciężarną nastoletnią dziewczyną, który molestował tancerkę burleski i został za to wywalony na zbity pysk. Dziewczyna nie odeszła, ale mi nie wybaczyła. A ta suka Christine wróciła do Cincinnati i wyszła za jakiegoś starego pierdziela. Trochę się zdziwi, jak się zorientuje, że dziecko, które ta dzidra nosi, jest moje. A ja? Ja uzależniłem się od fentanylu, bo czemu nie? – zarechotał bez wesołości.

O rany.

– Gdybyś mi powiedział...

– Nie kiwnęłabyś palcem! – odparował nie bez racji. – Nienawidzisz mężczyzn. Wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy!

Zrobiło mi się niedobrze. Przez cały ten czas byłam częściowo odpowiedzialna za stan jego dziewczyny. Przypomniałam sobie, jak fatalnie wyglądała w buybuy Baby.

Frank zaczął kopać co popadnie, siejąc zniszczenie.

– W domu było coraz gorzej. W końcu nie wytrzymałem i się zmyłem. Tak jak mój ojciec przed moimi narodzinami. Historia kołem się toczy, teraz także dzięki tobie. Mój syn przyjdzie na świat w biedzie, a twój bachor będzie miał wszystko. I dlaczego? Bo masz ładną buzię? Jędrny tyłek? Bo twoja siostrunia chajtnęła się z bogaczem i obie wozicie się jak milionerki?

Wiedziałam, do czego to zmierza, i wcale mi się to nie podobało.

– To ty mnie prześladowałaś. Ale... kim był tamten z bliźniami, który groził mi w klubie?

– Moim ojczymem. – Wzruszył ramionami. – Wyświadczył mi małą przysługę. Taki gość, co nie?

– A ten z Boston Common?

– Boston Common? – Zmarszczył brwi. – Z tym nie mam nic wspólnego.

Kręciło mi się w głowie. Czyli nie tylko Frank na mnie polował. Ale teraz to on był górą i chyba nie miał ochoty odpowiadać na więcej pytań.

– Tak czy siak, przyszedłem powiedzieć ci, że skoro mojego dziecka nie czeka żadna przyszłość... – Przykucnął i przyłożył mi ostrze do serca, wędrując niżej i zatrzymując się na brzuchu. – ...twoje też nie będzie jej miało.

– Frank, błagam...

Uśmiechnął się i zatopił ostrze w mojej skórze.

I wtedy jedna ze ścian salonu zawaliła się z hukiem.

Devon

Dotarłem do domu rodziców Belle, przed którym stała furgonetka jej ojca. Choć nie zamierzałem wkradać się w łaski przyszłego teścia opowieściami o tym, jak to moja matka nasłała oprychów na jego córkę, i o moich niedoszłych zaręczynach z inną, poważna rozmowa i tak nas nie ominie. Rzecz jasna, gdy tylko poinformuję Belle o naszym rychłym ślubie.

Pomaszerowałem do drzwi, unosząc rękę, by zapukać.

Ale nie zdążyłem, bo nagle rozległ się huk tłuczonego szkła. Podszedłem do jednego z okien i zajrzałem do środka.

Na sofie siedziała skrupowana i rozebrana do rosołu Belle, a nad nią stał facet z nożem odpowiadający rysopisowi Franka. Przycisnąłem dłonie do grubej szyby i ryknąłem, ale mnie nie słyszeli. Dźwiękoszczelna.

Dopadłem do drzwi i zacząłem się szamotać z zamkiem, ale drzwi też były pancerne. Cillian kazał zamontować takie u siebie po narodzinach Astora. Nic nie było w stanie ich wyważyć.

Spanikowany obszedłem dom, szukając słabego punktu, ale nie znalazłem nawet uchylonego okna.

Po szybkiej analizie doszedłem do wniosku, że jedyna droga prowadziła przez szyb wentylacyjny. Był tylko jeden problem: mówiąc oględnie, nie przepadałem za ciasnymi pomieszczeniami.

Gapiąc się na otwór w bocznej ścianie, powtarzałem sobie, że nie mam wyboru. Albo ja uduszę się w rurze węższej od windy kuchennej, albo Belle... Kurwa, nie chciałem nawet myśleć, co się z nią stanie. Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście, streściłem

sytuację i podałem adres, po czym władowałem się do dziury i zacząłem się czołgać.

Szyb wentylacyjny w niczym nie przypominał przestronnych filmowych korytarzy wentylacyjnych. Wydrążony w cegle okrągły kanał był ciasny i z każdej strony nierówny. Miało się wrażenie, że człowiek wlaź w czyjś odbyt. Musiałem podciągać się łokciami, zbierając kurz, pleśń, brud i roztocza. Nie muszę dodawać, że mój garniak od Cucinellego bardzo szybko zmienił kolor z granatowego na szary.

Skurczone mięśnie bolały jak diabli, a w gardle miałem pełno pyłu. Nigdy nie przypuszczałem, że wejdę z własnej woli do miniwersji tamtej windy kuchennej. Ale nie miałem wyboru. Musiałem ją uratować. Zacisnąłem powieki, żeby mniej bolało, i parłem naprzód. Raz po raz trafiałem na ślepy zaułek i musiałem się cofać, ale się nie poddawałem.

N i e u m r z e s z .

N i e u m r z e s z .

N i e u m r z e s z .

Wstąpiła we mnie jakaś nowa siła i podkręciłem tempo, choć wszędzie łapały mnie skurcze. W pewnej chwili znów usłyszałem głosy. Odważyłem się otworzyć piekące oczy i znalazłem się twarzą w twarz z wiatrakiem. Jeszcze tylko parę stóp.

– Gdybyś mi powiedział... – dobiegł z dołu nieustraszony głos Emmabelle. Jak ja kocham tę kobietę!

– Nie kiwnęłabyś palcem! – ryknął Frank.

Nie zatrzymywałem się, odpychając się jak dżdżownica w ziemi. Wylot był już blisko.

– Tak czy siak, przyszedłem powiedzieć ci, że skoro mojego dziecka nie czeka żadna przyszłość... Twoje też nie będzie jej miało.

Wypchnąłem kratkę wentylacyjną i zwałem się do salonu – razem z połową ściany.

Dźwignąłem się z podłogi, choć przeszywający ból w lewej nodze jasno mówił, że jest złamana.

Frank się odwrócił. Wykorzystując element zaskoczenia, rzuciłem się na niego, próbując odebrać mu nóż. Na moje nieszczęście miał tę przewagę, że nie musiał się przeciskać przez żadne otwory wentylacyjne, by dostać się do środka. Wbił mi ostrze w bark i przekręcił. Zawyłem z bólu, wbijając mu palce w oczodoły. Nie miałem pojęcia, co robię. Wiedziałem tylko, że nie umrę, dopóki Emmabelle nie będzie bezpieczna.

Kątem oka widziałem, jak skrepowana Belle podskakuje w kierunku kuchni. Z jej pępka płynęła strużka krwi, znikając w majtkach. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Jeżeli dziecku coś się stanie...

– Aaaa!! – wrzasnął Frank, puszcżając nóż, który, tak na marginesie, ciągle tkwił w moim barku, i zaczął wymachiwać bezradnie rękami. – Moje oczy! Moje oczy!

Leżeliśmy w kałuży ciepłej krwi – mojej krwi – i czułem, że lada chwila stracę przytomność. Resztkami sił wwierciłem się w jeden z jego oczodołów, co nie było prostą sprawą, bo jednak co kość, to kość.

– Przestań! – krzyczał. – Przestań!

Ale to on przestał wrzeszczeć – i nie tylko.

Zwalił się na mnie bezwładnie, swoim ciężarem jeszcze głębiej wbijając ostrze w mój bark. W jego plecach tkwił nóż do steków. A nad nim stała Emmabelle, ciężko dysząc.

Teraz już mogę stracić przytomność – stwierdziłem.

I jak pomyślałem, tak zrobiłem.

Devon

OBUDZIŁEM SIĘ W SZPITALNYM ŁÓŻKU.

Wszystko mnie bolało. Wszystko oprócz barku, którego w ogóle nie czułem. Spojrzałem w dół: moja zabandażowana ręka spoczywała na szynie. Powiodłem wzrokiem po sali pełnej jasnych dębowych szafek ze sprzętem medycznym.

Pod wychodzącym na parking oknem stał Cillian i rozmawiał cicho przez telefon. Na fotelu obok Hunter stukał w klawiaturę laptopa, a z korytarza dobiegał głos Sama.

Byli tu wszyscy moi przyjaciele.

W przeciwieństwie do rodziny.

Ale myślałem tylko o jednej osobie: Sweven.

– Emmabelle.

To było pierwsze słowo, jakie wyszło z moich ust.

Cillian odwrócił się z gracją, omiatając mnie swoim chłodnym wzrokiem.

– Nic jej nie jest – uspokoił mnie. – Persephone wreszcie udało się oderwać ją od twego wezgłowia i zaciągnąć na badania. Lekarze zatrzymali ją na obserwację.

– Muszę ją zobaczyć.

– Jest trzy sale dalej. – Hunter podniósł wzrok, zamykając laptopa.

– Muszę ją zobaczyć – powtórzyłem, gapiąc się na niego tępo.

– Okej, okej. Szalona laska z kompleksem tatusia raz! Już się robi – mruknął, odkładając laptopa na jasny dębowy stolik i wyslizgując się z sali.

Zamknąłem oczy, opuszczając głowę z powrotem na poduszkę.

– Tylko tyle warte jest moje amerykańskie ubezpieczenie? To miejsce wygląda jak kuchnia z lat dziewięćdziesiątych.

– Dziękuj Bogu, że to drewnienko nie składa się na piękną trumnę – uciał Cillian.

Drzwi się otworzyły i wszedł Sam. Jego widok nigdy mnie specjalnie nie cieszył, ale dziś miałem ochotę go zamordować. Myślałem, że to Belle.

Zamknął za sobą z telefonem w ręku.

– Niniejszym oznajmiam, że nie potrzebujesz już moich usług. Simona też odwołałem. Frank nie żyje, ukatrupiony przez twoją szaloną ukochaną, a wynajęty przez twoją matkę Rick Lawhon został unieszkodliwiony.

„Unieszkodliwiony”, czytaj: pływa z rybkami. Brennan był niezwykle sprawnym zabójcą. Jeśli Stany dotknie kiedyś przeludnienie, on załatwi problem.

– Muszę ją zobaczyć. – Postanowiłem powtarzać jak zdarta płyta, dopóki Belle nie zmaterializuje się przede mną cała i zdrowa. Bo nie mogłem spytać żadnego z nich o moje dziecko. Po pierwsze, to było zbyt osobiste, a po drugie, bałem się, że bez względu na odpowiedź uderzę w płacz.

– Pesephone już pcha jej wózek – powiedział Sam.

Wózek?

– Z drogi! – usłyszałem śpiewny głos Persy.

Cillian podbiegł, by przytrzymać drzwi, i Sweven wjechała do środka.

W bladoniebieskiej szpitalnej koszuli wyglądała na wycieńczoną. Ręce trzymała na kolanach i z tego kąta nie widziałem brzuszka.

Persephone podjechała wózkiem do łóżka.

Przełknąłem z trudem, czując, jak cały płonę.

– Wszyscy wyjść. Muszę porozmawiać z Belle.

Spełnili moją prośbę i zostaliśmy sami.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie jak w obcego człowieka, mrugając w zwolnionym tempie.

Cholera, mam nadzieję, że nie straciła pamięci. Popełniłem dla niej heroiczny czyn, pierwszy i ostatni w życiu, i byłoby fajnie, gdyby miała tego świadomość, zanim każę jej się przestać wygłupiać.

– Dziecko... – zacząłem, ale przerwałem, bojąc się odpowiedzi. Przed oczami stanęła mi tamta strużka krwi na jej brzuchu.

Nachyliła się, przykrywając moją dłoń swoją, zimną i wilgotną.

– Z dzieckiem wszystko w porządku.

Skinąłem głową, zaciskając zęby, żeby się nie rozplakać jak baba.

– To dobrze. A ty? Jak się czujesz? – zapytałem.

– Też okej.

– Świetnie.

Cisza. Chciałem pogłaskać ją po dłoni, ale nie mogłem ruszyć ręką.

– Jestem sparaliżowany? – zapytałem lekko.

– Nie. – Uśmiechnęła się. Oczy jej błyszczały. – Ale nafaszerowali cię środkami przeciwbólowymi, stary.

– Bosko. – Odwzajemniłem uśmiech.

Parsknęliśmy śmiechem.

– Wszedłeś dla mnie do szybu wentylacyjnego – wydusiła. – Pomimo swojej klaustrofobii.

Nareszcie zostałem doceniony.

– Byłaś w niebezpieczeństwie. – Wzruszyłem zdrowym ramieniem. – Nie miałem się nad czym zastanawiać.

Na te słowa w końcu się rozplakała, łkała i chowała twarz w mojej pościeli.

– Tak bardzo cię przepraszam, Devonie. Wszystko schrzaniłam, prawda?

– Już dobrze, skarbie. I niczego nie schrzaniłaś. – Tym razem udało mi się podnieść rękę, by ją pogłaskać.

Tak na marginesie, schrzaniła, ale jako dżentelmen przecież nie będę jej tego wypominał.

– A co dokładnie miałaś schrzanić? – Odchrząknąłem.

Podniosła głowę, pociągając nosem i ocierając rękawem łzy.

– Wzięłam czek od Louisy... – wydukała, czkając.

– Wiem. – Pogłaskałem jej policzek. – Powiedziała mi.

– I zostawiłam cię bez słowa wyjaśnienia.

– Tak, tak, byłem przy tym, pamiętasz? – Uśmiechnąłem się pogodnie.

Umilkła i przekrzywiła głowę, ściągając brwi.

– Czemu nie jesteś na mnie zły? – dopytywała. – Nie powinieneś pozwalać tak się traktować. Co ty jesteś, popychadło?

– Popychadło nie – odparłem rozbawiony. – Po prostu kocham kobietę z traumą z dzieciństwa. Wiele razy zawiodłaś się na miłości, nie ukrywałaś tego. To ja zmusiłem cię do wyjścia ze strefy komfortu.

– Moja strefa komfortu była do kitu. – Uniosła brew, coraz bardziej przypominając dawną siebie.

Próbowałem się nie roześmiać, nie mogąc oderwać od niej oczu.

– Wiem, Sweven.

– Myślałam, że już nigdy tego nie usłyszę. – Jego oczy znów wypełniły się łzami.

– Czemu? – Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

– Bo kazałam ci się ożenić z inną.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć... – Splotłem nasze palce. – ...ale nie zamierzam niezwłocznie spełniać każdego twojego polecenia.

Oboje zamilkliśmy, dziękując Bogu, że jesteśmy tu razem, cali i zdrowi.

– Spaliłam ten czek – wydukała w końcu, pociągając nosem.

– Wiem. – Od początku wiedziałem, że pomimo chwili słabości nie tknie pieniędzy Louisy. To dlatego postanowiłem o nią walczyć, nawet gdy wydawało się, że wszystko stracone. – Dlaczego jesteś na wózku?

– Polityka szpitala.

– Czemu nie użyłaś broni? – zapytałem nagle.

Wzdrygnęła się. Obojgu nam stanęła przed oczami tamta scena ataku.

– Bałam się, że niechcący cię trafię. Nie chciałam ryzykować.

– To najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

– I... – Wciągnęła powietrze, zamykając oczy. – Nie mam do końca czystych rąk. – Otworzyła oczy, nagle przemieniona. Wyglądała jak Walkiria: złożona, potężna, groźna. Mógłbym przysiąc, że w tamtej chwili górowała nade mną nawet wzrostem. – Znam konsekwencje odebrania życia. Nie chciałam tego robić, chyba że w ostateczności. – Usiadła na łóżku, przytulając się do mnie.

Poczułem jej twarde, okrągły brzusek i mój penis momentalnie stanął na baczność. Objęła mnie delikatnie, przysuwając usta do mojego ucha.

– Devonie Whitehall, jesteś najwspanialszym, najprzystojniejszym, najzabawniejszym i najbłyskotliwszym mężczyzną na ziemi i jestem

w tobie zakochana do szaleństwa. Od pierwszej chwili. I z bólem serca stwierdzam, że żaden facet do pięt ci nie dorasta, więc nie mam wyjścia i muszę złożyć broń.

– Słusznie. – Odwróciłem się, składając na jej ustach lekki pocałunek. – Sweven...

– Nie – odparła.

Oderwałem się od niej, marszcząc brwi.

– Nie wiesz, o co chciałem zapytać.

– Wiem i odpowiedź brzmi nie. Ja chcę zadać to pytanie. Ale jak należy, przyklękając. – Zasznurowała usteczka.

– Na kolanach można robić dużo fajniejsze rzeczy, skarbie. Zrób mi tę przyjemność.

– Nic z tego, przystojniaku. – Nachyliła się, by pocałować mnie w nos, i skubnęła go zębami. – Ale i tak cię kocham.

– Ja ciebie też.

– Devon... – Zawahała się.

O nie, pomyślałem. Więcej nie zdzierzę.

– Tak, kochanie?

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Jasne.

– Frank nie jest jedynym człowiekiem, jakiego zabiłam. Muszę się przyznać, zanim zdecydujemy się na wspólne życie.

Cholera. No cóż, jeśli trzeba się pozbyć ciała, to przecież nie zostawię jej z tym samej. Osobiście nie byłem fanem zabijania, ale dla Belle... Wiadomo, cóż robić?

– Zajmę się tym – uciałem.

Spojrzała na mnie dziwnie i wybuchnęła śmiechem. Co w tym takiego zabawnego?

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. To było dawno temu – wyjaśniła. – Posłałam do piachu tego, który mnie molestował.

– Ojca? – zapytałem skołowany.

Teraz to ona wyglądała na zdezorientowaną.

– Tatę? On mnie nie molestował.

– Myślałam, że w twoim życiu były dwie trudne relacje.

– No. Miałam do niego żal, bo zdradzał mamę.

– Och – rzuciłem, bo nie miałem zielonego pojęcia, co powiedzieć. – To opowiedz mi o tamtym.

Więc opowiedziała.

O Lockenie, swojej młodości, o ataku, poronieniu i zemście. Gdy skończyła, przytuliłem ją do siebie i pocałowałem tak mocno, że myślałem, iż oboje spłonimy żywcem.

– Więc nadal mnie kochasz? – zapytała niepewnie.

– Miłość to za małe słowo, by oddać, co do ciebie czuję, Sweven.

– Dzięki za odebranie mi apetytu. Powinniście opatentować autorską dietę. – Do sali wparowała Sailor, ciągnąc za sobą Persephone i Aisling, których mężowie obstawiali tyły. Nagle wokół mnie zaroiło się od ludzi i zdałem sobie sprawę, że mam rodzinę.

Tylko nie łączyły nas więzy krwi.

– Chajtacie się? – Sam oparł się o nogi łóżka, obejmując ramieniem Aisling.

– Jeszcze nie, najpierw muszę mu się oświadczyć. – Belle położyła głowę na moim ramieniu i chciało mi się wyć z bólu, ale oczywiście nawet nie pisałem.

– Patrzcie, nie zdążyła go zaobrączkować, a już nosi spodnie w tym związku. – Śmiejąc się, Hunter wskazał kciukiem w jej kierunku.

– Znajac Devona, znajdzie sposób, żeby je odebrać. – Cillian się uśmiechnął i przez sekundę wyglądał prawie ludzko.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Cała moja rodzinka.

Dwa tygodnie później wylądowałem w Anglii.

Tym razem z Belle.

Była w trzecim trymestrze, w którym można już bez przeszkód latać – przynajmniej według doktora Bjorna.

– Nie wiem, co gorsze: zatwardzenie czy zgaga – rzuciła lirycznie miłość mojego życia, wsiadając do czekającego na nas na Heathrow range rovera.

Tym razem chciałem sam usiąść za kółkiem, żeby nie wpaść na żadne prasowe hieny.

– Zaraz każę Joanne zabukować wizytę u doktora Bjorna. – Pocałowałem ją w skroń, odpalając silnik.

– Dzięki.

– Masz jakieś nowe zachcianki? – Ustawiłem się w milowej kolejce do wyjazdu z lotniska.

– A podcasty o *true crime* i węglu się liczą?

– S w e v e n.

– Wyluzuj. – Ziewnęła, upinając sobie blond włosy w wysoki koczek. – Zero pokręconych zachcianek. To znaczy z wyjątkiem seksu.

Tu akurat mogła na mnie liczyć. Z wielką chęcią spełnię każdą z nich.

Przeprowadziła się do mnie z powrotem, gdy tylko wypisali mnie ze szpitala, a damsko-męskie gierki poszły w niepamięć. Pobodnie jak

niezrównoważeni stalkerzy, dzięki Bogu. Z gorszych wiadomości, nadal nie ułatwiała mi życia. Od moich niemal oświadczyń w szpitalu minęły już dwa tygodnie, a ona nadal milczała. Ale nie ponawiałem pytania, chcąc uszanować jej feministyczne wartości. No i trochę się bałem, że urwie mi jaja za śmiałość.

– A! Czy Joanne mogłaby przy okazji zapytać doktora, czy to normalne mieć kostki wielkości butelki wody?

Już otwierała usta, by przedstawić swoją długą listę pretensji do Książątka, gdy nagle naszym oczom ukazała się panorama Londynu. Wciągnęła powietrze i te jej lazurkowe oczy zrobiły się okrągłe.

– O rany, Dev. To miejsce wygląda jak plan zdjęciowy *Harry’ego Pottera!*

Rozejrzałem się po niekończących się rzędach szarych mieszkań komunalnych.

– Chyba każę Joanne zapisać cię przy okazji do okulisty.

– Nie gadaj, tu jest ślicznie.

– Ślicznie to będzie, jak już wyjdziemy od mojego prawnika w Knightsbridge.

– Tak się składa... – Spojrzała na mnie, uśmiechając się od ucha do ucha. – ...że zamierzam wpaść w szal zakupów. Indywidualnie. Muszę zdążyć się we wszystko zaopatrzyć.

– Ale to zajmie tylko parę godzin. – Zmarszczyłem brwi.

Choć Frank i Rick zostali wyautowani, wciąż bałem się o jej bezpieczeństwo. Nie zapomniałem o Louisie i jej goryczy rozczarowania.

– Bardzo bym chciała posłuchać, jak dwóch starych przyków dzieli miliony funtów pomiędzy organizacje dobroczynne... – Zatrzepotała teatralnie rękami, jakby to było spełnienie jej marzeń. – ...ale chyba jednak sobie odpuszczę.

Umówiłem się z Harrym Tindallem na przekazanie spadku wskazanym przeze mnie organizacjom.

Skoro majątek Whitehallów miał pójść w diabły, sam chciałem owe diabły wybrać.

– Nie masz ochrony – przypomniałem jej.

Uniosła brew.

– Cześć, miło cię poznać, Belle jestem. Od trzydziestu lat samodzielnie utrzymuję się przy życiu.

– Z trudem – prychnąłem.

– Idę na zakupy – upierała się.

– Nie będę się więcej ładował dla ciebie do żadnego szybu wentylacyjnego – ostrzegłem, choć już wiedziałem, że ustąpię.

– Co? Nawet do windy kuchennej? – zapytała niewinnie. – Nie martw się, Książątko – dodała, zanim zdążyłem otworzyć usta, głaszcząc się po brzuszku. – Gdy tylko twój stary zniknie z horyzontu, urządzimy sobie maraton pod znakiem tajemniczych morderstw i paliw kopalnych.

Puściłem ją samopas.

Tym razem wiedziałem, że wróci.

Spotkanie z Tindallem trwało bite trzy i pół godziny.

Od czasu do czasu zerkałem w telefon, sprawdzając, czy Belle jest bezpieczna. Czyli co jakieś piętnaście minut.

Narada była o tyle produktywna, że klepnęliśmy przekazanie pieniędzy Brytyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi, British Heart Foundation i MacMillan Cancer Support. Gdyby to zależało od Edwina Whitehalla, wszystko poszłoby na związki łowieckie, testy na zwierzętach i wszelakie grupy terrorystyczne. Ten człowiek miał mniej serca niż meduza i nie

miałem wątpliwość, że nawet z za grobu przyczyniłby się do pogorszenia losu ludzkości.

– To istna kopalnia ulg podatkowych – cieszył się Tindall, układając kilogramy papierzysk w idealny stos. – Twój amerykański księgowy będzie miał używanie.

Podniosłem się.

– Nie robię tego dla pieniędzy.

– Wiem – odparł przeprasząc. – Miła odmiana.

Ruszyłem do drzwi, chcąc jak najszybciej wrócić do Emmabelle.

– Devonie, zaczekaj.

Tindall wstał od biurka, człapiąc do drzwi z konspiracyjną miną, jakby zamierzał powiedzieć coś, czego nie powinien mówić.

Zatrzymałem się w progu, rzucając mu zniecierpliwione spojrzenie. Na pewno nie był pod wrażeniem tego, jak załatwiłem sprawę testamentu, ale szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodziło.

Podkreślił węża niczym powieściowy łotr. Miałem ochotę parsknąć śmiechem.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że świetnie sobie w życiu poradziłeś, biorąc pod uwagę twoje... w y c h o w a n i e. A raczej jego brak. Edwin był dobrym przyjacielem, ale i trudnym człowiekiem.

– Eufemizm tysiąclecia. – Poklepałem go po ramieniu. – Ale i tak dziękuję za miłe słowa.

– Mówię szczerze. – Przytrzymał drzwi, blokując mi przejście. – Ze swojej strony cieszę się, że nie uległeś presji. Butchartowie to... ekscentryczna rodzina. Ja też bym się z nią nie wiązał.

– Odniosłem raczej wrażenie, że kibicujesz mojemu ślubowi z Louisą. – To jest jako przyjaciel ojca.

– Mylne wrażenie – odparł, skłaniając z szacunkiem głowę. – Jesteś teraz markizem, Devonie. Nikt nie odbierze ci tego tytułu.

– Tak się składa, że jego też nie potrzebuję.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem z kancelarii, po raz pierwszy w życiu oddychając pełną piersią.

Nareszcie wolny.

Choć oznajmiłem, że wolałbym wdać się w namiętny romans z robotem kuchennym, niż przed wyjazdem odwiedzić moją matkę w Whitehall Court Castle, Emmabelle się uparła.

– Jestem ostatnią osobą, którą chciałaby widzieć – jęknąłem, jadąc na autopilocie do Kentu. Spojrzałem na matkę mojego dziecka, tonącą w morzu zielono-złoty torb od Harrodsa. – Poprawka: t y nią jesteś. – Zarechotałem cicho. – Żyjący dowód na porażkę jej wielkiego planu. Jeśli liczysz na serdeczne powitanie i spontaniczny *baby shower*, to czeka cię rozczarowanie.

– Twoja matka może iść się walić. – Sweven przewróciła oczami, sprawdzając w lusterku stan swojej krwistoczerwonej szminki. – Chcę zobaczyć, gdzie się wychowałeś.

– Nawet jeśli nienawidzę tych murów?

– Tym bardziej.

Dotarliśmy na miejsce tuż przed zmrokiem. Naszym oczom ukazały się zielone pofalowane wzgórza Kentu i zamek w oddali. Wyglądał mroczniej, niż go zapamiętałem, przypominał zamykający się w sobie fiołek.

Jakby wiedział, że odwróciłem się od rodzowego nazwiska, czego nigdy mi nie wybaczy.

– O cholera, stary. Przy tobie Fitzpatrickowie to klasa średnia, która może sobie pozwolić co najwyżej na wakacje w kraju i basen w ogródku –

zaśmiała się Belle. – Tu aż kapie bogactwem w stylu „mamo, dasz mi na diamentowy diadem na bal maturalny?”

– A co, miałem się nim obnosić? – Zerknąłem na nią kątem oka, unosząc brew.

– Jaja sobie robisz? – Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w policzek, rozrzucając wokół torby od Harrodsa, ów symbol wiecznej miłości. – Już przeciętnie zamożny Devon mnie przerażał. Masz pojęcie, jaka bym była onieśmielona, gdyby się okazało, że zatrudniasz ludzi od podcierania tyłka i dmuchania na herbatkę?

W tym momencie doszczętnie straciłem wątek. Zaraz, o czym ona mówiła?

Zaparkowałem range rovera przed bramą, zgasilem silnik i wysiadłem. Sweven obeszła auto i dołączyła do mnie.

Z technicznego punktu widzenia to nadal był mój majątek. Parę tygodni temu zamierzałem go przepisać na matkę, ale teraz utraciła i ten przywilej. Może i jestem małostkowy, ale każdy miałby żal o niecną próbę rozdzielenia go z dziewczyną. Więc obecnie sprawy przedstawiały się tak, że matka, Cecilia i Drew mieli się wynieść do końca miesiąca. Dokąd – to mnie już nie obchodziło.

Gdy wziąłem Belle za rękę, zauważyłem trzy otwarte furgonetki stojące pod drzwiami frontowymi. Grupa młodzieńców w kombinezonach roboczych krzyczała do siebie po polsku, ładując meble na paki.

– Devon? – Od strony lasu dobiegł głos mojej siostry. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak przedziera się przez zarośla, przytrzymując spódnicę. – To naprawdę ty?

Podbiegła do mnie i serce podeszło mi do gardła. Przez krótką chwilę wyglądała jak tamta mała Cece, z którą dorastałem. Którą podnosiłem rozchichotaną do góry nogami, udając, że jej burza blond włosów to miotła.

Którą łaskotałem, pytając, co ją tak śmieszy. Którą uczyłem pstrykać palcami i gwizdać *Patience* Guns N'Roses – i to od początku do końca.

– Cecilio, to moja partnerka, Emmabelle.

Cecilia zatrzymała się w pół kroku, mierząc Belle wzrokiem od stóp do głów. Spojrzałem na Sweven jej oczami i zobaczyłem olśniewająco piękną, niezależną kobietę jak z okładki „Vogue'a”.

– Cześć. – Cece się uśmiechnęła, wyciągając niepewnie rękę.

Zamiast ją uścisnąć, Belle przyciągnęła moją siostrę do siebie i mocno przytuliła.

– Jesteś piękna – wybąkała Cecilia, uwalniając się z jej objęć.

– Dzięki! A ty... masz w ręku kij pogo? – Belle wydeła dolną wargę, robiąc wielkie oczy.

Cecilia się roześmiała, przypominając sobie o swoim atrybucie. Momentalnie się rozpogodziłem.

– W dzieciństwie ścigaliśmy się na nich w lesie – wyjaśniłem. – Zawsze wygrywałem.

– Za. Każdym. Razem – jęknęła Cecilia, dając mi kuksańca w bok. – Nawet gdy po jego wyjeździe do szkoły z internatem codziennie ćwiczyłam. Przyjeżdżał i z miejsca dostawałam baty. Chciałam sobie przypomnieć, jak to jest, zanim... – Spojrzała na mnie z uśmiechem. Był w nim smutek, ale nie dostrzegłem złości czy żalu.

– Już się pakujecie? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Mamy nie stać na rachunki, no i po co przeciągać to, co nieuniknione. Zamieszka w Londynie z przyjaciółką.

– A ty i Drew?

Odgarnęła wilgotne kosmyki z czoła.

– Drew znalazł pracę! Dasz wiarę?

– Nie – odparowałem sucho.

Zaśmiała się.

– Tak! Zaczyna od zera. Asystent admina w prywatnym banku w Canary Wharf. Wyobrażasz go sobie przynoszącego kawę i odbierającego pranie?

Niezbyt, ale i tak cieszyłem się, że na coś wreszcie się przyda.

– Ja zapisałam się na studia. Chcę zostać weterynarzem. – Uśmiechnęła się z zawstyżeniem.

– Opłacę ci je – zaproponowałem. W końcu nie spiskowała z mamą i Louisą.

– Dzięki. – Ścisnęła moje ramię. – Ale mały studencki kredyt jeszcze nikogo nie zabił i najwyższa pora stanąć na własnych nogach, nie sądzisz?

W tym momencie na scenę wkroczyła mama, taszcząc pudło z bibelotami.

– Cecilio, co to za zamieszanie? Ja...

Belle się odwróciła. Gdy ich spojrzenia się spotkały, dwie rzeczy stały się dla mnie jasne:

1) obie wiedziały, kim jest ta druga,

2) jeśli dojdzie do krwawej jatki, stawiam wszystkie pieniądze na Sweven.

– Och. – Mama postawiła pudło na ziemi, zasłaniając usta dłonią, jakby obie stały na tym podjeździe zupełnie golusieńkie.

Nie mogła oderwać wzroku od brzucha Emmabelle, która objęła go opiekuńczo, jakby stojąca przed nią kobieta w każdej chwili mogła próbować odebrać jej dziecko i uciec w siną dal. Na brzuchu została jej

blada, płytka blizna po ataku Franka, ale powiedziała, że tym bardziej go kocha. I rosnący w nim cenny skarb.

– Belle chciała przed wyjazdem zobaczyć miejsce, w którym się wychowałem. Załatwiłem dziś sprawy spadkowe, już po wszystkim. – Objąłem moją dziewczynę.

Moja matka nadal wpatrywała się tęsknym wzrokiem w jej brzuch.

– Rób, jak uważasz. – Podeszła do brzuszka i noszącej go kobiety, dopiero teraz ją zauważając. – Możesz nim dysponować wedle własnej woli. My się wyprowadzamy. Przyjechałeś trochę nie w porę, jesteśmy dość zajęci i nie ma nawet poczęstunku, bo kuchnie już spakowane.

– A to pech, kuchnie już spakowane. Ja zawsze zostawiam sobie do ostatniej chwili ze trzy w pełni wyposażone. Tak na wszelki wypadek. – Emmabelle uśmiechnęła się jadowicie, wyciągając zza ucha lizaka niczym papierosa. Rozwinęła go i jak gdyby nigdy nic włożyła sobie do ust.

Ta dziewczyna była jak promyk słońca w ponury dzień. Tyle twarzy, tyle form, tyle... kapelutków.

Mama pożerała ją zafascynowanym wzrokiem.

– Czy wszystkie Amerykanki są takie sarkastyczne?

– Nie, psze pani. Tylko te porządne.

– Masz taki... leniwy akcent.

– Powinna mnie pani zobaczyć na siłowni. – Nie rozstając się ze swoim lizakiem, rozejrzała się wokół, jakby była tu panią. – A pani brzmi jak wychowawczynie z dziewiętnastowiecznego sierocińca besztająca dziecko, które ośmieliło się poprosić o dokładkę owsianki.

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Podobno jesteś striptizerką. – Matka zadarła brodę, ale nie było w tym ani grama snobizmu. Tylko fascynacja.

Zrobiłem krok do przodu, gotów spuścić jej werbalne lanie.

Belle położyła rękę na mojej.

– Nie jestem striptizerką, ale jako ktoś, kto je zna, mogę pani powiedzieć jedno: żadna striptizerka nigdy nie zalega z rachunkami. I zwykle robią to, żeby opłacić studia albo po prostu sobie dorobić. Napiwki są ekstra, polecam.

Moja matka skinęła głową. Było widać, że jest pod wrażeniem.

– Jesteś inna, niż myślałam.

– Wątpiła pani, że syn ma świetny gust?

Mama spojrzała na mnie.

– Nie nienawidzę jej, Devvie – powiedziała z rezygnacją.

– Chciałabym powiedzieć to samo o pani, lady Whitehall – odparła Belle, znów ściągając na siebie jej uwagę. – Ale skrzywdziła pani miłość mojego życia i mamy rachunki do wyrównania.

– Owszem – rzuciła mama, ruszając niepewnie w naszą stronę. – Ale czy najpierw mogę dotknąć brzuszka? To znaczy dziecka? Patrząc na was oboje, jestem pewna, że będzie piękne.

– Może pani sobie pomacać, lady W., ale to nie znaczy, że skreślę panią ze swojej czarnej listy – zapowiedziała Sweven.

Boże drogi, jak ja kochałem tę kobietę!

Moja matka położyła dłonie na brzuchu Belle i uśmiechnęła się do niej.

– Mała kopie.

– Skąd wiesz, że to dziewczynka? – zapytałem.

– Kobiety wiedzą takie rzeczy. – Odsunęła się z tajemniczym uśmiechem.

Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. To nie był żaden moment pojednania ani nic w tym stylu. Bardziej przypominał ciche,

dostojne pożegnanie. Pożegnanie, które powinno było rozegrać się dwadzieścia lat temu.

Pozwoliłem jej ująć moje dłonie w swoje. Ten ostatni raz.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że naprawdę cię kocham, Devonie. Na swój własny sposób.

Wierzyłem jej.

Ale czasami odrobina miłości to za mało.

Devon

– **DLACZEGO WIĘKSZOŚĆ LINII LOTNICZYCH** zrezygnowała z pierwszej klasy? – jęknęła Emmabelle z fotela obok, zając się suszonymi owocami.

Przeglądałem właśnie „Wall Street Journal”, sącząc pierwszą w życiu bezalkoholową Krwawą Mary. Gdyby nie solidarność z Belle, pewnie miałbym teraz w dłoni szklaneczkę whiskey.

– Po pierwsze, klasa biznes i pierwsza prawie niczym się nie różnią. A biznesklasę można sobie wrzucić w koszty podróży służbowej, więc masz odpowiedź. A czemu pytasz? – Zerknąłem na nią.

Poruszyła się niespokojnie, rozglądając się na boki.

– Za mało miejsca na nogi.

Złożyłem gazetę, schowałem ją pod pachę i klepnąłem się w uda.

– Połóż nogi na moich kolanach. I po problemie.

– Nie, nie o to chodzi. Cholera. To znaczy... nieważne – prychnęła, pocierając czoło.

– Kontynuuj. – Usiadłem wygodnie. – Uwielbiam, gdy szepczesz mi słodkie słówka do ucha.

Ale twardo milczała, dopóki nie znaleźliśmy się nad przepastnymi wodami Atlantyku, dokładnie w połowie drogi między Wielką Brytanią a Stanami. Wszystkim, co utrzymywało nas w powietrzu, była cienka metalowa tuba i wiara. Nagle zrozumiałem jej quasi-analogię sprzed chwili.

Małżeństwo polegało na braniu i dawaniu.

Na kompromisie i spotykaniu się w połowie drogi.

– Okej. Tylko się nie wściekaj, jeśli coś schrzanię, bo nie wiem, czy dam radę wstać. To dziecko przesunęło mi środek ciężkości. – Wyjęła z torebki aksamitne pudełeczko i się podniosła, klękając przede mną z jękiem bóleści.

Usiadłem prosto, momentalnie sztywniejac.

Wszyscy pasażerowie wbili w nas zaspany wzrok.

– Devonie Whitehall, jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego dane mi było poznać. Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Chcę się z tobą zestarzeć, być przy tobie na dobre i na złe, nosić twoje nazwisko. Wiem, że ostatnimi czasy dałam ci w kość, ale przysięgam, że się zmieniłam. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moim mężem?

– Tak.

Nic więcej nie musiałem mówić.

To jedno słowo zamykało w sobie wszystko.

Nasi towarzysze podróży zaczęli klaskać, a jedna kobieta postanowiła uwiecznić tę chwilę swoim telefonem. Ale w tamtej chwili mogliśmy trafić na okładkę tabloidu i nawet bym tego nie zauważył.

– Och, Dev. – Belle zasłoniła usta dłonią i łzy napłynęły jej do oczu. – Cudownie. A teraz pomóż mi się podnieść.

EPILOG

Belle

– **A WIEDZIAŁAŚ**, że podczas tarła żabnice stapiają się ze sobą, stając się jednym ciałem? Gdy samczyk znajduje chętną, przykleja się do niej i jest po ptakach. Traci oczy i całą masę narządów, łącząc się z nią krwiobiegiem. – Devon głaszcze czule moją dłoń, zerkając na mnie z krzesła przy szpitalnym łóżku.

– Wow – komentuję z ironią, wstrzymując oddech w walce z kolejną falą bólu. – Brzmi znajomo.

Odwracam się do siostry „Mnie Tu Wcale Nie Ma”, która uśmiecha się promiennie, jakby to ona właśnie rodziła, odkładając na miejsce moją kartę.

– Ten skurcz był masaaaakryczny!

Do tego stopnia, że myślałam, że rozerwie mi brzuch.

– Gdzie doktor Bjorn? – pytał ostro Devon, wkraczając do akcji. – Moja żona cierpi.

– Nie ona pierwsza rodzi – mówi łagodnie siostra „Zaraz Oberwę” i poprawia mi poduszki. – Było u niej dwóch innych lekarzy i wszystko jest w jak najlepszym porządku. Doktor Bjorn niestety utknął w korku, będzie tu za parę minut. Zawsze może pani poprosić o epidural. – Spogląda na mnie z góry, wzruszając ramionami.

– Żarty sobie robicie? Chcę, żeby moja córka wiedziała, ile bólu kosztowało mnie sprowadzenie jej na ten świat. Nie ma lepszego bata na dziecko.

Pielęgniarka parska śmiechem.

Nie mam pojęcia czemu, bo mówię poważnie.

– Kochanie, oddychaj. Masz jeszcze czas – grucha Devon, odgarniając mi włosy z twarzy. Jakie to romantyczne, zwłaszcza w chwili, gdy próbuję bez znieczulenia wypchnąć z siebie trzyipółkilogramowego człowieka. Odganiam się od jego dłoni jak od muchy.

– Przyrowadź doktora Bjorna.

– Wedle życzenia, pani Whitehall. – Wybiega z sali i zostaję sam na sam z siostrą „Ta Pacjentka Jest Niezrównoważona”.

Pobraliśmy się wkrótce po powrocie z Anglii, podczas małej prywatnej ceremonii w Madame Mayhem. Druhny, które nie miały w tej sprawie nic do gadania, wystąpiły w seksownych czerwonych gorsetach z podwiązkami. Mój ślub, moje zasady. Na widok swojej żony w takim stroju Sam Brennan prawie wybił dziurę w ścianie.

Układa nam się idealnie. Aż za idealnie. Czasami budzę się rano i myślę: „dziś wszystko schrzanię i on zwieje” albo „dziś na pewno mnie zostawi”, bo wreszcie sobie uświadomi, że nic mnie już nie naprawi.

Ale mija kolejny dzień i wreszcie przestaję się bać, że on też mnie skrzywdzi.

W końcu to Devon Whitehall nauczył mnie najważniejszego: by nie tracić wiary.

– Przyrowadziłem ci znajomego lekarza. – Wpada zdyszany do sali.

– Doktora Bjorna? – warczę, wijąc się na łóżku. – Albo mam omamy, albo to dziecko wychodzi. – Między moimi nogami coś się dzieje, ale z wiadomych przyczyn nie jestem w stanie się schylić i sprawdzić.

– Lepiej – mówi Devon i staje przede mną wraz z Aisling.

Mam ochotę go udusić.

– Ta laska nie będzie oglądała mojej waginy!

Ale rzeczona laska już myje ręce i zakłada gumowe rękawiczki.

– Widywałam gorsze rzeczy.

– O, ja nie o tym. Moja wagina wygląda fantastycznie. Ale chyba jeszcze nie jestem gotowa przenieść naszą relację na wyższy poziom – pryham.

Ale kolejny skurcz wyrywa mi krzyk z gardła i oboje biegną do łóżka.

– Sweven – jęczy zboląłym głosem Devon, ocierając mi czule pot z czoła. – Tak mi przykro, że ci to zrobiłem.

– I to niejedyn raz. Dlatego tu jesteśmy – warczę.

– Nadal nie chcesz mojej pomocy? – Aisling unosi brew. – Bo mogę zawołać innego lekarza.

– Jest tu doktor Lynne – wtrąca bez sensu siostra „Nikt Cię Nie Pytał”. Nie znam żadnego Lynne’a. A doktor Bjorn jest, jak widać, zbyt zajęty walką z bostońskimi korkami.

– Niech wam będzie! – Rozrzucam bezradnie ręce. – Tylko wyjmij ze mnie to dziecko, Ash!

Devon łapie mnie za rękę, Aisling bierze się do roboty i dwadzieścia minut później – akurat w chwili, gdy do sali wpada doktor Bjorn, przepaszając wszystkich wokół – na świat przychodzi Nicola Zara Constance Whitehall (uprzedzając pytania: j a s n e, że dorzuciłam tę Constance, żeby wszyscy wiedzieli, że w żyłach mojej córki płynie królewska krew).

Nie ma ziarna przesady w twierdzeniu, że moja pierworodna to najśliczniejsze dziecko pod słońcem. Gładka, różowiotka skóra, jasne oczęta, różowe usteczka. Jest taka krucha, niewinna i idealna. Chcę chronić ją przed każdym niebezpieczeństwem. Wiem, że to niemożliwe, ale mogę przynajmniej wychować ją na silną, mądrą kobietę.

– Boże, wykapana mamusia. – Devon całuje nas obie i przytula Aisling.

Z moją piękną córeczką w ramionach i rodziną oraz przyjaciółmi czekającymi na korytarzu, jedno wiem na pewno: nie będzie dobrze.

Bo już jest idealnie.

Devon

Pół roku później

Przekazuję Whitehall Court Castle English Heritage Foundation. Zrobią w nim muzeum. Część mnie – bardzo mała część – z żalem rozstaje się z tytułem, jednocześnie pozbawiam go Nicolę. Ale w gruncie rzeczy cieszę się, że na dobre pożegnałem się z Anglią, która nigdy nie była moim prawdziwym domem.

Nicola rośnie jak na drożdżach. Obecnie może się pochwalić burzą jasnoblonde loczków podejrzanie przypominających makaron ramen. Gryzie wszystko, co wpadnie jej w pulchne rączki, i generalnie jest najśłodszym maleństwem świata.

Miesiąc temu Emmabelle wróciła do pracy. Stery Madame Mayhem oddała Rossowi, skupiając się na nowym projekcie. Założyła mianowicie organizację non profit pomagającą stanąć na nogi ofiarom molestowania seksualnego.

W zastępstwie nieocenionego Simona jej nową asystentką została Donna Hammond, była dziewczyna Franka. Jej synek ma na imię Thomas i czasami, gdy bawią się razem z Nicolą, oboje gapią się na siebie, jakby nie mogli uwierzyć, że poza dorosłymi na świecie istnieje jeszcze ktoś ich gabarytów.

Właśnie odbieram żonę od rodziców. Nicola śpi słodko na tylnym siedzeniu mojego bentleya. Na werandzie zauważam teścia podlewającego kwiatki i odsuwam szybę.

– Cześć, John, powiesz Belle, że jestem?

Podnosi wzrok, uśmiecha się i kiwa głową. Rzuca wąż na trawnik, wchodzi do domu i wraca pod rękę z moją żoną.

Otwiera jej drzwi i całuje w skroń na pożegnanie.

– Jedźcie ostrożnie – instruuje, zerkając z uśmiechem na śpiącą Nicolę. – Tak szybko rośnie!

– Jak wszystkie dzieci – szepcze Belle.

– Kocham cię, Belly-Belle.

– Ja ciebie też, tato.

Jedziemy na Logan International Airport. Przez całą drogę mam ściśnięty żołądek.

– Będzie dobrze – uspokaja mnie Belle, głaszcząc po udzie.

– Wiem. Po prostu minęło tyle czasu...

– To wciąż twoja rodzina – przypomina mi żona.

O tym też wiem.

Gdy dojeżdżamy na miejsce i przesadzamy Nicolę z fotelika na nosidełko, Belle automatycznie rusza do schodów.

– Nie. – Łapię ją za rękę i ściskam. – Pojedźmy windą.

Błyskawicznie się odwraca, marszcząc brwi.

– Jesteś pewien?

– Tak, kochanie.

Stoimy przy bramce i choć zostawiłem urazy za sobą, czekam jak na szpilkach. Gdy tylko przejąłem kontrolę nad zamkiem, kazałem zdemontować tę nieszczęsną windę kuchenną, co pomogło mi w walce z klaustrofobią.

Gdy zadzwoniła Cecilia i zapytała, czy może przyjechać do Nicole, zgodziłem się. W końcu to nie moja matka czy ojciec. Nigdy nie próbowała

mnie zabić. Gdy zapytałem Belle, czy powinienem zapłacić za jej lot i hotel, odpowiedziała: „Absolutnie nie. Niech ci udowodni, że się zmieniła”.

I rzeczywiście. Opłaciła sobie wszystko z pieniędzy, które zarabia w bibliotece uniwersyteckiej. Zmieniła się nie do poznania.

Na widok siostry biegnę do niej z lekkim sercem. Wygląda tak samo – może tylko trochę schudła – ale jej uśmiech jest inny, szczerzy i beztroski.

Spotykamy się w pół drogi i ściskamy. Wybucha płaczem, chowając twarz w moim ramieniu. Pozwalam jej. Teraz wie, jak to jest być sierotą. Ursula i od niej się odwróciła, porzuciła ją i przeprowadziła się do Londynu.

– Dziękuję za drugą szansę – szepcze Cece przez łzy.

– Dzięki, że o nią poprosiłaś.

Czuję na plecach rękę żony. Jak zawsze mnie podtrzymuje, pilnując, bym nie stracił równowagi.

– Chodźcie stworzyć nowe rodzinne wspomnienia – mówi cicho.

I idziemy.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Problem z pożegnaniem jest taki, że nigdy nie jesteśmy na nie gotowi. Seria Boston Belles była dla mnie łaskawa – w tym sensie, że relacje między bohaterami od pierwszej chwili rozwijały się naturalnie, jakbym sama o nich czytała. To fajne i dołujące zarazem, bo jak pożegnać się z kimś, kto jest dla ciebie jak rodzina?

Moi bohaterowie może i są fikcyjni, ale ludzie, którzy pomogli powołać ich do życia, są jak najbardziej prawdziwi. Są utalentowani, pracowici, i im też należą się brawa.

W pierwszej kolejności chciałabym podziękować Tijuanie Turner, mojej osobistej asystentce, alfa-czytelniczce, alfa-menedżerce i nie tylko. Dziękuję też wszystkim kobietkom, które otoczyły nas bezwarunkową miłością oraz wsparciem: Ratuli Roy, Vanessie Villegas, Yaminie Kirky, Marcie Bor i Sarah Plocher.

Dziękuję mojej graficzce, Letitii Hasser, która za każdym razem staje na wysokości zadania, oraz Stacey Blake, która formatuje moje teksty i posypuje magicznym pyłem wszystko, czego dotknie.

Serdeczne podziękowania kieruję do ekipy redakcyjnej w składzie Cate Hogan, Mara White, Max Dobson i Sarah Plocher. Bez Was nie dałabym rady (serio! Znacnie to powiedzenie: potrzeba wioski etc.).

Dziękuję mojej agentce, Kimberly Brower, za to, że jest kimś więcej niż agentką. Mam nadzieję, że wiesz, ile dla mnie znaczysz.

Chciałabym również serdecznie podziękować wszystkim blogerkom i czytelniczkom, które kochają tę serię i we mnie wierzą. Jesteście najlepsze i nie wyobrażam sobie życia bez Was.

Na koniec mała prośba: byłabym ogromnie wdzięczna za krótką, szczerą recenzję w wolnej chwili.

I nigdzie nie uciekajcie, bo koniec jednej serii to początek nowej...

L.J. Shen, xoxo

POZOSTAŃMY W KONTAKCIE

Zapisz się do newslettera:

<http://eepurl.com/b8pSuP>

Znajdź mnie na Instagramie:

www.instagram.com/authorljshen

...i na Facebooku:

www.facebook.com/authorljshen

Inne powieści autorki:

Święci grzesznicy

Defy (#0.5)

Intryga (#1)

Chaos (#2)

Skandal (#3)

Szakal (#4)

All Saints High

Pretty Reckless (#1)

Broken Knight (#2)

Angry God (#3)

Boston Belles

Hunter (#1)

Villain (#2)

Monster (#3)

Rake (#4)

Pozostałe

Tyed

Sparrow

Blood to Dust

Odcień północy

Dirty Headlines

Jeśli jakimś cudem...

Złodziej pocałunków

Igrając z ogniem

Diabeł ubiera się na czarno

Bad Cruz

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Rake

Boston Belles #4

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Katarzyna Kusojeć

Projekt okładki: Letitia Hasser, RBA Designs

Fotograf: Wong Sim

Model: Gilberto Fritsch

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Copyright © 2022 THE RAKE by L.J. Shen

Published by arrangement of Brower Literary & Management Inc., USA
and Book/Lab Literary Agency, Poland.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki an imprint
of Wydawnictwo KobiECE Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-653-9

Grupa Wydawnictwo Kobieta | www.WydawnictwoKobieta.pl



Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com